

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHOR

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHOR

ROBERTS

ROBERTS

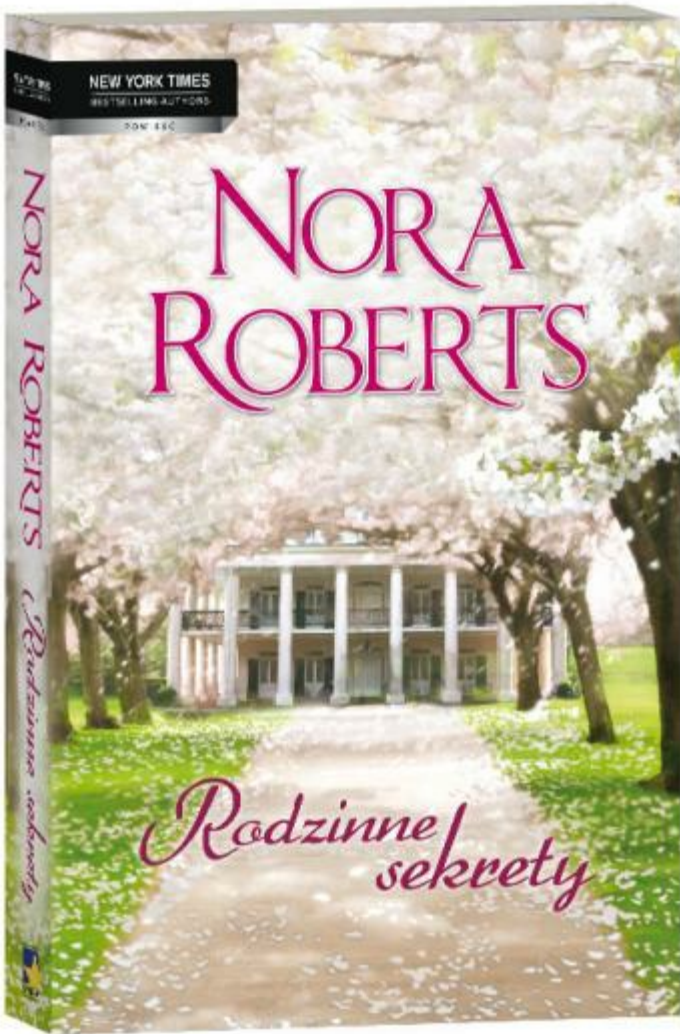
NORA ROBERTS

NORA ROBERTS

Podziwianie sekretów

Podziwianie sekretów





NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHOR

DOMESTIC

NORA
ROBERTS

*Rodzinne
sekrety*

NORA ROBERTS

Rodzinne sekrety



NORA ROBERTS

PARTNERZY CZY RYWALE?

SZTUKA MISTYFIKACJI

NORA ROBERTS

PARTNERZY CZY RYWALE?

(INTRYGUJĄCY WSPÓLNIK)

MATT BATES I LAUREL ARMAND DZIAŁAJĄ SOBIE

NA NERWY, ODKĄD TYLKO SIĘ POZNALI. CIĄGŁE

DOCINKI I WZAJEMNE ZŁOŚLIWOŚCI – TO ICH

CODZIENNOŚĆ W REDAKCJI. JEDNAK GDY TA

DWÓJKA RYWALIZUJĄCYCH DZIENNIKARZY

ZOSTAJE ZMUSZONA DO WSPÓŁPRACY PRZY

ZBIERANIU MATERIAŁÓW O MORDERSTWIE,

ZACZYNA MIĘDZY NIMI ISKRZYĆ... CO ZWYCIĘŻY,

GDY MATT I LAUREL WEJDĄ W DROGĘ

OBLĄKANEMU MORDERCY: DETERMINACJA, BY

NAPISAĆ ŚWIETNY ARTYKUŁ CZY RODZĄCA SIĘ

MIĘDZY NIMI MIŁOŚĆ?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chaos. Telefony się urywają. Wszyscy się spieszą; krzyczą, warczą, klną. Zewsząd dociera stukot maszyn do pisania. W powietrzu unosi się zapach wystygłej kawy, świeżych bułek, papierosów, potu. Dom wariatów?

Parę osób niewątpliwie by się zgodziło z tym określeniem. Ale to nie był dom wariatów - to był dział miejski gazety „New Orleans Herald” pół godziny przed zamknięciem numeru.

Większość dziennikarzy nie zwracała uwagi na panujący wokół rozgardiasz -

traktowała go jak powietrze, którym się oddycha. Każdy zajęty był własną pracą, codzienne sukcesy lub porażki innych nikogo nie interesowały. Owszem, liczyła się solidarność zawodowa, każdy jednak koncentrował się na własnym temacie, pilnie strzegąc swoich źródeł

informacji. Dobry dziennikarz prasowy nie potrafi żyć bez stresu, harmidru, naglających terminów,

ciekawych tropów, które trzeba sprawdzić.

Matthew Bates przeszedł przez wszystkie dziennikarskie szczeble. Zaczynał jako sprzedawca gazet w manhattańskiej dzielnicy Lower East Side; zanim stał się cenionym reporterem, parzył kawę, był chłopcem na posyłki, pisał nekrologi i sprawozdania z wystaw kwiatów.

Umiejętności znajdowania ciekawych tematów nie zdobył na kursach dziennikarskich, po prostu miał ją we krwi. Lata studiów, a potem ciężka praca pozwoliły mu jedynie doszlifować talent, z którym przyszedł na świat.

W wieku trzydziestu lat patrzył na życie trzeźwo, z lekkim przymrużeniem oka. Lubił

ludzi, ale nie miał wobec nich żadnych złudzeń czy oczekiwań. Zresztą trudno o to, kiedy pracuje się w pokoju pełnym szaleńców.

Zakończywszy artykuł, zawołał gońca, wręczył mu tekst i po raz pierwszy od trzech godzin pozwolił sobie na chwilę relaksu. Rok temu opuścił Nowy Jork i przyjął posadę w

„Heraldzie”. Czuł się wypalony, niespokojny, potrzebował odmiany. Nowy Orlean zaś był

miastem równie ekscytującym jak Nowy Jork.

Zajmował się sprawami kryminalnymi. Morderstwa, kradzieże i rozboje stanowią stały element dzisiejszego świata. Starał się wyrzucić z głowy okrutne, bezsensowne zabójstwo osiemnastoletniej dziewczyny, które przed chwilą skończył opisywać. To było najtrudniejsze: najpierw konieczność zachowania obiektywizmu, a później wymazanie z pamięci obrazów niewinnych ofiar.

Nie sprawiał wrażenia zimnego, cynicznego twardziela. Kiedy miał dwadzieścia kilka lat, denerwowało go, że z wyglądu bardziej przypomina beztroskiego amatora surfingu niż dziennikarza. Teraz to go bawiło.

Wysoki, szczupły, doskonale zbudowany, lepiej czuł się w dżinsach niż w garniturze.

Ciemnoblond włosy opadały mu na uszy, zakrywały kołnierz koszuli. Brak sztywności w ubiorze i zachowaniu powodował, że ludzie chętnie się przed nim otwierali, toteż bez trudu zdobywał potrzebne informacje.

Kiedy chciał, potrafił być czarujący, ale w jego roześmianych niebieskich oczach często pojawiał się błysk złości. Pod maską luzaka krył się upór, pasja oraz wybuchowy temperament.

Uśmiechając się pod nosem, skierował wzrok na kobietę siedzącą przy sąsiednim biurku. Laurel Armand miała jedwabistą skórę, którą aż chciało się pogłodzić, opadające swobodnie na ramiona bujne czarne włosy i żywe, lśniące oczy w kolorze szmaragdu. Z

twarzy przypominała dziewiętnastowieczną piękność z Południa, która życie spędza na przyjmowaniu gości i spacerach po ogrodzie. Mówiła cichym, melodyjnym głosem, który zdawał się płynąć niczym srebrzysty strumyk.

Ale głos Laurel był równie mylący co jej wygląd. Laurel Armand nie należała do cichych i pokornych istot - była zdolną, ambitną dziennikarką, upartą, o porywczym usposobieniu. Matt uwielbiał wyprowadzać ją z równowagi.

Skupiona, ze zmarszczonym czołem, dojechała do końca artykułu, wyciągnęła kartkę z maszyny i zawołała gońca, po czym przeniosła spojrzenie na mężczyznę przy sąsiednim biurku. Odruchowo wyprostowała plecy.

- Masz jakiś problem, Matthew? - spytała lekko znudzonym tonem.

- Nie, Laurellie. Żadnego. Zaczerwieniła się. Nie lubiła tego zdrobnienia.

- Zajmij się swoimi morderstwami.

- Ze wszystkimi się już uporałem. - Posłał jej łobuzerski uśmiech.

Nie dam się sprowokować, nie dziś, powiedziała do siebie, zaciskając pod biurkiem pięści.

- To dobrze - oznajmiła ze słodyczą, której zadawały kłam iskry gniewu w jej oczach.

- A może założymy się, czyj tekst trafi na pierwszą stronę?

Uniosła nieznacznie brwi.

- Nie chciałabym pozbawiać cię pieniędzy.

- A może to ja pozbawię ich ciebie? - Wstawszy od biurka, podszedł bliżej i pochylił

się nad jej uchem. - Pięć dolarów, kwiatuszku. Pasuje? Chociaż twój stary jest właścicielem gazety, to nasi redaktorzy potrafią odróżnić genialny tekst od średniego.

Usłyszał, jak Laurel wciąga z sykiem powietrze. Kusiło go, aby zacisnąć wargi na jej ustach.

- W porządku, Bates. Ale zakładamy się o dziesięć dolców. - Wstała od biurka.

Irytowało ją, że musi zadzierać głowę, aby patrzeć mu w oczy. Jeszcze bardziej irytowało ją jego pewne siebie, zuchwałe spojrzenie. - Chyba że taka suma przekracza twoje możliwości finansowe - dodała uszczypliwie.

- Może być dziesięć. - Owinął wokół palca kosmyk jej włosów. - I żeby udowodnić ci, jacy szarmanccy potrafią być Jankesi, to za wygraną zaproszę cię na lunch.

Przysunęła się bliżej, niemal ocierając się o niego. Poczuł, jak przeszywa go dreszcz.

- Lepiej daj forszę żebrakowi pod kościołem. Uśmiechając się promiennie, odepchnęła go na bok i skierowała ku drzwiom.

Odprowadził ją wzrokiem. Kiedy znikła mu z oczu, wsunął ręce do kieszeni i kręcąc głową, roześmiał się głośno. W dziale miejskim panował taki harmider, że nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi.

- Psiakrew! - zaklęła, prowadząc samochód przez zatłoczone śródmieście. Matt Bates jest najbardziej nieznośnym i irytującym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Przejechawszy skrzyżowanie na żółtym świetle, ponownie zaklęła. Gdyby jej brat Curtis nie poznał go na studiach, Matthew wciąż mieszkałby w Nowym Jorku. Nie przyjąłby pracy w

„Heraldzie”. Komu innemu codziennie działałby na nerwy.

Wrodzona uczciwość kazała jej jednak przyznać, że Bates jest najlepszym reporterem w całej redakcji. Cechowała go dokładność, przenikliwy umysł, instynkt psa myśliwskiego.

Co nie znaczy, że jest człowiekiem łatwym w pożyciu. Wcisnąwszy hamulec, wykonała ostry skręt kierownicą. Jakiś buick zajechał jej drogę. Wpuściła go. Była zbyt wściekła na Matta, by walczyć o pierwszeństwo przejazdu.

Oczywiście Matt wygrał zakład. Jego znakomity artykuł o zabójstwie trafił na pierwszą stronę.

W ciągu tych dwunastu miesięcy, odkąd przeniósł się do Nowego Orleanu, ani razu nie spojrzął na nią tak jak inni mężczyźni. To, że nie lubiła tego, jak inni na nią patrzą, nie miało najmniejszego znaczenia.

Nie widziała w jego oczach uległości ani podziwu. Nigdy nie próbował jej podrywać ani się z nią umówić - nie żeby jej na tym zależało. Z drugiej strony żałowała, bo z przyjemnością by mu odmówiła. Chociaż mieszkał w tym samym budynku, ba, na tym samym piętrze co ona, ani razu nie wpadł do niej pod pretekstem, że czegoś mu zabrakło.

Szkoda - z przyjemnością zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem.

Ale nieustannie ją drażnił. Na przykład uwielbiał czynić spostrzeżenia na temat mężczyzn, z którymi się spotykała. Co gorsza, spostrzeżenia na ogół trafne. Obecnie wyzywał

się na Jerry'ego Cartierze, konserwatywnym, pozbawionym poczucia humoru radnym miejskim.

Laurel widywała się z nim z dobroci serca, a także dlatego, że niekiedy podrzucał jej ciekawe tematy. Ciągle jednak musiała bronić Jerry'ego przed Mattem, wbrew sobie wychwalać go pod niebiosami.

O ileż życie byłoby prostsze, gdyby Matthew Bates nadal pracował w redakcji na Manhattanie. I gdyby nie był tak cholernie przystojny.

Im bardziej Laurel oddalała się od miasta, tym mniej Matthew i przegrany zakład zaprzętały jej myśli. Na bezchmurnym niebie słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

Promienie z trudem przedzierały się przez gęste gałęzie drzew rosnących wzdłuż szosy.

Wokół rozbrzmiewał śpiew ptaków zamieszkujących pobliskie bagna. Groźne, pogrążone w cieniu tajemnicze bagna. Zawsze ją fascynowało, że dwa światy, jeden cywilizowany, drugi dziki i niebezpieczny, tak blisko z sobą sąsiadują.

Kiedy skręciła w boczną drogę prowadzącą do domu, w którym spędziła dzieciństwo, przepełniło ją uczucie błogości i dumy. Niebo zasłaniały gałęzie cedrów, przez które tylko gdzieś tam sączyło się światło. Z gałęzi zwisał typowy dla krajobrazu Południa mech hiszpański. W Promesse d'Amour, jak Armandowie nazywali swą posiadłość rodową, czas stał w miejscu.

Dojechawszy do końca podjazdu, Laurel przez chwilę siedziała w samochodzie i patrzyła na biały piętrowy dom otoczony gąszczem azalii, kamelii i magnolii. W oczy uderzała feeria barw, w nozdrza - wpadająca przez otwarte okno orgia zapachów. Doryckie kolumny, ciągnący się wzdłuż całego domu balkon z czarnym okratowaniem, delikatnym niczym czarna koronka, porastający werandę bluszcz - wszystko to dodawało urody i charakteru tej cudownej starej rezydencji.

Laurel weszła bez pukania bocznymi drzwiami. Tu się urodziła, tu spędziła dzieciństwo i młodzięcze lata. W ogromnym holu woń kamelii w wazonie na stole mieszała się z zapachem wosku i cytryny. Pewnie tak samo pachniało tu przed stu laty. Przystanąwszy na moment przed lustrem, poprawiła włosy, po czym skierowała się do salonu.

- Cześć, tatau. - Wspiąwszy się na palce, pocałowała ojca w nieogolony policzek.

William Armand, przystojny mężczyzna o lekko szpakowatych włosach, uwielbiający dobrą whisky i dobry tytoń, starym zwyczajem poczochnął córkę po głowie.

- Cześć, księżniczko. Przeczytałem twój artykuł o burmistrzu. Jest świetny. - Na widok irytacji w oczach Laurel uniósł zdziwiony brwi.

- Dzięki, tato.

Odwróciła się do starszej kobiety, która siedziała w obitym granatową tkaniną wysokim fotelu. Kobiety o białych jak gołąb, gęstych włosach, poznaczonej siecią zmarszczek twarzy i bystrych zielonych oczach.

- Babciu... - schyliwszy się, Laurel pocałowała staruszkę - ty nigdy się nie zestarzejesz.

- I bardzo dobrze! - oznajmiła niskim, zmysłowym głosem Olivia Armand. - Ty też nie, moje dziecko - dodała, ściskając wnuczkę za rękę.

- Mamy dobre kreolskie geny... Williamie - zwróciła się do syna. - Bądź łaskaw nalać Laurel drinka, a przy okazji mnie również. - Podała mu szklanę.

- A teraz, kochanie, powiedz mi: jak tam twoje życie romantyczne?

Śmiejąc się wesoło, Laurel przycupnęła na pufie.

- Na pewno mniej urozmaicone niż twoje, babciu.

- Niedobrze. - Starsza pani podniosła szklankę do ust. - Wiesz, co mi przeszkadza w dzisiejszym świecie? Za ciężko się pracuje, za mało romansuje. A ty, moja mała - pogroziła palcem wnuczce - niepotrzebnie tracisz czas na tego mydłka Cartiera. On by nawet łóżka nie potrafił ogrzać, a co dopiero rozpalić kobietę.

Laurel wzniosła oczy do nieba.

- Wcale nie chcę, żeby mnie rozpałał.

- Ale najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił!

- stwierdziła autorytatywnie staruszka. William Armand omal się nie zakrztusił.

- Nie wszyscy mają takie sprośne myśli jak ty, babciu - rzekła Laurel.

- Wszyscy, wszyscy! - Staruszka wybuchnęła rubasznym śmiechem. - Tylko nie każdy się do nich przyznaje.

- Curt pewnie zjawi się lada moment?

- Tak - odparł William, zajmując drugi fotel.

- Dzwonił wkrótce przed twoim przyjściem, by uprzedzić, że nie będzie sam.

- Może wreszcie przywiezie jakąś przyjaciółkę? - rozmarzyła się Olivia. - Chłopak niemal nie wysuwa nosa z ksiąg prawniczych. Z takimi wnukami nigdy nie zostanę prababcią.

Jego fascynuje prawo, ciebie dziennikarstwo... - Staruszka popatrzyła z wyrzutem na Laurel. -

Naprawdę nie mogłabyś sobie znaleźć kochanka?

- Nie jestem gotowa stanąć na ślubnym kobiercu. - Laurel uniosła szklankę do światła.

- A kto mówi o małżeństwie? - Wzdychając głośno, staruszka przeniosła spojrzenie na syna.

- Dzisiejsza młodzież, cóż ona wie o życiu? W moich czasach...

Wywód starszej pani przerwał odgłos zamykanych drzwi.

- To pewnie Curt - powiedziała Laurel, podrywając się na nogi. W momencie, gdy weszła do holu, uśmiech zamarł na jej twarzy, a w oczach pojawił się błysk złości. - A, to ty -

rzekła, spoglądając na mężczyznę, który towarzyszył Curtisowi.

Matt uniósł jej dłoń do ust, zanim zdołała ją wyszarpnąć.

- Uwielbiam słynną południową gościnność - mruknął.

Jakaż ona piękna, pomyślał, obserwując Laurel, która obróciła się twarzą do brata.

Złość widoczna w jej oczach znikła, ustępując miejsca czułości.

- Cześć. - Cmoknęła go na powitanie. - Co u ciebie?

- W porządku. Pracy mnóstwo...

- Pewnie co nieco usłyszysz dziś na ten temat - upредиła go lojalnie. - Babcia wsiadła na swego ulubionego konika...

Curt popatrzył na siostrę tak zbolałym wzrokiem, że ta wybuchnęła śmiechem.

Następnie przeniosła spojrzenie na Matta, który nie spuszczał z niej oczu. Po krzyżu przebiegł

jej dreszcz. Kim jest ten facet? Od roku zadawała sobie to pytanie i ciągle nie znajdowała odpowiedzi. Jak to możliwe, aby dwóch tak różnych ludzi - jeden wiecznie zabiegany cynik, drugi łagodny marzyciel - potrafiło się ze sobą zaprzyjaźnić? Nie umiała go rozgryźć; może dlatego tak często o nim myślała? Odruchowo spuściła wzrok na jego usta. Zakłęła w duchu, gdy rozciągnęły się w uśmiechu.

- Chodźmy - powiedział Curt, nieświadom napięcia w powietrzu. - Może Matt przyciągnie uwagę babci. On to potrafi, to znaczy skupiać uwagę kobiet.

Laurel prychnęła pogardliwie. Kiedy Curt ruszył przodem, Matt ujął ją za łokieć.

- Jeśli mnie natychmiast nie puścisz - zaczęła gniewnie - to...

- Urządzisz mi dziką awanturę? Uwielbiał salon Armandów; przebywając tu, zapominał o dzieciństwie spędzonym w ciemnym, obskurnym mieszkaniu na drugim piętrze, gdzie kaloryfer bardziej służył jako ozdoba niż urządzenie grzewcze. Tamto życie minęło i nigdy nie wróci. Teraz był człowiekiem sukcesu, znanym, cenionym dziennikarzem. Czasem jednak nachodziły go wspomnienia: trudno wyrzucić z pamięci buty, które piją w nogi, brzuch, w którym stale burczy z głodu.

- Widzę, Curt, że przyprowadziłeś swojego przyjaciela Jankesa? - Olivia Armand obrzuciła Matta przyjaznym spojrzeniem.

Curt ścisnął dłoń ojca, posłusznie pocałował babcię w policzek, następnie skierował się do barku, by przyrządzić drinki.

- Pani Olivio... - Matt uniósł dłoń starszej kobiety do ust. - Jest pani coraz piękniejsza.

- Och, ty łotrze! Zaniedbujesz mnie. Ostatni raz widziałam cię miesiąc temu, a dla osoby w moim wieku miesiąc to szmat czasu!

Matt ponownie złożył pocałunek na pomarszczonej dłoni.

- Bywałbym częściej, gdyby przyjęła pani moje oświadczenia.

Laurel z całej siły starała się zachować powagę. Psiakość, czy on musi być tak piekielnie czarujący? Olivia zaś roześmiała się zachwycona.

- Gdybym była trzydzieści lat młodsza... - Poklepała po ręce Matta, który przysiadł na oparciu jej fotela. - Cóż, ale nie jestem. A ty, kochanie - popatrzyła z wyrzutem na wnuczkę -

dlaczego nie zainteresowałaś się Mattem? To facet z krwi i kości...

Laurel zaczerwieniła się. Siedziała bez słowa, wściekła z powodu rumieńców.

- To doskonała kobieca sztuczka - wyjaśniła Mattowi Olivia. - Świetnie robi na cerę.

Ja po mężu i trzech kochankach wciąż potrafiłam czerwienić się na zamówienie. - Starsza pani nic sobie nie robiła ze spojrzenia, jakie wnuczka jej posłała.

- Ładna z niej dziewczyna, prawda?

- Śliczna - potwierdził Matt, który bawił się równie dobrze, jak Olivia.

- Urodzi zdrowych synów.

- Może nalać ci kolejnego drinka, mamó? - zaproponował William, widząc narastającą furię w oczach córki.

- Doskonały pomysł, Williamie. - Olivia podała mu pustą szklankę. - Nie widziałeś ogrodu, Matthew. Teraz jest najlepsza pora roku, wszystko kwitnie. Laurellie, kochanie, pokaż naszemu Jankesowi, jak powinien wyglądać prawdziwy ogród.

Laurel wbiła w babcię chłodne spojrzenie.

- Jestem pewna, babciu, że Matthew...

- Z przyjemnością go obejrzy - dokończył Matt, podnosząc się z fotela.

Laurel zawiesiła na nim wzrok.

- Nie chciałabym być...

- Nieuprzejma? - spytał.

Oj, chciałabym, bardzo bym chciała, pomyślała Laurel, wychodząc do ogrodu. Ale nie mogła sobie pozwolić na nieuprzejme zachowanie w obecności swojej rodziny, i on świetnie o tym wiedział.

- To ci sprawia autentyczną rozkosz - syknęła, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi.

- Co? - spytał niewinnie.

- Drażnienie się ze mną. Wyprowadzanie mnie z równowagi.

- Wiesz, trudno nie lubić czegoś, w czym się jest mistrzem.

Uśmiechnęła się z przekąsem.

- No dobrze. Oto ogród. - Wykonała szeroki gest ręką. - Ani ty nie masz ochoty go zwiedzać, ani ja cię po nim wprowadzać.

- Mylisz się. - Ściągnął ją z tarasu na jedną z wielu wąskich ścieżek wijących się wśród bujnej ogrodowej roślinności. - Chodź. Jeśli mnie nie oprowadzisz, Olivia wymyśli nam inne wspólne zajęcie.

Laurel przyznała mu w duchu rację. W porządku. Mogą się przejść. Zachodzące słońce barwiło niebo na czerwono, kwiaty odurzały zapachem. Zresztą dawno nie podziwiała ogrodu o zmierzchu. Panował w nim jakiś niesamowity spokój. Ptaki, które śpiewały za dnia, już ucichły, a te, które wołały żyć po zmroku, jeszcze się nie obudziły.

- Uwielbiam ogród o tej porze dnia - powiedziała cicho. - Wyobrażam sobie damy w długich szeleszczących sukniach przechadzające się wśród kwiatów, muzyków grających na tarasie, kolorowe lampiony...

Zawsze podejrzewał, że Laurel jest marzycielką jak jej brat, tyle że dotąd starannie ukrywała tę stronę swojego charakteru. Teraz też nie zamierzała jej zdradzać, po prostu cudowne rośliny uspiły jej czujność. Ciekaw był, jakie inne ma słabości.

- Pod wieczór zapachy stają się bardziej intensywne - szepnął, ciesząc się widokiem jej gładkiej skóry, którą promienie słońca zdawały się ozłacać.

- Jako dziewczynka lubiłam wymykać się tu o zmierzchu na spotkanie z

„ukochanym”. - Uśmiechnęła się na wspomnienie. - Czasem ukochanym był wysoki czarnooki brunet, czasem niebieskooki blondyn, zawsze człowiek bardzo nieodpowiedni dla grzecznej panienki z dobrego domu. - Roześmiawszy się, pogładziła ręką kwiaty kamelii. -

Dziwne, że miewałam takie fantazje. Tym bardziej że od dziecka byłam zbyt ambitna i rozsądna, aby zakochać się w... - Urwała. Przez moment tkwiła bez ruchu. Czuła zapach Matta, nie kwiatów; to jego oddech muskał jej skórę, a nie ciepły wieczorny wietrzyk.

Odwróciła się. W złocistym blasku zachodzącego słońca wyglądał jak postać z jej snów.

Serce zabiło jej mocniej, ale tym razem nie złość była tego powodem.

- W kim?

- W jakimś łobuzie.

Rozmawiali cicho, szeptem, jakby zdradzali sobie najgłębiej skrywane tajemnice.

Słońce opadało coraz niżej, cienie się wydłużały. Laurel przyglądała się twarzy swego towarzysza. Co w niej widziała? Siłę. Była to twarz człowieka, który nie boi się problemów.

Spojrzenie nieprzeniknione, z którego nie sposób cokolwiek wyczytać. Usta... hm, pełne, zmysłowe, ponętne. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła? Mogłaby...

Przeraziwszy się własnych myśli, wyszarpnęła rękę. Boże, co ją napadło? Omal nie zrobiła z siebie idiotki! Gdyby Matt odgadł, co jej chodzi po głowie, miesiącami by się z niej wyśmiewał.

- Wracajmy - rzekła chłodno. - Zaraz będziemy siadać do stołu.

Korciło go, by pochwycić ją w ramiona i pocałować. Pragnął Laurel od dawna, lecz zdawał sobie sprawę, że odrzuciłaby jego zaloty. Dlatego postanowił zdobyć ją inaczej.

Cierpliwością.

- Co? Już? - Nie potrafił oprzeć się pokusie wbicia jej szpili. - Gdyby Olivia wysłała cię na przechadzkę z Cartierem, pewnie nie spieszyłabyś się z powrotem.

- Babcia nigdy by mnie tu z Cartierem nie wysłała - oznajmiła stanowczo Laurel.

- Aha.

- Nie czepiaj się Jerry'ego.

- Ależ nie mam zamiaru.

- Jerry to bardzo miły człowiek - ciągnęła, nieświadoma, że ją Matt podpuszcza. -

Dobrze wychowany, nieszkodliwy...

Odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem.

- Dzięki Bogu, że to nie o mnie mowa! Zmrużyła gniewnie oczy.

- Jesteś... nieznośny. - Głos drżał jej z emocji.

- Wolę być nieznośny... - podszedł bliżej i ujął w palce ciemny kosmyk - niż miły, dobrze wychowany i nieszkodliwy.

Niechący potarł palcem o jej szyję. Po plecach przebiegło jej mrowie.

- Jesteś nieznośny, irytujący, grubiański i... i...

- Groźny? - Pochylił głowę. Ich wargi niemal się stykały.

- Nie wkładaj mi słów do ust, Bates.

Czuła się jak zawodnik tuż przed metą. Serce waliło jej jak młotem. Usiłując złapać oddech, cofnęła się. Za sobą miała porośniętą bluszczem pergolę. Chciała zawrócić na ścieżkę, ale Matt zagroził jej drogę.

- Uciekasz? - spytał cicho. Uniosła dumnie głowę.

- Nie mam ochoty na twoje towarzystwo - warknęła. - Wystarczy, że codziennie muszę znosić cię w redakcji. A teraz przepraszam, wracam do domu, bo jestem głodna!

Odepchnąwszy go, ruszyła przed siebie energicznym krokiem. Przez chwilę Matt stał

nieruchomo, odprowadzając ją wzrokiem. Kipiała furją. Co za kobieta, pomyślał z uśmiechem. Kochać się z nią to dopiero musi być przeżycie! Zamierzał się wkrótce o tym przekonać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ponieważ wciąż nie mogła ochłonać po wczorajszym wieczorze, uznała, że do redakcji pójdzie na piechotę. Półgodzinny spacer, ładna pogoda, tłumy ludzi, wystawy sklepowe...

Tak, to wszystko pomoże się jej uspokoić.

Nowy Orlean darzyła nie mniejszym uczuciem niż stary rodzinny dom za miastem. Z

jednej strony powolny rytm życia w Promesse d'Amour, z drugiej zgiełk, tłok i hałas uliczny.

Lubiła jedno i drugie. I tu, i tam czuła się doskonale. Może dlatego, że miała dwoistą naturę: była ambitna, a jednocześnie romantyczna, twardo stąpała po ziemi, a jednocześnie chodziła z głową w chmurach, pasjonowała się dziennikarstwem, a jednocześnie uwielbiała przyrodę. W

tym momencie jednak wolała klaksony samochodów niż ciszę ogrodu o zachodzie słońca.

Co on knuje? Raz po raz zadawała sobie to pytanie. Miała wrażenie, że przez ten rok nieźle zdążyła poznać Matta; wiedziała, że ten człowiek nic nie robi bez powodu. A wczoraj...

Zatrzymała się przed wystawą sklepową. Przez cały rok nigdy jej nie dotknął, natomiast wczoraj to wziął ją za rękę, to musnął palcami jej szyję, to pogładził po nadgarstku.

Zaskoczyła ją własna reakcja. Przyćmione światło i bujna roślinność stwarzały romantyczny nastrój. Dlatego wczoraj chciała przytulić się do Matta, dlatego opowiadała mu o swoich dziewczęcych marzeniach...

Pachnące kwiaty, piękny zachód słońca, wspaniały ogród... W takim miejscu można stracić głowę dla samego diabła! Na szczęście opamiętała się, zanim zrobiła coś głupiego, coś, czego musiałaby się

wstydzić albo żałować.

I jeszcze babcia. Laurel zacisnęła zęby, czekając na zmianę świateł. Zazwyczaj bawiły ją prowokacyjne uwagi starszej pani, ale wczoraj babcia posunęła się zbyt daleko, gdy oświadczyła, że Matthew Bates jest dokładnie takim mężczyzną, jakiego potrzebuje jej wnuczka.

Oczywiście jemu się to spodobało! Przypomniała sobie błysk w jego oczach. Dobrali się, on i Olivia! Tyle że Oliwię Armand uwielbiała ponad życie, a Matta... Wciągnęła w płuca powietrze - duszne, wilgotne, śmierdzące spalinami. Nie pozwoli, aby wczorajszy dzień zepsuł jej humor! Starając się nie myśleć o człowieku, który tak bardzo działał jej na nerwy, weszła na jezdnię.

- Dzień dobry, Laurellie.

Podskoczyła jak oparzona i niemal straciła równowagę. Pewnie by upadła, gdyby jej nie przytrzymał. Cholera jasna, czy wszędzie musi się na niego natykać? Obróciwszy się, zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Czyżby samochód ci się zepsuł?

- Nie, za ładna pogoda, żeby przedzierać się autem przez miasto - odparł, nie puszczając jej ramienia.

Nie miał zamiaru się przyznawać, że widząc, jak Laurel wyrusza na piechotę, postanowił ją dogonić.

Po przejściu na drugą stronę ulicy oswoodziła się. Codziennie pokonywała dystans do pracy samochodem. Co jej strzeliło do głowy, żeby dziś wybrać się pieszo? Zerknąwszy na Matta spod oka, zobaczyła, jak zadowolony z siebie szczerzy zęby. Psiakrew, miała ochotę zdzielić go torebką. Zamiast tego uśmiechnęła się chłodno.

- Świetnie się wczoraj bawiłeś, prawda?

- Owszem. Uwielbiam twoją babcię - odparł.

- Jest przepiękna. A co? - spytał po chwili, widząc ściągnięte brwi Laurel. - To zabronione? Wzruszyła ramionami.

- Podpuszczasz ją.

- Czasem - przyznał. - Chociaż Olivia Armand nie potrzebuje zachęty, żeby sobie poplirtować.

Tłum na chodniku sprawiał, że od czasu do czasu ocierali się o siebie.

- Nie przeszkadza ci, że chciałyby cię widzieć w roli...

- Twojego kochanka? - Swoim zwyczajem dokończył jej myśl. - Moim zdaniem, wołałyby, żebym zajął bardziej trwałe miejsce w twoim życiu. Zdradzę ci, że w nagrodę gotowa jest dorzucić mi dom...

Laurel wytrzeszczyła oczy. Po chwili wybuchnęła śmiechem.

- Przypilnuj, żeby dorzuciła ci również wór pieniędzy. Utrzymanie tej chałupy kosztuje majątek.

- Kuszące... - Chwycił w palce pasmo je włosów. - To znaczy dom - wyjaśnił, kiedy Laurel utkwiała w nim spojrzenie. - Niełatwo mi będzie odmówić.

- Twoje zachowanie, Bates, zmusza mnie do tego, abym poważniej rozważyła propozycję Jerry'ego.

- Olivia by cię wydziedziczyła - rzekł, a w myślach dodał: a ja bym zabił Cartiera.

Roześmiawszy się wesoło, Laurel odruchowo wzięła go pod rękę.

- Będę musiała zastanowić się, co wolę: dostać spadek po babci czy zachować dumę.

Jaka szkoda, że nie jesteś w moim typie, Matt.

Pchnął szklane drzwi budynku „Heralda”.

- A ja będę się musiał zastanowić, jak cię przekonać do siebie, Laurellie.

Dlaczego wcześniej nie zauważyła jego wdzięku i charyzmy? Dlatego, że tak było najbezpieczniej. Dlatego, że od początku całkiem świadomie postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Dlatego, że odkąd go ujrzała, wiedziała, że trudno jej będzie mu się oprzeć.

- Strata czasu, Bates.

Przepuścił ją przez drzwi. Patrząc, jak Laurel przeciska się przez zatłoczony hol w kierunku wind, pomyślał: Jeszcze zobaczymy! Uwielbiał wyzwania, a Laurel Armand niewątpliwie takowe stanowiła.

Cały ranek spędziła na rozmowie z dyrektorem firmy naprawiającej autostrady. Może artykułu, jaki spłodziła o objazdach i naprawach, nikt nie będzie czytał z zapartym tchem, ale temat dotyczy wszystkich kierowców. Liczyła na to, że redaktor umieści tekst na drugiej stronie. I że do końca dnia jeszcze się coś wydarzy, o czym będzie można napisać.

Około południa korytarze, które zwykle tętniły życiem, zdawały się niemal wymarłe.

Większość dziennikarzy albo siedziała przy biurku zajęta pisaniem, albo była w mieście, tropiąc jakąś sensację. Laurel pomachała do współpracownika, który zaspokajał głód batonem czekoladowym, po czym ponownie zerknęła na pierwsze zdanie swojego artykułu. Szła zaafierowana, nie patrząc przed siebie. W drzwiach zderzyła się z jakąś kobietą. Kobieta upuściła torebkę; jej zawartość rozsypała się po podłodze.

- Cholera! - Laurel kucnęła i zaczęła zbierać rzeczy. - Przepraszam. Zagapiłam się.

- Nic się nie stało.

Drobna dłoń wysunęła się po brązową kopertę. Zauważywszy, że ręka kobiety drży, Laurel podniosła wzrok. Zobaczyła ładną blondynkę o bladej twarzy i zaczerwienionych oczach, której wargi drżały nie mniej niż ręce.

- Coś panią boli? - zaniepokoiła się, instynktownie ściskając ją za ramię. Nie potrafiła przejść obojętnie obok cudzego cierpienia.

Kobieta otworzyła usta, po czym zamknęła je i potrząsnęła głową. Na widok łez płynących po bladych policzkach Laurel zapomniała o rozlegającym się wkoło stukocie maszyn do pisania. Pomogła blondynce wstać, a następnie, przeciskając się między biurkami, zaprowadziła ją do oszklonego pokoju redaktora działu.

- Proszę usiąść. - Wskazała skórzany fotel.

- Przyniosę pani coś do picia... - Nie czekając na reakcję, wyszła na korytarz. Wróciła po chwili z kubeczkiem wody.

Kobieta podniosła tekturowy kubek do ust. Oczy miała już suche, ale na jej twarzy wciąż malował się zbolący wyraz. Laurel przysiadła na krawędzi biurka. Zza szklanej szyby dolatywały przytłumione odgłosy. Było jeszcze wcześniej. Dopiero gdy zbliżała się pora zamknięcia numeru, atmosfera stawała się nerwowa. Laurel w milczeniu obserwowała blondynkę. Tysiące pytań cisnęły się jej na usta, ale wstrzymywała się z zadaniem choćby jednego.

- Przepraszam. - Blondynka zgmiotła w dłoni pusty kubeczek i utkwiała wzrok w Laurel. - Na ogół jestem bardziej opanowana.

- Nie ma o czym mówić. Nazywam się Laurel Armand.

- Susan Fisher. - Opuściwszy oczy, blondynka zaczęła drzeć kubeczek na strzępy.

- Czy mogłabym pani jakoś pomóc? Kobieta zacisnęła powieki.

- Nie wiem. Nie wiem, dlaczego tu przyszłam - szepnęła. - To jedyne miejsce, jakie wpadło mi do głowy. Policja...

Laurel wyteżyła uwagę; instynkt reportera walczył z instynktem opiekuńczym. Nawet sobie z tego nie zdawała sprawy; oba były częścią jej natury. Położyła dłoń na ramieniu Susan.

- Pracuję tutaj. Może pani ze mną porozmawia? Proszę zacząć od początku...

Susan wbiła w nią pełne lęku oczy. Nie wiedziała, czy może jej ufać, czy może komukolwiek ufać. Dziennikarka sprawiała wrażenie osoby pewnej siebie. Osoby, której życie nigdy nie legło w gruzach. Dlaczego ktoś taki miałby słuchać jej opowieści?

Wpatrując się w smutne niebieskie oczy blondynki, Laurel - nie wiedzieć czemu - pomyślała o Matcie.

- Pomogę pani, jeśli tylko będę w stanie - obiecała.

- Moja siostra... - Susan z trudem przełknęła ślinę. - Trochę ponad rok temu moja siostra Anne poznała Louisa Trulane'a.

Laurel zeszywniała. Zalała ją fala wspomnień. Cóż ta zapłakana, przerażona kobieta może mieć wspólnego z Louistem?

- Proszę mówić dalej - rzekła, starając się rozluźnić dłoń zaciśniętą na ramieniu blondynki.

- Pobrali się niecały miesiąc po pierwszym spotkaniu. Anne była po uszy zakochana.

W owym czasie mieszkaliśmy razem. Ona o niczym innym nie potrafiła mówić; ciągle opowiadała o Louisie i cudownym starym domu, do którego się wkrótce wprowadzi. Heritage Oak. Może zna pani tę posiadłość?

- Tak, znam.

- Przysłała mi kilka zdjęć. Aż trudno mi było sobie wyobrazić Anne w tak wspaniałym miejscu. W listach wychwalała męża pod niebiosa. - Susan westchnęła ciężko. - Była taka szczęśliwa. Planowali powiększyć rodzinę. Namawiała mnie, żebym ją odwiedziła. Wzięłam urlop, ale zanim zdążyłam wyjechać, przyszedł list od Louisa.

Laurel poklepała kobietę po ramieniu.

- Susan, wiem, co...

- Pisał, że Anne nie żyje. Że moja siostra nie żyje. Że wyszła z domu, po ciemku, i udała się na bagna. Podobno ugryzł ją wąż. Gdyby znaleziono ją wcześniej... ale znaleziono ją nazajutrz rano. Było już za późno. - Susan zacisnęła wargi. Nie czas na rozpacz, na łzy, powtarzała sobie. - Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Była taka śliczna...

- Bardzo pani współczuję - szepnęła Laurel. - Dowiedzieć się z listu o śmierci ukochanej siostry... Straszny wypadek.

- To nie był wypadek - rzekła Susan zadziwiająco spokojnym głosem. - To było zabójstwo. Anne została zamordowana.

Przez kilka sekund Laurel uważnie wpatrywała się w oczy swojej rozmówczyni.

Początkowy odruch, aby ją przytulić i pocieszyć, znikł; zastąpił go dziennikarski instynkt nakazujący ostrożność.

- Anne Trulane zmarła od ukąszenia grzechotnika z grupy mokasynów miedziogłowych. Dlaczego pani twierdzi, że została zamordowana?

Susan wstała i podeszła do okna. Wstąpiła w nią nadzieja: Laurel Armand nie wyśmiała jej, nie

potraktowała jak wariatkę, zdawała się autentycznie zainteresowana.

- Powiem pani to samo, co powiedziałam Louisowi, a potem policji. - Wzięła głęboki oddech.

- Anne była osobą łagodną, niezwykle wrażliwą, pełną uroku. Łączyła nas wyjątkowa więź. Siostra nie miała przede mną tajemnic. Znałam ją jak własną kieszeń.

Laurel stanął przed oczami obraz Curta; pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Od dziecka - ciągnęła Susan - Anne bała się ciemności. Jeżeli miała wejść w nocy do jakiegoś pokoju, najpierw wsuwała rękę i szukała kontaktu. Nigdy z tego nie wyrosła.

Myśląc o własnych lękach, Laurel ponownie skinęła głową.

- Uwielbiała swój nowy dom, ale przeszkadzała jej świadomość, że tuż obok są bagna.

Pisała mi w listach, że stara się trzymać od nich jak najdalej. Kochała Louisa, wszystko by dla niego zrobiła, ale tam, na bagna, nawet z nim nie chciała chodzić.

- Susan odwróciła się od okna. W jej oczach pojawił się błagalny wyraz. - Niech pani zrozumie. Anne skoczyłaby za Louisem w ogień, ale... nawet dla niego nie potrafiła przełamać strachu. Uważała, że na bagnach straszy; czasem widywała tam jakieś dziwne światelka. To była obsesja, fobia.

Siostra nigdy nie wybrałaby się na bagna sama, do tego wieczorem...

Przez kilka sekund Laurel milczała, trawiając uzyskane informacje.

- Ale tam ją znaleziono.

- Ktoś ją zaciągnął...

Mimo spuchniętych powiek i zaczerwienionych oczu Susan nie była już tą samą speszoną kobietą co parę minut temu; z jej twarzy biła determinacja. Przyglądając się jej, Laurel widziała osobę, która wprawdzie wciąż jest w szoku po śmierci siostry, lecz nie zamierza stać z założonymi rękami. Dumając nad jej słowami, zaczęła przypominać sobie szczegóły tragedii. Nigdy nie odkryto, dlaczego Anne spacerowała po ciemku po bagnach.

Ona, Laurel, dorastała w tych stronach; dobrze wiedziała, czym taki spacer może grozić.

Pamiętała, że po śmierci żony Louis nie chciał z nikim rozmawiać; nie udzielał

wywiadów, nie komentował tego, co się stało. Gdy tylko policja ustaliła przyczyny zgonu i zamknęła śledztwo, zaszył się w Heritage Oak i rzadko opuszczał dom. Laurel zawahała się.

Z jednej strony siostra ofiary, z drugiej strony Louis...

Zwyczajny wrodzony instynkt dziennikarski. Zawsze uważała, że wątpliwości trzeba rozwiewać, a na pytania szukać odpowiedzi.

- Susan, dlaczego przyszła pani do „Heralda”?

- Wczoraj po przyjeździe do Nowego Orleanu udałam się prosto do Louisa. Nie chciał ze mną rozmawiać. Dziś rano wybrałam się na policję.

- Rozłożyła ręce w geście bezradności. - Oznajmiono mi, że sprawa jest zamknięta.

Zanim pomyślałam, co robię, znalazłam się tutaj. Nie wiem, może powinnam wynająć prywatnego detektywa, ale... - Wzruszyła ramionami. - Nie mam pieniędzy. Trulane’owie to bogata, powszechnie szanowana rodzina, musi być jednak sposób dotarcia do prawdy. Moją siostrę zamordowano - powtórzyła załamującym się głosem.

- Czy chciałaby pani, abym zbadała tę sprawę?

- spytała Laurel.

Susan przeczesła ręką włosy. Z całej siły starała się wziąć w garść, nie rozpląkać.

- Tak - szepnęła. - Sama sobie nie poradzę.

- Dobrze. Ale na moment muszę panią zostawić. - Laurel wiedziała, że nie może pozwolić na to, aby wspomnienia wpływały na śledztwo, którego zamierza się podjąć. - W

holu na parterze jest automat z napojami. Proszę napić się kawy. Zjadę na dół za kilka minut.

Pójdziemy coś zjeść i porozmawiamy, dobrze?

- Dziękuję. - Podniósłszy torebkę, Susan ruszyła ku drzwiom.

Przygryzając w zadumie wargi, Laurel patrzyła, jak kobieta przeciska się między ciasno ustawionymi biurkami, po czym opuszcza dział miejski. Hm, Anne Trulane... Louis...

Westchnęła ciężko. Boże, w co ja się pakuję?

Zanim zdołała odpowiedzieć na to pytanie, do oszklonego pokoiku wpadł redaktor działu miejskiego, wyraźnie niezadowolony, że ktoś okupuje jego miejsce pracy.

- Cholera jasna, Laurel, prowadzimy gazetę, a nie kącik porad sercowych. W

przyszłości, jak któraś z twoich przyjaciółek poprztyka się z facetem, pocieszaj ją gdzie indziej, a nie w moim gabinecie. No, spadaj. - Usiadł przy zawałonym papierzyskami biurku.

- I bierz się do roboty.

Laurel podeszła bliżej, krzyżując ręce na piersi. Don Ballinger był jej ojcem chrzestnym, człowiekiem, który wielokrotnie nosił ją na barana. Miała jednak świadomość, że gazeta jest najważniejszą sprawą w jego życiu.

- To była siostra Anne Trulane - oznajmiła, nie zważając na jego przemówienie.

- Trulane? - powtórzył, marszcząc brwi. - Czego chciała?

Laurel podniosła z biurka kamień, który służył jako przycisk do papieru, i zaczęła go podrzucać w dłoni.

- Twierdzi, że jej siostra została zamordowana. Don prychnął pogardliwie, następnie z szuflady biurka wyjął papierosa. Przez moment z czułością miętosił go w palcach, oglądał, gładził, ale nie wsunął do ust. Nie palił od szesnastu dni, dziesięciu godzin i... dwudziestu dwóch minut.

- Z tego, co wiem, to ukąszenie jadowitego węża nie jest morderstwem - oświadczył. -

Co z twoim artykułem o remoncie dróg?

- Zdaniem Susan jej siostra panicznie bała się ciemności - ciągnęła Laurel. -

Wspominała w listach o bagnach za domem. Że ani razu tam nie była i nie zamierzała być.

- Najwyraźniej zmieniła zdanie.

- Wątpię.

- Laurel...

- Don, pozwól mi zbadać sprawę. - Nie zawsze wszystko jest takie, jak nam się wydaje, pomyślała, wpatrując się w przycisk. - Co ci szkodzi? Jeżeli niczego nowego nie odkryję, po prostu napiszę artykuł o tragicznej śmierci młodej mężatki.

- Trulane'owi się to nie spodoba - stwierdził Don, nie odrywając wzroku od papierosa.

- Z Louisem sobie poradzę. - W głosie Laurel pobrzmiwała fałszywa pewność siebie.

- Ta historia nie trzyma się kupy, Don. Dlaczego Anne miałyby wychodzić na bagna późnym wieczorem? W dodatku w koszuli nocnej...

Oboje znali plotki: że miała kochanka, że Louis więził żonę, nie pozwalał jej opuszczać domu, że w końcu udało jej się wydostać, że zgubiła drogę... Don wetknął

papierosa do ust i zaczął nerwowo przygryzać filtr.

- W porządku - zdecydował. - Temat jest stosunkowo świeży. Aha - dodał, zanim Laurel ucieszyła się, że wygrała tę rundę - z ramienia gazety sprawą zajmował się Bates.

Razem przeprowadźcie śledztwo.

- Co? Mam współpracować z Batesem? - oburzyła się. - Przecież to mój temat.

- Na razie jest niczyj. Na razie nie ma żadnego tematu.

- Psiakrew, Don, z Batesem nie sposób wytrzymać. Facet działa mi na nerwy. Poza tym nie jestem jakąś niedoświadczoną dziennikarką, która potrzebuje pomocy starszego kolegi...

- Bates ma kontakty. Sprawy kryminalne to jego działka. - Don odsunął fotel i wstał

od biurka. - Nie interesują mnie wasze wzajemne relacje, interesuje praca zespołowa i końcowy efekt. - Posławszy Laurel ostrzegawcze spojrzenie, wychylił głowę za drzwi. -

Bates! - ryknął.

- Znam Trulane'ów - mruknęła pod nosem Laurel. - On mi będzie tylko przeszkadzał.

- Nie użalaj się nad sobą - warknął Don, zajmując ponownie miejsce za biurkiem. -

Nieładnie wyglądasz nadąsaną.

- Wcale się nie dąsam!

Wparowawszy do gabinetu szefa, Matt spojrzał na zagniewaną minę Laurel i uśmiechnął się drwiąco.

- Problemy? - spytał lekkim tonem.

Laurel ugryzła się w język. Problemy? Dla niej to on, Matthew Bates, stanowi największy problem.

- Odpręż się - powiedział kilka minut później.

- Potraktuj to jako nowe wyzwanie. Kto wie, może się czegoś nauczysz?

- Od ciebie? - Skierowała się w stronę windy.

- Wątpię.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Lubił patrzeć, jak Laurel się złości.

- Jesteśmy współnikami, a nie mistrzem i uczennicą. - Gniewnym gestem wsunęła rękę do kieszeni. - Don nalegał, abyśmy razem się tym zajęli, ponieważ to ty opisywałeś śledztwo.

Ale gdybyś chciał zachować się przyzwoicie, po prostu przekazałbyś mi swoje notatki...

- Moje notatki należą do mnie; nie mam zwyczaju udostępniać ich wszystkim dookoła.

- A ja nie mam zwyczaju prowadzić razem dochodzeń!

- A czy tatuś ci nie mówił, że uprzejmość uszlachetnia?

- Wypchaj się. - Weszła wściekła do windy i wcisnęła dolny przycisk.

Nie podejrzewała, że można być tak szybkim. Zanim się zorientowała, co się dzieje, Matt zatrzymał windę między piętrami, po czym przyparł ją do ściany.

- Uwóżaj - ostrzegł cicho. - Bo jeszcze tego pożałujesz.

W gardle jej zaschło. Spoglądała na Matta z zafascynowaniem. Zawsze jej się wydawało, że jest spokojny i flegmatyczny, ale wyraźnie się myliła.

Zauważył niepokój w jej oczach, może nawet strach. Ale nie zamierzał się wycofać.

Czekał na to rok.

- Zaskoczona? - spytał z rozbawieniem, niemal dotykając wargami jej warg.

Dlaczego stoi bez ruchu? Dlaczego go nie odepchnie? Uświadomiła sobie, że jej ciało nie reaguje na polecenia umysłu. Boże, ale on ma piękne oczy, przemknęło jej przez myśl.

Odruchowo rozchyliła usta. Czowała oddech Matta na policzku. Wciągnęła powietrze. Mmm, co za cudowny zapach!

Wyprostowała się, usiłując nad sobą zapanować.

- Nie waż się...

Nie dokończyła. Z jej gardła wydobył się przytłumiony jęk rozkoszy.

To nawet nie był pocałunek; trudno nazwać pocałunkiem muśnięcie lekkie jak tchnienie wiatru. To raczej była zapowiedź, próbka tego, co ją czeka.

Nie wykonała żadnego ruchu. O niczym nie myślała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w twarz mężczyzny. Zbliżył się do niej, ich ciała się zetknęły. Po jej krzyżu przebiegł prąd, mimo to nie drgnęła. Dopiero gdy Matt czubkiem języka przejechał po jej ustach, zadrżała.

Reakcja Laurel zdumiała go. Niewiele brakowało, by stracił nad sobą kontrolę. Gdyby go odepchnęła, gdyby burknęła coś gniewnie, wiedziałby, jak się zachować. Ale nie spodziewał się uległości. Zalała go fala pożądania. Miażdżąc jej usta w pocałunku, zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał okazję być tak blisko niej i...

Chciał jej dotknąć, zsunąć bluzkę z jej ramion, gładzić ją, pieścić. Od wielu miesięcy z trudem powściągał pożądanie. Teraz mógłby wreszcie spełnić swoje marzenie, pomyślał.

Tu, w windzie. Na podłodze. To byłoby szaleństwo, cudowne szaleństwo...

Powoli się odsunął. Odkąd zatrzymał windę, Laurel ani na sekundę nie spuściła z niego wzroku. Czuł na sobie jej spojrzenie, gdy uśmiechając się pod nosem, ponownie wcisnął przycisk. Winda ruszyła w dół.

- Szkoda, że mamy tak mało czasu - rzekł, po czym rozejrzał się po kabinie. - Miejsca też tu nie za dużo.

Opary mgły, które przysłoniły umysł Laurel, zaczęły się rozrzedzać. Wkrótce znów była w stanie jasno myśleć. Zmrużyła oczy i czerwona z wściekłości obrzuciła Matta obelgami. Wysłuchał ich z podziwu godnym spokojem.

- Wiesz, że kiedy się złościś, całkiem inaczej akcentujesz słowa? - spytał, gdy skończyła. - Nigdy bym nie przypuszczał, że... To co? Rozejm?

- dodał szybko, widząc, że Laurel bierze głęboki oddech, jakby chciała przystąpić do kolejnego ataku. - Przynajmniej dopóki nie uporamy się z tą sprawą?

- Wymuszony rozejm, Bates - syknęła przez zęby, wysiadając z windy. - Jeszcze raz tak się zachowasz, a dostaniesz w zęby. Przysięgam.

- Zrozumiałem.

Z poważną miną wyciągnął rękę na znak zgody. Chociaż nie do końca mu ufała, Laurel podała mu swoją.

- A teraz zapraszam was na lunch - rzekł.

- Ciebie i siostrę Anne Trulane.

- Na koszt firmy? Co za wspaniałomyślność. Zadowolony z siebie, otoczył Laurel ramieniem.

- Przestań, bądź co bądź to nasza pierwsza randka.

Mruknęła coś w odpowiedzi, ale nie odepchnęła go od siebie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Specjalnie wybrał hałaśliwą restaurację w dzielnicy francuskiej, gdyż z doświadczenia wiedział, że ludzie chętniej się otwierają, gdy myślą, że nie wszyscy ich słyszą. Zaś z miny Susan Fisher zorientował się, że o ile postanowiła zaufać Laurel, o tyle nie jest pewna jak ma traktować jego, Matta. Dlatego odzywał się jak najrzadziej, pozwalając Laurel prowadzić rozmowę.

Starał się być miły. Uważnie obserwował Susan, wsłuchiwał się w każde jej słowo.

Zdawał sobie sprawę, że kobieta ciężko przeżyła śmierć siostry i jeszcze nie doszła do równowagi psychicznej. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: znała Anne, kochała ją i nie zamierzała spocząć, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość. Podziwiał ją za to.

Przeniósłszy spojrzenie na Laurel, uśmiechnął się w duchu. Należała do osób, które pochylały się nad każdym pechowcem i zaopiekują każdym bezpiecznym psem czy ptaszkiem ze złamanym skrzydełkiem. Oczywiście gdyby powiedział to wprost, sprzeciwiłaby się. Chciała uchodzić za profesjonalistkę, twardą, bezkompromisową dziennikarkę. Nie chciała, by ktokolwiek, zwłaszcza on, traktował ją z pobłażliwością.

Dolewając Susan kawy do filiżanki, dał Laurel znak, że teraz jego kolej na zadawanie pytań. Wzruszyła ramionami; rozejm nadal obowiązuje.

- Susan, pani siostra zmarła prawie miesiąc temu - powiedział łagodnie. - Dlaczego tak długo czekała pani z podjęciem działań?

Susan Fisher utkwiała spojrzenie w talerzu, na którym od dwudziestu minut leżało nietknięte jedzenie. Ponad jej głową Matt napotkał zdziwiony wzrok Laurel. Z jej oczu wyczytał pytanie: O co ci, do diabła, chodzi? Ale znała się na swojej pracy; wiedziała, czego od niej partner żąda.

- Susan... - Położyła dłoń na ramieniu kobiety. - Chcemy pani pomóc.

- Tak, wiem. - Odłożywszy widelec, który obracała w palcach, Susan zerknęła na Matta, po czym wbiła oczy w Laurel. - Dlaczego czekałam? Po prostu nie byłam w stanie nic wcześniej zrobić. Jej śmierć mnie załamała. Odechciało mi się żyć. Przestałam wychodzić z domu, odbierać telefony, straciłam pracę. - Zamilkła. Po chwili kontynuowała tak cicho, że oboje musieli wyęźać słuch, aby cokolwiek usłyszeć. - Najgorsze jest to, że nawet nie przyjechałam na pogrzeb. Chyba usiłowałam w siebie wmówić, że Anne wcale nie umarła.

Boże, poza mną nie miała żadnej rodziny, a ja nawet nie odprowadziłam jej do grobu. Ja...

- Proszę się nie obwiniać. To naprawdę nie ma znaczenia - przerwała jej Laurel. -

Liczy się to, że pani ją kochała. Miłość jest najważniejsza.

Zauważyła, że Matt bacznie się jej przygląda. Na moment zapomniała o Susan, o tajemniczej śmierci Anne, o hałasach i zapachach rozchodzących się po restauracji. W oczach Matta spodziewała się ujrzeć wyraz cynizmu, a na jego twarzy ironiczny uśmiech. Ale nie, patrzył na nią ze zrozumieniem. I z pytaniem, na które nie umiała odpowiedzieć. Po chwili, bez słowa, podniósł jej rękę do ust, po czym opuścił z powrotem na stół.

Boże, nie, pomyślała przerażona. Spojrzenie Matta wytrąciło ją z równowagi bardziej niż pocałunek w windzie. Tylko nie on! To niemożliwe, to niedorzeczne! Oszołomiona, zacisnęła dłoń na filiżance. Z oddali doleciał ją głos Susan.

- W zeszłym tygodniu doznałam olśnienia. Minał pierwszy szok i zaczęłam rozmyślać o listach siostry. Coś mi się nie zgadzało. - Tym razem Susan utkwiała wzrok w twarzy Matta.

- O bagnach Anne zawsze wspominała ze wstrętem. Osoba nienawidząca ciemności nigdy z własnej woli nie wybrałaby się w takie miejsce sama. Ktoś moją siostrę tam zaciągnął, panie Bates. Zmusił ją, żeby tam poszła.

- Ale dlaczego? - spytał rzeczowo Matt, pochylając się nad stołem. - Komu mogłoby zależeć na śmierci Anne?

- Nie wiem. - Tak mocno ścisnęła krawędź blatu, że kłykcie miała białe. Widać było, że z trudem powstrzymuje łzy. - Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Opisywałem w gazecie dochodzenie prowadzone przez policję. - Wyjąwszy z kieszeni paczkę papierosów, sięgnął po firmowe zapalniczki. Nie chciał sprawiać Susan przykrości, ale jako dziennikarz zawsze twardo stąpał po ziemi. - Pani siostra mieszkała tu niecały rok, prawie nikogo nie знаła, bo Trulane'owie rzadko przyjmowali gości i rzadko gdziekolwiek bywali. Zdaniem służby Anne świata poza mężem nie widziała. Małżonkowie nigdy się nie kłócili. Typowe motywy morderstwa, czyli zazdrość czy chęć zysku, odpadają.

A zatem co nam pozostaje?

- Nie wiem. - Susan przeniosła spojrzenie na Laurel.

- No dobrze, zacznijmy od początku - powiedziała Laurel. - Ma pani listy od siostry?

- Tak. W hotelu. Matt zgasił papierosa.

- Więc ruszajmy. Chciałbym rzucić na nie okiem.

- Może pierwszy szok minął - szepnęła Laurel, kiedy Susan znalazła się poza zasięgiem słuchu - ale ona wciąż jest roztrzęsiona. - Jeszcze bardziej zniżyła głos. - Wierzę jej, Matt. Mam dziwne przeczucie, że...

- O nie, moja droga - przerwał jej w pół słowa. Zmarszczyła czoło.

- Co nie?

- Musimy trzymać się faktów. Emocje są złym doradcą, prowadzą na manowce.

- Cholera, powinnam była wiedzieć! - syknęła.

- Przez moment wydawało mi się, że masz ludzkie odruchy.

Wyszczерzył w uśmiechu zęby.

- Mam ich mnóstwo, Laurellie. Możemy o nich pogadać później przy kieliszku wina.

- Twoje niedoczekanie! - Wyszła z restauracji i przez całą drogę taksówką do hotelu, w którym zatrzymała się Susan, ignorowała Matta.

Wąskie ulice, obłazący tynk, nierówne chodniki, rdzewiejące balustrady, wilgoć, popękana farba - tak wyglądała ta część miasta. Wszystkie dawne kolory zlały się w jeden -

ponurą szarość.

W nocy takich uliczek jak ta, przy której stał hotel Susan, raczej należało unikać. Albo przemierzać je szybkim krokiem, przezornie oglądając się przez ramię. Nieopodal z otwartego okna dobiegały dźwięki jazzu zagłuszane przez odgłosy kłótni. Susan nacisnęła klamkę. W

progu leżał wielki chudy kocur, z którego gardła dobył się niski, nieprzyjazny pomruk.

Kobieta uśmiechnęła się przepaszająco.

- Może nie jest tu nadzwyczajnie, ale ten hotel ma... swój klimat.

Laurel ostrożnie ominęła warczącego potwora, Matt zaś rozejrzał się z zaciekawieniem po mrocznym holu.

- Dorastając w Nowym Jorku, mogłem tylko marzyć o takim luksusie.

Jego słowa sprawiły, że z twarzy Susan zniknęło napięcie.

- No cóż, przynajmniej nocleg mnie tanio kosztuje.

Laurel wpatrywała się w idącego po schodach Matta. Znowu zademonstrował ludzkie odruchy, wrażliwość na czyjeś speszenie. Poznawała inną, nieznaną jej dotąd stronę jego charakteru. Informacja o dorastaniu w biedzie zainteresowała ją. Z jakiego pochodził domu?

Gdzie mieszkał? Kim byli jego rodzice? Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała.

W hotelu było tak cicho i pusto, że odgłos kroków na gołej podłodze niósł się echem po całym wnętrzu. Obłaząca farba i graffiti na ścianach robiły przygnębiające wrażenie.

Studiując profil Susan, gdy przekręcała klucz w zamku, Laurel podjęła decyzję: zabiorę ją stąd jeszcze dziś.

- Co, Laurellie? Chcesz zdobyć punkty za dobre uczynki? - spytał Matt, najwyraźniej czytając w jej myślach.

- Wypchaj się, Bates - warknęła, wchodząc do pogrążonego w półmroku, ciasnego pokoju, w którym stało wąskie łóżko i porysowana komoda.

- Dziwne - zdumiała się Susan. - Na pewno zostawiłam uniesione żaluzje. - Podeszła do okna; po chwili do środka wpadły promienie słońca. Następnie włączyła wiszący pod sufitem wiatrak, który skrzypiąc przeraźliwie, wprowadził w ruch rozgrzane powietrze. - Zaraz znajdę listy...

Usiadłszy na łóżku, Laurel popatrzyła na Matta.

- W jakiej części Nowego Jorku dorastałeś?

Uniósł brwi. Robił to wtedy, gdy był rozbawiony jakimś pytaniem albo gdy nie chciał udzielić odpowiedzi.

- Nazwa i tak nic ci nie powie - odparł, siadając obok. - Pewnie ani razu nie zdarzyło ci się opuścić Południa.

- Nieprawda! Kilka razy byłam na Manhattanie... No dobrze, nie kilka, a dwa - poprawiła się, kiedy pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Wjechałaś na taras widokowy Empire State Building, zwiedziłaś Ellis Island i gmach ONZ, wybrałaś się na podwieczorek do hotelu Plaza, a potem na przedstawienie na Broadwayu, tak?

- Och, jak ty lubisz mi dokuczać.

- Uwielbiam. - Pogłodził ją po policzku.

- Wiesz, że z każdym dniem stajesz się coraz bardziej nieznośny? - spytała, z trudem zachowując powagę.

- Mów tak dalej - szepnął. - Jestem potwornie łośny na komplementy.

Podniósł jej dłoń do ust. Z zadowoleniem obserwował zmieszanie malujące się na twarzy Laurel. Dwa metry od nich Susan wyciągała kolejne szuflady komody. Nie zwracali na nią uwagi.

- Nie ma! - Rzuciwszy na podłogę ubranie, wbiła wzrok w pustą szufladę. - Znikły wszystkie, co do jednego.

- Słucham? - Laurel, wciąż lekko oszołomiona, obejrzała się przez ramię. - Co znikło?

- Listy Anny. Cały komplet.

Laurel poderwała się na nogi i zaczęła grzebać w rozrzuconych po podłodze ubraniach.

- Może gdzie indziej je pani schowała?

- Nie, na pewno nie. - W głosie Susan pobrzmiwała nuta hysterii. - Włożyłam je tutaj, do tej szuflady. Było ich dwanaście...

- Spokojnie - przerwał jej ostro Matt. - Może zostawiła je pani w domu?

Przenosząc spojrzenie z Laurel na Matta, Susan wzięła głęboki oddech.

- Nie, miałam je z sobą. Na sto procent. Wsunęłam je do dolnej szuflady pod stos ubrań. Były tu dzisiaj, kiedy się ubierałam. - Ręce trzęsły się jej ze zdenerwowania.

- W porządku. - Matt skinął głową. - Zgłoszę kradzież w recepcji. - Skierował się ku drzwiom.

Susan popatrzyła na pomietą bluzkę, którą trzymała w ręce.

- Ktoś tu był. Ktoś tu wszedł pod moją nieobecność.

- Nic więcej nie zginęło? - spytała Laurel.

- Nie. - Wzdychając głośno, Susan upuściła bluzkę na podłogę. - Nie mam nic wartościowego. Złodziej pewnie się rozczarował. Ale dlaczego ukradł listy Anne?

- Matthew i ja się tym zajmiemy - obiecała Laurel. - A na razie... - Schyliwszy się, zaczęła zbierać rzeczy z podłogi. - Susan, umie pani pisać na maszynie?

- Tak. - Kobieta popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem. - Oczywiście.

Pracuję... a raczej pracowałam - poprawiła się - w gabinecie lekarskim. Prowadziłam zapisy.

- Świetnie. Gdzie walizka?

- W szafie, ale...

- Zabieram panią stąd. I chyba mam dla pani pracę. O, jaka śliczna! - Laurel zachwyciła się bluzeczką, którą Susan przed chwilą miętoszyła w dłoniach.

- Pracę? Przecież ja...

- Moja babcia mieszka w wielkim domu za miastem. Odkąd ja z bratem się wyprowadziliśmy, czuje się bardzo samotna. - Kłamstwo zabrzmiało całkiem wiarygodnie.

- Ale nie mogłabym... Jak to, tak za darmo...?

- Wcale nie za darmo. - Laurel uśmiechnęła się pod nosem. - Babcia od lat pisze wspomnienia i od lat próbuje mnie namówić, żebym przepisała je na maszynie, a ja ciągle się wykręcam. Po prostu nie mam czasu. Gdybym nie była tak zapracowana... W każdym razie wyświadczy mi pani ogromną przysługę.

- Dlaczego pani to robi? Przecież mnie pani nie zna.

- Dlatego, że znalazła się pani w trudnej sytuacji. A ja mogę pani pomóc.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. No, gdzie ta walizka? - spytała Laurel, zmieniając temat. - Niech się pani spakuje, a ja sprawdzę, czego się Matt dowiedział.

Natknęła się na niego tuż za drzwiami.

- I co?

- Recepcjonista nikogo nie widział. - Oparł się o ścianę i zapalił papierosa. - Ale bardziej niż pilnowanie hotelu interesuje go stawianie pasjansa w pokoiku na zapleczu. -

Wypuścił z ust chmurę dymu, która zawisała pod sufitem. - Rozmawiałem również ze sprzątaczką. Twierdzi, że nie dotykała żaluzji.

- Ale ktoś je opuścił. Susan jest przekonana, że to było zwykłe włamanie. Może to i lepiej.

- Za bardzo się nią przejmujesz.

- Jeżeli ona uzna, że ktoś próbuje ją zastraszyć...

- Dlaczego miałyby tak uznać? - spytał Matt. - Swoją drogą, co teraz robi?

- Pakuje się.

Pokiwał głową. Słusznie. Powinna wyprowadzić się z tego hotelu.

- Dokąd się przeniesie?

- Do Promesse d'Amour. - Laurel uniosła butnie brodę.

Nie potrafiąc pohamować uśmiechu, Matt utkwił wzrok w żarzącym się końcu papierosa.

- Aha.

- Nie rozumiesz - zirytowała się. - I tylko mi nie mów, że za bardzo się angażuję, bo...

- W porządku. - Rzucił niedopałek na brudną podłogę i zgniótł go butem. - Będę milczał. Nawet nie powiem, że jesteś cudowną dziewczyną o gołęmbim sercu. Idę po taksówkę.

- Odwrócił się i zbiegł na dół, zanim zdążyła zareagować.

Hm, nie umiała go rozgryźć. Kiedy wydawało się jej, że przejrzała go na wylot, nagle mówił coś, co burzyło cały dotychczasowy obraz. Muszę być ostrożna, pomyślała, wsłuchując się w cichnący odgłos kroków, bo inaczej zacznę darzyć go sympatią.

Wróciła do pokoju, by pogonić Susan. Dziesięć minut później siedziała w taksówce z Mattem, zerkając nerwowo na drugą taksówkę, która wiozła Susan do Promesse d'Amour.

- Nie denerwuj się - powiedział Matt. - Olivia się nią zajmie. Susan nawet nie będzie miała czasu rozmyślać o siostrze.

- Wiesz, zaczynam poważnie wątpić w to, czy Anne Trulane poszła sama na bagna.

- Nie puszczaj wodzy fantazji. Trzymajmy się faktów. - Odruchowo owinał wokół

palców kosmyk włosów Laurel; jakoś ostatnio weszło mu to w nawyk. - Po co ktoś miałby zwabiać

ją na bagna? Brakuje motywu...

- Jakiś musi być.

- Nie została zgwałcona - kontynuował Matt. - Nie miała przy sobie pieniędzy. Jedyne osoby, które mogłyby skorzystać finansowo na jej śmierci, to Susan i Louis Trulane. Trulane ma siostrę, ale nie bardzo widzę, co by jej przyszło z zabicia bratowej.

- Och, daj spokój! - zachnęła się Laurel. - Istnieją przecież inne motywy zbrodni niż seks czy pieniądze.

- To prawda - przyznał, wciąż bawiąc się jej włosami. Trochę zdziwił go ton Laurel, ale nie dał po sobie nic poznać. - Chociaż te dwa każdemu natychmiast przychodzą na myśl.

Może dlatego, że większość z nas lubi zarówno seks, jak i forszę.

- Silnym motywem bywa zazdrość. Louis jest bogaty i przystojny. Może jakaś kobieta chciała zająć miejsce Anne?

W głosie Laurel Matt wychwycił jakąś obcą nutę, która bardzo mu się nie podobała.

- Dobrze go znasz? - spytał.

- Kogo? Louisa? - Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. - Bo ja wiem? Chyba nieźle.

Nauczył mnie jeździć konno. Miałam wtedy niecałe dziesięć lat, a on dwadzieścia jeden lub dwa. Był taki przystojny... no i nieludzko cierpliwy. Z humorem znosił obecność dziewczynki, która wodziła za nim zakochanym wzrokiem.

Matt puścił kosmyk.

- Mam nadzieję, że wyleczyłaś się z tej szczenięcej miłości?

- Nigdy nie byłeś zakochany? Wpatrywał się w nią długo i intensywnie. Oczy miała wielkie, usta pełne, kuszące, skórę gładką. Gdyby byli sami, pewnie nie odpowiedziałby na pytanie, tylko w milczeniu uczyniłby to, o czym marzył.

- Nie - odparł wreszcie.

- Każda miłość, nawet szczenięca, zostawia w człowieku trwały ślad. Obiekty naszych uczuć zawsze będą nam bliskie. - Oparła się o siedzenie.

Dawno nie wracała myślami do swojego dzieciństwa i fascynacji Louistem Tralane'em.

- Louis był dla mnie kimś niesłychanie ważnym. Żyłam w świecie fantazji, marzyłam o tym, by zakochać się w księciu z bajki. Louis nigdy się ze mnie nie wyśmiewał. Kiedy się ożenił...

- Pokręciła głową.

- Po prostu złamał mi serce. Znasz historię jego pierwszego małżeństwa?

Matt bez słowa wpatrywał się w jej ręce. Na palcu serdecznym zauważył pięknie oprawiony szmaragd. Pewnie klejnot rodzinny. Ktoś taki jak Laurel Armand, przemknęło mu przez myśl, ma wiele pamiątek rodzinnych przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Bądź

co bądź pochodzi z bogatego domu, całe życie słucha opowieści o szlachetnie urodzonych przodkach, a lekcji jazdy konnej udzielał jej przystojny, wytworny młodzieniec, prawdziwy księżę z bajki.

- W ogólnych zarysach - burknął, kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku. -

Opowiesz mi ją później.

Wysiadłszy, Laurel wygładziła spódnicę.

- To zabrzmiało niemal jak rozkaz: opowiesz mi później. - Ogarnęła ją złość. - Może powinniśmy ustalić pewne reguły...

- Słusznie. - Zmrużył oczy przed blaskiem słońca. Nie rozumiał, skąd w niej tyle wrogości.

- Po prostu pamiętaj, że sprawy kryminalne to moja specjalność.

- Ale to ja znalazłam Susan - oznajmiła, z trudem opanowując zdenerwowanie.

- Kiedy ostatni raz usiłowałaś pokonać policyjną biurokrację?

- Och, nie jestem nowicjuską...

- Policja rządzi się własnymi prawami - mruknął, ściskając ją za łokieć.

- Chwila, Bates! - Wyszarpnęła mu rękę.

- Chcę, żebyś jedno dobrze zrozumiał. Współpraca z tobą została mi narzucona.

Współpraca, słyszysz? Nie jesteś moim szefem, niczego nie możesz mi nakazywać. Mamy równe prawa.

- Oczywiście, współniczko - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Chodź, idziemy. -

Ponownie wziął ją za rękę.

- Czy z łaski swojej mógłbyś mnie puścić?

- Niestety, nie - odparł przyjaźnie, prowadząc ją po schodach do komisariatu.

Pchnął drzwi. Zewsząd zaatakowały ich glosy - podniesione, zagniewane, zuchwałe, pełne ironii. W

powietrzu unosił się stęchły zapach kawy, potu, papierosów, alkoholu. Pięciu członków zwalczających się gangów ulicznych stało pod ścianą, mierząc się wzrokiem. W

fotelu siedziała kobieta o podbitych oczach i ściszone głosem opowiadała coś policjantowi, który kiwał znużony głową i dwoma palcami wystukiwał na maszynie jej zeznanie. Nieopodal młoda dziewczyna w opiętych szortach żuła gumę i rozglądała się wokół ze znudzoną miną.

Typowy dzień, pomyślał Matt, który często wpadał tu po różne informacje. Rzuciwszy okiem na bywalców, zaczął przeciskać się między biurkami. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ani policjanci, ani ofiary, ani zatrzymani.

Szczupła brunetka w lekko pogniecionym mundurze, która rozmawiała przez telefon, przytrzymując słuchawkę ramieniem, skinęła Mattowi na powitanie. Przysiadł na skraju jej biurka. Laurel stanęła obok. W pobliżu dwóch starszych jegomości niemal pobiło się, zanim ich w końcu rozdzielono.

- No, Matt, co cię sprowadza do naszego rajcu?

- spytała z uśmiechem brunetka, odkładając słuchawkę na miejsce.

- Cześć, pani władzo.

Odchyliwszy się na krześle, policjantka zmrużyła oczy.

- Numer telefonu mi się nie zmienił, wiesz?

- Tak jak i ty, jestem zawałony robotą. Zaglądasz do Nuggetu?

- Ostatni raz byłam tam miesiąc temu. - Podniosła z biurka długopis i zaczęła uderzać nim lekko o zęby. - A co? Chciałbyś mnie zaprosić na drinka?

- Czytasz w moich myślach - odparł Matt.

- Pewnie, że bym chciał, ale nie mogę. Przyszedłem służbowo.

Policjantka roześmiała się wesoło, po czym odłożyła długopis na notes, w którym nie było skrawka wolnej przestrzeni.

- W porządku. O co chodzi?

- O wgląd do akt. Sprawę już zamknięto - dodał pośpiesznie - ale chcę coś sprawdzić.

Swego czasu napisałem artykuł, który teraz chciałbym uzupełnić.

- Możesz jaśniej? Którą konkretnie sprawę masz na myśli?

- Śmierć Anne Trulane.

- Sama nie wiem, Matt. - Policjantka przeniosła spojrzenie na Laurel.

- Laurel Armand, sierżant Carolyn Baker - Matt dokonał prezentacji. - Laurel jest starą znajomą Trulane'ów; zna ich od dziecka. Śmierć Anne bardzo nią poruszyła. Pomyślałem sobie, że trochę dokładniej opiszemy całą tę historię. Przecież i tak to ja śledziłem przebieg dochodzenia.

- A także czytałeś końcowy raport.

- Zgadza się. Więc co ci szkodzi jeszcze raz mi go pokazać? - Obdzielił brunetkę czarującym uśmiechem. - Dobrze wiesz, Carolyn, że nigdy nie nadużyłem waszego zaufania: nie drukuję poufnych informacji, nie ujawniam nic, co by mogło zakłócić przebieg śledztwa.

- To prawda, Matt. Zawsze byłeś w porządku...

- Policjantka wzruszyła ramionami. - Zresztą te akta nie zawierają żadnych tajemnic.

Wstała od biurka, przeszła na koniec sali i znikła za jakimiś drzwiami. Obok dwaj krzepcy starszycy dalej obrzucali się wyzwiskami.

- To twoja stała taktyka, Bates?

- Jaka taktyka? - Skierował na Laurel niewinne spojrzenie, a gdy ta nie odpowiedziała, uśmiechnął się szeroko. - Czyżbyś, kochanie, była zazdrosna? Niepotrzebnie. Przecież jem ci z ręki.

- Udław się, Bates.

- Żmija - syknął. Na widok powracającej Carolyn zeskoczył z biurka.

- Masz, możesz to obejrzeć w pierwszym pokoju przesłuchań. Jest pusty. - Rozejrzała się po zatłoczonej sali. - Przynajmniej na razie - dodała kwaśno. Otworzywszy zeszyt, podsunęła go Mattowi. - Podpisz.

- Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

- Będę pamiętała. I dopilnuję, żebyś się kiedyś odwdzieczył.

Kręcąc ze śmiechem głową, Matt skierował się do wskazanego pokoju. Sierżant Carolyn Baker, ciekawa kobieta. Dziwne, że nigdy o niej nie marzył. Ani o niej, ani o wielu innych interesujących kobietach, które znał. Marzył tylko o jednej.

- Siadaj. - Zamknął drzwi, odcinając się od hałasu na zewnątrz, po czym przysunął sobie drugie krzesło.

- Co za przytulne miejsce. - Laurel powiodła wzrokiem po brudnych ścianach i obskurnym linoleum na podłodze.

- Porządek w gabinetach i facetów w garniturach znajdziesz w ratuszu. - Otworzywszy akta, zaczął je pośpiesznie przeglądać.

Laurel obserwowała go z rosnącym szacunkiem. Pod maską kulturalnego światowca krył się człowiek, który - jak podejrzewała - wiele w życiu przeszedł. Tak, Matt twardo stąpa po ziemi i dokładnie wie, co chce osiągnąć.

Uświadomiła sobie, że właściwie go nie zna. I może lepiej, aby nie starała się poznać?

Może lepiej, by widziała w nim próżnego aroganta, przed którym praca reportera nie ma żadnych tajemnic?

Zmarszczyła czoło. Tu, w komisariacie, w świecie pełnym lumpów i pijaków, Matt czuł się swobodnie. Ciekawe... Jako dziennikarz codziennie styka się w pracy z ludzkimi tragediami, z nieuczciwością, z okrucieństwem, jednak wydaje się być tym wszystkim nieporuszony. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła ją chęć, aby odkryć jego sekrety, dowiedzieć się, jaki naprawdę jest Matthew Bates.

- Niczego tu nie ma - westchnął, przerzucając kartki. - Brak śladów wskazujących na gwałt, kilka drobnych otarć od ostrych kolców i gałęzi. Ślad zębów na lewej łydce. Śmierć w wyniku ukąszenia. Może gdyby Anne znaleziono wcześniej... Czas zgonu: między dwunastą w nocy a czwartą nad ranem.

Podał Laurel wyniki sekcji, a sam wyciągnął z teczki raport policyjny.

- Trulane pracował do późna w swoim gabinecie. Sądził, że żona jest w sypialni. Udał się na górę około drugiej w nocy i zastał puste łóżko. Przeszukał dom, następnie obudził siostrę i służbę. Razem ponownie przeszukali dom i ogród.

Sięgnął po papierosa. Zaklął cicho pod nosem, kiedy okazało się, że w paczce nie został ani jeden.

- Ubranie Anne wisiało w szafie, niczego nie brakowało. Oba samochody stały na podjeździe. Na komisariat zadzwonił dokładnie o drugiej pięćdziesiąt siedem. Prawie po godzinie.

- To duży dom - zauważyła Laurel. Dłonie miała lekko spocone ze zdenerwowania. -

Żaden rozsądny człowiek nie wezwie policji, dopóki dokładnie nie sprawdzi wszystkich pomieszczeń.

Pokiwawszy wolno głową, Matt znów spojrzał na kartkę, którą trzymał w ręce.

- Policja przybyła do Heritage Oak kwadrans po trzeciej. Jeszcze raz przeszukała dom, przepytala służbę... - Przebiegł oczami tekst; po chwili dodał: - Ciało Anne Trulane znaleziono około szóstej rano w południowo - wschodniej części mokradeł.

Był tam razem z policją. Pamiętał szarawe światło, wilgoć, duchotę, ckliwy i odurzający zapach.

- Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego wybrała się tam po ciemku. Zdaniem Marion, siostry Trulane'a, Anne panicznie bała się tego miejsca. To by zgadzało z tym, co mówiła Susan. Louis upierał się przy swojej wersji, że pracował do późna. Powtarzał to raz po raz; na temat żony w ogóle się nie wypowiadał.

- A co? Masz doświadczenie w znajdowaniu martwych żon? - spytała kąśliwie, zabierając Mattowi policyjny raport. - Może po prostu był w szoku?

Nie zareagował na jej uszczypliwe słowa.

- Z jakiegoś powodu, może chciała się przemóc, pokonać strach przed ciemnością, Anne postanowiła przejść się nocą po bagnach. Niestety zgubiła się. Ukąszona przez węża jeszcze kilka minut błędziła, dopóki nie straciła przytomności. - Popatrzył na Laurel, która w skupieniu czytała raport. - Dalej jesteś zaprzyjaźniona z Trulane'ami? Mogłabyś ich spytać, czy by z nami nie porozmawiali?

- Co? Tak, oczywiście. Na pewno się zgodzą ze mną zobaczyć. Z tobą też - dodała. -

Trudno się oprzeć twojemu urokowi.

- Cieszę się, że tak uważasz.

- Na mnie nie działa, ale skoro bywa skuteczny...

- Proszę cię, Laurellie, komplementy mnie peszą.

Wzruszywszy ramionami, odłożyła raport do teczki.

- Louis przeżył straszny cios. Kiedy rozpadło się jego pierwsze małżeństwo, stał się skryty, zamknięty w sobie. Ale myślę, że mi nie odmówi.

Matt bezwiednie wsunął palec do paczki papierosów, jakby sprawdzał, czy na pewno jest pusta, po czym zgniótł ją w kulkę.

- Pierwsza żona Trulane'a uciekła z jego bratem, prawda? - Zamyślony, utkwiał wzrok w suficie.

- Tak...

Laurel wyjęła z teczki kolejną kartkę i znieruchomiała. Zrobiło się jej niedobrze, mimo to nie była w stanie oderwać oczu od czarno - białego zdjęcia wykonanego przez policyjnego fotografa. Przerażona, wpatrywała się w martwą kobietę. Nie po raz pierwszy widziała zwłoki, ale ciało Anne...

- Jak dawno... - zaczął Matt. Przeniósł spojrzenie na Laurel i urwał w pół słowa.

Zaklął siarczyście, wyrwał jej z ręki zdjęcie, po czym pchnął jej głowę w dół, tak by krew do niej napłynęła. - Oddychaj głęboko - rozkazał. Wściekły na siebie, ponownie zaklął. Cholera jasna, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? - Spokojnie, skarbie. Wdech, wydech, wdech, wydech... -

mówił, delikatnie masując jej kark.

- Już dobrze, nic mi nie jest - szepnęła słabym głosem. Po chwili wyprostowała się; nie sprzeciwiła się, kiedy Matt przytulił ją do piersi. - Przepraszam... zachowałam się jak idiotka.

- Nie. - Odgarnął jej włosy z twarzy. - To ja przepraszam.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Skoro opisujesz sprawy kryminalne, pewnie jesteś przyzwyczajony do takich widoków.

- Skądże. I mam nadzieję, że nigdy się nie przyzwyczaję. - Przytulił ją mocniej.

Poczuła się dobrze i bezpiecznie. Strach minął, dreszcze ustały. Powoli zaczęła się odprężyć. Wciągała w nozdrza ciepły zapach skóry Matta, słyszała bicie jego serca. Na zdjęciu widziała śmierć, tu zaś otacza ją życie.

- Matthew...

- Hm?

- Proszę cię, nie bądź dla mnie za miły. Mimo zamkniętych oczu wiedziała, że Matt rozciąga usta w uśmiechu.

- Dlaczego?

- Bo nie. - Mogłaby tkwić w jego objęciach w nieskończoność. Właśnie dlatego, żeby się zanadto nie przyzwyczajając, odsunęła się.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Jesteś piękna. Czy już ci to mówiłem? Cofnęła się poza zasięg jego rąk. Spokojnie, nakazała sobie w duchu. Traktuj go lekko, z humorem; później sobie wszystko przemyślisz.

- Nie - odparła z uśmiechem. - Pamiętałabym. Takie rzeczy zawsze notuję w kajeciku.

- Jesteś piękna - powtórzył. - Mimo nieco spiczastej brody.

- Wcale nie jest spiczasta - oburzyła się, odruchowo zadzierając głowę do góry. - Mam bardzo delikatne rysy.

Wstała z krzesła i sięgnęła po torebkę. Ręce wciąż jej drżały. Chryste, muszę wyjść stąd na dwór i odetchnąć świeżym powietrzem.

Zwrócony tyłem do Laurel, Matt schował zdjęcie z powrotem do teczki.

- Owszem, delikatne - przyznał. Otoczywszy ją ramieniem, skierował się do drzwi. -

Tylko ta broda...

Laurel przystanąła z ręką na klamce. Spojrzenie miała smutne, bardziej dojrzałe niż jeszcze kilka minut temu.

- Matt... - Wzięła głęboki oddech. - Nikt nie zasługuje na taką śmierć.

- Masz rację, skarbie - przytaknął. - Nikt.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W barze panował przyjemny chłód. Światło było przyćmione. Wieczorny tłum jeszcze nie zawitał, popołudniowi bywalcy już wyszli. Wciąż rozmyślając o aktach sprawy Anne Trulane, Matt zaprowadził Laurel do stolika pod oknem. Nie, nikt nie zasługuje na taką śmierć, ale życie nie zawsze bywa sprawiedliwe. Już dawno zaakceptował tę smutną prawdę.

Odkąd opuścili komisariat, prawie się do siebie nie odzywali. Szli chodnikiem milcząco i zadumani. On myślał, analizował, przypominał sobie tamtą noc.

Telefon obudził go tuż po trzeciej nad ranem. Zaufany człowiek z komisariatu dzwonił

powiadomić go o zniknięciu Anne Trulane. Matt dotarł do Heritage Oak chwilę po policji.

Pamiętał niesamowitą ciszę, a także ogromną wilgoć w powietrzu, jakby siąpiła gęsta mżawka. Louis Trulane stał z nieobecną miną, odpowiadając na pytania monosylabami.

Wyczuwało się, że był przeciwny wezwaniu policji. Nie wyglądał na zatroskanego męża, raczej na człowieka niezadowolonego, że ktoś mu zakłóca spokój.

Siostra stała parę kroków za nim, podobnie jak służba. Kiedy policja zarządziła przeszukanie terenu, wszyscy skierowali się na bagna. Prowadziła tam wąska, kręta ścieżka.

Miejsce było nieprzyjemne, ciemne, parne, pełne cieni i dziwnych dźwięków. Matta raz po raz przebiegały dreszcze. Zamiast krążyć po tym dusznym, mrocznym labiryncie, sto razy bardziej wolałby przeczesać ulice i zaułki miasta.

Zaczynało się rozjaśniać, kiedy znaleźli Anne. Nie żyła. Leżała zwinięta na ziemi koło leniwie płynącej rzeczki. Powietrze wypełniał wstrętny, cierpki zapach. Gdzieś w oddali śpiewał ptak, chyba skowronek. Skrzeczały też kruki. Dokładnie pamiętał zachowanie Trulane'a: mężczyzna bez słowa, z kamienną twarzą, wpatrywał się w martwą postać. Może czuł gniew, ból, smutek, ale niczego po sobie nie okazywał. Marion Trulane zemdląca, służące płakały, a on po prostu stał i patrzył.

- Zadzwoń do Louisa.

- Słucham?

- Zadzwoń do Louisa - powtórzyła Laurel. - Spytam, czy możemy go odwiedzić.

Zerwał celofan z nowej paczki papierosów.

- Jasne.

Nie spuszczał z Laurel wzroku, gdy szła między stolikami do wiszącego na ścianie w rogu aparatu telefonicznego. Wiedział, że to dla niej trudna sytuacja. Potarłszy zapałkę, przytknął ogień do papierosa. Wciąż zbyt głębokim uczuciem darzyła Trulane'a. Bał się, że wspomnienia z dzieciństwa nie pozwolą jej zachować bezstronności.

A ty, Bates? - spytał sam siebie, wypuszczając z ust kłęby dymu. Nienawidzisz go z powodu tego, jak Laurel wymawia jego imię. Czas najwyższy, żebyście oboje wzięli się w garść, pamiętali o tym, co jest najważniejsze. A najważniejsze jest zdobycie informacji i ustalenie prawdy. Jeżeli dzięki dawnej znajomości Laurel z Trulane'ami zdołają przekroczyć bramę Heritage Oak, tym lepiej. Zbyt długo zajmował się dziennikarstwem, by mieć jakiegokolwiek złudzenia. Świetnie zdawał sobie sprawę, że ludzie pokroju Trulane'ów nie lubią prasy.

Oczywiście nie zamierzał się tym przejmować. Zdobędzie informacje i pozna prawdę bez względu na to, czy Louis okaże się chętny do współpracy, czy też nie.

Zobaczył, że Laurel wraca do stolika; spojrzenie wciąż miała smutne, twarz bladą.

Zrobiło mu się jej żal. Pora dorosnąć, skarbie, pomyślał; życie bywa okrutne.

- I co? - spytał, kiedy usiadła naprzeciw niego.

- Jesteśmy umówieni jutro na dziesiątą rano. Zgasił papierosa.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.

- Powołałam się na dawną przyjaźń; inaczej pewnie by odmówił. - Napotkała wzrok Matta. - Czułam się paskudnie.

- Masz zadanie do wykonania. - Zanim zdołał się powstrzymać, sięgnął po jej rękę.

- Wiem. Pamiętam. - Instynktownie ścisnęła jego dłoń. - Co nie zmienia faktu, że wolałabym, aby to był obcy człowiek.

Wiedziała, że nie ma już odwrotu; że po obejrzeniu zdjęcia martwej Anne musi doprowadzić sprawę do końca.

Do stolika podeszła kelnerka. Laurel zawahała się, po chwili jednak poprosiła o martini. Musi nieco stępić zmysły, zamazać obraz, który wciąż ma przed oczami.

- Dla mnie to samo - powiedział Matt i uśmiechając się, dodał łagodnie: - To pomaga tylko na chwilę, Laurellie.

- Dobrze i to. - Oparłszy łokcie na blacie, pochyliła się do przodu. - Matthew, lojalnie uprzedzam, że

zamierzam się upić. Postaram się jednak nie przynieść ci wstydu. - Na moment zamilkła.

- Oczywiście będę tego jutro bardzo żałowała, ale dziś...

Pokiwał ze zrozumieniem głową. Widział, że Laurel potrzebuje kilku drinków, aby się rozluźnić, uciec myślami od makabrycznego zdjęcia.

- A ja zamierzam dotrzymać ci towarzystwa i również postaram się nie przynieść ci wstydu.

- Zbliżył usta do jej ucha. - Wiesz, często się zastanawiałem, jak by to było upić cię i uwieść.

Po raz pierwszy od paru godzin wybuchnęła śmiechem.

- Oj, Matt! Nie starczyłoby w tym barze alkoholu.

- Poczekamy, zobaczymy... - Odchyliwszy się na krześle, zapalił kolejnego papierosa.

- Opowiedz mi o Trulane'ach.

... - Co?

- Wszystko.

Westchnęła ciężko, po czym podniosła do ust kieliszek, który kelnerka postawiła na stole.

- Mmm, pyszne.

- Zdrówko. - Stuknęli się. - A teraz zamieniam się w słuch.

- No dobrze. Zaczę od początku. - Zamyśliła się. - Heritage Oak zbudowano na początku dziewiętnastego wieku. Była to ogromna, bogata plantacja. Trulane'owie nadal mają więcej ziemi niż ktokolwiek w tej części Luizjany. Hodowali bydło, bawełnę, zajmowali się budową statków. Liczyli się w Nowym Orleanie pod względem towarzyskim, finansowym, politycznym. Podejrzewam, że babcia mogłaby nam opowiedzieć wiele historyjek o przodkach Louisa.

- Nie wątpię - zgodził się Matt. - Ale przyśpieszmy nieco. Wolałbym przejść do dwudziestego wieku.

- Jasne, to był tylko wstęp. - Przez chwilę obracała w palcach kieliszek. - A więc Beauregard Trulane...

- Beauregard?

- W każdej rodzinie znajdzie się ktoś o nietypowym imieniu - oznajmiła wyniosłym tonem. - Więc Beauregard Trulane odziedziczył Heritage Oak wkrótce po tym, jak się ożenił.

Mieli z żoną trójkę dzieci: Marion, Louisa i Charlesa. - Oczy jej lśniły. - Beau był potężnie zbudowanym, pełnym wigoru mężczyzną obdarzonym ogromnym poczuciem humoru. Babcia za nim

przepadała. Prawdę mówiąc, nawet się zastanawiałam... Zresztą, mniejsza z tym. -

Wzruszyła ramionami. - Miał piękną żonę, która stanowiła jego przeciwieństwo: była cicha, spokojna, uległa. Ciocia Ellen, tak ją nazywałam, zmarła niecałe pół roku po mojej mamie.

Miałam wtedy sześć lat. Obie były mi bardzo bliskie, może dlatego czasem mi się mylą.

Opróżniła kieliszek. Nie zauważyła, że Matt skinął na kelnerkę i powtórzył zamówienie.

- Po śmierci żony stary Beau załamał się. Popadł w depresję. Louis zaczął pomagać ojcu w interesach, przejmować jego obowiązki. Jako osiemnastolatek był za młody, żeby dźwigać na swoich barkach taki ciężar, ale nie miał wyboru. Uwielbiałam go. Był dla mnie skrzyżowaniem księcia z bajki z Robin Hoodem. Zawsze miły i uśmiechnięty, odnosił się do mnie z sympatią. Takiego chciałabym go zapamiętać - dodała cicho, spoglądając na pełen kieliszek.

- Życie idzie naprzód - stwierdził Matt. Zastanawiał się, czy człowiek z krwi i kości może rywalizować z wyidealizowaną postacią z przeszłości. - Nie jesteś już dzieckiem, Laurel.

- To prawda - przyznała, patrząc mu w oczy. - Ale mój obraz Louisa zabarwiony jest wspomnieniami z dzieciństwa.

Przy stoliku zapadła cisza.

- Opowiedz mi o Marion - poprosił wreszcie Matt.

- Jest kilka lat starsza od Louisa. Urodę odziedziczyła po matce. Kiedy byłam mała, myślałam o niej jak o dobrej wróżce. Imponowała mi. Wciąż jest piękna, elegancka, pewna siebie.

- Zauważyłem - powiedział Matt, cofając się pamięcią do tamtej nocy, kiedy przybył do Heritage Oak.

- Jest za stara dla ciebie - rzekła szybko Laurel, a potem ściągnęła ze zdziwieniem brwi, kiedy Matt wybuchnął śmiechem. - Zamknij się, Bates, i słuchaj.

- Najmocniej panią przepraszam - mruknął, przybierając poważną minę.

- Czasem Marion zapraszała mnie na podwieczorek. - Laurel podniosła do ust kieliszek i opróżniła go jednym haustem. - Częstowała herbatą i ciastkami. Wiedziała, że uwielbiam Louisa... Mówiła, żebym szybko urosła, to wtedy Louis będzie mógł się ze mną ożenić. Lubiłam ją.

- Nigdy nie wyszła za mąż?

- Nie. Babcia twierdzi, że Marion zbyt wysoko ustawiła poprzeczkę, a ja myślę, że kiedyś kochała i się zawiodła. Któregoś dnia, pamiętam to jak dziś, powiedziała mi, że kobiecie wystarczy jedna

wielka miłość w życiu. Oczywiście sądziłam, że chodzi jej o mnie i Louisa, ale kiedy teraz wracam do tamtej sceny... - Zamyśliła się. - Takie kobiety jak Marion łatwo jest skrzywdzić.

- Czyżby?

- Charles różnił się od rodzeństwa - ciągnęła po namyśle. - Najbardziej przypominał mi Curta. I tak go traktowałam. Jak brata. Był romantykiem, marzycielem. Chciał być artystą.

Kilka jego obrazów wisiało w holu w Heritage Oak. Zdjęto je, kiedy wyruszył w świat.

- Z pierwszą żoną swojego brata...

- Tak. To było dwanaście lat temu. Wybuchł skandal. Louis cierpiał, a brukowce miały używanie. - Pokręciła ze smutkiem głową. Alkohol rozwiązał jej język. - Babcia zna dokładnie całą historię. Podobno po powrocie z podróży służbowej Louis odkrył, że Elise uciekła z Charlesem. Z tego, co mówiła służba, kochankowie zostawili list. Z szaf zniknęła większość ubrań, a także przybory malarskie Charlesa.

Laurel patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Nie zwracała uwagi na to, że lokal się zapełnia, że wokół rozbrzmiewają rozmowy, że z tyłu sali ktoś gra na pianinie.

- Właśnie wtedy Louis się zmienił. Zamknął się w sobie, zaczął stronić od ludzi. Po prostu stracił radość życia. Przez te wszystkie lata Charles i Elise ani razu się nie odezwali.

Mniej więcej przed czterema laty Louis wystąpił w końcu o rozwód. Zrobił to ze względów formalnych, tak twierdziła Marion, a nie dlatego, że kogoś poznał. Bardzo się o brata martwiła. Jego drugie małżeństwo było dla wszystkich zaskoczeniem.

Przez moment śledziła wzrokiem unoszący się dym z papierosa. Zawieszony u sufitu wiatraki obracały się leniwie, rozcinając szare kłęby i wprawiając powietrze w ruch.

- Zadzwoiłam do Louisa. Po pierwsze dlatego, że chciałam życzyć mu wszystkiego najlepszego, a po drugie pomyślałam, że to dobry temat na artykuł. Miałam niemal wrażenie, jakbym rozmawiała z dawnym Louisem. Owszem, był starszy i może odrobinę poważniejszy, ale odzyskał dawny zapał. Niestety, nie zgodził się na wywiad. Powiedział... - Zmarszczyła czoło, jakby usiłowała sobie przypomnieć jego dokładne słowa - że Anne... że jest bardzo młoda i że pragnie ją chronić przed złym światem.

Widząc smutek na jej twarzy, Matt poczuł ukłucie w sercu. Nie chciał, żeby cierpiała.

Najchętniej zabrałby ją gdzieś daleko, tak by nikt nie mógł jej skrzywdzić. Ale to nie wchodzi w grę. Broniłaby się rękami i nogami. I na pewno uważałaby, że oszalał. Zgniół niedopałek w popielniczkę.

- Co wiesz o Elise, pierwszej żonie Trulane'a?

- Niewiele. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Byłam o nią strasznie zazdrosna. Miała delikatną urodę i

własny, niepowtarzalny styl. Doskonale natomiast pamiętam samo wesele, tony różowych i białych kwiatów magnolii, ogromny, piętrowy tort, wspaniałe kreacje. Elise, szczupła, drobna, w sukni z jedwabiu z długim, ciągnącym się po ziemi trenem, wyglądała prześlicznie. Jak porcelanowa laleczka. Jak... - Nagle Laurel urwała. Siedziała z szeroko otwartymi oczami, trzymając nieruchomo kieliszek. - O Boże! Wyglądała jak...

- Jak Anne, druga żona Louisa? - dokończył Matt. Obróciwszy się, przywołał skinieniem kelnerkę. - No proszę.

- To o niczym nie świadczy! - oburzyła się.

- Widocznie podobał mu się ten typ kobiet i tyle. Podobieństwo Anne do Elise nie stanowi powodu do morderstwa.

- To prawda. Poza tym nie mamy żadnej pewności, czy Anne faktycznie została zamordowana.

- Z uwagą przyglądał się swojej współniczce.

- Szybko stajesz w jego obronie, Laurellie. Trudno ci będzie zachować bezstronność, jeśli nie potrafisz zapomnieć o swoim dziewczęcym zauroczeniu.

- Bzdury wygadujesz.

- Czyżby? - Wykrzywił wargi w uśmiechu, w którym nie było jednak radości.

- Posłuchaj, Bates. Zawsze jestem bezstronna. Ręczę ci, że moje uczucia do Louisa nie przeszkodzą mi w pracy. - Popatrzyła na swój kieliszek. - Jest pusty.

- Widzę. - Zrobiło mu się wesoło. Uwielbiał tę jej oburzoną minę. - A Louisa zostawmy sobie na jutro. - Starczy na dziś rozmowy o Trulane'ach, pomyślał. Począł, aż kelnerka, która podeszła z nowymi drinkami, odejdzie od stolika. - No dobrze, złotko, a teraz powiedz mi, co słyhać u naszego miłego pana radnego.

- Odczep się od Jerry'ego - warknęła, rozpoczynając kolejnego drinka.

- Każdy ma prawo do jakiegoś hobby. Moim jest pan Jerry Cartier.

- Nie rozumiem, skąd w tobie tyle jadu. - Pokręciwszy głową, sięgnęła po kieliszek. -

Jerry to bardzo...

- Nadęty osioł? - spytał z niewinną miną Matt. Nie zdołała zachować powagi.

- Psiakrew, Matt! Gdybym była ciutkę trzeźwiejsza, sama bym coś wymyśliła. -

Odstawiwszy kieliszek na stół, odgarnęła włosy z oczu, po czym skrzyżowała ręce na piersi. -

Denerwują mnie twoje niegrzeczne komentarze na temat Jerry'ego.

- Dlaczego? Bo trafiam w sedno?

- Tak. Nienawidzę, kiedy masz rację. Błyskając w uśmiechu zębami, rzucił na blat kilka banknotów i wstał.

- Chodź, odprowadzę cię do domu - zaproponował. - Mam nadzieję, że po drodze nie wytrzeźwiejesz. Zamroczona łatwiej ulegniesz moim wdziękom.

- Trzy martini to za mało, żeby uległa.

- Wstała od stolika i moment odczekała, by podłoga przestała się kołysać.

- Cztery - poprawił Matt, ujmując ją za łokieć.

- Ale kto by liczył?

- Przytrzymuję się ciebie, bo... bo muszę.

- Wyszli na zewnątrz. - Ale po paru krokach... może jak miniemy skrzyżowanie, będziesz mógł mnie puścić.

- W porządku. Po prostu daj znać kiedy.

- A ty ile wypijeś?

- Tyle samo co ty.

Odsunęła się, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Świat zawirował jej przed oczami.

- Jesteś wyższy i więcej ważysz - stwierdziła.

- Ja mam drobną budowę.

- Zauważyłem.

- Naprawdę? - Uniosła pytająco brwi.

- Owszem. Obserwuję cię od dłuższego czasu. Nie tylko z powodu zawodowej ciekawości.

- A jakiej jeszcze?

Przystanąwszy na moment, pocałował ją leciutko w usta.

- Śmiesznie całujesz - szepnęła, opierając głowę na jego ramieniu. - Nie jestem pewna, czy mi się podoba.

- Kiedy indziej o tym porozmawiamy - rzekł.

- Myślałam, że będziesz miał inną technikę - ciągnęła jakby nigdy nic. - Że będziesz bardziej... no, wiesz, agresywny.

- Rozmyślałaś o mojej technice?

- Tak. Z ciekawości zawodowej.

- Może wrócimy do tej rozmowy, kiedy będziesz w stanie samodzielnie chodzić? -

zapropozował, skręcając do budynku, w którym oboje wynajmowali mieszkania.

- Wiesz, Matthew... - Z ręką mocno zaciśniętą na poręczy zaczęła wspinać się po schodach, które od rana stały się dziwnie chybotałe. - Po trzech martini całkiem mi się podobasz.

- Czterech - mruknął.

- Nie czepiaj się słówek, bo przestanę cię lubić.

- Otworzywszy torebkę, zaczęła szukać kluczy.

- Masz, trzymaj.

Podawała mu portfel, puderniczkę, notes, uszkodzone kolczyki, kilka biletów autobusowych.

- To wszystko? - spytał. - Jeszcze kilka drobiazgów mi się zmieści.

- Już znalazłam. Zawsze, psiakrew, chowają się na spodzie...

Wyjął jej z ręki klucz, a przedmioty, które trzymał w dłoni, bezceremonialnie wrzucił

z powrotem do torebki.

- Zaprosisz mnie? - zapytał. Powinna wypić kubek kawy, łyknąć dwie aspiryny, zaciągnąć zasłony i położyć się spać. Nie był pewien, czy poradzi sobie z którąkolwiek z tych czynności. - Niemal od roku jesteśmy sąsiadami, a jeszcze ani razu mnie nie zaprosiłaś.

- Och, wybaczone moje okropne maniery.

- Uśmiechając się marzycielsko, skinęła głową. Wszedł do środka, rozglądając się z zaciekawieniem. Salon - elegancki, urządzony z fantazją, utrzymany w pastelach. Koronkowe firanki w oknach, aksamitne obicia mebli. Na ścianie, nad stolikiem na kółkach, oprawiony plakat z końca dziewiętnastego wieku. W powietrzu zapach ziół i lawendy.

- Pasuje do ciebie - pochwalił.

- Naprawdę? - Z wyraźnym zadowoleniem powiodła wzrokiem wkoło. - To śmieszne, wiesz? Bo

gdybym weszła do twojego mieszkania, nie wiedziałabym, czy pasujecie do siebie.

- Przeczesała ręką włosy. Leciutko się zataczała. - Nie umiem cię rozgryźć, Bates. Na swój sposób jesteś fascynujący.

Stała niedaleko, na wyciągnięcie ręki. Matt zmrużył oczy. Nie był pewien, czy Laurel specjalnie zachowuje się uwodzicielsko, czy robi to pod wpływem wypitych drinków.

Niewiele miał zasad, którymi się kierował, ale sumiennie przestrzegał jednej: nie próbował zaciągnąć do łóżka kobiety, która nazajutrz rano mogłaby nie pamiętać o tym, co wydarzyło się w nocy.

- Po pierwsze: kawa - oznajmił, prowadząc Laurel do kuchni.

- Zrobić ci, tak?

- Sobie, nie mnie. Duży kubek czarnej kawy.

- Dobrze. - Skupiona, utkwiała wzrok w ekspresie. Psiakość, przecież umie się tym posługiwać!

- Ja zaparzę. - Matt uśmiechnął się z wyrozumiałością. - Wyjmiesz kubki?

- Pewnie. - Otworzyła szafkę. Wyglądało na to, że zaraz coś stłucze, ale po chwili ustawiła na blacie dwa spodki i dwie filiżanki w delikatny fioletowy wzorek. - Niestety, nie mam nic na ząb.

- Nie szkodzi. Wystarczy kawa.

- Ale gdybyś był głodny, mogłabym upiec babeczki.

- Może następnym razem.

- Miły jesteś, Matthew. - Obróciwszy się, wpadła w jego ramiona i uśmiechając się błogo, objęła go za szyję. - Masz cudowne oczy, wiesz? Założę się, że wszyscy ci to mówią.

- Bez przerwy. - Zacisnął ręce na jej talii, zamierzając uwolnić się z jej objęć. Poczował, jak narasta w nim pożądanie. - Laurel...

- Może powinienes mnie jeszcze raz pocałować? Żebym przekonała się, czy mi się to podoba, czy nie.

- Jutro - szepnął, zbliżając do niej wargi - będziesz miała do siebie pretensje.

- Mmm, wiem. - Przymknęła oczy, rozkoszując się delikatnym muśnięciem jego ust. -

To nie jest prawdziwy pocałunek - szepnęła drżącym głosem. - Bardziej przypomina cudowne tchnienie wiatru. - Wsunęła palce we włosy Matta. - Jeszcze...

Do diabła z zasadami! - pomyślał. Może przyjdzie mu zapłacić za brak powściągliwości, ale trudno. Na pewno nie będzie tego żałował. Z całej siły przytulił Laurel i zmiażdżył jej usta swoimi. Buchnął ogień, przeskoczył z niej na niego, a może na odwrót.

Laurel wydała z siebie przeciągły jęk, który nie miał nic wspólnego z bólem, sprzeciwem ani zaskoczeniem. Był to jęk pożądania.

Bezwstydnie domagała się więcej pieszczot, więcej pocałunków. W głowie się jej kręciło, ciało jej płonęło.

Przegrywał walkę z samym sobą. Był na straconej pozycji od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał. Ale to mu nie przeszkadzało. Chciał spełnić każde jej pragnienie, trzymać ją w objęciach, rozpaloną, namiętą, piękną.

Urodę miała delikatną, ale temperament dziki. Sprawiała wrażenie marzycielki, lecz jej usta żarliwie wpijały się w jego wargi. Czuł na sobie jej piersi oraz ręce, niecierpliwe, poszukujące. Mruczac coś pod nosem, przestał myśleć, przestał mieć wyrzuty. Oddał się rozkoszy.

Powtarzała szeptem imię Matta. To już nie był ten wyluzowany, ironiczny facet, z którym codziennie siedziała biurko w biurko. Tamten znikł; jego miejsce zajął gorący samiec, którego dotyk doprowadzał ją do ekstazy.

Pragnął jej do szaleństwa, jak jeszcze żadnej kobiety w życiu. Gdy trzymał ją w objęciach, liczyła się tylko ona. Nie istniała przeszłość ani przyszłość, jedynie chwila obecna.

Nigdy dotąd nie była tak pobudzona. Czy na to czekała? Na to niesamowite uczucie wolności? Nie wiedziała. Nie była w stanie ogarnąć tego, co się z nią dzieje. Po raz pierwszy w życiu słuchała rozkazów ciała. W głowie miała mętlik, ale nawet nie próbowała nad nim zapanować.

Nagle, by nie upaść, zacisnęła ręce na ramionach Matta. Po chwili popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Czy to możliwe, żeby ją odpychał?

- Matthew...?

- Drzwi - oznajmił głosem, który drżał tak samo jak i on. - Ktoś puka, Laurel. Może powinnaś otworzyć.

- Otworzyć? Co? - spytała oszołomiona.

- Drzwi - powtórzył z uśmiechem.

- Aha. - Rozejrzała się po kuchni, jakby była w tym pomieszczeniu po raz pierwszy w życiu. - Uważasz, że powinnam otworzyć?

Patrząc na jej zarumienione policzki, miał ochotę zgnieść ją w ramionach. Zgnieść?

Nie, kochać się z nią tu i teraz, na podłodze! Z trudem się powstrzymał.

- Tak - odparł, opuszczając ręce. Zagubiona, cofnęła się krok w stronę drzwi.

Matt zaś obrócił się w stronę syczącego ekspresu, bijąc się z myślami, czy zamordować człowieka, który przeszkodził im w amorach, czy być mu wdzięcznym.

Laurel przyłożyła palce do skroni. Czuła się tak, jakby pływała pod wodą i zbyt szybko wynurzyła się na powierzchnię. Czyżby się upiła? Pocierając jedną ręką skroń, drugą położyła na klamce. Jeszcze moment... Potrząsnęła głową, ale nie pomogło. No trudno, pomyślała i zgodnie z poleceniem Matta otworzyła drzwi.

- Co tak długo? Już chciałem odejść. - W progu, w trzyczęściowym garniturze i białej koszuli, stał Jerry Cartier.

- A, to ty? - Oprzytomniała, ale wciąż kręciło się jej w głowie. - Cześć, Jerry.

- Przeszkodziłem w czymś? - spytał, wchodząc do środka.

- Czy mi w czymś... - zaczęła i nagle uświadomiła sobie, w czym jej Jerry przeszkodził. - Parzyłam... parzyłam kawę - odparła pośpiesznie.

- Za dużo pochłaniasz kofeiny. - Oparł się o framugę. - Kawa bardzo pobudza.

- Tak - przyznała cicho, rozmyślając o Matcie. Chyba jednak nie kawa ją pobudziła. -

Pewnie masz rację.

Usiłowała wziąć się w garść. Jerry byłby przerażony, gdyby wiedział, ile dziś wypiła.

Cztery martini? Boże! Przypuszczalnie wygłosiłby dwudziestominutowy wykład na temat szkodliwości alkoholu. Nie miała na to siły.

- Usiądź, Jerry. - Zapraszającym gestem wskazała kanapę w salonie.

Marzyła tylko o tym, by położyć się w ciemnym pokoju, nikogo nie słyszeć, do nikogo się nie odzywać. Ale było to marzenie ściętej głowy. Miała nadzieję, że przynajmniej zdoła przejść przez pokój, nie zataczając się. Z niepewną miną postąpiła krok do przodu.

- Jeszcze nie jesteś gotowa - stwierdził Jerry.

Stała w pół kroku. Słuszna uwaga. Nie była gotowa ani do chodzenia bez trzymania się czyjegoś ramienia, ani do stania z dala od ściany.

- Gotowa?

- Do wyjścia. Idziemy na kolację, zapomniałaś?

- Dobry wieczór. - Matt wszedł do salonu, niosąc tacę z filiżankami i dzbankiem kawy.

- Witaj, Matthew. - Jerry założył nogę na nogę. Postawiwszy tacę na stoliku, Matt podszedł do tkwiącej bez ruchu Laurel.

- Nałożyłeś kary na jakieś kolejne budynki? - spytał, spoglądając na radnego.

Jak gdyby nigdy nic, Matt ujął Laurel pod rękę i podprowadził do fotela. Usiadła, posyłając mu spojrzenie pełne wdzięczności.

- To nie moja działka - odparł Jerry, splatając palce. - Swoją drogą burmistrz pokazał

mi budynek na drugim końcu miasta, w którym kanalizacja woła o pomstę do nieba.

- Ciekawe...

- Napijesz się? - przerwała im Laurel. Widziała, że Matt się rozkręca, a nie zamierzała pozwolić, by zaatakował Boga ducha winnego człowieka. Poza tym sama miała ochotę na kawę. Bała się, że jeśli natychmiast nie wypije paru łyków, to zaśnie w trakcie rozmowy.

- Odrobinę - odparł Jerry. - Ale ty, kochanie, może już nie powinnaś...

Podniosła dzbanek, modląc się, aby nie porozlewać.

- Och, ostatnią kawę piłam wiele godzin temu.

- Jak ci minął dzień, Jerry? - spytał uprzejmie Matt, przejmując od Laurel dzbanek.

Uśmiechnął się w duchu, kiedy odetchnęła z ulgą.

- Produktywnie. Chociaż oczywiście nigdy nie starcza czasu, aby wykonać wszystko, co się zaplanowało.

- To prawda - przyznał Matt, spoglądając na nabrzmiałe wargi Laurel.

Jerry wyciągnął rękę po filiżankę. Widząc niepewne ruchy dziewczyny, zmrużył z zadumą oczy.

- Laurel, kochanie, czy... czy ty piłaś?

- Czy piłam? - Nadepnęła obcasem na nogę Matta, by przypadkiem jej nie zdradził. -

Co ci strzeliło do głowy, Jerry? - Uniósłszy filiżankę do ust, pociągnęła łyk aromatycznego płynu. - Powiedz, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

- Czemu? - Urwał zaskoczony. - Kochanie, mieliśmy iść na kolację.

- Aha. - Pewnie tak, pomyślała. Skoro Jerry twierdzi, że są umówieni, to są umówieni.

Jeny nigdy się nie myli. Prowadzi terminarz, w którym wszystko sobie skrupulatnie notuje.

- Laurel i ja pracujemy nad artykułem - oznajmił Matt z lekkim rozbawieniem w głosie. - Niestety, zeszło nam trochę dłużej, niż sądziliśmy.

Akurat... hm, zgłębialiśmy temat, kiedy zastukałeś do drzwi. - Nie skrzywił się, nawet nie mrugnął okiem. Niczym nie dał po sobie poznać, że Laurel wbija mu obcas w nogę. - W

naszym zawodzie praca często koliduje z życiem towarzyskim.

- Tak, ale...

- Wiesz, jak to jest. - Matt uśmiechnął się przyjaźnie. - Nieprzekraczalne terminy i tak dalej. Dziś oboje będziemy musieli zadowolić się kanapką. A jutro... Co ja mówię? Ta robota zajmie nam co najmniej kilka tygodni! Zadzwońisz do Jerry'ego, jak tylko się ze wszystkim uporamy, prawda, Laurel?

- Co? Tak, oczywiście. - Opróżniła filiżankę. Marzyła, by Jerry sobie poszedł, wtedy mogłaby wypić drugą. - Strasznie mi przykro, Jerry.

- Rozumiem. Najpierw praca, potem przyjemność.

Słyszając to, Matt omal się nie zakrztusił. Jerry odstawił filiżankę, podniósł się z kanapy, odstawił filiżankę i poprawił krawat.

- Zatem czekam na twój telefon, kochanie. I staraj się nie nadużywać kawy.

- Dobrze. - Nic więcej nie zdołała z siebie wydusić. - Boże! - jęknęła, kiedy drzwi się zamknęły. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Nieładnie, Laurellie - mruknął Matt, dolewając jej kawy. - Na szczęście wybawiłem cię z opresji.

Miała ochotę cisnąć w niego filiżanką, ale było jej żal kawy. Jeszcze ten bezczelny uśmiech!

- Tyle się dziś działo... rozmowa z Susan, wizyta na komisariacie... że kolacja z Jerryem po prostu wyleciała mi z głowy. Zresztą nie prosiłam cię, żebyś z czegokolwiek mnie wybawiał.

- To się nazywa wdzięczność! - Pociągnął ją za włosy, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy. - Nie tylko nie wyję z bólu, kiedy łamiesz mi obcasem trzy palce u nogi, ale jeszcze pomagam ci ukryć przed narzeczonym twoją nieco upośledzoną trunkami kondycję.

- Jerry nie jest moim narzeczonym. - Wypiła do dna kawę i z hałasem odstawiła filiżankę na spodek.

- Czyli go zwodzisz?

- Nieprawda. - Usiłowała wstać, ale przekonawszy się, ile to wymaga wysiłku, postanowiła nie zmieniać pozycji. - Łączy nas przyjaźń. To wszystko. Cholera jasna, Jerry to naprawdę fajny facet, tylko trochę za...

- Za poczciwy? Nieszkodliwy? Biedak nie zasługuje na miano nieszkodliwego poczciwca. Z drugiej strony, jeżeli cię kocha...

- Nie kocha - zaprotestowała, zaciskając rękę na ramieniu Matta. Bała się, że podłoga znów zacznie jej uciekać spod stóp. - Idę do łóżka.

- Uwielbiam zdecydowane kobiety - mruknął. Kąciki warg mu zadrżały.

- Sama - oznajmiła, z trudem zachowując powagę.

- Jaka szkoda. - Zbliżył do ust jej rękę.

- Matthew, nie, proszę cię...

Popatrzył jej głęboko w oczy. Tak niewiele trzeba: wystarczy przyciągnąć ją do siebie, pocałować. Oboje mają tego świadomość. Oboje tego pragną.

- Do końca życia będę żałował tej decyzji - rzekł, wstając. - Na twoim miejscu, Laurellie, łyknąłbym tabletkę aspiryny. Rano czeka cię potężny kac.

Wyzywając się w myślach od idiotów, doszedł do drzwi, otworzył je, a potem za sobą zamknął.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Niech cię szlag trafi, Bates.

Laurel stała przed lustrem w łazience, wpatrując się w swoją bladą twarz i podkrążone oczy. Ból rozsadzał jej czaszkę. Dlaczego Matt zawsze musi mieć rację?

Z wiszącej szafki łazienkowej wyjęła pojemnik z aspiryną, po czym zatrzasnęła gniewnie drzwiczki. Hałas sprawił, że chwyciła się za głowę, jakby ta zaraz miała odpaść.

Może gdyby odpadła, przestałaby boleć.

Zasłużyła na kaca. Połknąwszy dwie tabletki, wzdrygnęła się. Każdy, kto w upalne popołudnie wypija cztery martini, zasługuje, by nazajutrz cierpieć. Psiakość, w dodatku Matt ją ostrzegał, że tak się wszystko skończy.

Jej nastrój pogarszało to, że pamiętała cały wczorajszy wieczór i swoje zachowanie.

Chryste! Niemal rzuciła się na Matta. Idiotka! On jej nie da o tym zapomnieć. Będzie się z niej naigrawał przez wiele miesięcy. Wprawdzie sama była sobie winna, ale... Boże, dlaczego film jej się nie urwał? Pocałunki Matta przyprawiały ją o tak cudowne dreszcze! Marzyła, aby znów znaleźć się w jego ramionach i...

Nie, nie dopuści więcej do takiej sytuacji. Poprawiła włosy i wzięła kilka głębokich oddechów. Nie zakocha się w Batesie, nie zrobi z siebie kretynki. W porządku, będą współpracować, razem badać

okoliczności śmierci Anne Trulane, ale to wszystko. Nie pozwoli, żeby życie prywatne mieszało się z życiem zawodowym. Przeprosi Matta, że wczoraj za dużo wypła; zrzuci winę na alkohol...

Wzdychając ciężko, weszła pod prysznic. Tak, najrozsądniej będzie stanąć pod strumieniem wody. Wyciągnęła rękę, chcąc odkręcić kran, kiedy ponownie rozległo się walenie - zarówno do drzwi, jak i w jej skroniach. Ktokolwiek się nad nią tak okrutnie znęca, zasługuje na długą, powolną śmierć!

- Dzień dobry, Laurellie. - Uśmiechając się szeroko, Matt oparł się o framugę i powiódł wzrokiem po zwiewnym, kusym szlafroku. - Podoba mi się twój poranny stroik.

Jak zwykle ubrany był na sportowo. W przeciwieństwie do niej wyglądał świeżo, jakby smacznie przespał całą noc. Ona zaś czuła się tak, jakby wędrowała po pustyni, od czasu do czasu pożywiając się piachem.

- Zaspałam - mruknęła. Skrzyżowawszy ręce na piersi, czekała na jakiś złośliwy komentarz.

- Piłaś już kawę? - spytał, zamykając za sobą drzwi.

- Nie. - Przyglądała mu się podejrzliwie. Może czeka na odpowiedni moment, żeby zacząć ją katować?

- Zaparzę. - Zdecydowanym krokiem ruszył do kuchni.

Nie potrafiła go rozgryźć. Jak to? Żadnych złośliwości, wymądrzania się? Skołowana, nie wiedząc, co jest grane, poczłapała z powrotem do łazienki.

Była gotowa do walki, pomyślał Matt, sięgając po słoik z kawą. Chociaż jedyne, o czym marzyła, to by zwalić się do łóżka i pospać jeszcze kilka godzin. Pokręcił z podziwem głową. Co za dziewczyna! Podobna do swojej babki - silna, odważna, bezkompromisowa.

Cofnął się myślami do wczorajszego wieczoru. Ponieważ bał się, że cienka ściana może go nie powstrzymać przed powrotem do mieszkania Laurel, na wszelki wypadek wyszedł na zewnątrz, wsiadł do samochodu i pojechał do Promesse d'Amour. Podejrzewał, że Olivia Armand okaże się doskonałym źródłem informacji, a jej opinia o Trulane'ach będzie znacznie mniej zabarwiona emocjami niż opinia jej wnuczki.

Starsza pani powitała go na tarasie przed domem z mieszaniną radości i zadumy w oczach.

- Proszę, proszę, jak to nigdy nie wiadomo, co wieczór przyniesie!

- Pani Olivio. - Matt podniósł do ust pachnącą jaśminem pomarszczoną rękę, którą zdobiły liczne pierścienie. - Szaleję za panią.

- Jak wszyscy, mój drogi. Jak wszyscy - powiedziała, śmiejąc się dobrodusznie. -

Przyrządź sobie coś do picia i usiądź koło mnie. Powiedz: zdołałeś już ujarzmić tę moją wnuczkę?

Przed oczami stanął mu obraz dziewczyny, którą niecałą godzinę temu trzymał w objęciach.

- W niewielkim stopniu.

- Wolno działasz, chłopcze.

- Aby osiągnąć sukces, trzeba dobrze poznać oponenta. - Podał kobiecie kieliszek, po czym usiadł obok na wiklinowej kanapie.

- A ty? Nie pijesz?

- Przy pani, Olivio, i bez alkoholu trudno zachować jasność umysłu. - Wyciągnął z paczki papierosa.

- Gdzie Susan?

- Na górze. Pewnie cała w pasach czyta moje pamiętniki.

- Co pani o niej myśli?

Olivia Armand podniosła kieliszek do ust i upiła łyk wina. Brylanty na jej palcach zamigotały w blasku promieni księżyca. Wokół lampy zawieszanej przy drzwiach krążyły dziesiątki małych muszek. Z ogrodu docierał słodki, upajający zapach.

- Myślę, że to inteligentna dziewczyna. Kulturalna, trochę smutna i zdenerwowana, ale o silnym charakterze.

- Twierdzi, że jej siostrę zamordowano.

- Ach tak? - Starsza pani uniosła z zadumą brwi. - Więc to o to chodzi? - Pociągnęła kolejny łyk wina. - Anne Trulane ugryzł wąż, kiedy spacerowała po bagnach. Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego Susan uważa, że było inaczej.

Krótko i rzeczowo, takim samym językiem, jakim posługiwał się w artykułach, Matt opisał wszystko, co się wydarzyło w ciągu dnia. W pewnym momencie nietoperz przefrunął

nisko nad drzewami, po czym znikł w ciemnościach. Ciszę zakłócało cykanie świerszczy, rechot żab. Nieopodal szemrały na wietrze liście palm, a powietrze wypełniała słodka woń magnolii. Matt rozejrzał się wkoło. Tak, ten świat ze swoim leniwym rytmem i cudownymi zapachami różni się od tętniącego życiem Nowego Jorku.

- Hm, wygląda na to, że Trulane'owie coś ukrywają - oznajmiła Olivia. - No dobrze, Matthew. Takie historie pobudzają zarówno naszą ciekawość, jak i wyobraźnię, ale mojej, jak wiesz, nie trzeba pobudzać. Więc przyznaj się, co cię tu sprowadza?

Uśmiechnął się. Uwielbiał tupet i bezpośredniość Olivii Armand.

- Wiem co nieco o Tralane'ach - odparł. - Laurel wzbogaciła moją wiedzę o parę szczegółów. Niestety, ona patrzy na nich, zwłaszcza na Louisa, przez różowe okulary.

- Zazdrosny?

- Chodzi o to - kontynuował Matt, nie zwracając uwagi na wtręt staruszki - że potrzebuję więcej informacji. Przedstawionych w sposób bardziej obiektywny.

- Dobrze. Przejdźmy się po ogrodzie. Stawy mi sztywnieją, jak tak długo siedzę.

Podał Olivii rękę, pomagając jej dźwignąć się na nogi. Zawsze go zdumiewało, że starsza pani jest tak drobniutka. Chód miała lekki i sprężysty. Jeżeli dokuczał jej jakikolwiek ból w stawach, nie dawała tego po sobie poznać. Mówiąc, że ją uwielbia, Matt ani trochę nie przesadzał. Olivia Armand oczarowała go od pierwszego spotkania. Nie dziwił się, że była najbardziej popularną i rozchwytywaną dziewczyną, potem mężatką, a następnie wdową w całej okolicy.

- Marion kształciła się we Francji - rozpoczęła swój monolog. - Krążyły plotki, że przeżyła tam nieszczęśliwą miłość, ale sama nigdy o tym nie mówiła. Jest cicha i spokojna, piekielnie inteligentna, czasem jednak zadziera nosa i potwornie się wywyższa. Ja osobiście nawet darzę ją sympatią, mimo że w niczym nie przypomina swojej matki. To znaczy z charakteru, bo z wyglądu to i owszem.

Matt roześmiał się cicho.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na pani bystre oko i cięty język, pani Olivio.

- Nie lubię owijania w bawełnę - stwierdziła starsza pani. - Jeśli chodzi o Charlesa...

tak, on najbardziej przypominał matkę. To był miły, przystojny chłopak z głową w chmurach.

Ogromnie utalentowany, a zarazem skromny i niezbyt pewny siebie. Jedna z jego akwarelek wisi u mnie w salonie.

Czyli Charles faktycznie musiał być zdolny, pomyślał Matt. Olivia mogłaby z dobroci serca kupić czyjś obraz, ale nie powiesiłaby go na ścianie, gdyby na to nie zasługiwał.

- Zawiodłam się na nim, kiedy uciekł z żoną brata. - Widząc wyraz niedowierzania w oczach Matta, pogroziła mu palcem. - Mam swoje standardy etyczne, Jankesie. Jeżeli żona i brat Louisa nie mogli bez siebie żyć, powinni byli uczciwie o tym powiedzieć, zamiast nawiewać w nocy jak para złodziejasków. Louis łatwiej pogodziłby się ze stratą.

- No właśnie, Louis... Proszę mi o nim opowiedzieć.

- To pierwsza miłość mojej wnuczki. - Spostrzegłszy minę Matthew, roześmiała się wesoło.

- Uspokój się, chłopcze; każda dziewczynka marzy o księciu lub królewiczu. Louis był

pełnym życia młodym człowiekiem, dbał o rodzinę i interesy, ale nie cierpiał na przerost ambicji. Myślę, że z całego serca kochał swoją pierwszą żonę i dlatego załamał się, kiedy go zdradziła. Długo nie mógł się otrząsnąć. Potem jeszcze pojawiły się plotki, że Elise spodziewa się dziecka Charlesa...

- Czy poznała pani drugą żonę Louisa?

- Anne? Nie, Louis niechętnie ją komukolwiek pokazywał. Jakby bał się, że ktoś mu ją ukradnie.

- Westchnąwszy, zerwała kwiat azalii. - Planowali wydać we wrześniu huczne przyjęcie i dopiero wtedy przedstawić Anne miejscowej socjecie. Nie mogłam się doczekać, kiedy ją w końcu zobaczę. Mówiono, że do złudzenia przypomina Elise.

- To znaczy, kto mówił?

- Służba. Gdyby nie pokojówki i kucharki...

- Olivia zawróciła w stronę domu; kiedyś godzinami mogła biegać po ogrodzie, ale te czasy dawno minęły. - Jeśli chcę wiedzieć, co słyhać w Heritage Oak, pytam moją kucharkę, która zawsze ma najnowsze informacje od kucharki Trulane'ów. Uwielbiam pocztę pantoflową!

- Olivio, pamięta pani, jak wyglądała Elise Trulane? Umiąłaby ją pani opisać?

- Czy pamiętam? Może jestem stara, chłopcze, ale pamięć mam doskonałą. -

Roześmiała się z zadowoleniem.

Mimo widocznych w blasku księżyca zmarszczek i bruzd na twarzy, wciąż była wyjątkowo piękna.

- Pani Olivio, gdzie ja znajdę drugą taką jak pani? - spytał Matt.

- Nie musisz daleko szukać, ślepcze. Wystarczy rozejrzeć się wokół siebie. - Z

westchnieniem ulgi staruszka ponownie usiadła na wiklinowej kanapie. - Susan? Chodź do nas, kochanie - zwróciła się do młodej kobiety, która stała niepewnie w drzwiach balkonowych. - Biedaczka wciąż się rumieni - dodała, puszczając oko do Matta. - Przeczytałaś moje pamiętniki? I co o nich myślisz?

- Są... hm, niezwykle barwne - odrzekła z wahaniem Susan Fisher. - Wiodła pani bardzo... bogate życie.

Olivia wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Niepotrzebne te eufemizmy, moje dziecko! Po prostu wiodłam rozpustne życie i niczego nie żałuję.

- Susan, nalać pani kieliszek wina? - spytał Matt, wskazując jej fotel.

- Nie, dziękuję. Laurel z panem nie przyjechała?

- Wolę być bez niej, kiedy zalecam się do pani Olivii - odparł, z zadowoleniem obserwując uśmiech na jej twarzy. - Skoro tu już jestem... Czy w swoich listach Anne wymieniała jakieś imiona lub nazwiska? Może coś ją intrygowało albo dziwiło?

Susan zmarszczyła czoło.

- Głównie pisała o Louisie, o domu, no i oczywiście o Marion. Polubiła swoją szwagierkę. Wspominała służących, najczęściej niejaką Binney, która wszystkim zawiadywała. Wydaje mi się, że siostra nie potrafiła wczuć się w rolę pani domu. Sam fakt posiadania służby ogromnie ją onieśmielał.

- A wspominała może o kimś spoza rodziny?

- Właściwie nikogo nie znała. Chociaż nie, przepraszam, parę razy wymieniła nazwisko Nathana Brewstera, jednego z księgowych Louisa. Przyjeżdżał do Heritage Oak w sprawach zawodowych. Jego obecność wprawiała ją w zakłopotanie. - Tym razem z uśmiechu Susan przebijała nuta smutku. - Anne była bardzo nieśmiała. Poza tym do szaleństwa kochała Louisa. Louis uczył ją jazdy...

- Nathan Brewster? - szepnęła Olivia. - Słyszałam o nim. Młody człowiek, mniej więcej w twoim wieku, Matt, o bystrym umyśle i gwałtownym temperamencie. Podobno kilka lat temu omal nie zabił faceta, który podkochał się w jego siostrze.

- Czy jest coś, o czym pani nie wie, pani Olivio?

- Chyba nie - odparła ze śmiechem i wskazała na swój pusty kieliszek.

Matt posłusznie go napełnił.

- Susan, czy ma pani zdjęcie Anne?

- Tak. Przynieść panu?

- Byłbym wdzięczny.

- Słyszała pani - Mart zwrócił się do Olivii - że na bagnach za Heritage Oak straszą duchy?

- Ta zadufana mina ci nie przystoi, chłopcze. Pamiętaj, że my, Kreole, znacznie lepiej rozumiemy świat nadprzyrodzony niż wy, Jankesi - stwierdziła z niezmaconym spokojem w głosie staruszka.

- I wiemy, że większość terenów bagiennych jest nawiedzana przez duchy. Pierwsze pojawiły się w Heritage Oak jeszcze przed wojną.

Matthew rozparł się wygodnie w fotelu. Wiedział, że dla Olivii liczy się tylko jedna wojna.

- Zamieniam się w słuch.

- Któraś z kobiet z rodziny Trulane'ów spotykała się na bagnach z kochankiem. Muszę przyznać, że wybrali sobie niezbyt urokliwe miejsce - dodała tonem osoby trzeźwo myślącej.

- Pewnego dnia nakrył ich mąż kobiety. Zastrzelił ich rewolwerem, który dziś leży w gablotce w bibliotece, a ciała wrzucił do wody. Od tamtej pory widuje się na bagnach migoczące światełka, a

kilka osób słyszało zawodzący kobiecy głos. Bardzo to wszystko romantyczne, nie uważasz?

- I przerażające dla kogoś takiego jak Anne Trulane.

- Przy sobie mam tylko małe zdjęcie - oznajmiła Susan, wyłaniając się z domu. - Ale zrobione niecały rok temu.

- Świetnie. - Matt utkwiał wzrok w fotografii. Młoda, śliczna, nieśmiała. Takie określenie przychodziły mu na myśl, kiedy patrzył na Anne. Młoda i żywa. Pamiętał, jak wyglądała tego ranka, kiedy znaleziono ją na bagnach. Przeklinając pod nosem, podał zdjęcie Olivii.

- A niech to! - zawołała starsza pani. - Pierwsza i druga żona Louisa mogłyby być bliźniaczkami.

Odgłosy Laurel krzątającej się po sypialni wyrwały Matta z zadumy. Wrócił myślami do rzeczywistości. Dzisiejszego przedpołudnia czeka ich ważna rozmowa z Louisem Trulane'em. Zabierając z sobą kubki i dzbanek kawy, Matt wyszedł na balkon.

Lubi różowe begonie, pomyślał, zrywając pojedynczy kwiat. Wciągnął w nozdrza przesycone słodkim aromatem powietrze. Hm, różowe begonie na balkonie, koronkowe franki w oknach. Czy w takim świecie znalazłoby się miejsce dla faceta, który całe dzieciństwo przechodził w dziurawych butach? Dziwne, odkąd poznał Laurel, częściej zastanawiał się nad swoją przeszłością, nad biedą, którą jego rodzina cierpiała.

Kiedy Laurel wyszła z sypialni, stał oparty o balustradę, spoglądając na dziedziniec.

Jakoś jednak nie wierzyła, że podziwia rosnące w dole kwiaty i bujne paprocie. Miał taki sam wyraz twarzy jak w pracy, gdy siedział pogrążony nad artykułem: posępny i skupiony.

- Matthew?

Chciała spytać, co go gryzie, o czym myśli, co widzi oczami wyobraźni. Ale ponieważ wyraz skupienia i zadumy wciąż malował się na jego twarzy, nie potrafiła zdobyć się na odwagę. Dopiero po chwili spojrzenie Matta się rozpuściło.

- Gorąca kawa. - Wskazał głową na stół. Usiadła na pomalowanym na biało metalowym krześle. W cienkiej bawełnianej bluzce i spódnicy wyglądała świeżo i ponętnie.

- No słucham? Nie powiesz: a nie mówiłem?

- Kto bez grzechu, niechaj kamień rzuci - odparł, wzruszając ramionami. - Myślisz, że jestem święty? Że nie wiem, co to kac? - Na moment zamilkł. - Jak się czujesz?

- Jako tako. Zanim wyjedziemy, muszę zadzwonić do babci. Chcę się dowiedzieć, jak sobie Susan radzi.

- Radzi sobie świetnie - rzekł, zastanawiając się, jaką bieliznę taka dziewczyna jak Laurel nosi pod letnim strojem. Pewnie z cieniutkiego jedwabiu. - Widziałem je wczoraj, Susan i Olivie.

Ręka z kubkiem zastygła nieruchomo w powietrzu.

- Byłeś wczoraj w Promesse d'Amour?

- Nie potrafię trzymać się z dala od twojej babci.

- Do jasnej cholery, Matthew, to mój temat!

- Nasz - poprawił ją cicho.

- Dobra, nasz. Co nie zmienia faktu, że nie powinieneś być tam jechać beze mnie.

Podszedłszy do stolika, Matt nalał sobie kawy.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, to ty, moja droga, nie byłaś wczoraj w stanie prosto chodzić, nie mówiąc już o składaniu komukolwiek wizyt. A gdybyś była, to znaleźlibyśmy inne zajęcie niż wycieczka do twojego domu rodzinnego.

Mrużąc oczy, wstała od stolika.

- Tylko dlatego, że się wczoraj trochę ululałam, nie myśl, że straciłam dla ciebie głowę.

Matt wykrzywił usta w uśmiechu.

- Po czterech martini każdy facet może się podobać, nawet ty - dodała zirytowana.

Odstawił kubek.

- Dziś jesteś trzeźwa, prawda, Laurellie?

- Najzupełniej i... - Urwała zaskoczona, kiedy przyciągnął ją do siebie.

- To dobrze - szepnął, zbliżając usta do jej warg. - I jesteś kobietą, która dokładnie wie, czego chce, a czego nie chce, prawda?

Absolutnie, odpowiedziała w myślach, wstrzymując oddech.

- Nie chcę... nie chcę... - Dekoncentrował ją oddech Matta łaskoczący ją w ucho.

- Czego nie chcesz?

- Żebyś... mieszał mi w głowie. Delikatnymi pocałunkami pokrywał jej twarz.

- A mieszam?

- Tak.

Ich wargi dzieliła odległość paru milimetrów. Gdy się zetkną... Podejrzewając, co się wtedy stanie,

Laurel odskoczyła.

- Specjalnie to robisz - rzekła po chwili, gdy serce przestało jej łomotać. - Żeby odwrócić moją uwagę od Trulane'ów.

- Sama wiesz, że nie. - Chwycił kosmyk jej włosów. - To nie ma nic wspólnego z naszą pracą.

- W porządku, ale na pracy musimy się skoncentrować - oznajmiła szybko. Z całej siły starała się odzyskać nad sobą panowanie. - Nie chcę, żebyś na własną rękę prowadził

dziennikarskie śledztwo. To ja znalazłam Susan, to ja...

- Psiakrew, Laurel! Jeżeli rozwikłamy sprawę i powstanie z tego reportaż, na pewno nie podpiszę go wyłącznie swoim nazwiskiem.

Wolała być zła niż podniecona, więc nawet nie próbowała powściągnąć wybuchu gniewu.

- Nie w tym rzecz, Bates! Po prostu nie życzę sobie, abyś sam, beze mnie, usiłował

wydobyć z babci lub z Susan jakieś informacje. Gdybyś mi wczoraj powiedział o swoich planach, wypiłabym więcej kawy, wzięła zimny prysznic i doprowadziła się do porządku.

- Nie wątpię. - Wsunął ręce do kieszeni. - Ja jednak niczego nie usiłowałem wydobyć.

Po prostu chciałem porozmawiać o Trulane'ach z kimś mającym nieco bardziej obiektywny obraz ich rodziny.

Wzięła głęboki oddech, zamierzając mu się odgryźć, ale po chwili zmieniła zdanie.

Bądź co bądź Matt ma rację: jej ocena Louisa jest niezwykle subiektywna.

- Dobra - mruknęła, kierując się do środka.

- Jedźmy do Heritage Oak.

- Laurel. - Chwycił ją za ramię, zanim zniknęła w salonie. - Uwierz, naprawdę nie chodzi mi o artykuł - powiedział cicho. - Chcę ci jedynie oszczędzić bólu.

Popatrzyła mu w oczy. Nie opuszczaj gardy, nie opuszczaj, powtarzała w myślach.

- Prosiłam cię, żebyś nie był dla mnie miły - szepnęła.

- Później wszystko nadrobię, będę wredny, ironiczny, a na razie... Twoje uczucia względem Louisa...

- Nie mają z tym nic wspólnego - rzekła stanowczym tonem. Nagle ogarnęły ją wątpliwości: nie była pewna, czy wciąż rozmawiają o artykule. - Nie musisz być moją niańką, Matthew. Potrafię się sama o siebie zatroszczyć.

- W porządku - powiedział, choć miał ochotę potrząsnąć ją mocno za ramiona. - W

takim razie jedźmy.

Wiatr, który szumiąc kojąco, wpadał przez otwarte okna, pomógł ostudzić rozbuchane emocje. Zamknąwszy oczy, Laurel w milczeniu wysłuchiwała relacji Matta z jego wizyty w Promesse d'Amour.

- Z twojego tonu wnioskuję, że nie wierzysz w duchy straszące na bagnach?

- A ty wierzysz? - Zerknął na nią spod oka. Kiedy nie odpowiedziała, zwolnił nieco i przyjrzał się jej uważniej. - Laurel?

Wzruszyła ramionami, po czym zaczęła wygładzać spódnicę.

- Hm, we mnie, Matthew, płynie kreolska krew.

Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Niesamowite! Naprawdę wierzysz w duchy?

- Nie. Tak. Nie wiem - przyznała niechętnie, bo wolałaby nie rozmawiać o takich rzeczach z racjonalistą z Północy. - Te bagna... to bardzo dziwne miejsce. Gdzieś tam rosną tam kwiatki, gdzieś występują nieduże suche obszary przypominające prerię; można trafić na stojącą wodę, zobaczyć czaple. - Obróciła się; wiatr targał jej włosy. - Ale są tam również grzęzawiska, nieprzyjemne gryzące owady, węże, cienie... - Wzdrygnęła się. - W

niektóre zakątki nigdy nie dociera światło słońca...

- Laurel. - Matt zatrzymał samochód przed bramą prowadzącą do Heritage Oak. -

Przestań. Bagna to bagna.

- Po prostu mówię, w jaki sposób to miejsce na mnie działa. - Napotkała wzrok Matta.

- Na Anne Trulane oddziaływało podobnie.

- No dobrze. Na razie jednak skoncentrujmy się na ludziach.

Wrzuciwszy pierwszy bieg, ostrożnie przejechał między dwoma murowanymi słupami. Po obu stronach podjazdu rosły wysokie stare dęby, z których zwisały gęste, zielonoszare kłęby mchu hiszpańskiego. Nic się tu nie zmieniło, pomyślała Laurel, Dom też był taki, jak pamiętała; naznaczony zębem czasu, ale wciąż urzekająco piękny.

- Strasznie dawno tu nie byłam - szepnęła wzruszona.

Zalała ją fala wspomnień: jazda konno, podwieczorki, piękne stroje, ciastka z różowym kremem...

Wzdychając ciężko, popatrzyła na mężczyznę za kierownicą. Dziś wizycie w posiadłości Trulane'ów towarzyszą całkiem inne emocje niż przed laty. Świat prawdziwy różni się od świata fantazji. Stremowana, przez chwilę szukała klamki; wreszcie otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

Co się ze mną dzieje, zastanawiała się nerwowo. Dla uspokojenia wzięła trzy głębokie oddechy. Doszło do tego, że ilekroć spoglądała na Matta, miała ochotę rzucić się do ucieczki.

Albo rzucić mu się na szyję. Sam pociąg fizyczny nie stanowił problemu. Od roku go w sobie tłumiła. Chodziło o coś innego, o silniejsze emocje, których nie umiała jeszcze nazwać. Na razie jednak musi sobie poradzić z inną sprawą - z koniecznością zachowania obiektywizmu.

Serce nie może przysłonić rozumu.

- Matthew, pozwól, żebym prowadziła tę rozmowę, dobrze? - poprosiła, kierując się w stronę szerokiej białej werandy. - Znam Louisa i Marion...

- Znałaś - poprawił ją. - Ludzie się zmieniają. Nie ręczę, że będę milczał, ale postaram się nie wtrącać bez ważnego powodu.

Ciężką mosiężną kołatką zastukał do mahoniowych drzwi. Otworzyła je wysoka koścista kobieta, która zerknąwszy na Matta, przeniosła spojrzenie na Laurel i uśmiechnęła się szeroko.

- Mała panienska Laurel - powiedziała, wyciągając do niej swoje chude ręce.

- Binney. Jak miło cię znów widzieć.

- Mała panienska Laurel - powtórzyła gospodyni. - Mały urwis z poobijanymi kolanami wyrósł na piękną młodą damę.

- No tak, kolana już sobie nie objam. - Pochyliwszy się, Laurel uściskała staruszkę, która pachniała bzem i krochmałem. - Nic się nie zmieniłaś, Binney.

- Panienska jest za młoda, żeby wiedzieć, jak szybko czas płynie. - Gospodyni zapraszającym gestem wskazała hol, po czym zamknęła drzwi, nie wpuszczając do środka słońca i skwaru. - Powiem pannie Marion, że przyszliście, a wy tymczasem się rozgoście -

rzekła, prowadząc gości do salonu. - *Revenez bientôt* - szepnęła. - *Cette maison a besoin de jeunesse.*

- Co powiedziała? - spytał Matt, kiedy staruszka ruszyła na piętro.

- Żebym częściej wpadała - odparła Laurel, pocierając ręce, jakby nagle zrobiło się jej zimno. - Że w tym domu brakuje młodości.

Może ludzie się zmieniają, ale nie miejsca, pomyślała, rozglądając się po salonie, który przypuszczalnie tak samo wyglądał sto lat temu i identycznie będzie wyglądał po kolejnych stu latach.

Promienie słońce wdzierały się przez wysokie okna, po obu stronach których wisały granatowe kotary. Padały na piękne mahoniowe stoły, podkreślając czerwony odcień drewna, na kryształowy wazon, który otrzymała w prezencie ślubnym jakaś dawno już nieżyjąca panna młoda, na porcelanową figurkę kobiety przedstawionej w tańcu.

Matt w milczeniu obserwował, jak Laurel wodzi wzrokiem po salonie. Emocje malujące się na jej twarzy budziły w nim zazdrość, niepokój i frustrację. Jak ma rywalizować z jej przeszłością, z ludźmi, którzy ją zamieszkują i którzy wciąż są obecni w jej życiu?

- Wspomnienia to miła rzecz - oznajmił chłodno. - Pod warunkiem, że nie przesłaniają teraźniejszości.

Chciał ją rozgniewać; wolał, gdy się złościła, niż kiedy popadała w nastrój rozrzewnienia. Ale popatrzyła na niego ciepło, z tęsknotą w oczach.

- A ty masz jakieś, Matthew? To znaczy wspomnienia?

Czy ma? Owszem. Pamięta przeciekający dach, lodowate posadzki, talerz, na którym zawsze było za mało jedzenia. Pamięta kobietę, którą w dzień i w nocy, ale głównie w nocy, męczył nieustający kaszel. A także przyrzeczenie, że któregoś dnia wyrwie się z tego piekła i przeniesie do lepszego świata, zabierając z sobą tę charczącą kobietę. Udało mu się spełnić tylko pierwszą część przyrzeczenia.

- Mam - odparł. - Ale nie lubię do nich wracać. Przeszłość mnie nie interesuje.

Usłyszawszy smutek i gorycz w głosie Matta, Laurel wyciągnęła do niego rękę.

Uśmiechając się ironicznie, podniósł ją do ust. Nie chciał litości ani współczucia.

- Życie pędzi naprzód. Wolę dotrzymywać mu kroku, niż rozmyślać o tym, co minęło.

Wyszarpnęła dłoń.

- Nie zamierzasz mi nic o sobie powiedzieć, prawda?

- Po co? - Pogładził ją po włosach. - Skupmy się na dniu dzisiejszym.

Odwróciła się, jakby swoją odmową sprawił jej ból.

- Ale przeszłość wpływa na teraźniejszość!

- Laurel... - zaczął.

- Laurel, przepraszam, że kazałam wam czekać. - Marion, ubrana w zwiewną pastelową suknię, weszła do salonu, kołysząc wdzięcznie biodrami.

Ściskając jej małą, miękką dłoń, Laurel popatrzyła na siostrę Louisa z niekłamanym podziwem.

Marion Trulane zbliżała się do czterdziestki, lecz zupełnie tego po niej nie było widać. Odznaczała się wyjątkową urodą - miała cerę gładką jak nastolatka, gęste włosy, szlachetne rysy twarzy, duże lśniące oczy.

- Marion, wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję, kochanie. - Uśmiechnęła się czarująco. - Wiesz, widziałam cię dwa miesiące temu na balu dobroczynnym. Byłaś tam służbowo, z notesikiem i ołówkiem. Nawet nie miałyśmy czasu zamienić słowa. Powiedz: zadowolona jesteś z pracy?

- Tak, zawsze chciałam zostać dziennikarką. Przedstawiam ci mojego kolegę po fachu, Matthew Batesa.

- Miło mi pana poznać, panie Bates - rzekła Marion, wyciągając na powitanie rękę.

Mrużąc oczy, przez moment przyglądała mu się uważnie. - Mam wrażenie, jakbym już pana gdzieś widziała.

- Nie myli się pani, panno Trulane. Byłem tu w zeszłym miesiącu, kiedy znaleziono pani bratową.

- Ach tak. - Pokiwała smutno głową. - Obawiam się, że niewiele pamiętam z tamtego dnia. Może usiądziemy? - Wskazała gościom kanapę, sama zaś spoczęła w fotelu o wysokim sztywnym oparciu. - Binney zaraz przyniesie nam coś do picia. Louis też za chwilę do nas dołączy. - Położyła ręce na kolanach. - Akurat rozmawia przez telefon. Prawdę mówiąc, cieszę się, że przez moment jesteśmy sami... Laurel, dawno go nie widziałaś, prawda?

- Louisa? Dziesięć lat.

- Dziesięć lat... Mieszkając tu, człowiek traci poczucie czasu. - Marion westchnęła. -

Jak byłaś mała, zapraszałam cię na podwieczorki, pamiętasz? Przestałam, kiedy Charles uciekł z Elise. Louis był w takim stanie, że... Po prostu nie chciałam, żebyś go widziała.

- Rozumiem, Marion. Nie jestem już małą dziewczynką.

- Nie, nie jesteś. - Na moment skierowała wzrok w stronę okna, na przyszyżone trawniki i ogromne dęby. - Louis... on się bardzo zmienił. Mijały tygodnie, miesiące, lata, a on stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Czasem bez powodu wybuchał złością, niekiedy bywał potwornie roztargniony. Zdarzało się, że... - Rozłożyła ręce w geście bezradności. -

Byli sobie niezwykle bliscy, on i Charles. Boleśnie przez brata zdradzony, postanowił

wyrzucić go z pamięci. Nigdy o nim nie wspomina...

- Wyobrażam sobie, jak bardzo musiało mu być ciężko. - Laurel pochyliła się i uściśnęła rękę starszej kobiety. - Marion, ja nie dlatego nie wpadałam do Heritage Oak, że ty mnie nie zapraszałaś, ale dlatego, że Louis by sobie tego nie życzył.

- To prawda. Zamknął się, nie miał ochoty się z nikim widywać. - Na moment zamilkła. - Swoim ślubem z Anne bardzo mnie zaskoczył. Ale i ucieszył. Dzięki niej znów nabrał ochoty do życia.

- Wiem. Dzwoniłam do niego kilka tygodni po ślubie - wyjaśniła Laurel, widząc pytające spojrzenie Marion.

Marion ponownie splotła ręce. Paznokcie miała lśniące, owalne, niepolakierowane.

- Może przejawiał nadmierną opiekuńczość, ale... Anne była taka młoda i naiwna, a on ciężko doświadczony przez los. Mówię o tym, żebyście się nie zdziwili, kiedy zejdzie na dół.

- Przeniosła wzrok z Laurel na Matta i z powrotem na Laurel. - Tak wiele w życiu wycierpiał!

Jeżeli wyda wam się zimny, nieczuły... w ten sposób radzi sobie z bólem.

Umilkła na widok Binney, która weszła do salonu, pchając nieduży stolik na kółkach zastawiony szklankami i talerzykami.

- Mrożona herbata - oznajmiła Marion. - Nadal tak dużo słodzisz, Laurel?

- Niestety. - Nagle Laurel dojrzała tacę pełną maleńkich różowych ciasteczek. - Ojej, Binney, jak cudownie!

Gospodyni mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Wystarczyło, że wspomniałam kucharce, kto do nas wpadnie... Tylko niech się panienka za bardzo nimi nie opycha. Góra trzy sztuki, bo inaczej panna Olivia da mi burę.

Śmiejąc się radośnie, Laurel poczęstowała się ciastkiem. Różowa słodycz sprawiła, że znów załała ją fala wspomnień.

- Binney w ogóle się nie zmieniła. Dom też jest taki jak dawniej...

- Domy nigdy się nie zmieniają - rzekła Marion, podając gościom mrożoną herbatę z grzechoczącymi kostkami lodu. - Zmieniają się jedynie ich mieszkańcy.

Raptem Laurel wyprostowała się. Nie słyszała kroków, ale wyczuliła obecność Louisa.

Odstawiwszy szklankę, obejrzała się przez ramię i napotkała jego wzrok.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czy dziesięć lat to aż tak dużo? Skronie Louisa znaczyła siwizna. To jej nie zdziwiło.

Twarz przy wargach i nosie przecinały głębokie bruzdy. To też jej nie zdziwiło. Zdumiały ją natomiast oczy, które całkiem straciły dawny blask i wydawały się niemal martwe.

Był przeraźliwie chudy. Sama skóra i kości. To dodawało mu lat. Wyglądał starzej niż inni trzydziestosześcioletni mężczyźni. Przepelniona smutkiem Laurel podniosła się z kanapy i podeszła bliżej. Do swojego księcia z bajki.

- Louis...

Cień uśmiechu przemknął po jego wargach.

- Cześć, Laurel. To śmieszne, ale sądziłem, że ujrzę dziewczynkę. - Leciutko pogładził

ją palcem po brodzie. - Przeczuwałem, że wyrośniesz na wielką piękność, i nie pomyliłem się.

Modliła się w duchu, aby w jego oczach pojawił się blask, odrobina ciepła i życia.

Modły nie zostały wysłuchane.

- Brakowało mi ciebie... - Była zdenerwowana, on również był spięty. - Louis, to jest mój kolega z pracy, Matthew Bates.

- Myśmy się chyba już poznali? - rzekł, przesywając go spojrzeniem.

- Kochanie, napijesz się mrożonej herbaty? - spytała Marion, podnosząc dzbanek.

- Nie.

Urażona szorstkością brata, Marion zacisnęła gniewnie usta. Nawet tego nie zauważył.

Matt też nie. Obaj wpatrywali się w Laurel.

- Tym razem nie przyszłaś tu na herbatę i ciastka, prawda, Laurel?

Przeszedłszy na drugi koniec salonu, Louis stanął przed pustym kominkiem. Wyżej, na ścianie, wisiał olejny portret jego matki. Laurel doskonale pamiętała ten obraz. Zdobiał to miejsce od niepamiętnych czasów, z wyjątkiem paru miesięcy, kiedy nad kominkiem wisiał

portret Elise.

- Nie traćmy czasu - rzekł Louis. - Zgodziłem się spotkać z tobą i panem Batesem, żeby położyć kres plotce, którą puściła Susan Fisher: A więc pytaj, Laurel. Może uda mi się udzielić ci wyczerpujących odpowiedzi. Kiedyś potrafiłem...

- Louis. - Korciło ją, by do niego podejść, jakoś go pocieszyć; powstrzymało ją jednak ostrzegawcze spojrzenie Matta. - Przykro mi, że zakłócamy ci spokój.

- Trudno. - Z kieszeni na piersi wyjął cygaro. Przez moment obracał je w palcach, po czym przytknął do niego zapałkę. - Nic nie jest takie jak dawniej. No, pytaj.

Poczuła ucisk w żołądku. Louis wciąż miał w sobie to coś - tę niesamowitą siłę i determinację, które pozwoliły mu przejąć kontrolę nad wielomilionową firmą, zanim jeszcze ukończył studia. I które do tego stopnia oczarowały małą dziewczynkę, że nawet jako dorosła kobieta pozostawała pod jego urokiem. Ale przeszkadzał jej chłód w jego oczach. Dlatego otchłań pomiędzy wspomnieniami a rzeczywistością zaczęła się gwałtownie powiększać.

- Susan jest przekonana, że Anne nigdy sama nie poszłaby na bagna - zaczęła. -

Twierdzi, że jej siostra panicznie bała się ciemności, a w listach pisała, że bagna wręcz napawają ją przerażeniem.

- Uważa też, że ktoś tam Anne zaciągnął siłą - dokończył Louis. - Już to wszystko słyszałem.

Nie zapominaj, że jesteś dziennikarką, powiedziała do siebie Laurel; masz zadanie do wykonania.

- Louis, czy Anne bała się bagien? Wypuścił z ust kłęby dymu.

- Owszem - odparł. - Ale skoro tam ją znaleziono, to znaczy, że przełamała strach.

- Po co miałyby tam chodzić?

- Może by sprawić mi przyjemność? - Niedbalym gestem strzepnął popiół do czystego paleniska. - Wstydziała się lęku, z którym nie potrafiła uporać się od najmłodszych lat. Ale starała się go pokonać. Kiedy szliśmy razem, już nie zapalała w korytarzu światła... - Obrócił

się w stronę pary dziennikarzy. - Opowieści o duchach nawiedzających bagna pobudzały jej wyobraźnię. Wiedziała, że to mnie denerwuje. - Zaciągnął się cygarem. - Zależało jej na mojej... aprobacie.

- Myślisz, że w nocy wybrała się na bagna, aby ci się przypodobać? - zdumiała się Laurel.

- Wydaje mi się to bardziej prawdopodobne niż to, że ktoś zakradł się do domu i wyciągnął Anne z sypialni, nie czyniąc przy tym najmniejszego hałasu. - Zmierzył Laurel chłodnym wzrokiem. - Czytałaś raport policyjny?

- Tak. - Zwilżyła wargi. Przypomniała sobie zdjęcie martwej postaci.

- Więc chyba nie ma sensu tego kontynuować.

- Czy pańska żona często miała kłopoty z zasypianiem? - wtrącił się do rozmowy Mart.

- Czasami. Zwykle wtedy, kiedy pracowałem do późna. - Louis zerknął w stronę okien. - Wydawało jej się, że na bagnach migoczą światełka.

- Ktoś jeszcze je widział?

Louis wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Na przestrzeni lat wiele osób, zazwyczaj po wypiciu paru szklanek whisky.

- Panie Bates... - głos zabrała Marion. - Bagna przerażały Anne, a zarazem ją intrygowały. To się często zdarza, że coś, czego się boimy, jednocześnie nas fascynuje. Może gdybyśmy nie lekceważyli jej strachu i fascynacji... gdybyśmy sami za dnia oprowadzili ją po mokradłach, może wtedy nie wybrałaby się tam nocą.

- Marion, naprawdę myślisz, że Anne zdołała przezwyciężyć strach? - spytała Laurel.

- To jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy. Wszyscy ją kochaliśmy. -

Zatrzymała spojrzenie na bracie. - To była taka słodka, łagodna istota... W ostatnim czasie wydawała mi się dziwnie spięta. Sądziłam, że to z powodu przyjęcia, które planowaliśmy wydać na jej cześć.

- Jakie to ma teraz znaczenie? - Louis wrzucił cygaro do kominka. - Anne nie żyje i nic tego nie zmieni. Listy, które pisała do siostry...

- Ktoś je ukradł, zabrał z pokoju Susan - oznajmiła cicho Laurel.

- Co za bzdura! - Wzruszył gniewnie ramionami. - Kto by kradł cudze listy? Na pewno się gdzieś zawieruszyły.

- Od państwa ślubu minął prawie rok - zauważył Matt - ale nawet najbliższym sąsiadom nie przedstawił pan żony. Dlaczego?

- To moja sprawa.

- Louis, proszę cię. - Laurel postąpiła krok bliżej. - Po prostu staramy się zrozumieć...

- Zrozumieć? - Prychnął pogardliwie. - Nie sądzę, żebyście potrafili. Anne była niemal dzieckiem, kiedy się pobraliśmy, dzieckiem niewiele starszym od ciebie, kiedy widziałem cię po raz ostatni. Ale nie miała twojej pewności siebie, twojej odwagi. Trzymałem ją w odosobnieniu, bo tak chciałem. Bo uważałem, że tak będzie lepiej. Dzieliła nas duża różnica wieku.

- Nie ufaleś jej - szepnęła Laurel.

- Tylko głupcy ufają!

- Czy to nie dziwne, jak bardzo Anne przypominała z wyglądu pańską pierwszą żonę?

- spytał ni stąd, ni zowąd Matt.

Marion wciągnęła z sykiem powietrze. W salonie zaległa grobowa cisza. Louis stał jak rażony piorunem. Po chwili bez słowa odwrócił się i wyszedł.

- Nie gniewajcie się, on nie jest sobą. - Marion zaczęła nerwowo przesuwać szklanki. -

Irytują go takie porównania.

- Są nieuniknione - zauważył Matt. - Podobieństwo fizyczne obu pań jest zdumiewające.

- Nie tylko fizyczne - szepnęła Marion, po czym dodała pośpiesznie: - Oczywiście ma pan rację, panie Bates. Ale Louis z nikim nie rozmawia o Elise i Charlesie. Jeżeli nie macie więcej pytań...

- Marion, czy znasz Nathana Brewstera? - zapytała nagle Laurel.

Marion opuściła szybko wzrok.

- Tak, oczywiście. To jeden z księgowych Louisa.

Mart wymienił z Laurel porozumiewawcze spojrzenie.

- Anne parę razy wymieniła nazwisko Brewstera w listach do siostry.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Parę razy odwiedził nas służbowo. Był jedną z niewielu osób, które Anne poznała. - Kobieta wstała, uśmiechając się przepraszaście. - Przykro mi, że nie mogłam wam bardziej pomóc, ale myślę, że wątpliwości Susan... że nie warto się nimi przejmować. - Wyciągnęła rękę do Laurel. - Odwiedź mnie, kochanie. Na pogaduchy, tak jak dawniej.

- Dobrze. Przekaż Louisowi... - Laurel westchnęła ciężko. - Powiedz mu, że przepraszam.

W milczeniu opuścili posiadłość Trulane'ów i w milczeniu wsiedli do samochodu.

Czując narastającą wściekłość, Matt przysięgł sobie, że nie będzie komentował wizyty. Nie wytrzymał. Przeklinając siarczyście, skręcił ostro kierownicą i zatrzymał samochód na poboczu.

- Do jasnej cholery, Laurel! Przestań!

- Co? - Siedziała z rękami na kolanach i patrzyła tępo przed siebie.

- Opłakiwać go.

Obróciła się przodem. Oczy miała suche, ale spojrzenie aż nadto wymowne.

- Och, Matt, on sprawia wrażenie takiego zagubionego...

- Laurel...

- Wiem, ludzie się zmieniają. Spodziewałam się zmiany, ale nie przypuszczałam, że będzie tak cierpiał.

Zły na Trulane'a i jego cierpienie, Matt zgarnął Laurel w ramiona. Nie zaprotestowała, przeciwnie, przytuliła się. Zaczął gładzić ją po włosach. Zamknęła oczy. Promienie słońca wpadały do samochodu. Nieopodal na przydrożnych drzewach śpiewały ptaki.

- Strasznie mi go żal - powiedziała cicho. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ważną postacią był dla mnie w dzieciństwie. Kiedy go dziś zobaczyłam... - Nie dokończyła. Z głową opartą na ramieniu Matta obserwowała pocętkowaną przez słońce asfaltową drogę.

- Życie każdemu rozdaje ciosy. Liczy się to, jak sobie z nimi radzimy.

- Kiedy kogoś kochasz i ten ktoś umiera, częśćka ciebie też umiera.

- Owszem, śmierć ukochanej osoby nas okalecza. Lecz nie zabija. Okaleczeni żyjemy dalej. I powoli wracamy do zdrowia.

Miał rację. Mimo to wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, co zobaczyła na twarzy Louisa. Oddychała głęboko. Oprócz radosnego świergotu ptaków słyszała równomierne bicie serca Matta. Dobrze jej tak było z policzkiem przytulonym do jego piersi.

- Prosiłam, żebyś nie był dla mnie taki miły... Uniósłszy głowę, ujął Laurel za brodę, by popatrzeć jej w oczy.

- Zamknij się - szepnął, po czym ją pocałował. Tym razem to nie było lekkie muśnięcie. Tym razem wyczuwała w pocałunku gniew, którego nie rozumiała, i pożądanie, któremu nie umiała się oprzeć. Nie broniła się. Pragnęła Matta z całych sił; dopiero teraz w pełni to sobie uświadomiła. Wcześniej, ilekroć na niego patrzyła, pożądanie w niej narastało, ale je ignorowała. Dłużej jednak nie potrafiła udawać.

- Matthew... - Starła się spowolnić oddech.

- To nie... ja nie... Nie jestem jeszcze gotowa - szepnęła.

- Wkrótce będziesz - oznajmił, usiłując powściągnąć zarówno pożądanie, jak i zniecierpliwienie.

- Sama nie wiem. - Pokręciła głową. - Mówiłam ci, że mieszasz mi w głowie?

Mieszasz. Nigdy dotąd nie pragnęłam mężczyzny. Gdyby ktoś mi powiedział, że przy tobie...

że ty... po prostu bym nie uwierzyła.

- A jednak... - Przytulił ją mocniej. - Lepiej zacznij przyzwyczajać się do tej myśli. -

Nagle zmarszczył czoło. - Powiedziałaś, że nigdy dotąd nie pragnęłaś mężczyzny... To znaczy, że z żadnym nigdy nie byłaś?

- Skoro nie pragnęłam, to i nie byłam - odparła, unosząc brodę. - Nie robię niczego na siłę.

Czyżby trzymał w objęciach dziewicę? Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Był aż tak ślepy? Wolno rozluźnił uścisk. Laurel wyprostowała się.

- To zmienia nieco sytuację, prawda? - Zapalił papierosa. - Tak, trochę to zmienia sytuację -

powtórzył szeptem. - Będę twoim pierwszym kochankiem...

- Co za zarozumiały...

- Później pogadamy o moim zarozumiałstwie. - Wypuścił z ust obłok dymu. - A na razie wróćmy do Anne i Louisa Trulane'ów. Mam kilka hipotez...

Przekręcił ponownie kluczyk w stacyjce. Laurel odgarnęła z twarzy włosy, powtarzając sobie, że należy pamiętać o priorytetach, a w tym momencie priorytetem jest praca.

- W porządku - mruknęła. - Słucham. Z piskiem opon wjechał na szosę.

- Załóżmy, że Louis ożenił się z Anne, ponieważ przypominała mu pierwszą żonę.

- E tam! Chyba sam w to nie wierzysz?

- Daj mi dokończyć. Może ją kochał, może nie. Ważniejsze od miłości było jej podobieństwo do Elise. Po ślubie zamieszkali w Heritage Oak. Louis nikogo nie zapraszał, nigdzie z Anne nie bywał. Nie ufał jej. Bał się, że ktoś mógłby mu ją odebrać.

- Został boleśnie zraniony.

- Zgadza się. - Cisnął niedopałek za okno. - Miał obsesję na punkcie zdrady. Lękał się, że Anne zainteresuje się młodszym mężczyzną. Był zazdrosny, podejrzliwy. A jeśli Anne się zbuntowała? Jeśli Louis zaczął wątpić w jej lojalność?

- Sugerujesz, że mógł zabić żonę, ponieważ zawiodła jego zaufanie? - spytała Laurel.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. - To absurd. Louis nie skrzywdziłby muchy.

- Skąd wiesz, do czego byłby zdolny? - odparował Matt. - Znałaś dawnego Louisa.

Człowieka, którego dziś widziałaś w salonie, nie znasz.

To prawda, nie zna dzisiejszego Louisa.

- Twoja hipoteza nie trzyma się kupy, Matt. Choćby kwestia czasu. Sekcja wykazała, że Anne zmarła między dwunastą w nocy a czwartą nad ranem. Louis zaś postawił na nogi cały dom między drugą a trzecią.

- Mógł wybrać się z Anne na bagna przed drugą. Może wcale nie planował jej zabić.

Może chciał ją po prostu nastraszyć?

- To po co by montował ekipę poszukiwawczą?

Na moment Matt oderwał spojrzenie od szosy.

- Może zapomniał, że zostawił Anne na bagnach?

Laurel otworzyła usta, po czym je zamknęła. Przypomniała sobie, co Marion mówiła o wybuchach złości i roztargnieniu brata. Psiakrew! Przez resztę drogi siedziała pogrążona w zadumie, nie odzywając się. Przecież żaden człowiek nie zapomniałby, że wyszedł z żoną, a wrócił sam. Przynajmniej żaden normalny, zdrowy na umyśle człowiek.

Matt zatrzymał samochód przy krawężniku.

- Dokąd idziemy?

- Porozmawiać z Nathanem Brewsterem. Laurel wyjrzała przez okno. Stali przed jednym z najstarszych, najelegantszych budynków w mieście, który od dziesięcioleci należał

do Trulane'ów. No dobrze, pomyślała, może zdobędą tu jakieś informacje, które odsuną podejrzenia od Louisa.

- Marion nie chciała mówić o Brewsterze...

- Wiem. - Matt wysiadł z samochodu. - Dowiedzmy się dlaczego.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała cicho, wchodząc do budynku. - Że Anne przespała się z Brewsterem, a Louis to odkrył. I zamiast zrobić żonie awanturę albo wystąpić o rozwód, zaciągnął ją w nocy na bagna i porzucił.

Przystanąwszy przed wielką tablicą, Matt przeczytał, gdzie mieści się księgowość.

- Owszem, taki rozwój wypadków przyszedł mi do głowy - przyznał.

- Jesteś uprzedzony do Louisa.

- A żebyś wiedziała - mruknął pod nosem, wciągając Laurel do windy. - Słuchaj.

Porozmawiajmy z facetem i zobaczymy, co powie. Może wcale nie spał z Anne? Może jedynie defraudował forszę? Albo miał romans z Marion?

- Ponosi cię wyobraźnia, Bates - oznajmiła, krzyżując ręce na piersi.

- Gniewasz się?

- Nie bądź śmieszny! - Zniecierpliwiona pokręciła głową. - Po prostu nie podoba mi się twoja hipoteza, i tyle.

- Przedstaw swoją.

Patrzyła na wyświetlające się numery pięter.

- Później, jak stąd wyjdziemy. Opuściwszy windę, energicznym krokiem ruszyła po miękkiej wykładzinie w stronę recepcji.

- Laurel Armand i Matthew Bates z „Heralda” - rzekła do siedzącej przy biurku kobiety. - Chcielibyśmy się zobaczyć z Nathanem Brewsterem.

Recepcjonistka otworzyła terminarz.

- Jesteście państwo umówieni?

- Nie. Proszę powiedzieć panu Brewsterowi, że chcemy porozmawiać o Anne Trulane.

- Niech państwo usiądą. Sprawdźę, czy pan Brewster państwa przyjmie.

- Nieźle, Laurellie - szepnął Matt. - Mogłabyś zrobić karierę w wojsku.

- Chodzi ci o mój ton? - Spoczęła w fotelu pod palmą. - W urzędach tylko taki należy stosować.

Uśmiechnął się. Znikła smutna, pogrążona w zadumie dziewczyna, którą pocieszał w samochodzie; jej miejsce zajęła pewna siebie, przebojowa dziennikarka.

- Pan Brewster państwa zaprasza... - oznajmiła recepcjonistka, po czym poprowadziła ich długim korytarzem, na końcu którego otworzyła drzwi.

Brewster emanował seksem. Owszem, był ciemny, przystojny, może nie za wysoki, ale dobrze zbudowany - to wszystko jednak nie miało znaczenia. Po prostu biła od niego zwierzęca zmysłowość.

- Chcieli państwo ze mną porozmawiać o Anne Trulane? - Wskazawszy gościom dwa skórzane fotele, zajął miejsce za biurkiem.

- Tak. - Przyglądając mu się uważnie, Laurel zastanawiała się, w jaki sposób taka młoda, niedoświadczona kobieta jak Anne reagowałaby na widok Nathana Brewstera.

- Anne nie żyje - stwierdził bezbarwnym głosem. - Dlaczego prasa się nią interesuje?

- Widywał pan Anne w Heritage Oak - rzekła Laurel, ignorując pytanie mężczyzny. -

Niewiele osób miało okazję ją poznać.

- Bywałem tam służbowo. - Podniósł z biurka ołówek i zaczął obracać go w palcach.

- Jakie sprawiła na panu wrażenie?

- Była młoda, nieśmiała. Ja przyjeżdżałem na konsultacje do pana Trulane'a. Z nią rzadko rozmawiałem.

- To dziwne - powiedział Matt, obserwując ołówek w palcach Brewstera. - Pana nazwisko jako

jedno z nielicznych pojawia się w listach Anne.

Ołówek złamał się na pół.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Anne wspominała pana w listach do swojej siostry. - Matt nie spuszczał oczu z księgowego.

- Susan Fisher nie wierzy, że śmierć Anne była przypadkowa.

- Anne zmarła wskutek ukąszenia węża. - Na szyi Brewstera pulsowała żyła.

- Tak, na bagnach - wtrąciła Laurel. - Wiedział pan, że Anne bała się bagien?

Posłał Laurel wściekłe spojrzenie.

- Nie. Skąd mógłbym wiedzieć?

- Jak pan myśli: po co poszła w miejsce, które budziło jej strach?

- Może miała dość życia w więzieniu! - wybuchnął. - Może chciała się z niego wydostać?

- Z więzienia? - powtórzyła Laurel. - Twierdzi pan, że Louis Trulane więził żonę?

- A nie? - Ścisnął w dłoni złamany ołówek.

- Miesiącami tkwiła w tym wielkim domu, nie widząc nikogo poza służbą i mężem, który bacznie obserwował każdy jej krok. Niczego nie robiła bez pytania go o zgodę. Sama nigdy nawet nie przekroczyła bramy posiadłości.

- Czy była nieszczęśliwa? Skarżyła się panu?

- Kto wie. Trulane traktował ją bardziej jak córkę niż jak żonę. Ona potrzebowała kogoś, kto by w niej widział kobietę.

- Kogoś takiego jak pan? - spytał cicho Matt. Brewster oddychał coraz szybciej.

Widać było, że jeszcze trochę, a straci nad sobą panowanie.

- Pragnąłem jej - oznajmił szorstko. - Odkąd zobaczyłem, jak w promieniach słońca spaceruje po trawie. Uwielbiała słońce. A ja ją kochałem.

- Czy Anne odwzajemniała pańskie uczucie?

- Prędzej czy później odeszłyby od męża. - Krew napłynęła Brewsterowi do policzków. - W końcu ile można wytrzymać w zamknięciu? Odeszłyby...

- I przyszłyby do pana? - zapytała Laurel.

- Tak. - Z jego oczu bił żar. - Tłumaczyłem jej, że nie musi tkwić w więzieniu. Że pomogę jej się wydostać. Mówiłem, że lepiej umrzeć, niż żyć u boku... u boku...

- Louisa - dokończyła za niego Laurel.

- To musiało być niesłychanie frustrujące - zauważył Matt. - Być zakochanym w żonie szefa, rzadko się z nią widywać, nie móc jej powiedzieć, co się czuje...

- Wiedziała, co do niej czuję! - zirytował się Brewster. - Ale jakie to ma teraz znaczenie? Anne nie żyje. To miejsce ją zabiło. On ją zabił. - Gniewnym wzrokiem powiódł

po dziennikarzach.

- Możecie to wydrukować!

- Uważa pan, że Louis Trulane zabił żonę?

- spytał Matt.

Brewster zgarnął z biurka odpryski połamanego ołówka, po czym otrzepał dłonie.

- Na pewno doprowadził do jej śmierci. Anne nie wytrzymała, postanowiła uciec. Ale nie przyszła do mnie. - Zaciśnął dłonie w pięści. - A teraz zostawcie mnie w spokoju.

- Co za smutny, zgorzkniały facet - powiedziała Laurel, kiedy wyszli z budynku na zalaną słońcem ulicę.

- Nawet nie próbuje ukryć niechęci wobec Louisa.

Laurel zadrżała.

- Rozumiem, dlaczego Anne czuła się przy nim spięta. - Oparła się o samochód.

- Podaj mi chociaż jeden powód. - Matt przytknął zapalnik do papierosa.

- Bije od niego zwierzęcy magnetyzm. - Zadarłszy głowę, popatrzyła na ciąg okien. -

Tacy mężczyźni wzbudzają skrajne emocje. Jedne kobiety nie mogą im się oprzeć, inne na sam ich widok ogarnia paniczny strach. Nie jestem psychiatrą, ale podejrzewam, że Anne należała do drugiej grupy. - Obróciwszy się do Matta, dodała:

- Mam inną hipotezę.

- Mów.

- Brewster kocha Anne, albo mu się tak wydaje, wszystko jedno. Wyznaje jej miłość i prosi, żeby odeszła od męża. Co by Anne wtedy czuła? Na pewno byłaby zaskoczona, przerażona, ale i mile połączona.

- Połączona? - Matt uniósł brwi.

- Jasne. W końcu to kobieta. Młoda i niewinna. - Laurel ponownie zerknęła na rząd okien. - Wyznanie Brewstera wywołuje jej strach, a jednocześnie łechcze jej próżność. Anne nie wie, jak się zachować. Brewster naciska, przekonuje, że z nim będzie szczęśliwsza. Ona kocha męża, ale czuje się zagubiona. Nie ma się kogo poradzić, wstydzi się pisać o tym nawet do siostry.

Matt pokiwał z namysłem głową.

- Mów dalej.

- Brewster żąda, żeby spotkała się z nim sam na sam. Grozi, że jeśli odmówi, on opowie o wszystkim Louisowi. Anne wpada w popłoch. Zależy jej na aprobachie i zaufaniu męża. Wie, co zrobiła jego pierwsza żona... - Laurel zmrużyła oczy, usiłując sobie wyobrazić dalszy ciąg. - Zgadza się spotkać z Brewsterem. Umawiają się wieczorem w ogrodzie, kiedy Louis jest zajęty pracą. Kłócą się; ona nie chce opuścić męża. Brewster jest przekonany, że Anne go kocha. Ciągnie ją za dom, z dala od światła. Ona panikuje; wrywa się i zaczyna uciekać. Trafia na bagna. Nie wie, którędy wrócić.

Brewster nie może jej znaleźć. Albo nie próbuje. I właśnie wtedy... - Zawiesiła głos.

- Ciekawe - przyznał Matt, gasząc butem papierosa. - I oczywiście całkiem prawdopodobne. Cholera, szkoda, że nie mamy tych listów - zauważył nagle. - Musiała w nich coś napisać, inaczej by ich nie skradziono.

- Masz rację.

- Chcę pójść na bagna. Rozejrzeć się. Poczwała ciarki na grzbiecie.

- Dzisiaj? - Wiedziała, że prędzej czy później Matt wpadnie na ten pomysł. - No dobra. Trzeba kupić spray przeciw komarom.

Uśmiechając się, dał jej pstryczka w nos.

- Wystarczy, jak jedno z nas tam pójdzie.

- Nic z tego, Bates - oburzyła się. - Jak chcesz, możesz mi towarzyszyć, ale niczego nie możesz mi zabronić. To mój temat.

- Nasz temat - poprawił. - Zresztą pewnie niczego nie znajdziemy, poza błotem i komarami.

f węzami, dodała w myślach Laurel.

- Na razie chodźmy coś przekąsić, a potem wracajmy, zanim wywalą nas z roboty.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ponad godzinę spędzili w kostnicy, jak potocznie nazywano gazetowe archiwum.

Mniej więcej za rok wszystko miało być już skomputeryzowane. Praca w zawałonym papierami, ogromnym pomieszczeniu miała swój urok, ale szukanie informacji w komputerze na pewno będzie odbywało się sprawniej. Pociągnie za sobą konieczność zdobycia nowych umiejętności, niektórzy w redakcji będą narzekać, ale nie ona, nie Laurel Armand.

- Dwa lata temu, w kwietniu - powiedziała, przebiegając wzrokiem artykuł na drugiej stronie.

- Brewster wdał się w jakąś bójkę. - Podniosła oczy. - Babcia będzie dokładnie wiedziała.

- Wspomniała o jego siostrze...

- To z jej powodu była ta bójka. Siostra Brewstera spotykała się z facetem, który nie wylewał za kołnierz. Któregoś dnia gość zobaczył ją z kimś w barze. Zrobił awanturę, potem na siłę próbował ją stamtąd wyciągnąć. Brewster się wściekł. Dziesięciu facetów usiłowało ich rozdzielić. Zanim im się udało, Brewster rozwalił dwa stoły, lustro, narzeczonemu siostry złamał trzy żebra, nos, szczękę, a sobie rękę.

- No proszę. Trafił za kratki?

- Nie. Zapłacił za wyrządzone szkody. Przeciwnik nie wniósł skargi. - Laurel zapisała coś w notesie.
- Zdaje się, że kiedy Brewster wpada w gniew, to totalnie traci kontrolę.

Postaram się zlokalizować jego siostrę. Może mówił jej coś o Anne.

- Może.

Zobaczyła, że Matt również coś notuje.

- Co masz? - spytała.

- Nic takiego. Muszę podzwonić w kilka miejsc - rzekł, wstając.

- Matthew... - opuściwszy kostnicę, ruszyli do windy - czy to nie ty mówiłeś o konieczności ścisłej współpracy?

- I będziemy współpracować. Ale najpierw muszę podzwonić. - Uśmiechnął się.

- Zatem to ty ustalasz zasady, tak? - spytała, nie kryjąc irytacji.

Po chwili dojechali na miejsce i rozdzielili się. W swojej pracy dziennikarze muszą przywyknąć do niegrzecznych ripost, odkładanych z trzaskiem słuchawek, do zwodzenia i wykrętów. Laurel ze wszystkim tym miała do czynienia, kiedy próbowała odnaleźć Kate Brewster. A gdy ją w końcu zlokalizowała, znów musiała słuchać gniewnych odpowiedzi i wykrętów.

Siostra Brewstera nie zamierzała z nikim rozmawiać ani o bójkę w barze, ani o swoim bracie. Na dźwięk imienia Anne zawahała się, po czym nieco piskliwym głosem - czyżby się bała? - stwierdziła, że nie zna takiej osoby.

Chwilę później Laurel usłyszała ciągły sygnał. Psiakrew! Podniósłszy głowę, zobaczyła Matta przytrzymującego ramieniem słuchawkę; coś zawzięcie notował.

Przynajmniej jedno z nas posuwa się naprzód, Pomyślała rozgoryczona, przysiadając na skraju jego biurka. Wytężyła wzrok, ale nie dała rady odczytać bazgrołów, tym bardziej że patrzyła na nie z góry.

Odruchowo sięgnęła po stojący na biurku styropianowy kubek ze stygnącą kawą i wypila łyk. Nagle usłyszała, jak Matt mówi coś o Elise Tralane.

Z kim on rozmawia? - zastanawiała się, podczas gdy on bazgrał dalej w notesie, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Najwyraźniej podobieństwo między żonami Louisa nie dawało mu spokoju. Ale co ma wspólnego kobieta, która uciekła od męża, z kobietą znaną na bagnach? Raptem Laurel zrobiło się niedobrze. Czyżby chodziło o zemstę? To byłoby szaleństwo. Louis nie był... nie mógłby...

Napotkała spojrzenie Matta. Nie umiała odgadnąć, o czym Matt myśli, ale po jego minie widziała, że czyta w jej myślach. Odwróciwszy się, popatrzyła w stronę gabinetu Dona Ballingera. Informacje, które przekazali naczelnemu, były dość ogólne i pełne znaków zapytania, ale wystarczyły, by dostali zgodę na zajęcie się tematem.

Matt odłożył słuchawkę.

- Czego się dowiedziałas? - spytał, stukając ołówkiem w blat.

- Nic. Może tylko tego, że siostra Brewstera nie chce rozmawiać z obcymi o swoim bracie. I wystraszyła się, kiedy spytałam ją o Anne. A ty jakie masz wieści?

Przez chwilę, nieobecny myślami, bawił się ołówkiem. Laurel z zaciekawieniem przyglądała się jego

dłoniom, jakże innym od rąk Brewstera i Louisa. Przestań, zganiła się w duchu. Skup się, babo, na pracy.

- Matthew? Ocknął się.

- Co? A tak. Więc wygląda na to, że obie żony Trulane'a łączyło coś więcej niż samo podobieństwo fizyczne. - Odłożył ołówek i wyciągnął z paczki papierosa. - Obie miały tylko jedną krewną, Anne siostrę, a Elise ciotkę. Z którą właśnie rozmawiałem.

- Po co?

- Tak sobie - odparł, wydychając nosem dym. Dziennikarz przy sąsiednim biurku zaklął siarczyście i odłożył słuchawkę. - Opowiedziała mi o swojej siostrzenicy. Podobno Elise była cicha i nieśmiała. Kochała Heritage Oak i w przeciwieństwie do Anne szybko wczuła się w rolę pani domu. Uwielbiała planować posiłki i przyjmować gości, chciała przemeblować niektóre pokoje. Ciotka nie posiadała się ze zdumienia, kiedy Elise uciekła z bratem Louisa. Od tamtej pory nie miała z nią żadnego kontaktu. Mówi, że dałaby sobie głowę uciąć, że dziewczyna świata nie widziała poza mężem.

- Wszyscy tak sądzili - powiedziała Laurel. - Ale czy to takie dziwne? Jakoś sobie nie wyobrażam Elise mówiącej ciotce, lub komukolwiek innemu, o swoim romansie z Charlesem.

- To prawda. Ale dowiedziałem się jeszcze czegoś... - Nie spuszczał z Laurel oczu. -

Otóż w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin Elise miała odziedziczyć pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwadzieścia jeden lat skończyła miesiąc po wyjeździe z Heritage Oak.

Pieniądze do dziś nie zostały podjęte.

- Hm... - Laurel zamyśliła się. - Może boi się je ruszyć? Może nie chce zostawić śladu, po którym Louis mógłby ją odnaleźć?

- To duża suma...

- Owszem, ale nie rozumiem, co podjęcie lub niepodjęcie przez Elise pieniędzy może mieć wspólnego z Anne.

- Nie? - spytał Matt, wstając od biurka. - No dobrze, na razie skupmy się na tym, co nas czeka. Powinniśmy wypocząć przed wieczorną wyprawą.

- Słusznie. - Nie chciała się z nim kłócić. Poza tym rzeczywiście powinna się wyciszyć, zapanować nad swoimi emocjami.

W drodze do domu Matt zabawiał ją lekką rozmową o nieistotnych sprawach. Była mu za to wdzięczna. Zresztą w ten sposób ukrywał również własne myśli i uczucia. Denerwowało go na przykład, że ona ciągle staje w obronie Louisa, ale nie dawał tego po sobie poznać. Nie dawał również poznać, że ma ochotę wziąć ją w ramiona i sprawić, by raz na zawsze zapomniała o

Trulane'ach.

- Chyba się zdrzemnę - oznajmiła Laurel, wysiadając z samochodu. - To były męczące dwa dni.

To był męczący rok, pomyślał Matt, z trudem powściągając pożądanie.

- I czeka nas męcząca noc.

Po raz pierwszy, odkąd opuścili budynek redakcji, uśmiechnęła się.

- O której ruszamy na safari?

- Północ to chyba najbardziej odpowiednia pora na spotkanie z duchami. - Pociągnął ją za kosmyk włosów.

- W co się uzbroić? Bo czosnek ani drewniane kołki nie działają...

- Najlepiej w zdrowy rozsądek. Roześmiawszy się, Laurel schyliła się, by podnieść leżące na wycieracze opakowane pudełko.

- Co to? Niczego nie zamawiałam...

- Pewnie prezent od Jerry'ego. Na przykład pudełko ołówków kopiowych.

Zmierzyła go sardonicznym spojrzeniem.

- Dobranoc, Bates. - Po krótkim poszukiwaniu wyciągnęła z torebki klucze i otworzyła drzwi, po czym weszła do środka i zamknęła je Mattowi przed nosem.

Skierował się do własnego mieszkania. Ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa. Musi być ślepa, jeśli tego nie widzi. Przekręcił klucz w zamku. A może za bardzo pilnował się, by nie zdradzić swoich uczuć? Wchodząc do kuchni, ściągnął koszulę i cisnął na krzesło. Zakochał się w Laurel od pierwszego wejrzenia, ale tygodniami się do tego nie przyznawał nawet sam przed sobą. To znaczy zakochał się nie w żywej dziewczynie, lecz w twarzy na zdjęciu, które Curt postawił na ich wspólnym biurku w akademiku.

- To moja siostra - powiedział. - Latem dorabia jako goniec u ojca w gazecie.

Mattowi zapało dech. On, student ostatniego roku, człowiek, który wiele w życiu widział i doświadczył, stał jak zamurowany, wpatrując się w zdjęcie dziewczyny mającej na oko piętnaście lat. Po minucie czy dwóch podszedł do lodówki, wyjął sok pomarańczowy i opróżnił całą butelkę.

Pierwsze... hm, zauroczenie, opętanie, sam nie wiedział, jak je nazwać, minęło dość szybko. A przynajmniej tak mu się wydawało. Kiedy jednak kilka lat później dostał list od Williama Armanda, który powołując się na pokrewieństwo z Curtem, zaproponował mu pracę w „Heraldzie”, ani przez moment się nie wahał.

Oczywiście, pomyślał, wrzucając do kosza pustą puszkę po coli, sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby właścicielka tej cudownej twarzy ze zdjęcia nie grzeszyła inteligencją.

Albo gdyby okazała się osobą nijaką. Lub słodką idiotką. A tak... tak przez rok siedział naprzeciwko Laurel, wiedząc, że jest to dziewczyna, o jakiej marzył całe życie.

Zamierzał ją zdobyć, ale z uwagi na jej niewinność postanowił działać powoli, w sposób tradycyjny, czyli rozmowy, spacery i kolacje przy świecach, a nie seks na pierwszej randce. Zalała go fala pożądania. Psiakrew! Oby mu starczyło samokontroli!

Tak, zamierzał ją zdobyć, choć niekiedy przerażała go różnica w ich pochodzeniu.

Pokonał jednak wiele przeszkód i liczył na to, że szczęście nadal będzie mu sprzyjać.

Wsunął ręce do kieszeni i skierował się do łazienki, by wziąć prysznic. I nagle usłyszał krzyk.

Nie pamiętał, jak wybiegł na korytarz i pognął do mieszkania Laurel. Nie pamiętał, jak uderzał pięściami do drzwi i w końcu, zdesperowany, rozwalil zamek. Pamiętał jedynie rozdzierający krzyk oraz widok Laurel stojącej bez ruchu, z rękami zaciśniętymi na szyi, z trupio bladą twarzą i przerażeniem wyzierającym z oczu.

- Laurel! - Chwyciwszy ją za ramiona, obrócił do siebie i mocno przytulił. - Laurel, co się stało? Powiedz.

Czuł bicie jej serca. Czy możliwe, by waliło tak szybko? Stała jak słup soli, jeszcze nie zaczęła dygotać.

- Pudełko - szepnęła. - W pudełku...

Nie wypuszczając jej z objęć, zajrzał do leżącego na stole pudełka i zaklął siarczyście.

- Już dobrze, Laurellie. Nie bój się. Jest martwy, nic ci nie zrobi. - Trzęsąc się z wściekłości, uniósł ogon mokasy. - Nic ci nie zrobi - powtórzył.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła na jego rękę. Kropelki potu lśniły na jej czole.

Oddech miała gwałtowny, urywany.

- Matthew... błagam.

Bez słowa zakrył martwego węża i wyniósł pudełko z mieszkania. Kiedy wrócił

dwadzieścia, może trzydzieści sekund później, Laurel stała z pochyloną głową, oparta dłońmi o blat, i płakała. W milczeniu wziął ją na ręce, przeniósł na kanapę i ponownie przytulił.

Wtedy zaczęła drzeć.

Pięć minut, dziesięć... nic nie mówił, tylko trzymał ją w objęciach, a ona dygotała.

Wydawała się taka mała i krucha. Widywał ją w różnych stanach emocjonalnych, ale jeszcze nigdy nie widział jej tak bezbronnej. Obiecał sobie, że osoba, która przysłała pudełko z martwym wężem, drogo za to zapłaci. Już on się o to postara!

Jest bezpieczna. Nic jej nie grozi, gdy Matt trzymają w ramionach, mimo to dławił ją strach. Przytulona do nagiego torsu, czuła bijący od niego żar. Powtarzała w myślach, że zaraz wszystko znów będzie tak jak dawniej.

- Przepraszam - szepnęła wstrząsana dreszczami.

- Ciii. - Pocałował ją w czubek głowy, potem delikatnie pogłaskał po włosach.

- Zawsze tak reaguję na węże. Kiedyś w dzieciństwie jakiś mnie ugryzł. Nie pamiętam tego momentu, nie pamiętam bólu, nie pamiętam nic, ale od tamtej pory... po prostu nie daję rady...

- Już dobrze. Staraj się o tym nie myśleć. Powoli drzenie ustępowało, ale oddech wciąż miała urywany. Otarł jej z policzków łzy. Nie wiedział, co robić. Pragnął odwrócić uwagę Laurel od tego, co się stało, a także dorwać drania, który tak ją wystraszył.

- Należę ci kieliszek koniaku.

- Nie! - zaprotestowała, kurczowo przytrzymując się jego ramion. - Nie odchodź.

Trzymaj mnie. - Nienawidziła własnej słabości.

- Dobrze. Tak długo, jak tylko zechcesz. Usłyszał westchnienie ulgi, a po chwili poczuł, jak zaciśnięte palce się rozluźniają. Minęło kolejne dziesięć minut. W mieszkaniu panowała cisza. Sądził, że Laurel śpi. Była ciepła, oddech się jej uspokoił, serce biło miarowo. Jeśli tego chciała, gotów był trzymać ją w objęciach całymi dniami.

- Matthew... - Odchyliwszy głowę, popatrzyła mu w twarz. Wciąż była przeraźliwie blada, oczy miała zapuchnięte. - Nie odchodź.

- Nigdzie nie pójde. - Uśmiechając się czule, pogładził ją po brodzie. - Nigdzie.

Przycisnęła jego dłoń do ust. Nagle dojrzała błysk w jego oczach. W tym momencie uzmysłowiła sobie, że on właśnie na to czeka. Że od dawna tego pragnie. Jeśli teraz Matt poprosi ją, żeby... ale nie. Wiedziała, że nie poprosi. Że nie wykona żadnego niestosownego ruchu. To ona musi poprosić.

- Matt, kochaj się ze mną.

- Laurel... - zaczął zaskoczony. Jak mógłby kochać się z nią teraz, kiedy siedzi taka bezbronna? Każdego innego dnia nie wahałby się ani chwili.

- Laurel, powinnaś chyba odpocząć.

Dziwne, pomyślała; czyżby był speszony? Zawsze dotąd wydawał się jej pewny siebie. Hm, może jego uczucia do niej są równie pogmatwane, jak jej do niego?

- Matthew, mam świadomość, o co cię proszę - rzekła głosem, w którym nie było cienia niezdecydowania. - Pragnę cię. I to od dawna. - Poglądziła go po policzku. - Kochaj się ze mną, proszę. Tu, teraz.

Może zdołałby pohamować pożądanie, choć głowy by za to nie dał, ale nie potrafił się oprzeć jej pożądaniu. Z całej siły przycisnął ją do piersi i zaczął całować. W milczeniu mówił

jej o wszystkim. Miał wrażenie, że Laurel jest z gumy, że w jej ciele nie ma ani jednej kości.

Zlewała się z nim w jedno; była ciepła i prawdziwa.

Wtulił twarz w jej szyję, próbując zachować resztki samokontroli. Daremny wysiłek.

Chciał ją całować, pieścić, dotykać. Jego ręce błądziły po jej ciele, po krągłościach, badając, szukając...

- Laurel... - Zsunął jej bluzkę z jednego ramienia, by mieć do niego pełniejszy dostęp.

- Pragnę cię... pragnę do szaleństwa.

Powtarzał sobie, że nie powinien się spieszyć, ale nic to nie dało. Coraz bardziej podniecony zrzucił jej bluzkę na podłogę. Laurel westchnęła błogo.

- Nie tu... - szepnął, kiedy zaczęła go całować po szyi. - Nie tu... - powtórzył.

Wstał, nie wypuszczając Laurel z ramion, i przeniósł ją do sypialni. Słońce wpadało do pokoju przez szpary w drewnianych żaluzjach, stwarzając przytulny nastrój.

- Nie skrzywdzę cię.

- Wiem. - Uśmiechnęła się.

Materac ugiął się pod jego ciężarem. Laurel leżała z otwartymi oczami, spoglądając na twarz wyciągniętego obok mężczyzny. Nie bała się. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Pragnęła go od samego początku i od samego początku udawała, że tak nie jest. Teraz wreszcie może rozkoszować się jego bliskością, zapachem, dotykiem.

Pieścił ją wargami powoli, centymetr po centymetrze. Zza okna dobiegały smutne dźwięki trąbki, mieszały się z szeptem, z cichymi pomrukami. Opuszkami palców przesuwiał

po jej brzuchu, piersiach. I czekał. Czekał, aż ona nie będzie w stanie dłużej wytrzymać. Aż zacznie go błagać, by się z nią połączył.

Przeniosła się w świat zmysłowych doznań. O niczym nie myślała, nic nie robiła w sposób świadomy. Ciało ocierało się o ciało, płonęło, drżało. Gotowa była mu się oddać.

Wiedział o tym, obserwując jej reakcję. Była namiętna, ognista, pozbawiona zahamowań, a zarazem niewinna i niedoświadczona. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Mokra, rozgrzana czekała na niego. Był jej pierwszym mężczyzną, pierwszym kochankiem.

Spała, a on leżał obok niej i patrzył, jak widoczny przez okno skrawek nieba przybiera coraz ciemniejszy odcień. W końcu do środka zaczęły wpadać srebrzyste promienie księżyca.

Był zmęczony, ale dziesiątki myśli wirowały mu po głowie, nie pozwalając zasnąć.

Parę razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy usiłował w sobie wmówić, że kiedy wreszcie zdobędzie Laurel, to przestanie jej pożądać. Teraz, leżąc koło niej w łóżku i podziwiając jej zalane księżycowym światłem ciało, wiedział, że to nieprawda; że pożądanie nigdy nie wygaśnie. Potrzebował jej jak powietrza.

Fizycznie należała do niego. Potrafił ją rozpalić i zaspokoić. Ale czy będzie umiał

zdobyć jej serce, zasłużyć na jej miłość? Cerę miała jasną, gładką niczym porcelana. Długie rzęsy ocieniały jej policzki. Przesunął palcem po jej kości policzkowej. Czasem przyglądając się Laurel w redakcji, czuł się jak chłopiec, któremu ślinka leci na widok pysznych ciastek w cukierni. Teraz to ciasteczko leżało z głową na jego ramieniu. Pochyliwszy się, pocałował ją.

Przejście ze snu do stanu podniecenia trwało ułamek sekundy. Obudziła się i natychmiast zaczęła odwzajemniać pieszczoty. Tym razem było inaczej niż parę godzin temu, kiedy wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Teraz tempo było szalone; miała wrażenie, że mknie po wezbranej rzece...

Oboje jednocześnie wzniesli się na szczyt rozkoszy, potem dysząc ciężko, opadli z powrotem na ziemię. Nie przypuszczała, że mogą istnieć tak wspaniałe doznania. Kocham go, pomyślała, obejmując Matta za szyję. Gdyby wiedział, chyba porządnie by się wystraszył! A może nie? Uśmiechając się, owinęła sobie wokół palca kosmyk jego włosów. Matthew Bates, nie masz ze mną szans. Pokonam cię, wygram.

Westchnęła błogo. To dziwne, że seks tak cudownie rozleniwia...

- Czy chciałeś mi powiedzieć, że czas wstawać? - spytała cicho.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Chyba nie to mną kierowało.

- Wiesz... nie sądziłam, że my...

- A ja wiedziałem. Prędzej czy później to się musiało stać. A że stało się akurat dziś...

Cóż, ja nie narzekam.

Ona też nie narzekała, przeciwnie, była zachwycona.

- Podobasz mi się, Bates.

- Tak? - W jego oczach błysnęło rozbawienie.

- Tak. - Wysunąwszy język, oblizwała wargi.

- Chyba, Jankesie, zaczynam się przyzwyczajać do twoich blond włosów i dziwnego akcentu. A może... - przygryzła wargi, z trudem hamując śmiech - może po prostu podoba mi się twoje ciało. Ćwiczysz?

Oparł się na łokciu.

- Czasem.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Podnosisz ciężary? - Nie.

- To dobrze, nie przepadam za mięśniakami... No co? Gotów do drogi?

- Do drogi? - Pocałował ją lekko w usta. - Co masz na myśli?

- Spacerek po bagnach.

Zaczął szybko kombinować. Gdyby udało mu się skutecznie odwrócić uwagę Laurel, a potem poczekać, aż zasnie, wtedy mógłby wymknąć się cichcem...

- A może byśmy to przełożyli na kiedy indziej?

- Na kiedy indziej? - Przejrzała go na wylot.

- To znaczy poczekałbyś, aż zasnę, i sam pojechał?

Powinien był wiedzieć, że nie zdoła jej przechytrzyć.

- Laurel... - Zakrył dłonią jej pierś.

- O nie, Bates! - Zmieniła pośpiesznie pozycję.

- Pracujemy razem, stanowimy zespół.

- Posłuchaj. - Ujął ją za ramiona. - Wystarczy, jak jedno z nas dokona oględzin terenu.

Tak będzie szybciej i prościej.

- Więc ty zostań, a ja pojedę. - Pocałowała go i usiadła na łóżku.

- Psiakrew, Laurel. Pomyśl!

- O czym? - Podeszła naga do komody i wyciągnęła szufladę.

- Mnie nikt nie zostawił zdechłego węża pod drzwiami.

Trzymając w ręce bawełniany podkoszulek i majtki, obróciła się przodem.

- To prawda - odrzekła zaskakująco spokojnym głosem. - Akurat trafiło na mnie.

Widocznie ktoś czuje się zagrożony naszym działaniem. I bardzo dobrze. Bo nie zamierzam się poddać. - Jej gołe ciało lśniło w blasku księżyca.

- Posłuchaj. - Matt opuścił nogi na podłogę. - Kiedy się dowiemy, kto ci to przysłał, możesz... wszystko jedno, dać mu w zęby lub co chcesz. Nie będę cię powstrzymywał. Ale teraz mówimy o wyprawie na bagna, gdzie jest mnóstwo węży, w dodatku żywych. Więc zastanów się...

Specjalnie to powiedział, bo chciał ją zniechęcić, ale kiedy zobaczył, jak biedna zaciska palce na ubraniu, pożałował swoich słów.

- Nie będę patrzeć. - Wciągnęła majtki. - No, ubieraj się.

- Uparty osioł!

- Dobra, dobra. - Włożywszy podkoszulek, zmierzyła Matta gniewnym wzrokiem. -

Może jestem uparta, ale nie jestem głupia. Nadawcy paczki, czyli Brewsterowi albo... albo Trulane'om, najwyraźniej zależy na tym, żeby się wycofała. To znaczy, że próbują coś ukryć. I może odpowiedzi trzeba szukać na bagnach.

- Może - przyznał Matt. - Ale niekoniecznie ty masz jej szukać.

- Co to za dziennikarz, który ulega groźbom? Nie dam się zastraszyć. Nikomu - dodała z naciskiem.

Wściekłość, która go ogarnęła, szybko ustąpiła. Laurel ma rację. To bez sensu przekonywać ją, by została w domu. Sięgnął po leżące na podłodze dzinsy.

- Pójdę do siebie po koszulę i latarkę - rzekł. - Za dziesięć minut ruszamy.

- W porządku.

Udała, że szuka czegoś w szufladzie, dopóki nie usłyszała trzasku zamykanych drzwi.

Kiedy została sama w mieszkaniu, przycisnęła palce do powiek. Boże, nienawidzi węży! Po chwili oparła ręce na komodzie i wzięła kilka głębokich oddechów. Musi jechać na bagna; nie może się poddać. Groźbą próbowano wymóc na niej, by zrezygnowała z dochodzenia. Skoro ktoś posuwa się do groźby, to znaczy, że lęka się o własne bezpieczeństwo.

Anne Tralane panicznie bała się mokradeł i ciemności. Laurel włożyła stare, znoszone dżinsy. Rozumiała ten rodzaj nieuzasadnionego strachu, który człowieka niemal paraliżuje. Z

własnej woli Anne nigdy nie poszłaby w nocy na bagna, tak jak ona, Laurel, nie poszłaby na wystawę węży. Uświadomiła to sobie z pełną mocą dopiero dziś. Mimo to na bagna, się wybiera.

Matt... Zapaliwszy światło w sypialni, zaczęła szukać w szafie wysokich butów. To miło, że się o nią troszczy, ale niepotrzebnie próbował ją powstrzymać. Z miłości do niego mogłaby mu ulec ten jeden raz, ale jak się raz ustąpi...

Znalazła prawy but. Cholera, gdzie się lewy zawieruszył? Zła na siebie z powodu bałaganu w szafie, nerwowo przerzucała rzeczy.

Gdy Matt wrócił, siedziała na podłodze w sypialni, usiłując rozplatać supły w sznurówkach. Był ubrany podobnie do niej, w dżinsy, koszulę i buty do kolan, poza tym sprawiał wrażenie bardziej zrelaksowanego niż przed paroma minutami. Po prostu wytłumaczył sobie, że Laurel będzie bezpieczniejsza z nim niż bez niego. Ani na moment nie zamierzał spuszczać jej z oczu.

- Masz jakiś problem?

- Nie wiem, jak to się stało - mruknęła, ciągnąc za sznurowadła. - Zupełnie jakby ktoś zakradł mi się do szafy, nawiązał pełno supłów i w dodatku schował but pod stertą ubrań.

Powiódł wzrokiem po bałaganie.

- Czuję się zawiedziony, Laurellie. Zawsze sądziłem, że należysz do osób doskonale zorganizowanych.

- Bo taka jestem, dokładna i zorganizowana, ale w pracy. Psiakrew! - Zerknąwszy na złamany paznokciec, ponownie przystąpiła do walki z supłami. - Uff! Wreszcie! Jeszcze tylko latarka...

- Poderwała się na nogi i niemal biegiem ruszyła do kuchni.

- Ale masz poprzecierane spodnie - oznajmił Matt, drepcząc jej po piętach. - Tylko patrzeć, a zrobi się dziura.

- Nic nie będzie widać, jest ciemno. Poklepał ją po pupie.

- Nie aż tak. Wyciągnęła z szuflady latarkę.

- Będziesz szedł przodem, żeby się nie dekoncentrować. - Posłała mu szelmowski uśmiech.

- Wolałbym patrzeć, jak kieszenie na pupie ci się kołyszają. - Obejmując Laurel w talii, pociągnął ją do wyjścia.

- Kieszenie... - Nagle znieruchomiła. - Boże, co się...

- Byłaś zbyt zajęta krzykiem, aby mi otworzyć - wyjaśnił Matt, popychając ją na zewnątrz. -
Zawiadomiłem dozorcę; rano wstawi nowy zamek.

- Wyważyłeś drzwi? - Nie wierzyła własnym oczom.

Uśmiechnął się rozbawiony jej zdziwioną miną.

- Kiedyś wszystko było solidniejsze. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Matt Bates rozwalił drzwi,
biegnąc jej na ratunek. U dołu schodów odwróciła się i objęła go w pasie.

- Wiesz, Matt, uwielbiam rycerzy.

- Nawet bez zbroi?

- Zwłaszcza bez zbroi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zatrzymał samochód pod murem otaczającym Heritage Oak. Kiedy wyłączył silnik, cisza aż dzwoniła
w uszach. Miał świadomość, że od początku starannie omijali z Laurel jedną ważną kwestię:
bezprawnego wtargnięcia na teren prywatny. Podejrzewał, że do końca pozostanie to tematem tabu.

Wsunął latarkę do kieszeni.

- Podsadzę cię.

Skinąwszy głową, Laurel postawiła nogę na jego splecionych dłoniach i złapała się rękami szczytu
muru. Zgrabnie podciągnęła się do góry, potem ułożyła na brzuchu i podała rękę Mattowi. Po chwili
oboje zeskoczyli na drugą stronę.

- Mam wrażenie, że nie pierwszy raz robisz coś takiego. - Otrzepała dłonie o nogawki spodni.

Uśmiechnął się.

- Fakt. Kilka murów w życiu przeskoczyłem.

- I to nie tylko w przenośni?

- Pozwolę sobie zauważyć, że ty też wspięłaś się jak zawodowy włamywacz.

Rozejrzała się wkoło, na moment zatrzymując wzrok na pograżonym w mroku domu.

- Wiesz, co nas czeka, jeśli zostaniemy schwytani?

- Starajmy się, aby nas nie schwytano.

Nie czyniąc najmniejszego hałasu, przeszli po północnym trawniku. Nie potrzebowali latarek. Jasny
półksiężyc oświetlał im drogę. Wędrowali pośpiesznie, nie zwracając uwagi na trzepot skrzydeł,

który rozlegał się od czasu do czasu, na pohukiwania sowy i nieustające cykanie świerszczy. W ciemnościach migotały złociste świetliki, a powietrze pachniało kwiatami.

Na widok majaczących niedaleko bagien Laurel instynktownie zwolniła. Po chwili jednak wzięła się w garść. Nie wycofa się! Na wszelki wypadek ścisnęła mocniej rękę Matta.

Wydawał się spokojny, nieporuszony otoczeniem.

Czy on tego nie czuje? - zastanawiała się, próbując zignorować ciarki, które raz po raz przebiegały jej po plecach. Tej ponurej atmosfery? Wzdrygnęła się.

- Tu naprawdę nie ma żadnych duchów, Laurel - powiedział cicho. - To jest miejsce jak każde inne.

- Mylisz się. Tu czai się zło.

Powoli zbliżali się do splątanych chaszczy. Dzięki ogromnej determinacji Laurel udało się przezwyciężyć strach. Wciąż trzymała Matta za rękę, ale już nie tak kurczowo.

- Trudno uwierzyć, że niejaka Druscilla Trulane umawiała się z kochankiem na bagnach. Nawet jeśli go szaleńczo kochała... - Laurel potrząsnęła głową.

Roześmiał się.

- Może podniecała ją duchota, wilgoć i komary? - Spojrzał za siebie na słabo widoczny zarys budynku. - Moim zdaniem domownicy tędy wchodzą na bagna. O ile w ogóle wchodzą...

- Masz rację - przyznała Laurel.

- Czyli można przypuszczać, że idziemy śladami Anne.

- Pewnie tak.

- No dobra. Rozglądajmy się uważnie. Aha, i nie oddalaj się ode mnie.

- Nie musisz mi tego mówić. - Wyjęła latarkę.

- Jak poczujesz, że coś ci się klei do pleców, to będę ja.

Nim uszli trzy kroki, gąszcz liści przysłonił światło księżyca. Dom stał się niewidoczny. Ze wszystkich stron otaczały ich pnącza, gałęzie, trawy.

Wkroczyli w parny, wilgotny świat cieni i dźwięków, od których włosy jeżyły się na głowie. W powietrzu unosił się ohydny, cikliwy zapach butwiejącej roślinności. Matt powoli zaczynał rozumieć, dlaczego Anne tak bardzo bała się tego miejsca. Nie chciałby się tu zgubić. Ale dlaczego, zamiast wrócić tą samą ścieżką do domu, postanowiła iść dalej?

Wpadła w panikę? Przestała logicznie myśleć? Pewnie tak.

Popatrzył pod nogi na zarośniętą dróżkę.

- To się nie trzyma kupy!

Coś zaszeleściło. Laurel skierowała w krzaki promień latarki i chwyciła Matta za rękę.

Jego spokój działał na nią kojąco.

- Co się nie trzyma kupy? - zapytała.

- Zachowanie Anne. Dlaczego nie zawróciła? Laurel ponownie skierowała światło na ścieżkę.

Może to opos? W końcu nie każdy szelest oznacza węża. Nagle przypomniała sobie, że w północnej, gęściej zadrzewionej części bagien często widywano baribale.

- Bo się bała. Bo wpadła w panikę. Bo straciła orientację.

- A ty? Boisz się? - . Zerknął na palce, które boleśnie wbijały mu się w nadgarstek.

- Czy się boję? - Uśmiechając się blado, zwolniła nieco uścisk. - Nie. Ja umieram z przerażenia.

- Dałabyś radę się stąd wydostać?

- Chyba... - Ponownie chwyciła go za rękę. Było jej wszystko jedno, co sobie o niej pomyśli.

- Chyba nie zamierzasz zostawić mnie tu samej?

- A co byś zrobiła?

- Zabiłabym cię. Kiedy już bym się stąd wydostała.

Wędrowali dalej przed siebie.

- Jak byś tego dokonała?

- Otrułabym cię. Żebyś umierał długo i w męczarniach.

- Pytam, jak byś się wydostała.

Z trudem przełknęła ślinę. Mokry butwiejący grunt, woń zgnilizny, szmery, szelesty, nieprzeniknione ciemności... Do tego na wschodzie i południowym zachodzie grząskie łąchy piasku.

- Zawróciłabym - rzekła, wskazując do tyłu.

- Skręciłabym w prawo przy pniaku i dalej gnała ile sił w nogach.

- W ciągu pięciu minut dotarłabyś do domu - oznajmił Matt. - Dlaczego Anne tak nie postąpiła? Dlaczego brnęła przed siebie?

Laurel przeczesła ręką włosy. Starła się myśleć chłodno, analitycznie.

- Została ukąszona przez mokasy. Może wszystko jej się w głowie pomieszało?

Może miała zwiady?

- Ciekawe, jak szybko działa jad? - Postanowił to sprawdzić; może informacja okaże się przydatna. - Chyba nie natychmiast? Powinna była móc wydostać się z bagien, a przynajmniej znaleźć się bliżej domu.

- Znaleziono ją nad rzeką, prawda?

- Tak. Raz po raz natrafialiśmy na ślady jej stóp odcisnięte w mokrej ziemi. Zupełnie jakby krążyła w kółko.

W przeciwieństwie do Laurel, która na widok węża w pudełku struchlała, Anne, przerażona i spanikowana, rzuciła się do ucieczki. Tylko że zamiast zawrócić w stronę domu, wbiegła w parny śmierdzący gąszcz, który wzbudzał w niej tak wielki strach. Chyba że... hm, chyba że nie miała wyjścia; że umykała przed czymś, czego bała się znacznie bardziej od ciemnych mokradeł.

Słyszac szezest, Laurel podskoczyła nerwowo. Matt oświetlił krzaki. Wystraszony blaskiem szop czmychnął w cień.

- Nie cierpię robić z siebie idiotki - mruknęła. - Chodźmy. - Zirytowana, ruszyła przodem.

Szli w milczeniu, coraz bardziej oddalając się od domu. Laurel trzymała latarkę skierowaną na ścieżkę, by widzieli, po czym stąpają, Matt zaś oświetlał krzaki z prawej i lewej strony, szukając jakichś wskazówek.

- Tylko się ze mnie nie śmiej - powiedziała nagle, przystając w pół kroku.

- W porządku.

- Mówię poważnie, Bates. - Przygryzła wargę.

- Dobrze, nie będę się śmiał.

- Mam wrażenie, że ktoś nas śledzi.

- Kolejny szop?

- Matthew...

- Spokojnie, odpręż się.

Położył rękę na jej karku i zaczął go delikatnie masować. Żartował z Laurel, ale sam też czuł mrowienie na plecach. Duchy, psiakość! Zbyt wiele nasłuchiwał się o nich opowieści.

Był racjonalistą. Nie wierzył w siły nadprzyrodzone. Nie wierzył w zło czające się w mroku.

Zło czynią ludzie, samo z siebie nie wyskakuje z ciemnych gęstw.

- Za dużo ludzi tu umarło - szepnęła Laurel.

- Chcesz wracać? - spytał łagodnie. O Boże, tak! - miała ochotę krzyknąć.

- Nie - odparła. - Chodźmy dalej. Już prawie czuć rzekę.

Kiedy dotarli do brzegu, w nozdrza Laurel uderzył zapach zgnilizny. Rzeka płynęła bezszelestnie, wijąc się pośród poskręcanych cyprysów. Gdzieś tam promienie księżyca przedzierały się przez gałęzie, oświetlając czarną taflę. Wtem rozległ się plusk: do wody wskoczyła żaba. Ale prócz żab tu żyją krokodyle, pomyślała Laurel. Wielkie, groźne gady...

- To było tutaj. - Matt poświecił latarką. - Czy stąd też umiałabyś się wydostać?

Patrząc na snop światła, przypomniała sobie zdjęcie z policyjnych akt. Przygryzła wargi, starając się wymazać z pamięci obraz młodej martwej kobiety.

- Tak - odparła po chwili. - Najprościej byłoby iść po własnych śladach. Ale każda ścieżka w końcu by mnie zaprowadziła do domu.

- No właśnie. - Matt zamyślił się. - Każda ścieżka... A ona poddała się w samym sercu tych mokradeł. - Rozejrzał się wkoło. Niczego nie zobaczył. Ale czego, do licha, się spodziewał? - Chciałbym dostać w swoje ręce listy Anne...

- Osoba, która włamała się do pokoju Susan, na pewno je zniszczyła.

- Ciekawe, czy Susan... - Urwał, bowiem światło latarki padło na coś lśniącego.

Schyliwszy się, podniósł z ziemi kawałek metalu.

- Co to?

- Chyba fragment biżuterii - odparł.

Podał znaleziony przedmiot Laurel, która przetarła go połą bluzki.

- Hm. - Zmrużyła oczy. Jakieś mgliste wspomnienie zaczęło kiełkować jej w głowie. -

Wygląda na wieczko medalionu. Starego i bardzo drogiego. Spójrz na tę kunsztowną robotę...

- Po chwili westchnęła zrezygnowana; wspomnienie prysło. - Może to faktycznie medalion?

Może należał do cioci Ellen? Louis mógł go podarować Anne po ślubie.

- Sprawdźmy. - Matt wsunął przedmiot do kieszeni, po czym powiódł latarką wzdłuż brzegu.

- Zostań tu. Rzucę tylko okiem...

- Na co? Czego szukasz?

- Ba! Żebym to ja wiedział!

- Pójdę z tobą.

- Laurel, tam się można zapaść po kolana. Na razie udało nam się uniknąć spotkania z węzem. Po co kusić los?

Wiedziała, że w rzece roi się od mokasynów błotnych. Siląc się na obojętność, wzruszyła ramionami.

- W porządku - oznajmiła. - Masz dwie minuty, Bates. Jeśli do tego czasu nie wrócisz, ruszam za tobą.

- Dwie minuty. - Pocałował ją lekko w usta.

- Stój tu.

Patrzyła, jak oświetlając sobie drogę latarką i ślizgając się po mokrym gruncie, Matt schodzi nad rzekę. Rozumiała, co nim powoduje. Na razie oprócz mnóstwa pytań i wątpliwości mieli tylko kawałek starej biżuterii.

Zmarszczyła czoło. Ten medalion nie dawał jej spokoju. Była pewna, że już go kiedyś widziała. Może w dzieciństwie? Jak czysty i lśniący połyskiwał na tle białej sukni? Ciocia Ellen miała kilka białych sukien. Laurel przycisnęła palce do skroni, usiłując się skupić. Na próżno. Obraz nie chciał nabrać ostrości.

Jeszcze jedna minuta, Bates, powiedziała w myślach. Teraz, gdy go przy niej nie było, rozlegające się w ciemnościach dźwięki jakby przybrały na sile. Przesząpiła nerwowo z nogi na nogę; strużka potu spłynęła jej między łopatkami.

Co za paskudne miejsce! Najwyższym wysiłkiem woli pohamowała się, by nie zerknąć za siebie. Pocieszała się, że za godzinę wróci do domu i będzie się śmiała z własnego tchórzostwa. Cichy szelest za plecami sprawił, że zamarła. Cholerne szopy! Zdegustowana pokręciła głowę. Już zamierzała otworzyć usta i zawołać Matta, gdy nagle jakaś ręka zacisnęła się na jej gardle.

Najpierw poczuła strach i zdumienie, a dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że brakuje jej powietrza. W desperackim odruchu samoobrony zamachnęła się do tyłu łokciem; w tym samym momencie została silnie pchnięta do przodu. Upuściwszy latarkę, wyładowała parę metrów dalej w trzcinie. Bolesnie uderzyła o coś głową.

Stojący nad wodą Matt zobaczył łuk światła, a potem w miejscu, gdzie zostawił

Laurel, zapadła ciemność. Przeklinając śliski grunt, zaczął wspinać się z powrotem na brzeg.

Na widok Laurel leżącej bez ruchu na ziemi serce podskoczyło mu do gardła; przed oczami stanął mu obraz martwej Anne. Dobiegłszy do dziewczyny, chwycił ją w ramiona i przytulił

do siebie. Odetchnął z ulgą, kiedy jęknęła cicho.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz! - krzyknął, nie posiadając się z wściekłości.

- Ja... - Potrząsnęła głową. To był duży błąd: świat się zatrząsł. - Ktoś mnie zaszedł od tyłu i popchnął.

Ostrożnie wymacała guz, jaki wyrastał jej na potylicy, po czym złapała Matta za koszulę, gdy usiłował się podnieść.

- O nie, nie zostawisz mnie samej! Ogarnięty furją, a zarazem poczuciem bezradności, ponownie usiadł na ziemi.

- Ciii, spokojnie. - Ujął ją za brodę i zmusił, by popatrzyła mu w twarz. - Nie jesteś ranna?

Złość, zatroskanie, lęk - to wszystko widziała w jego oczach.

- Nie... - Głowa pękała jej z bólu, ale poza tym była cała i zdrowa. - Nabiłam sobie guza, ale nie straciłam przytomności. Jedynie na moment zobaczyłam przed oczami gwiazdy.

Mniejsze niż wtedy, gdy pierwszy raz mnie pocałowałeś.

Pomogło. Uścisk Matta nieco zelżał. Ale na jego twarzy wciąż malował się wyraz powagi i zadumy.

- Nie powinienem był odchodzić.

- Błagam. Tylko nie zacznij się obwiniać. - Cmoknęła go w policzek. - Pomóż mi wstać.

Wsunął ręce pod jej pachy i delikatnie podciągnął ją na nogi. Dobrze, pomyślała zadowolona; świat już nie wirował, a ból nie rozsadzał czaszki.

- Nic mi nie jest - powiedziała na widok zatroskanej miny Matta. - Miewałam w życiu gorsze guzy.

Może miewałaś, ale więcej mieć nie będziesz, przysiągł sobie w duchu, po czym zmusił się do uśmiechu.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś twarda... Powiedz: widziałaś coś oprócz gwiazd?

- Niestety. - Westchnęła, zła na siebie. - Usłyszałam jakiś szmer, ale bałam się obejrzeć. I w następnej chwili ktoś zacisnął mi ręce na gardle. Kiedy zaczęłam się wyrywać, zostałam pchnięta. Walnęłam potylicą w drzewo. Zanim zgasły gwiazdki, które rozbłysły mi przed oczami, byłeś już przy mnie. A napastnik znikł.

Matt ostrożnie pomacał głowę Laurel.

- Rośnie ci potężny guz. - Pocałował ją w usta.

- Na pewno możesz chodzić?

- Jeśli masz na myśli drogę powrotną, to mogę nawet biec. Wiesz, zgubiłam latarkę.

- Kupisz nową - rzekł, podnosząc z ziemi własną. - Tamta wpadła do rzeki.

- Psiakość. Nabyłam ją zaledwie miesiąc temu - mruknęła. - No ale przynajmniej nie odchodzimy z pustymi rękami.

- Tak. Wiemy też, że komuś bardzo się nie podoba to, co robimy. Duchy nie atakują żywych, nie popychają ich na drzewa.

- To prawda - przyznała.

Myśleli o tym samym: że dom Trulane'ów stoi niedaleko stąd. I że jego mieszkańcy świetnie znają okoliczne bagna.

Wracali w milczeniu, bardziej ostrożni niż przed godziną, bardziej wsłuchani w odgłosy przyrody, bardziej czujni. Matt cały czas obejmował Laurel w tali. Puścił ją dopiero wtedy, gdy wyszli na rozległy trawnik. W stojącym na końcu polany domu nie paliło się ani jedno światło.

Przedostali się na drugą stronę muru, gdzie zostawili samochód. Oboje marzyli o tym, by wskoczyć pod prysznic, zmyć z siebie ponure wspomnienia.

- Musimy jeszcze raz porozmawiać z Marion i Louisem - rzekła Laurel, gdy posiadłość Trulane'ów została w tyle.

- Wiem. - Matt wcisnął zapalniczkę. Może jeśli napełni płuca dymem, przestanie czuć zapach zgnilizny. - Jutro złożymy im wizytę.

Laurel oparła się o siedzenie, zamknęła oczy. Postanowiła, że dziś już nie będzie o niczym myślała.

- Nie wiem jak tobie, ale mnie kiszki grają marsza.

Skierował na nią wzrok. Wprawdzie była blada, ale może to skutek wpadających przez okno promieni księżyca? Mówiła spokojnie, oddech miała równy. Nie zdradzała żadnych oznak strachu czy zdenerwowania. Owszem, była zła, że dała się tak głupio podejść, ale na pewno nie była przerażona.

Przyglądając się jej, niemal widział Olivie. Babcia i wnuczka, mimo różnicy wieku, były bardzo podobne. Niezłomne, odważne, fascynujące. Ujął dłoń Laurel i przycisnął ją do ust.

- Kupimy po drodze pizzę, dobrze?

- Z wszystkimi dodatkami.

O drugiej nad ranem, najedzona, odsunęła krzesło od stolika. Mieszkanie Matta, w którym gościła po raz pierwszy w życiu, cechowała wygoda; składały się na nią miękkie fotele, kanapa z dużymi poduszkami, gruby dywan.

Ścian nie zdobiły ani oprawione w ramy gazety, ani dzieła Picassa. Wisiały natomiast dwa olejne obrazy artysty, którego nie знаła. Oba przedstawiały Nowy Jork, z tym że na jednym malarz uwiecznił eleganckie drapacze chmur, na drugim zaś obskurne budynki i popękane chodniki. Obrazy były doskonałe, kontrast intrygujący.

- Dziękuję, już dość - zaprotestowała, kiedy Matt chciał jej położyć na talerz kolejny trójkąt pizzy.

- Tyle gadania o głodzie, a teraz co? - Podniósł do ust kawałek, który zamierzał jej dać.

Laurel wstała od stołu i z kieliszkiem wina w ręce zaczęła krążyć po pokoju. Bose nogi zapadały się w dywan.

- Podoba mi się twoje mieszkanie. Cenisz wygodę.

- Tak jak większość ludzi. - Patrzył, jak Laurel podchodzi do kącika muzycznego i ogląda kolekcję płyt.

- Większość ludzi kojarzy wygodę z abnegacją. Ty nie. - Odłożywszy na bok płytę, przeniosła spojrzenie na obrazy. - Są świetne. Nie rozpoznaję artysty, ale jestem pewna, że z takim talentem wkrótce zrobi zawrotną karierę.

- Ucieszy się, jak mu to powtórzę. - Matt pociągnął łyk wina. - Dorastaliśmy na tej samej ulicy.

- Naprawdę? - Na moment zamilkła. - Powiedz: tęsknisz za Nowym Jorkiem?

Zerknął na obrazy, po czym utkwił spojrzenie w kieliszku.

- Nie.

- Ale to miasto jest częścią ciebie.

- Jest moją przeszłością. - Znikł w kuchni, żeby schować do lodówki resztę jedzenia.

Laurel zmarszczyła z namysłem czoło i wolno skierowała wzrok na ścianę.

Zaśmiecona ulica, stare zniszczone budynki...

- Tu dorastałeś - powiedziała cicho, kiedy wrócił do pokoju.

Nawet nie podnosząc głowy, wiedział, w który obraz Laurel się wpatruje.

- Tak. - Ściągnął koszulę. - Muszę wziąć prysznic.

- Matthew... - Podreptała za nim do łazienki.

Nie zwracając uwagi na jego rozdrażnienie, chwyciła go za rękę, zanim zamknął za sobą drzwi. - Ciężko było?

- Owszem. - Wzruszył ramionami. - Ale zdołałem się stamtąd wyrwać. Nie każdemu się udaje.

Z jej oczu, dotyku ręki, głosu przebijało współczucie.

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie - poprosiła.

- Daj spokój - burknął. - Nie warto. Zabolały ją jego słowa.

- W porządku, przepraszam. - Odruchowo cofnęła się o krok. - Dziękuję za pizzę. Do zobaczenia jutro.

Powstrzymał ją.

- Nie możesz nocować u siebie, dopóki drzwi nie zostaną naprawione.

Napotkała jego wzrok.

- Nie każdy potrzebuje zamków i rygli.

- Do jasnej... - Urwał, z całej siły starając się zapanować nad emocjami. Jeszcze nie doszedł do siebie po incydencie na bagnach. Wziął kilka głębokich oddechów. - Posłuchaj.

Dorastałem na East Side, gdzie o wszystko trzeba było walczyć. Tamta część mojego życia nie ma z tobą nic wspólnego.

Poczuła się tak, jakby posypał solą ranę na jej sercu.

- Najwyraźniej - odparła chłodno. - Przepraszam, że pytałam. Zapomnijmy o tym. -

Ruszyła do wyjścia.

- Psiakrew! Dokąd to? - Chwycił ją za ramię. - Nie spędzisz tej nocy w swoim mieszkaniu!

- Nie możesz mi rozkazywać.

- Mogę! I chociaż raz w życiu mnie posłuchasz! Zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Puść mnie.

Ogarnęła go złość, ale nagle w oczach Laurel dojrzał ból. Złość odpłynęła.

- Przepraszam. - Wzdychając ciężko, przytknął czoło do jej czoła.

- Ty mnie? Za co?

- Sprawilem ci przykrość. Przepraszam, nie chciałem.

Gniew, który w niej kipiał, wygasł, lecz w jej głosie wciąż pobrzmiwała lekka nuta pretensji.

- Nic się nie stało. Wściubiam nos...

- Wcale nie, po prostu... - Nie chciał wracać do przeszłości. - Wolałbym o tym nie mówić. Przynajmniej nie dzisiaj. Za dużo się wydarzyło, oboje jesteśmy zmęczeni.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, objęła go za szyję.

- Dobrze. Dziś nie będzie żadnych pytań.

- Laurel... - Musnął wargami jej usta. - Zostań tu. Zostań ze mną.

Z błogim westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu.

- A mogę się pierwsza umyć?

- Jasne. - Roześmiał się cicho. - Chociaż nie. Musimy razem. Słyszałaś o niedoborze wody w budynku?

- Nie...

- Nic o tym nie wiesz? - Wciągnął ją do łazienki. - Panuje straszna posucha w kranach.

Starczy wody najwyżej na jeden prysznic.

Czysta, zaróżowiona od ciepła, obwiązała się ręcznikiem.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała do Matta, a kiedy spojrzał na nią pytająco, dodała: - Nie sądziłam, że masz takiego bzika na punkcie oszczędzania zasobów naturalnych.

- Ochrona środowiska to mój konik. - Pociągnął za ręcznik, który opadł na podłogę, pozostawiając Laurel nagą. - Na praniu też trzeba oszczędzać. Wiesz, ile litrów wody zużywa pralka? Lepiej wskakuj do łóżka, bo się przeziębisz.

Z dumnie uniesioną głową wyszła z łazienki, czując na plecach spojrzenie Matta.

- Zapalenie światła też godzi w twoje zasady, co?

Nie słyszała jego kroków, po prostu poczuła, jak chwyta ją w pasie. Po chwili wylądowali razem w łóżku.

- Hola, Bates! Myślisz, że...

Uciszył ją pocałunkiem. Zamierzał kontynuować niewinne, choć podniecające igraszki, które rozpoczęli pod prysznicem, ale nagle... Nagle ich ciała przywarły do siebie, ręce błądziły po plecach i udach...

- Boże, Laurel! Pragnę cię!

Był namiętny, żarliwy, niemal brutalny. Jakby chciał wszystkiego zakosztować i bał

się, że nie zdąży. Niepotrzebnie, bo Laurel niczego mu nie broniła. Gorliwie odwzajemniała pieszczoty; tym razem nie tylko brała, ale również dawała. Miejsce speszzonej, niepewnej siebie dziewicy zajęła prawdziwa kochanka.

Nie przypuszczała, że można czuć tak silne pożądanie; że w miłosnym uniesieniu można zapomnieć o całym świecie; że zmysły mogą przejąć kontrolę nad rozumem.

Liczyła się tylko teraźniejszość. Nie myśleli o tym, co było, ani o tym, co będzie.

Nocny spacer i groźby poszły w zapomnienie, podobnie jak czekające jutro obowiązki.

- Matthew... - jęknęła ochryple. - Jeszcze... błagam... pragnę cię...

- Pragnę cię - zawtórował jej.

Takiej ekstazy żadne z nich jeszcze nie przeżyło.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niebo miało kolor stalowoszary. Ciężkie, skłębione chmury więziły pod sobą parne, rozgrzane powietrze. Deszcz byłby zbawieniem, ale jak na złość nie chciał spaść. Liście na drzewach nie poruszały się; zwiślały bez życia, jakby czekając na śmierć.

Laurel oparła się wygodnie i otworzyła okno, wpuszczając do środka lepki podmuch.

Spoglądając na rosnące wzdłuż drogi drzewa, marzyła o tym, by siedzieć w cieniu dębu na miękkiej, wilgotnej trawie i moczyć nogi w lodowatym strumyku.

Po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch dni jechała do Heritage Oak. Za każdym razem było jej coraz trudniej zadawać pytania i słuchać odpowiedzi.

Podejrzewała, że Louis będzie zły. Już wczoraj zdradzał oznaki zniecierpliwienia, a dziś... diabli wiedzą, czy w ogóle wyjdzie, by z nimi porozmawiać. Marion zaś... hm, Marion będzie głęboko urażona, że ktoś bezsensownymi dociekaniemmi śmie zakłócać im spokój.

Nie myśl o tym, nakazała sobie w duchu Laurel. Usiłowała skupić się na krajobrazie, ale bezskutecznie. Czy mam wybór? - zastanawiała się. Nie. Musi zadać pewne pytania, starać się uzyskać kilka odpowiedzi. Sprawy posunęły się zbyt daleko, aby mogła się teraz wycofać. Właściwie Trulane'om powinno być łatwiej rozmawiać z nią niż z jakimś obcym dziennikarzem, ale...

Wiedziała, dlaczego Matt się nie odzywa. Chciał jej dać czas, aby wzięła się w garść, uporządkowała myśli i emocje. To miłe z jego strony. Uśmiechnęła się pod nosem. Dziwne...

tydzień temu gotowa była przysiąc, że Matthew Bates to zimny drań skoncentrowany wyłącznie na sobie. W ciągu ostatnich paru dni zdołała go lepiej poznać. Ale - przed oczami stanęły jej dwa olejne obrazy - jeszcze nie wszystko o nim wiedziała. Wiedziała jednak rzecz najważniejszą: że go kocha.

Nie rozmawiali o tym, co zaszło, ani o tym, co czuli. Chyba oboje bali się poruszać ten temat. Przyjdzie na to odpowiedni czas, powtarzała sobie w duchu.

Wszystko stało się tak szybko. Szybko? Właściwie to tak. Znali się od roku. Ale swoje uczucia tak umiejętnie skrywali, że napiętność, jaka między nimi wybuchła, zaskoczyła ich oboje. Czy jednak poza napiętnością Matt czuł do niej coś więcej? Chętnie by go o to spytała, lecz zwyczajnie w świecie zabrakło jej odwagi.

Obróciwszy się na siedzeniu, wpatrywała się w profil swojego współnika, a zarazem kochanka. Był pewnym siebie, przystojnym mężczyzną o roześmianych oczach. Artykuły, jakie pisał, świadczyły o jego inteligencji, wnikliwości, ironii. Sprawiał wrażenie człowieka zrelaksowanego, beztroskiego, w rzeczywistości jednak cechowały go upór, pracowitość i nerwowość. Lubił sam ustalać reguły gry.

Mój współnik, mój partner. Laurel uśmiechnęła się szeroko. Tak, Bates, stanowimy duet; lepiej przywyknij do tej myśli, bo nie zamierzam się z tobą rozstać.

- I co? Widzisz coś, co ci się podoba? - spytał lekko.

- Prawdę rzekłszy... - Specjalnie zawiesiła głos. - Owszem. I sama się sobie nie mogę nadziwić.

Nie odrywając spojrzenia od jezdni, pociągnął ją za włosy.

- Uwielbiam twoje komplementy, Laurellie. Nigdy nie wiem, czy mówisz serio, czy się ze mnie śmiejesz.

- I o to chodzi.

- Ale parę dni temu powiedziałaś, że mam ładne oczy.

Uniosła pytająco brwi.

- Serio?

- Tak, tylko wcześniej wypijaś cztery martini.

- Minął bramę, za którą znajdowała się posiadłość Trulane'ów.

- No cóż, w takim stanie człowiek wygaduje różne rzeczy. Swoją drogą, jakiego są koloru?

Obrócił się do niej twarzą.

- Niebieskie - odpowiedziała sama sobie.

- Niebieskie oczy, jasne włosy... nudna kombinacja. Ale trudno.

- A twoja broda...

- Wcale nie jest spiczasta - oburzyła się, wysiadając.

- A kto twierdzi, że jest?

Ruszył za nią, podrzucając w rękę kluczyki. Cieszył się, że choć na chwilę zdołał

poprawić jej nastrój. Teraz jednak znów toczyła z sobą walkę: po jednej stronie barykady stała mała dziewczynka zafascynowana Louistem, po drugiej młoda dziennikarka.

Profesjonalizm wziął górę nad sentymentami.

- Marion przyjmie nas, bo jest dobrze wychowana, ale... - zawahała się - wątpię, czy Louis zgodzi się z nami rozmawiać.

- Będziemy musieli przekonać go, że powinien. - Zastukał kołatką do drzwi.

- Nie chciałabym wywierać na niego presji. Uważam, że... - Urwała, widząc zniecierpliwienie i złość malujące się na twarzy Matta. - W porządku - mruknęła. - Masz rację. W porządku.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Laurel, ja...

Nie dokończył, bo w tym momencie otworzyły się drzwi. Binney popatrzyła na nich ze zdziwieniem w oczach.

- Panienska Laurel! Nie spodziewaliśmy się, że panienska tak szybko nas znów odwiedzi.

- Dzień dobry, Binney. Chcielibyśmy jeszcze raz porozmawiać z Marion i Louistem...

Gospodyni zerknęła na Matta, po czym utkwiała wzrok w Laurel.

- Obawiam się, że to nie najlepszy moment. Pan Louis jest w... w czarnym nastroju.

- W czarnym nastroju? - powtórzyła Laurel.

- Coś mu dolega?

- Nie, nie. - Binney potrząsnęła przecząco głową. - On... - zawahała się, jakby szukając właściwych słów. - Po prostu nie czuje się dobrze. Ma chandrę.

- Bardzo mi przykro - powiedziała z uśmiechem Laurel. - Ale zajmiemy mu dosłownie kilka minut.

To ważne, Binney. - Nie czekając na zaproszenie, weszła do holu.

- Skoro tak... - Gospodyni popatrzyła z wyrzutem na nieproszonych gości. - Proszę poczekać w salonie. Zawiadomię pannę Marion.

- Dziękuję, Binney. - Laurel przytrzymała gospodynię za łokieć. - Czy Louis często miewa chandry?

- Dość często.

- Czy miewał wcześniej? Kiedy Anne żyła? Binney zacisnęła usta, po czym rozejrzała się wkoło.

- Przecież panią go znała. Przychodziła do Heritage Oak na lekcje jazdy konnej i podwieczorki - mówiła cicho, pośpiesznie. - Od tego czasu wiele się tu zmieniło, wydarzyło się wiele nieszczęść.

- Rozumiem, Binney. Naprawdę chciałabym pomóc Louisowi.

Gospodyni ponownie zerknęła przez ramię, po czym dodała:

- W okresie kiedy pan Charles wyjechał, a zanim pojawiła się Anne, pan Louis często miewał chandry. Czasem krążył po domu, do nikogo się nie odzywał. Kiedy indziej przesiadywał godzinami w gabinecie. Martwiłyśmy się z panną Marion, ale... - Wzruszyła ramionami. - Potem zaczął podróżować w interesach. W sumie to były trudne dla niego lata.

Ale wreszcie znów się ożenił...

- I znów się wszystko zmieniło? - spytała Laurel. Widziała, że Binney toczy z sobą walkę; z jednej strony chce być lojalna wobec swoich pracodawców, a z drugiej pragnie się wygadać.

- Tak, ale tym razem na lepsze. Muszę przyznać, że przeżyliśmy szok. Patrząc na Anne, mieliśmy wrażenie, że patrzymy na Elise. Ta sama twarz, te same ruchy, ten sam głos...

Ale pan Louis był szczęśliwy. Odżył. Wprawdzie czasem popadał w przygnębienie i zamykał się w gabinecie, lecz zdarzało się to bardzo rzadko.

Ignorując ucisk w sercu, Laurel brnęła dalej:

- Binney, czy Anne się bała, kiedy Louis stawał się przygnębiony?

- Chyba nie; po prostu nie rozumiała, co się z nim dzieje.

- Czy była tu szczęśliwa? Gospodyni zmarszczyła czoło.

- Wiele razy mówiła, że dom przypomina jej pałac z bajki.

- A bagna?

- Bagna ją przerażały. Nie powinna była tam chodzić.

- Często widywała się z Nathanem Brewsterem? - ciągnęła Laurel.

- Anne była lojalną i wierną żoną - odparła stanowczo gospodyni, dając do zrozumienia, że nie pochwała tego rodzaju insynuacji.

Laurel zadała kolejne pytanie, wiedząc, że być może na więcej Binney jej nie pozwoli.

- Czy Louis wiedział, że Brewster kocha jego żonę?

- To nie moja sprawa - oznajmiła chłodno gospodyni. - Powiem panie Marion, że panienska przyszła.
- Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Psiakrew - mruknęła Laurel, podchodząc do Matta, który czekał w głębi salonu. -

Zraziłam ją.

- Usiądź. - Podprowadził ją do fotela. - I mów. Streściła mu przebieg rozmowy z gospodynią; opowiedziała o chandrach Louisa, o tym, jak zamykał się w gabinecie, jak zaczął

wyjeżdżać służbowo i jak pewnego razu wrócił do domu z żoną. Wszyscy zauważyli podobieństwo Anne do Elise. Ale Louis był szczęśliwy, coraz rzadziej wpadał w przygnębienie. Anne też dobrze się tu czuła.

- Wydawało mi się, że wspomniałaś nazwisko Brewstera?

- Owszem. Binney odparła, że Anne była lojalną żoną. Kiedy próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, zakończyła rozmowę. - Laurel westchnęła ciężko.

- Nie wzdychaj, tylko rusz głową! - rzekł ostrym tonem. Wolał, by Laurel była zła, niż żeby znów zaczęła się roztkliwiać nad biednym Louisem. - Jeśli gospodyni wiedziała o Brewsterze, a musiała, skoro nabrała wody w usta... to ciekawe, kto jeszcze wiedział?

- Pewnie cała służba. Przed służbą nic się nie ukryje...

- A jednak w rozmowie z policją nikt nie wymienił nazwiska księgowego.

Laurel zacisnęła ręce na kolanach.

- Bo to by nadszarpnęło opinię Anne, a zatem i Louisa. Pamiętaj, że dochodzenie wykazało, że śmierć nastąpiła w wyniku ukąszenia węża. W tej sytuacji służba nie miała powodu zdradzać policji sekretów domu.

- Może wtedy nie, a teraz?

- Ludzie, którzy tu pracują, są lojalni wobec Louisa. Nie będą plotkować z obcymi.

- Mam znajomości w policji. Mógłbym poprosić, żeby kogoś przysłali i...

- Nie, Matthew. - Wzięła go za rękę. - Wstrzymajmy się kilka dni. Zwrócimy się do policji w ostateczności. Zresztą nie mamy żadnych dowodów, które by usprawiedliwiały wznowienie śledztwa.

- W porządku - zgodził się niechętnie. - Kilka dni.

- Laurel, panie Bates... - Marion weszła do salonu. - Proszę usiąść, panie Bates.

Przepraszam, że musieliście na mnie czekać, ale nie spodziewałam się gości...

W głosie Marion Laurel uchwyciła nutę dezaprobaty: nie składa się niezapowiedzianych wizyt.

- Wybacz, Marion. Mam nadzieję, że zdołasz poświęcić nam chwilkę?

- Jestem dość zapracowana, ale... - Uściskawszy Laurel, usiadła na obitej brokatem dwuosobowej kanapie. - Co wam można zaproponować? Kawę? A może coś zimnego? Taki ponury dziś dzień...

- Nie, dziękujemy. Zresztą nie chcemy zajmować ci dużo czasu - odparła Laurel. -

Mamy jednak kilka ważnych pytań do ciebie i Louisa.

- Ojej, obawiam się, że Louis wyszedł.

- Kiedy wróci? - spytał Matt, który nie skorzystał z zaproszenia, żeby usiąść.

- Przykro mi, nie wiem. - Marion zmarszczyła czoło. - Prawdę mówiąc, Laurel, nie jestem pewna, czy Louis zgodzi się z tobą ponownie spotkać.

Laurel nie dała po sobie poznać, że słowa Marion sprawiły jej ból.

- Odwiedziliśmy wczoraj z Mattem Nathana Brewstera...

Na twarzy gospodyni pojawił się, i zaraz znikł, cały wachlarz emocji: strach, zdenerwowanie, gniew, niepewność.

- Tak? - spytała, udając zdziwioną. - W jakim celu?

- Kochał Anne. I chyba się z tym nawet nie krył.

- Ależ, Laurel, Anne była uroczą młodą kobietą - oznajmiła nieco protekcyjnym tonem siostra Louisa. - Każdemu mogła się podobać.

- Nie powiedziałam, że podobała się Brewsterowi. Powiedziałam, że się w niej zakochał. Chciał, żeby zostawiła męża.

Marion z trudem przełknęła ślinę.

- Nieważne, co pan Brewster chciał. Anne kochała Louisa.

- Wiedziałaś o tym? O Brewsterze?

Przez chwilę Marion milczała, po czym westchnęła cicho.

- Tak - odparła zrezygnowana. - Trudno było się nie domyślić, widząc, jak wodzi za nią wzrokiem. Anne czuła się zażenowana i bezradna. Skarżyła mi się. Pytała, jak ma postąpić. - Marion zaczęła miętosić skrawek spódnicy. Palce poruszały się nerwowo, ale oczy patrzyły przed siebie z niezmaconym spokojem. - Ona kochała Louisa.

- Czy Louis wiedział o Brewsterze?

- Nie mam pojęcia! - warknęła Marion, szybko się jednak zmiętygowała. - Zresztą co za różnica, czy wiedział, czy nie? - Rozżalonym wzrokiem popatrzyła na swoich gości. - Anne nie żyje. Plotki, zwłaszcza wysrane z palca, nie przywrócą jej do życia. Błagam cię, Laurel, odpuść sobie.

- Gdyby to było takie proste - wtrącił Matt, zanim Laurel zdążyła otworzyć usta. - Jak pani myśli: dlaczego ktoś przysłał Laurel ostrzeżenie?

- Ostrzeżenie? - Palce miętoszące spódnice znieruchomiały. - Jakie ostrzeżenie?

- Ktoś zostawił pod moimi drzwiami pudełko - odparła z udawanym spokojem Laurel.

- W środku leżał martwy mokasyn.

- Mój Boże! To okropne! - Marion wyciągnęła ręce do Laurel. Lekko drżały. - Po co by ktoś robił coś takiego? Kiedy to się stało?

- Wczoraj po południu. Kilka godzin po tym, jak opuściliśmy Heritage Oak.

- Może... Ojej! - Nagle Marion coś sobie przypomniała. - Przecież Anne zginęła od ukąszenia mokasyna! Chyba nie wierzysz, że Louis wysłał ci tego węża?

- Chciałabym nie wierzyć - oznajmiła Laurel.

- Pomyślałam jednak, że trzeba was o tym powiadomić.

- To musiało być straszne. - Marion wyprostowała się. - Ja... Louis... - Potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że powiem o wszystkim Louisowi, ale...

- Panno Marion?

Marion obejrzała się przez ramię.

- Tak, Binney? - spytała na widok stojącej w drzwiach gospodyni.

- Dzwoni pani Hollister w sprawie akcji dobroczynnej na rzecz szpitala. Mówi, że to pilne.

- Powiedz jej, że już idę. - Marion obróciła się z powrotem do swoich gości. -

Przepraszam, Laurel. Jeśli chcecie poczekać... to mi zajmie kilka minut. Ale doprawdy nie wiem, w czym jeszcze mogłabym ci pomóc.

- Nie, pójdziemy już - rzekła Laurel. - Nie odprowadzaj nas; znamy drogę.

Kiedy Marion opuściła pośpiesznie salon, Laurel podniosła z podłogi torebkę i wstała.

- Dziwnie zareagowała na wzmiankę o Brewsterze - powiedziała cicho, spoglądając przez okno.

- Ona coś ukrywa. - Matt pogładził dziewczynę po włosach. Zamierzał ją przytulić, ale nagle poczuł, jak Laurel sztywnieje.

- Louis jest na dworze - szepnęła. - Chciałabym z nim porozmawiać sam na sam.

Cofnął się, zaskoczony, że niewinna prośba może go tak zaboлеć.

- Oczywiście.

Kiedy wyszła do ogrodu, wsunął ręce do kieszeni i przeklinając w duchu Trulane'a, zbliżył się do okna.

Na zewnątrz panował potworny skwar. W powietrzu czuło się deszcz, mimo że na ziemię nie spadła ani jedna kropla. Od czasu do czasu ciszę przerywał świergot ptaków, ale brzmiał smętnie, jakby im też upał dawał się we znaki.

- Louis...

Obrócił się gwałtownie. Miejsce chłodnej obojętności, jaka wczoraj gościła na jego twarzy, zajął grymas gniewu.

- Laurel? Co tu robisz?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Louis, proszę...

Ujęła go za łokieć. Przystanął, ale posłał jej takie spojrzenie, że natychmiast opuściła rękę.

- Zostaw mnie w spokoju, Laurel. Zachowajmy o sobie mile wspomnienia.

- Wykonuję swoją pracę, Louis. - Przyglądała mu się uważnie, zastanawiając się, czy może zapobiec nieuchronnemu konfliktowi. - Nie wierzę, że Anne z własnej nieprzymuszonej woli poszła nocą na bagna.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Anne nie żyje. - Popatrzył nad jej ramieniem na skraj północnego trawnika, gdzie zaczynały się mokradła. - Nie żyje - powtórzył, zamykając oczy. - To koniec.

- Czyżby? A gdyby ktoś ją zwabił na bagna, nie chciałbyś o tym wiedzieć?

Z rosnącego obok mirtu zerwał cienką gałązkę. Laurel przypomniał się Brewster bawiący się ołówkiem.

- Bzdury wygadujesz. Nikt jej nie zwabił... Jaki miałby cel?

- Nie wiem. - Usłyszała cichy trzask łamanej gałązki. - Wiem natomiast, że komuś bardzo nie podoba się moje zainteresowanie sprawą.

- Mnie się nie podoba! - zirytował się Louis, ciskając na ziemię mirt. - Czy to znaczy, że zamordowałem swoją żonę? Na miłość boską, Laurel! Po co się wtrącasz? Ona nie żyje!

Nikt i nic tego nie zmieni.

- Czy moje „wścibstwo” na tyle ci przeszkadza, że gotów byłbyś zostawić mi pod drzwiami martwego węża?

- Co takiego? - Potrząsnął głową. - Co powiedziałaś?

- Ktoś przysłał mi w ładnie opakowanym pudełku zdechłego mokasya.

- Mokasya? Anne też... To jakiś chory żart.

- Znajomym gestem odgarnął włosy z twarzy.

- Zapewniam cię, że w ostatnim czasie naprawdę nie jestem w nastroju do żartów. -

Urwał i nagle zmrużył oczy. - Biedna Laurel, zawsze potwornie bałaś się węży, prawda?

Kiedyś omal nie udusiłem swojego kuzyna, kiedy podetkał ci pod nos zaskrońca. Miałaś wtedy dziewięć albo dziesięć lat. Pamiętasz?

- Pamiętam.

Jego spojrzenie złagodniało.

- Wciąż się boisz?

- Tak.

- Przykro mi. - Poglądził ją delikatnie po twarzy. - To przez węże nigdy nie lubiłaś bagien.

- Po prostu ich nie lubiłam.

- Anne również. Próbowałem ją zawstydzić, żartowałem sobie z niej, tak jak dawniej z ciebie. Boże, jaka to była słodka istota.

- Nigdy mi jej nie przedstawiłeś. Dlaczego trzymałeś ją z dala od ludzi?

- Była podobna do Elise. Przeżyłem szok, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem. Ale była podobna wyłącznie z wyglądu... - Wpatrywał się nieruchomo przed siebie. - Ludzie jednak zaczęliby je porównywać. Nie chciałem widzieć tych spojrzeń ani słuchać plotek.

- Dlatego się z nią ożeniłeś? Ze względu na podobieństwo do Elise?

W jego twarzy pojawiła się taka wściekłość, że Laurel cofnęłaby się, gdyby jej nie przytrzymał.

- Pobraliśmy się z miłości. Kochałem Anne, potrzebowałem jej. Była młoda i niewinna. Wiedziałem, że mogę ją ukształtować i że nie będzie szukała okazji do zdrady.

Zrezygnowałem z wyjazdów służbowych. Cały czas byliśmy razem. Nie chciałem, żeby zaczęła się nudzić lub narzekać na samotność...

- Louis, wiem, co musisz czuć...

- Naprawdę? - przerwał jej. - Wiesz, co to znaczy strata? Albo zdrada? Wątpię -

ciągnął, zanim zdążyła odpowiedzieć. - Trzeba to przeżyć na własnej skórze, bo wiedza teoretyczna to za mało.

- A gdyby miała kochanka... - Laurel zwilżyła wargi. - Gdyby Anne miała kochanka, co byś zrobił?

Popatrzył na nią lodowatym wzrokiem.

- Zabiłbym go.

Odwróciwszy się, oddalił się pośpiesznie. Mimo upału Laurel zadrżała.

Dosyć tego! Matt otworzył drzwi balkonowe i wyszedł do ogrodu. Z trudem zwalczając pokusę, aby udać się za Trulane'em i wyładować na nim złość, ruszył w stronę Laurel, która ze smutkiem w oczach patrzyła za oddalającą się sylwetką.

- Idziemy - burknął.

Skinęła głową. Wszyscy - ona, Louis, Matt - mieli nerwy napięte do ostatnich granic.

Wystarczyłoby jedno nieostrożne słowo i burza gotowa. Lepiej nie ryzykować. W milczeniu przeszli po starannie przystrzyżonym trawniku do samochodu, wsiedli i po chwili opuścili Heritage Oak.

- I co? - Matt zapalił papierosa.

- Binney miała rację, mówiąc, że Louis jest nie w sosie - odparła Laurel. - Biedak nie potrafi sobie poradzić z emocjami. Wciąż uważa, że Anne zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Żebyś widział jego twarz, kiedy spoglądał w stronę bagien... - Przyjrzała się Mattowi. - On ją naprawdę kochał. Może z początku zafascynowało go jej podobieństwo do Elise, może dlatego ją poślubił, ale potem... myślę, że szczerze ją pokochał.

- Sądziysz, że mu się nie myliły? Że w jego głowie nie zlewały się w jedną postać?

- Nie wiem, nie jestem psychiatrą. - Wzięła kilka głębokich oddechów. Niczego nie osiągną, jeżeli ciągle będą na siebie warczeć. - Ale wydaje mi się, że kochał Anne i że bardzo cierpi z powodu jej śmierci. Ma też wyrzuty sumienia: wiedział, że bagna wzbudzały w Anne strach, lecz nie traktował tego poważnie.

- Powiedziałaś mu o pudełku?

- Tak. - Dlaczego nie pada, zastanawiała się, odciągając od pleców wilgotną od potu bluzkę. Może deszcz zmyłby warstwę brudu, może wtedy prawda wyszłaby na jaw. - Był

oburzony, ale z początku nie bardzo wiedział, o co mi chodzi. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że zawsze bałam się węży. Wtedy przez minutę czy dwie był taki jak dawniej: ciepły i serdeczny.

Wyjrzała przez okno. Matt zaklął w duchu.

- Spytałam go, dlaczego nigdzie nie bywał z Anne, dlaczego nikomu jej nie przedstawiał. Powiedział, że wszyscy by ją porównywali do Elise. Natomiast sam starał się dotrzymać jej towarzystwa, żeby nie zaczęła się nudzić i...

- Szukać rozrywki gdzie indziej - dokończył Matt.

- Tak. - Laurel wbiła wzrok w jego profil. - Naprawdę nie ma w tobie za grosz współczucia? Psiakrew, Bates, łatwo oceniać innych, zwłaszcza gdy się nigdy nie było w ich położeniu. Ciesz się, że nie wiesz, co znaczy stracić ukochaną osobę.

Wyrzucił niedopałek przez okno.

- Mówimy o Trulanie, nie o mnie - oznajmił chłodno. - Wołałbym, żebyś trzymała się faktów, a nie dawała ponieść emocjom.

Z trudem pohamowała wybuch wściekłości.

- Dobrze, trzymajmy się faktów. A więc Louis przyznał, że gdyby Anne miała kochankę, nie wahałby się go zabić. A jednak Nathan Brewster żyje. I nadal u niego pracuje.

Matt zatrzymał samochód przed budynkiem „Heralda” i obrócił się twarzą do swojej pasażerki.

- Robisz z Louisa bohaterą. Nie potrafisz spojrzeć na niego trzeźwym okiem. A to jest bezwzględny i zgorzkniały facet. Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego Elise wołała Charlesa?

- Żal mi ciebie, Bates. Nie wiesz, co to miłość.

- A ty wiesz? - spytał. - Dorośnij, Laurel. Nie kochasz Trulane'a, po prostu masz obsesję na jego punkcie!

Zbladła, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Kocham - rzekła cicho. - Ale ty nie jesteś w stanie tego pojąć. Chcesz, żeby wszystko było czarne i białe? W porządku, twój wybór. A teraz daj mi święty spokój.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę budynku. Dogonił ją, zanim znikła w środku.

- Słuchaj, mam po dziurki w nosie Louisa Trulane'a. Nie możemy się przez niego stale kłócić.

- Lepiej jeszcze raz przeanalizuj fakty, Matt - powiedziała bezbarwnym głosem. - A teraz puść mnie. Daj mi od siebie chwilę odpocząć.

Cofnął się. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, oparł się o maskę wozu i wyciągnął

kolejnego papierosa.

Cholera jasna, co go ugryzło? Przeczesał ręką włosy. Dlaczego ciągle się czepia Laurel? Z powodu niezdolności upału? Poruszył ramionami; koszula lepiła mu się do pleców.

Tak, taka pogoda sprzyja rozdrażnieniu.

Kogo chcesz oszukać, stary? Siebie? Wydmuchawszy dym, patrzył, jak szara chmura zawisa nieruchomo w powietrzu. Chodziło o to, że Laurel spędziła z nim noc, odwzajemniała jego pocałunki i pieszczoty, a potem... potem pozwoliła, by Trulane pogłaskał ją po policzku.

Idiota! Kretyn! Zamiast zdusić w sobie zazdrość, zaczął czynić Laurel wyrzuty. Nie był w stanie się powstrzymać. Nawet nie próbował! Odkąd dostała przesyłkę z martwym wężem, potwornie się bał o jej bezpieczeństwo. Bał się, ponieważ ją kochał. Ponieważ nie chciał jej stracić. Tego by chyba nie przeżył.

Chciał, by zrezygnowała z dochodzenia, by zostawiła je na jego głowie. Cholera, gdyby nie wybrała się na bagna, nikt by jej nie pchnął, nie nabiłaby sobie guza...

Zawsze dotąd wszystko dokładnie planował. Nie lubił niespodzianek. Ale odkąd szef polecił im zbadać okoliczności śmierci Anne Trulane, sprawy zaczęły mu się wymykać spod kontroli. Jak ma teraz powiedzieć Laurel, że ją kocha? Że zakochał się w niej przed laty, gdy spojrzął na zdjęcie, które Curt oparł o książki na biurku? Gotowa pomyśleć, że zwariował.

Zgniół butem papierosa. Może zwariował.

Ale był dziennikarzem, a dziennikarze z racji swego zawodu wiedzą, jak postępować z ludźmi. A zatem niech Laurel ochłonie. Oboje muszą się uspokoić, zastanowić nad przyszłością. Potem... potem on musi ją przeprosić. Przeprosić i przekonać, że ją kocha. Że świata poza nią nie widzi, czy jej się to podoba czy nie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ucieszyła się, że zaraz po tym, jak weszła do redakcji, zlecono jej nowe zadanie.

Chwyliła notes, zawołała fotografa i wybiegła z pokoju, zanim jeszcze Matt wysiadł z windy.

Nie chciała go widzieć, dopóki złość i ból jej nie miną. Karambol na jednym z głównych skrzyżowań w mieście pozwoli jej na jakiś czas zapomnieć o sprawach osobistych.

Matt... Zachowywał się irracjonalnie. W dodatku był uparty, niesprawiedliwy. Nie mogła zrozumieć jego niechęci do Louisa. Jak to możliwe, zastanawiała się, gdy wraz z fotografem przejechali na żółtym świetle, aby człowiek, który okazał jej tyle serca, kiedy zamarła z przerażenia na widok węża, nie potrafił okazać odrobiny współczucia biednemu Louisowi? Wydawało jej się to wprost niepojęte. Jak mogła kochać kogoś, kto... I nagle zrozumiała. Nieważne, jaki jest. Po prostu go kocha.

A on... oskarżył ją, że ma obsesję na punkcie Trulane'a. Nieprawda. Jako mała dziewczynka uwielbiała Louisa; wtedy był jej idolem, dziś jest częścią jej przeszłości, miłym wspomnieniem. Matt na siłę chciał oczernić to wspomnienie, uczynić z idola mordercę.

Nie rozumiała go. Dlaczego... Raptem coś ją tknęło. Czyżby był zazdrosny?

- Ha! - zawołała, opierając się o siedzenie.

Fotograf spojrział na nią z ukosa, ale milczał.

Tak, pewnie był zazdrosny, ale... To by znaczyło, że darzy ją równie głębokim uczuciem, co ona jego. Hm, a może ponosi ją fantazja? Tak czy inaczej warto się nad tym zastanowić, ale może trochę później.

Stanęli w ogromnym korku. Odniosła wrażenie, że wściekli kierowcy nie zdejmują rąk z klaksonów.

- Wiesz co? Wsiądę i pójdę dalej na piechotę - powiedziała do fotografa. - Zaparkuj gdzieś i dojdź do mnie.

Matt również wyszedł z redakcji. Hałasy rozbrzmiewające w dzielnicy francuskiej na pewno były przyjemniejsze dla ucha niż wycie klaksonów, ale upał był równie nieznośny. W

powietrzu unosił się zapach kwiatów i rzeki, ale Matt nie zwracał na niego uwagi; miał inne sprawy na głowie.

Podczas wizyty w komisariacie uzyskał informację, że nikt nigdy nie zgłosił faktu zaginięcia Elise i Charlesa. Nikt nie prosił, by wszczęto poszukiwania. Rodzinie wystarczył

pozostawiony przez kochanków list, zabrane z szafy ubrania i przybory malarskie. Ale Mattowi to nie wystarczyło.

Kiedy usiłował dowiedzieć się czegoś więcej, jego rozmówcy wykazywali totalny brak zainteresowania. Co za różnica, jakim środkiem transportu kochankowie wyjechali z miasta? Co z tego, że nikt ich już potem nie widział? Opuścili Nowy Orlean ponad dziesięć lat temu. W tym czasie policja nie siedziała beczynnie; tropiła różnych złodziei, bandytów, oszustów. Kto by miał czas zajmować się parą cudzołóżników? Dobrze, skoro Mattowi na tym zależy, chłopcy w laboratorium zerkną na ten kawałek metalu.

Matt wyszedł z komisariatu z uczuciem niedosytu. Może więcej informacji uda mu się zdobyć od Curta? Po chwili, skręciwszy w prawo, znalazł się w małym ciemnym lokalu, w którym przygrywał tercet jazzowy. Curt siedział przy stoliku za przepierzeniem pogrążony w lekturze gazet. Obok stał nietknięty kufel piwa.

- Jak tam, panie mecenasie?

- Co? - Curt podniósł głowę. - Cześć, Matt.

- Wprawnym ruchem złożył gazety i wsunął je do teczki. - Co słyszeć?

Matt poprosił kelnerkę o piwo, po czym usiadł naprzeciwko przyjaciela.

- Potrzebuję porady.

- Oho! - Uśmiechając się szeroko, Curt podrapał się po brodzie. - Jakiej? - spytał, sięgając po kufel.

- Drobnej. Gdybym chciał poczynić inwestycje, to kupno akcji Trulane Shipping uznałbyś za dobry pomysł?

- Pytanie raczej do maklera niż do prawnika - odparł Curt Armand. - Poza tym w sprawach finansowych to ty mi dajesz wskazówki, a nie odwrotnie. Ale ogólnie rzecz biorąc, Trulane jest jedną z najsolidniejszych firm w kraju.

- Hm, no dobrze, to inne pytanie. Jak myślisz, dlaczego pieniądze Elise wciąż leżą niepodjęte na koncie?

- Skąd o tym wiesz?

- Nie mogę zdradzić źródła informacji. Chodzi o pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - Matt zacisnął dłoń na oszronionym kuflu. - Pokażna suma. I w ciągu dziesięciu lat narosły niemałe procenty. Przydałaby się nawet tak bogatemu człowiekowi jak Louis.

- Nie ma do nich prawa. To pieniądze Elise.

- Na widok pytającego spojrzenia Matta Curt wzruszył ramionami. - Moja kancelaria się tym zajmowała.

- Elise nie rusza forsą... Dziwne. Czy kancelaria nie próbowała się z nią skontaktować?

- Pytasz mnie o sprawy poufne.

- Założmy hipotetyczną sytuację: ktoś dziedziczy pieniądze, lecz ich nie podejmuje.

Co powinien zrobić wykonawca testamentu, żeby odnaleźć spadkobiercę?

- Dać ogłoszenia do prasy. Wynająć prywatnego detektywa.

- A gdyby spadkobierca, a raczej spadkobierczyni miała męża, którego starałaby się unikać?

- Wtedy wykonawca testamentu zobowiązany byłby do zachowania maksymalnej dyskrecji.

- Hm. - Matt zmarszczył z namysłem czoło.

- Czy Elise Trulane spisała testament?

- Matt...

- Błagam, Curt. To ważne.

Gdyby rozmawiał z kimkolwiek innym, Curt uciekłby się do żargonu prawniczego i odmówił udzielenia odpowiedzi. Ale Matt był jego starym przyjacielem.

- I ona, i Louis sporządzili testamenty. Ale Elise znikła, zanim zdążyła swój podpisać.

- Domyślam się, że wszystko zostawili sobie nawzajem?

- Tak. Marion i Charles zostali pominięci. Zresztą mają własne pieniądze.

- Duże?

- Owszem. Marion jest bardzo bogatą kobietą - odparł Curt, po czym nie czekając na kolejne pytanie, dodał: - Tak jak w wypadku Elise, oszczędności Charlesa leżą na koncie i procentują.

- Ciekawe.

- Powiesz mi, o co chodzi? Czy to ma coś wspólnego ze sprawą, którą zajmujecie się na prośbę Susan?

- Owszem. - Matt wbił wzrok w przyjaciela.

- Poznałeś Susan?

- Wpadłem do Promesse d'Amour. - Lekki rumieniec wypłynął na policzki mężczyzny.

Mattowi przypomniawszy obraz sprzed laty, kiedy jego kumpel stracił głowę dla studentki medycyny.

Ale Curt nie był już tym marzycielem co dawniej; dziś był zdolnym, ambitnym i niezwykle skutecznym prawnikiem.

- Opowiedziała mi o Anne i jej listach. Zdołacie jej pomóc?

- Robimy z Laurel, co możemy - odparł Matt.

- W porządku. - Curt dopił piwo. - Słuchaj, muszę lecieć, jestem umówiony, ale kiedyś chciałbym z tobą jeszcze pogadać o tej sprawie.

- Jasne. Dzięki, stary.

Siedząc sam przy stoliku, Matt pograżył się w zadumie. Coś tu nie gra. Owszem, dwoje zakochanych ludzi może odciąć się od przyjaciół i rodziny, to się zdarza, ale żeby przez dziesięć czy dwanaście lat nie tykać pieniędzy na koncie? Zrezygnować z sumy, która niejednego człowieka przyprawiłaby o zawrót głowy?

Albo z miłości postradali zmysły, albo oboje nie żyją. Ta druga wersja wydała się Mattowi bardziej prawdopodobna.

Zapalił papierosa. Gdyby po opuszczeniu Heritage Oak mieli wypadek, chyba ktoś dokonałby identyfikacji zwłok? Różne myśli kołatały mu po głowie, ale zawsze wracał do punktu wyjścia, czyli do Anne Trulane. Jeżeli jego podejrzenia były słuszne, to ktoś popełnił

nie jedno morderstwo, lecz trzy.

Wpatrując się w wiszący w powietrzu obłok dymu, zaklął pod nosem. Za dużo czasu minęło, aby ustalić, co Louis porabiał w dniu zniknięcia Elise i Charlesa. Jutro zaś jest niedziela, nie zdoła więc dotrzeć do żadnych informacji. Zgasił papierosa. Ale w poniedziałek... tak, w poniedziałek, choćby się Laurel sprzeciwiała, on rozpocznie prawdziwe dochodzenie.

Wstał od stolika, rzucił dwa banknoty na blat i opuścił lokal. Najwyższy czas, aby odbyli poważną rozmowę.

Laurel siedziała z zaaferowaną miną, kiedy Matt wrócił do redakcji. Skierował się w jej stronę, po czym, zerknąwszy na zegar, skreślił do własnego biurka. Zbliży się pora oddania artykułów - nie należy nikomu przeszkadzać.

Na twarzy Laurel malowała się nieskrywana radość. Kraksa w centrum miasta, trzy uszkodzone samochody, w dodatku w drugimjechała żona burmistrza. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Opisując zdarzenie, Laurel zachichotała pod nosem. To było naprawdę śmieszne: żona burmistrza, zapominając o godności i zasadach dobrego wychowania, wyskoczyła z samochodu i niemal zaczęła okładać biedaka, który tak niefortunnie zatrzymał

się na jej zderzaku. Z kolei siła impetu sprawiła, że pani burmistrzowa uderzyła w tył

samochodu stojącego przed nią. Widok był przezabawny: elegancka, szykownie ubrana kobieta z

przypiętym do sukni bukietem kwiatów chwytając za poły potężnie zbudowanego faceta i krzyczy, że mu rozkwasi nos. W tym samym momencie z chłodnicy w jej samochodzie tryska w górę fontanna wody.

Zadowolona z siebie, Laurel dokończyła artykuł. Niech sobie ludzie poczytają, jak to osobom na stanowiskach puszcza nerwy podczas niegroźnej stłuczki. Tak, tekst na pewno trafi na pierwszą stronę.

- Goniec! - krzyknęła, spoglądając na zegar. Zdążyła! I nagle napotkała wzrok Matta.

Poczuła dziesiątki emocji, frustrację, złość, ale najsilniejsza była miłość. - Nie widziałam, kiedy wszedłeś - powiedziała, porządkując biurko.

- Parę minut temu. Byłaś zajęta. - Dookoła panował istny chaos: bieganina, stukot maszyn do pisania, rozmowy, wołanie gońca. - Skończyłaś?

- Muszę poczekać, czy naczelny nie będzie miał uwag...

- Chcę z tobą porozmawiać. Czy możemy umówić się na kolację?

- Dobrze - odparła, zdziwiona jego poważnym tonem. Zanim zdołała cokolwiek więcej powiedzieć, zadzwonił telefon na jej biurku. - Dział miejski, Laurel Armand.

Słucham?

Nagle Matt spostrzegł, jak krew odpływa jej z policzków.

- Przepraszam - rzekła, wskazując oczami, żeby czym prędzej podniósł drugą słuchawkę. - Nic nie słyszę, panuje tu straszny hałas. Proszę mówić głośniej.

- Dostałaś dwa ostrzeżenia - oznajmił szeptem człowiek na drugim końcu linii. -

Przestań interesować się sprawą śmierci Anne Trulane.

Laurel miała wrażenie, że w głosie swego rozmówcy słyszy nutę strachu.

- To od ciebie był ten wąż w pudełku? - spytała, patrząc, jak Matt pośpiesznie wykręca jakiś numer.

- To było ostrzeżenie. Następny wąż nie będzie martwy.

Po plecach przebiegł jej dreszcz.

- I to ty wczorajszej nocy pchnąłeś mnie na bagnach?

- Jeśli jeszcze raz tam pójdziesz, nie wyjdiesz żywa.

- Czego się boisz? Że coś znajdę?

- Śmierć dosięgła Anne na bagnach. Miej to na uwadze.

Rozmówca się rozłączył; w słuchawce rozległ się ciągły sygnał. Po chwili Matt zaklął i też się rozłączył.

- Psiakrew! Za szybko przerwał połączenie! Nie rozpoznałaś głosu? Nic cię nie tknęło?

- Nie.

Podniósł notes, w którym widniał sporządzony przez Laurel stenograficzny zapis rozmowy.

- Nasze działania zaczynają kogoś bardzo denerwować. - Kogoś, dodał w myślach, kto przypuszczalnie zabił już trzy osoby.

- I co? Chcesz zawiadomić policję? - Laurel westchnęła. - Posłuchaj, Matt. Może masz rację, może powinniśmy. Ale najpierw chciałabym wszystko na spokojnie przemyśleć -

mówiła pośpiesznie, nie dopuszczając go do głosu. - Człowiek, który dzwonił, chce, żebyśmy się poddali. No i przez weekend nie będziemy nic robić. Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić, omówić z tobą różne możliwości. Jeżeli pójdziemy na policję, to w poniedziałek, dobrze? Uzbrowieni w informacje, a nie znaki zapytania.

Mądrze mówiła, ale pomysł mu się nie podobał. Może podczas weekendu uda mu się wymyślić coś, żeby zniechęcić ją do prowadzenia śledztwa.

Zamiast kolacji przy świecach, zamówili do domu frytki i hamburgery. Jedli u Laurel w kuchni, przeglądając notatki. Jak przystało na zawodowców, nie wracali do wcześniejszej kłótni.

- Na podstawie poszlak, jakimi dysponujemy, możemy śmiało stwierdzić, że śmierć Anne Trulane nie nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku - oznajmiła Laurel.

- Jakbym słyszał Curta przemawiającego w sądzie - mruknął Matt.

- Dobra, dobra. Podaj mi colę. - Pociągnęła łyk prosto z butelki, a następnie zaczęła zapisywać w punktach: - Po pierwsze, oświadczenie Susan, potwierdzone przez Marion, Louisa i Binney, że Anne bała się zarówno bagien, jaki ciemności. Po drugie, kradzież listów z pokoju hotelowego. Po trzecie, pudełko z węzłem zostawione pod moimi drzwiami, po czwarte, wczorajsza napaść na bagnach i po piąte, dzisiejszy telefon.

Na moment zamilkła. Matt zgasił papierosa.

- Teraz Brewster - podjęła po chwili. - Był zakochany w Anne i chciał, żeby odeszła od Louisa. Nie są to żadne spekulacje; sam się do tego przyznał. Marion potwierdziła, że Brewster mógł być zakochany, ale uważała, że Anne nigdy by nie opuściła męża. Z rozmowy z Louistem wnioskuje, że albo Louis nie wiedział o uczuciach Brewstera, albo nie traktował

ich poważnie, skoro Brewster nadal u niego pracuje.

Potarła ręką szyję. Była to pierwsza i jedyna oznaka zmęczenia, jaką Matt u niej widział.

- Innymi słowy, wszystko wskazuje na to, że z własnej nieprzymuszonej woli Anne nie poszła sama na bagna. Moim zdaniem Brewster ją tam zaciągnął.

Matt przewrócił kartkę w swoim notesie; zdaniem Laurel, jego pismo przypominało hieroglify.

- Rozmawiałem dziś z Curtem - oznajmił. Laurel zmarszczyła czoło, usiłując dopasować tę informację do tego, o czym sama przed chwilą mówiła.

- Mam pewną hipotezę - kontynuował Matt.

- Chciałem usłyszeć zdanie Curta.

- A co on ma z tym wspólnego?

- Jest prawnikiem. - Matt zapalił papierosa.

- Okazało się też, że jego kancelaria zajmowała się spadkiem, który Elise odziedziczyła.

- Nie rozumiem...

- Słuchaj. - Zerknął do notatek. - Pięćdziesiąt tysięcy dolarów plus odsetki z dziesięciu lat... sumy tej nigdy nie podjęto. Pieniądze Charlesa też leżą na koncie nietknięte. Bank na pewno usiłował czegoś się o nich dowiedzieć. - Popatrzył Laurel w oczy. - Ani Elise, ani Charlesa nigdy nie zgłoszono jako zaginionych.

- Do czego zmierzasz?

- Dobrze wiesz. Wstała.

- Uważasz, że nie żyją? Może. Mogli mieć wypadek... - Nagle doznała olśnienia. -

Myślisz, że nie żyli, zanim jeszcze opuścili Heritage Oak?

- Nie wykluczam takiej możliwości.

- Hm, bo ja wiem? - Przytknęła palce do skroni, usiłując się skupić. - Mogli przecież zmienić nazwiska, pojechać do Europy, Azji, gdziekolwiek.

- Owszem, mogli - przyznał. - Ale nie musieli.

- To prawda. - Wzięła głęboki oddech. - Jeżeli podążymy tym tropem, wyjdzie na to, że jedna i ta sama osoba jest winna śmierci całej trójki, Elise, Charlesa i Anne, tą osobą zaś nie może być Brewster. Ale kto miałby powód, żeby pozbawiać ich życia? Tylko Louis, a jego nie było w mieście,

kiedy Elise z Charlesem...

- Skąd wiesz, że nie było? - przerwał jej Matt. - Ma własny samolot. I licencję pilota.

No tak. Mógł niespodziewanie wrócić i przyłapać kochanków na gorącym uczynku.

Mógł wpaść w szal. W małym prywatnym samolocie mógł w dowolne miejsce przetransportować ciała. Laurel, blada jak ściana, popatrzyła na Matta.

- Sprawdzenie rejestru przylotów i odlotów sprzed dziesięciu lat nie będzie łatwe, może się okazać wręcz niemożliwe - powiedziała cicho, nie pozwalając sobie na żadne emocje. - Ale warto spróbować.

- Zajmę się tym w poniedziałek rano.

- A ja pogadam z Curtem. Może zdołam z niego coś więcej...

- Nie - sprzeciwił się stanowczo Matt.

- Ale...

- Masz się wycofać. Z nikim nie rozmawiać, nikogo o nic nie pytać.

- Czyś ty oszalał? Przecież...

- Słuchaj, artykuł napiszemy razem. Oba nazwiska będą pod nim figurować. Ale od tej chwili ja przejmuję ster.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Tobie naprawdę odbiło.

Spokojny, łagodny ton jej głosu przeważył szalę. Wszystkie rozsądne argumenty, jakimi Matt zamierzał się posłużyć, nagle wyleciały mu z głowy.

- Mnie odbiło? Mnie? A to dobre! - Odszedł na drugi koniec kuchni, aby nie ulec pokusie chwycenia Laurel za ramiona i potrząśnięcia nią. - To nie jest gra! Nie bawimy się, kto lepiej coś napisze i czyj tekst trafi na pierwszą stronę.

Zmrużyła oczy.

- Nigdy nie traktowałam mojej pracy w kategoriach gry. A poza tym nie możesz mi niczego zabraniać.

- Chodzi o twoje bezpieczeństwo! - zdenerwował się. - Mnie nikt nie groził, a tobie już trzykrotnie. Ktokolwiek zabił Anne, nie zawaha się przed ponownym użyciem przemocy.

Przeszyła go ironicznym spojrzeniem.

- W takim razie muszę chyba zdwoić czujność, prawda?

- Idiotko, zrozum! Grożono ci! - W głosie Matta pobrzmiwała nuta paniki, ale Laurel była zbyt wściekła, by to zauważyć.

- A wiesz dlaczego? Bo jestem kobietą, a kobiety wszystkim kojarzą się jako istoty bardziej strachliwe. Ty też ulegasz stereotypom. Gdybym była facetem, nie kazałbyś mi rezygnować z dochodzenia.

- Laurel, proszę cię, nie...

- Ale o jednym zapomnieliście, i ty, i mój anonimowy prześladowca. Jestem przede wszystkim dziennikarką - ciągnęła z furią. - A dziennikarz zawsze dąży do poznania prawdy.

Czasem nasza praca wiąże się z ryzykiem, czasem każdy z nas...

- Ale ja nie kocham każdego, kocham ciebie!

Wróciwszy do stolika, wyciągnął z paczki papierosa. Przesuwał po blacie notatki, szukając zapalek. Laurel patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Serce waliło jej, jakby wbiegła na trzecie piętro, pokonując po dwa stopnie naraz.

Po chwili Matt wyjął z ust papierosa i znieruchomiał, jakby dopiero teraz uświadomił

sobie, co się stało. Boże, czy wszystko zepsuł? Czy ją wystraszył? Postanowił dać Laurel szansę wybrnięcia z tej niezręcznej sytuacji.

- Czy mnie się wydaje, czyja naprawdę powiedziałem, że cię kocham?

- Powiedziałeś. I mam na to świadka. Uniósł brwi.

- Nikogo tu nie ma.

- E tam, kogoś przekupię. Wsunął rękę do kieszeni.

- Nie wystraszyłem cię? - spytał. - Chciałaś to usłyszeć?

Podeszła krok bliżej.

- A miałam cię za takiego spostrzegawczego człowieka. - Westchnęła. - Tak się składa, Matthew, że kiedy kobieta kocha mężczyznę, to pragnie, aby on odwzajemniał jej uczucie.

Serce mu załomotało. Jeszcze nigdy nie biło w tak szalonym tempie.

- Ty mnie... Naprawdę? Ty...

- Matthew. - Zaskoczona, że Matt nie widzi tego, co jej się wydawało oczywiste, wyciągnęła do

niego rękę. - Jesteś pierwszym mężczyzną, którego pokochałam. Dlatego właśnie z tobą straciłam dziewictwo.

Zarzuciła mu rękę na szyję, a on przytulił ją z całej siły. Nareszcie! Tak długo na to czekał. Marzył o tym, by z ust Laurel padły takie słowa.

- Jeszcze raz - poprosił. - Powiedz jeszcze raz, że mnie kochasz.

- Kocham. - Delikatnie musnęła jego wargi. - Bardzo kocham. Boże... - Ze szczęścia zakręciło się jej w głowie. - A kiedy ty... kiedy ty się we mnie...

- I tak mi nie uwierzysz.

Zatracili się w sobie, w swoim szczęściu, w pocałunkach. Świat zewnętrzny przestał

istnieć. Tak wiele chciała Mattowi powiedzieć. Wczoraj cieszyła się, że jej pragnie; dziś była w siódmym niebie, że nie tylko jej pragnie, ale również ją kocha.

Osunęli się na podłogę w przedpokoju. Szybko, bez zbędnych słów. Oboje wiedzieli, czego chcą. Ubranie fruwało. Och, co za rozkosz poczuć nagie ciało, pogłodzić nagie ramiona i brzuch. Zwolnili. Już nie musieli się spieszyć. Rozpierała ich radość, żądza, szczęście.

Usta przesuwwały się leniwie, pieszcząc, całując, szukając nowych wrażliwych miejsc.

Serca waliły mocno, oddechy się urywały, mieszały z sobą. Pożądanie narastało coraz bardziej. Szept przechodził w jęk, paznokcie wbijały się w skórę. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, a nad nią migoczą setki gwiazd...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Było ciemno. Nie wiedział, która jest godzina, i wcale go to nie interesowało. Leżeli w łóżku Laurel przytuleni. Jak bez troskie dzieci, zostawili ubranie na podłodze w przedpokoju.

Uśmiechnął się; miła była świadomość, że mają przed sobą całą niedzielę i mogą spać, kochać się, cieszyć sobą. Wiedział o Laurel wszystko: co jej sprawia przyjemność, a co przykrość, co ją irytuje, a co bawi. Wiedział, kim jest, gdzie dorastała, jaka była w dzieciństwie. Część informacji sama mu zdradziła, inne wyciągnął z Olivii, Williama i Curta Armandów. Kiedy miała dziewięć lat, złamała nogę; w szkole średniej prowadziła gazetkę szkolną; do wieku siedmiu lat zasypiała z pluszowym psem mającym tylko jedno ucho.

Przyszło mu do głowy, że pewnie nie byłaby zadowolona, gdyby odkryła, że tyle o niej wie.

Z kolei ona tak niewiele wiedziała o nim. Przypomniawszy sobie jej zranioną minę, kiedy go o coś pytała, a on unikał odpowiedzi. Mimo to go pokochała.

Nagle zmieniła pozycję i przeciągnęła się leniwie.

- O czym myślisz? - spytała, kiedy jej oczy przywykły do ciemności w pokoju.

Przez chwilę milczał.

- Dorastałem w takim miejscu, jak to przedstawione na drugim obrazie - zaczął cicho.

- Nocami ludzie starsi nie wychodzili z domów, a młodszy poruszali się w grupach. Latarnie uliczne się nie paliły. Policjanci patrolowali teren zawsze we dwóch, zawsze w radiowozach.

Chyba nie było nocy, żebym nie słyszał wycia syren.

Panowała cisza jak makiem zasiał. Obok niego leżała cudowna kobieta. Więc po co wraca wspomnieniami do przeszłości? Bo ta przeszłość w nim istnieje. Bo składa się na to, jaki jest. Bo Laurel zasługuje na to, aby poznać prawdę.

- Pracowałem u faceta, który prowadził kiosk z gazetami. Któregoś lata okradziono nas sześć razy. Za szóstym razem facet się wściekł. Doszło do bójki. Ja wyszedłem ze szpitala po dwóch dniach, on po dwóch tygodniach. Miał sześćdziesiąt cztery lata.

- Matt... - Wtuliła twarz w jego szyję. - Nie musisz mi o tym opowiadać.

- Chcę, żebyś знаła moją przeszłość - odrzekł, po czym zamilkł. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili. - Na naszej klatce schodowej stale unosił się zapach jedzenia i potu. Zimą potwornie zmarliśmy; ciągnęło od podłóg, od okien. Latem było gorąco jak w piecu. Mimo że mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, ze śmietnika dolatywał koszmarny smród. W

nocy zaś docierały odgłosy ulicy: handlarzy narkotyków, prostytutek, ich młodocianych klientów. Od dilerów trzymałem się z daleka, bo chciałem być zdrowy, a z usług prostytutek korzystałem, kiedy wpadło mi parę dodatkowych dolców.

Ciekaw był, czy Laurel się od niego odsunie. Nie zrobiła tego. Myślała o jego obecnym mieszkaniu, ładnym, ciepłym, wygodnym. Musiał nienawidzić tamto śmierdzące miejsce, w którym zimą zmarł, a latem się dusił, a jednak jako dorosły mężczyzna powiesił na ścianie obraz nędznej nowojorskiej ulicy, podobnej do tej, na której się wychowywał.

Pamiętał o swoich korzeniach; wiedział, że przeszłość wpływa na osobowość i charakter człowieka.

- Mieszkałem z ciotką. Zaopiekowała się mną, kiedy po śmierci mamy ojciec postanowił zniknąć z mojego życia. Nie musiała tego robić. Po prostu była najszlachetniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem.

- Kochała cię - szepnęła.

- Ciągłe nam brakowało pieniędzy, mimo że ciotka ciężko pracowała. Kiedy podrosłem, też zacząłem zarabiać. Ale stale podnoszono czynsz albo... Nieważne. W każdym razie obiecałem sobie, że jakoś się stamtąd wyrwę. Że zapewnię nam lepszy byt. Marzyłem o tym, żeby być dziennikarzem, pracować w jednej z dużych nowojorskich gazet i zarabiać tyle, żeby kupić ciotce mały domek w Brooklynie

Heights albo New Rochelle. Zatrudniłem się jako goniec, a jednocześnie ślezczałem nad książkami. Istniały łatwiejsze sposoby zdobycia pieniędzy, ale to by ciotkę zabiło. Potem dostałem stypendium i wyjechałem na studia. Kiedy byłem na ostatnim roku, miałem już co nieco zaoszczędzone. Nie stać mnie było na dom w Brooklyn Heights, ale na ładne mieszkanie w przyzwoitej dzielnicy owszem. Planowałem zająć się tym latem. Niestety, ciotka zmarła w marcu.

Laurel pocałowała go w policzek.

- Byłaby z ciebie dumna.

- Może by wciąż żyła, gdybym obrał inną drogę.

- Sam powiedziałeś, że to by ją zabiło. - Podparła się na łokciu.

- Ciągłe to sobie powtarzam. Wiesz... - Okręcił wokół palca kosmyk jej włosów. -

Lubiła się śmiać. Zawsze potrafiła mnie rozweselić. Gdyby nie ona...

- Kocham cię, Matt.

- Myśląc o nas, o tobie i o mnie, często zastanawiałem się, czy mamy jakąkolwiek szansę. Pochodzimy z tak różnych światów.

- Och, ty głuptasie - szepnęła czule Laurel.

- Jesteś taka piękna. - Westchnął. - Nigdy nie zapomnę twojego zdjęcia, które Curt trzymał na biurku.

Zaskoczona, otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wyobrażałem sobie, jak na przyjęciu w ogrodzie spacerujesz wśród kwiatów ubrana w zwiewną suknię z jedwabiu. Ale siebie tam nie widziałem, raczej kogoś takiego jak...

- Jak Louis? - spytała. - Posłuchaj. On ci w niczym nie zagraża. Owszem, kochałam go. Ale to była szczenięca miłość. I Louis, i Marion stanowią ważną część mojego dzieciństwa. Byli jak postaci z bajki...

- Wiem. - Opuściło go napięcie. - Tylko że...

- Dziś żal mi ich obojga. Chciałabym im pomóc, a zarazem wiem, że to, co zrobię, może przynieść im jeszcze większe cierpienie i ból. Gdybym darzyła Louisa autentycznym uczuciem, to po odejściu Elise... - Urwała. - A ja czekałam dziesięć lat na takiego idiotę jak ty.

- Laurel...

- Więcej na ten temat nie chcę mówić, Matt. I nie zamierzam się więcej tłumaczyć.

Jasne?

We wpadającym przez okno blasku księżycy widział gniewny błysk w jej oczach.

Podjął decyzję; zresztą nie musiał się długo zastanawiać.

- Laurel, czy wyjdiesz za mnie za męża? Usłyszał, jak wciąga gwałtownie powietrze, zobaczył jej zdumioną minę. Przez moment w sypialni panowała cisza.

- Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz - odparła, po czym rzuciła mu się w ramiona.

Kiedy się obudziła, słońce świeciło jej w twarz. Bez otwierania oczu wiedziała, że jest piękna pogoda. W nocy spadł deszcz, powietrze znów było świeże i rześkie. Wzdychając cichutko, przeciągnęła się leniwie.

- Podoba mi się sposób, w jaki się budzisz - szepnął Matt.

- Mmm, która godzina?

- Poranna. - Odnalazł jej usta. - Szaleję za tobą, mój skowroneczku. To kiedy się pobierzemy?

- Niedługo. Chociaż jak tylko babcia się dowie o naszych planach, to... - Nagle Laurel poderwała się.

- O Boże! Śniadanie!

- Taka jesteś głodna? - spytał ze śmiechem.

- Nie, nie rozumiesz. Która godzina? - Odepchnąwszy Matta, chwyciła stojący na szafce nocnej budzik. - Psiakość, musimy wstawać, bo inaczej będą kłopoty.

- Hola, hola! - Przytrzymał ją w talii.

- Matthew, niedzielne śniadania w Promesse d'Amour to rzecz święta.

- A nie możemy sobie zrobić własnego? We dwoje, w łóżku, w porze lunchu?

Potrząsnęła głową.

- Posłuchaj, skoro wkrótce będziemy małżeństwem, musisz zaakceptować nienaruszalne zasady i tradycje rodziny Armandów. Niedzielne śniadanie obowiązuje nas wszystkich od wielu, wielu lat - ciągnęła z zaferowaną miną.

- Nie wiesz, że jestem urodzonym rebeliantem?

- Nawet tak nie mów! - Parsknęła śmiechem. - Babcia może mi wybaczyć ślub z Jankesem, ale nigdy, przenigdy nie wybaczyłaby opuszczenia niedzielnego śniadania. Już nawet drobne spóźnienie jest bardzo źle widziane. A to nam niestety grozi.

- No dobrze, dla panny Olivii zwlokę się z łóżka - powiedział Matt, puszczając Laurel, która szybciotko pomknęła do łazienki.

- Wezmę prysznic! Jak się pospieszymy, może uda nam się nie spóźnić.
 - Podwójny prysznic to podwójna oszczędność czasu - oznajmił Matt, przyłączając się do niej.
 - Ale... - zaczęła protestować, lecz zamknął jej usta pocałunkiem.
- Spóźnili się.
- Babcia da nam burę - mruknęła Laurel, kiedy skręcili w cedrowy podjazd.
 - Trudno, jakoś to przeżyjemy.
 - Matthew, usuń z twarzy ten zadowolony uśmiech. Przynajmniej postaraj się wyglądać na skruszonego.
 - Możemy skłamać, że złapaliśmy gumę - zaproponował.
 - Gumę? Żeby zasłużyć na przebaczenie, musielibyśmy uczestniczyć w potężnym karambolu. A w tym samochodzie nie ma nawet drobnego wgniecenia.
 - Nawet dla ciebie nie wjadę w drzewo.

- Jankesi kochają swoje autka, prawda? - Westchnęła ciężko na widok domu, od którego dzieliło ich już tylko kilka metrów. - No dobrze, pewnie to nas nie uratuje, ale cofamy zegarki.

- Żartujesz?

- Nie. Cofamy o kwadrans. - Zaczęła pośpiesznie manipulować przy swoim. - No, na co czekasz?

- Rany boskie, jaka jest kara za spóźnienie? - spytał, parkując koło wozu Curta. -

Chłosta?

- Cicho, babcia idzie. Matthew, błagam, staraj się przybrać niewinną minę.

- Może ja cię tu zostawię i wrócę do miasta, co?

- Tylko spróbuj! - warknęła gniewnie, po czym wysiadła z samochodu. - Babciu! -

Ruszyła przed siebie uśmiechnięta, z rozpostartymi ramionami. Pocałowała staruszkę w oba policzki, udając, że nie dostrzega jej chłodnego spojrzenia. - Jak pięknie wyglądasz!

- Spóźniłaś się. - Starsza pani zgromiła ją wzrokiem.

- Ależ nie, babciu. Jestem dwie minuty przed czasem. Przywiozłam z sobą Matta -

dodała pośpiesznie, licząc, że babcia rozchmurzy się na widok gościa.

- Pani Olivio... - Matt uniósł rękę staruszki do ust.

- Jesteście spóźnieni - powtórzyła Olivia Armand.

- Niemożliwe. - Laurel zerknęła na zegarek. - Jest równo jedenasta.

- Dobra, dobra, znam tę sztuczkę. Dlaczego się spóźniliście? - Powiodła spojrzeniem po młodych, oczekując wiarygodnego wytłumaczenia.

Laurel zwilżyła wargi, nerwowo zastanawiając się, co powiedzieć.

- Widzisz, babciu, my...

- To moja wina, pani Olivio - wtrącił Matt, zyskując wdzięczność Laurel.

- Twoja?

- Przeszkadzałem jej, kiedy brała prysznic.

- Matthew! - zawołała oburzona Laurel, w myślach poprzysięgając mu zemstę.

- Ach tak, rozumiem. - Olivia skinęła głową. - Zamknij buzię, kochanie - zwróciła się do wnuczki, po czym ponownie utkwiała spojrzenie w Matcie. - Długo to trwało, ale wreszcie osiągnąłeś cel. Wkrótce się pobierzecie. - Było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

- Zgadza się. - Matt uśmiechnął się szeroko. Laurel wciąż stała z szeroko otwartymi ustami.

- Witaj w rodzinie, Jankesie. - Puszczając oko do wnuczki, Olivia wzięła Matta pod rękę i ruszyła w stronę tarasu.

Ona jest jedyna w swoim rodzaju, pomyślała Laurel, spoglądając na babkę z miłością i dumą.

Zasiedli do stołu w szóstkę - Olivia z Williamem naprzeciwko siebie, a pośrodku młodsze pokolenie: Laurel z Mattem, Curt i Susan. Susan wyglądała zupełnie inaczej niż tamtego dnia w redakcji; ręce jej nie drżały, z twarzy znikło przygnębienie. Leciutki wietrzyk zapewniał ochłodę, a w tle rozbrzmiewał śpiew ptaków.

- Laurellie, moja miła - powiedziała Olivia, nadziejąc na widelec kawałek naleśnika. - Możecie po ślubie zamieszkać z Mattem w zachodnim skrzydle. Na stałe albo kiedy zechcecie wyrwać się z miasta. Dom jest tak duży, że nie będziemy sobie wchodzić w paradę. - Pociągnęła łyk zimnego szampana.

- Może dolać ci kawy, mamó? - spytał William, którego zawsze drażniło, gdy Olivia usiłowała bawić się w swatkę. - A z wami muszę porozmawiać - dodał, zwracając się do córki i Matta, którzy natychmiast się domyślili, że chodzi mu o sprawę Anne. - W poniedziałek rano u mnie w gabinecie.

- No właśnie, sprawy służbowe zostawcie na poniedziałek, a dziś chcę porozmawiać o ślubie.

- Olivia posłała synowi karzące spojrzenie.
- Ogród i taras oddaję do waszej dyspozycji. Nie wiem, kiedy zamierzacie się pobrać, ale...
- Najchętniej w następny weekend - wtrącił Matt.
- Uważaj, co mówisz, chłopcze - ostrzegł go ojciec Laurel. - Bo jeszcze Olivia zaskarży cię o niedotrzymanie terminu.

Na samą myśl o tym staruszce zaświeciły się oczy.

- Świetny pomysł, Williamie - pochwaliła syna. - Swoją drogą, czy nie powinieneś zadać Mattowi tych wszystkich pytań, jakie zwykle zadaje zięciowi przyszły teść? Bądź co bądź to Jankes.
- Nie musisz, tato. Sama ci wszystko wyjawię - oznajmiła z poważną miną Laurel. -

Matthew żeni się ze mną z dwóch powodów: żeby zamieszkać w Promesse d'Amour i po to, żeby móc bezkarnie podrywać babcię.

Na twarzy ojca odmalowała się niepewność.

- Żartujesz, prawda?
- Bynajmniej - odparła Laurel, zanurzając truskawkę w śmietanie. - Matthew uwielbia babcię.
- To prawda - potwierdził Curt, uważnie przyglądając się siostrze. Przypomniawszy sobie fascynację kumpla pewną fotografią, zerknął na Matta. - Przez cały ten czas? - spytał

cicho.

- Tak - przyznał z uśmiechem Matt. - Przez cały ten czas.
- Tatku... - Laurel popatrzyła na ojca. - Mamy twoje błogosławieństwo?
- Oczywiście, kochanie. Bardzo się cieszę.
- Poklepał córkę po ręce. - To niesamowite. Głowę bym dał, że nawet nieszczególnie się lubicie. Ciągłe się spieracie...

- Kto się czubi, ten się lubi. - Olivia odsunęła krzesło od stołu, co oznaczało, że śniadanie dobiegło końca. - Susan, idź do mojego pokoju. W szkatułce na biżuterię znajdziesz mały złoty medalion zdobiony perłami. Przynieś mi go. - Gdy Susan znikła w środku, staruszka popatrzyła na wnuka.

- Pozwolisz, Curt, żeby cię Jankes wyprzedził?
- Wyprzedził? - Curt wstał od stołu i strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek.
- Och, nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Też zamierzasz zmarnować cały rok?

- Mamo. - Obszedłszy stół, William położył rękę na ramieniu Olivii. - Nie wystarczy ci jeden sukces?

- Nie, mój drogi - odparła niezrażona staruszka. - A kiedy skończę z Curtisem, zabiorę się za ciebie.

- Przykro mi, synu - William wzruszył ramionami - musisz radzić sobie sam. Matt...

chciałbym zamienić dwa słowa.

- Tchórz - mruknęła Olivia, odprowadzając Williama wzrokiem.

- Czy to miało być to, pani Olivio? - spytała Susan.

- Tak, kochanie. - Staruszka uśmiechnęła się na widok medalionu. - Curtis, oprowadź

Susan po ogrodzie. Lubisz kwiaty, prawda, moje dziecko?

- Bardzo. - Susan nieśmiało spuściła oczy.

- No widzisz, Curt? Dziewczyna lubi kwiaty.

- Babciu... - Pochyliwszy się, Laurel uściśnęła staruszkę. - Przepadam za tobą.

- Promieniejesz szczęściem - zauważyła Olivia, przyglądając się wnuczce.

- Tak. A najśmieszniejsze jest to, że gdybyś spytała mnie miesiąc temu... jaki miesiąc?

tydzień temu, czy poślubiłabym Matta, odpowiedziałabym, że... - Pokręciła głową. - Nie, lepiej nie będę tego mówić.

- Od początku udawałaś, że jest ci obojętny.

- I chyba nieźle mi to wychodziło. Olivia roześmiała się serdecznie.

- Jesteśmy bardzo do siebie podobne. - Ujęła wnuczkę za rękę. - Kiedy się zakochujemy, to na całe życie. Twój dziadek... - Na moment oczy jej się rozmarzyły. - Boże, jak ja kochałam tego człowieka. Niestety, dane nam było spędzić razem tylko piętnaście lat.

Kiedy zmarł, myślałam, że zwariuję z rozpacz. Ale życie toczy się dalej. Inni po nim... -

Westchnęła. - To nie było to. Owszem, wszystkich moich mężczyzn darzyłam uczuciem, ale dziadek był najważniejszy. Ty i Matt jesteście stworzeni dla siebie.

Łzy wezbrały Laurel pod powiekami.

- Trzymaj. - Olivia wsunęła wnuczce do ręki medalion. - To prezent zaręczynowy od twojego dziadka. Brałam w tym ślub. Sprawiałabyś mi ogromną radość, gdybyś idąc do ołtarza, miała na szyi ten medalionik.

- Jest piękny - szepnęła drżącym głosem Laurel. - Dlaczego nigdy go nie widziałam?
- Bo od śmierci dziadka leży w szkatułce. Najwyższy czas, aby znów zdołał dekolt panny młodej.
- Dziękuję, babciu.

Laurel pocałowała Olivię w policzek, po czym wzruszona popatrzyła na prezent.

Wyobraziła sobie, jak pięknie medalion będzie wyglądał z białą koronkową suknią. Nagle przycisnęła palce do skroni; coś jej się przypomniało.

- Laurellie? - Usłyszała zatroskany głos babci.

- Nie, nic mi nie jest. Po prostu... Przepraszam, muszę skorzystać z telefonu.

Ściskając w dłoni medalion, wbiegła do salonu. Po chwili wykręciła z pamięci numer Heritage Oak.

- Binney? Mówi Laurel Armand. Na drugim końcu linii zaległa cisza.

- Binney, wiem, że się na mnie gniewasz za te moje pytania. Przepraszam, nie powinnam była cię tak maglować.

- Nie gniewam się, panno Laurel. Służbie nie wypada się gniewać na gości - oznajmiła gospodyni. - Ale i nie wypada odpowiadać na pytania dotyczące domowników.

- Błagam, Binney, potrzebuję drobnej informacji. Chodzi o medalion - mówiła Laurel, nie zważając na ciszę w słuchawce. - Ten, który Louis podarował Elise przed ślubem.

Pierwszy raz miała go na sobie, kiedy się pobierali. Potem już zawsze go nosiła. Pamiętasz, Binney? Taki mały złoty medalion? W środku umieściła zdjęcie Louisa.

- Tak, pamiętam - mruknęła gospodyni.

- Zawsze go nosiła, prawda? Pasował i do strojów dziennych, i wizytowych.

- Owszem. Pani Elise bardzo go lubiła. Laurel przełknęła ślinę; z całej siły starała się opanować zdenerwowanie.

- Binney, czy Elise bała się mokradel? - Znała odpowiedź, ale nie chciała polegać na swojej pamięci. Potrzebowała dowodów, choćby te były najboleśniej.

- Minęło tyle lat...

- Błagam, Binney.

- Tak, bała się - potwierdziła beznamiętnym tonem gospodyni. - Słyszała historie o bagiennych duchach.

- Czasem jednak tam chodziła?

- Ale nigdy sama. Wyłącznie z panem Louisem.

- Wyłącznie z Louisem. - Laurel wypuściła z płuc powietrze. - Dziękuję, Binney.

Odłożywszy słuchawkę, popatrzyła na babciny medalion, po czym schowała go do kieszeni i ruszyła na poszukiwanie Matta.

Zobaczył ją, gdy szła po trawniku. Przeprósiwszy Williama, skierował się w jej stronę.

Widział, że coś ją gnębi.

- Co jest?

Objęła go mocno. Przez chwilę stała tak bez słowa, czerpiąc siłę z jego siły. Wynik walki, którą toczyła sama z sobą, był już przesądzony.

- Matthew, gdzie jest ten kawałek biżuterii, który znaleźliśmy na bagnach?

- W laboratorium policyjnym. - Przyjrzał się jej badawczo. - Mają przeprowadzić jakieś testy. Dlaczego pytasz?

Wziąwszy głęboki oddech, cofnęła się krok.

- Testy wykażą, że leżał na ziemi, omywany przez deszcz, od ponad dziesięciu lat.

- Od ponad dziesięciu... - Matt pokiwał ze zrozumieniem głową. - Należał do Elise.

- Przypomniało mi się, gdzie go wcześniej widziałam. Dla pewności zadzwoniłam do Heritage Oak, rozmawiałam z Binney. Elise nosiła ten medalion codziennie. Nie rozstawała się z nim.

Ponieważ ją kochał, ponieważ była przeraźliwie blada, postanowił zabawić się w adwokata diabła.

- To o niczym nie świadczy. Mogła go zgubić.

- Mogła - przyznała Laurel. - Ale nie sądzę, że zgubiła. Po pierwsze, ten medalion był

dla niej zbyt cenny. Po drugie, rzadko chodziła na bagna, a jeśli już, to wyłącznie w towarzystwie męża. Przed chwilą Binney to potwierdziła.

Widział rozpacz w jej oczach, tym razem jednak nie czuł zazdrości. Delikatnie zacisnął dłonie na jej twarzy.

- Przykro mi, Laurel.

- Boże, Matthew - szepnęła.

- Zanim stąd wyjedziemy, powinniśmy we wszystkim wtajemniczyć twojego ojca. Ale Susan na razie nic bym nie mówił - dodał. - Nie mamy jeszcze żadnych konkretnych dowodów.

- Słusznie. - Obejrzała się, słysząc w oddali wesoły śmiech Susan. - Ojciec porozmawia z kim trzeba, aby wznowiono śledztwo w sprawie Anne, a może również w sprawie tajemniczego zniknięcia Elise i Charlesa. - Przez moment milczała. - Jeśli nasze podejrzenia się potwierdzą... Boże! Louis musi być bardzo chorym człowiekiem. Pierwsze morderstwo mógł popełnić pod wpływem silnego wzburzenia, ale potem spotkał Anne i... -

Przycisnęła palce do oczu. - On potrzebuje fachowej pomocy, Matt. Leczenia.

- Wiem. - Ujął ją za ramiona. - Najpierw trzeba udowodnić mu winę. Moim zdaniem powinniśmy się skupić na zniknięciu Charlesa i Elise; to nas doprowadzi do zabójstwa Anne...

Popatrzyła mu w oczy.

- Masz jakiś pomysł, prawda, Matt?

- Tak. Louis jest na krawędzi załamania. Na trzy różne sposoby ostrzegał cię, żebyś w to nie brnęła. Ledwo panuje nad nerwami... Jak sądzisz, jaka będzie jego reakcja, jeśli pokażemy mu znaleziony na bagnach medalion?

- Myślę, że pęknie.

- Też tak uważam. - Otoczył Laurel ramieniem. - Czyli co? Jutro kolejna wizyta w Heritage Oak?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na rozkładanym stole w kuchni oprócz notatek leżały opakowania po frytkach i hamburgerach. Podłogę w mieszkaniu zaścielały różne części garderoby. Zamknąwszy drzwi, Laurel ruszyła do salonu.

- Ale z ciebie bałaganiarz, Matt.

- Ze mnie? Przecież to twoje mieszkanie.

- Kopnął na bok swoją koszulę i usiadł. - To ty rzuciłaś się wczoraj na mnie. A dziś rano - kontynuował, gdy prychnęła pogardliwie - poganiałaś mnie, jakby cały dom stał w płomieniach.

Oboje starali się odciągnąć uwagę partnera od tego, o czym bez przerwy myśleli.

- No dobrze, sprzątnijmy ten bajzel...

- Mam lepszy pomysł. - Podniósłszy się, wziął Laurel w ramiona. - Zróbmy jeszcze większy.

- Matthew! Przestań... - zaprotestowała ze śmiechem, ale on nie zważał na jej sprzeciw. - Jesteś szalony! Myślisz tylko o tym jednym!

- Czasem myślę też o jedzeniu - przyznał, skubiąc jej obojczyk.

- To śmieszne, przecież minęło zaledwie parę godzin...

- Co z tego, skoro znów naszedł mnie apetyt... Od pocałunków zakręciło się jej w głowie.

- Przestań. - Bez większego przekonania usiłowała się oswobodzić. - Mamy tyle spraw do omówienia.

- Uwielbiam opierające się niewiasty... Zanim zorientowała się, co Matt zamierza, przerzucił ją przez ramię i ruszył do sypialni.

- Bates, zwariowałeś?

Przestała się wyrywać, przestała protestować, przestała myśleć. Skupiła się na doznaniach zmysłowych. Leżała rozpalona, pozbawiona hamulców. Z każdą sekundą rosło jej podniecenie. Odbywała z Mattem wspaniałą, ekscytującą podróż do obcej krainy, poznawała jej smaki, zapachy, niczym ptak szybowała wysoko w powietrzu, potem opadała i ponownie się wznosiła.

A kiedy znów była w stanie normalnie oddychać, podparła głowę na łokciu i popatrzyła na leżącego obok mężczyznę.

- Zrobiłeś to bardziej z myślą o mnie niż o sobie.

Roześmiał się.

- Prawdziwy ze mnie samarytanin.

- Wiedziałeś, że jestem potwornie spięta. Że nie chcę myśleć o tym, co nas jutro czeka...

Odgarnął jej włosy z czoła.

- Oboje potrzebowaliśmy chwili wytchnienia. A seks to sposób znacznie skuteczniejszy od aspiryny.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Czyli ilekroć mnie głowa zaboli... - Pocałowała go lekko w usta. - Matt, nie przejmuj się mną. Na pewno sobie z tym wszystkim poradzę.

Może tak, może nie, pomyślał.

- Dobrze. - Dał jej pstryczka w nos. - Wiesz co? Odbiorę dziś ten medalion. Wolałbym go mieć w domu.

Skinęła głową.

- A rano pokażemy go Louisowi.

Ja pokażę, poprawił ją w duchu. Ale o tym na razie głośno nie mówił. Wstał z łóżka i wciągnął spodnie.

- Chcesz ze mną jechać do laboratorium?

- Nie. - Przypomniały jej się słowa babci: życie toczy się dalej. - Hm, zrobię dla nas kolację.

A trzeba ci wiedzieć, że jeszcze nigdy nie gotowałam dla żadnego mężczyzny.

- Czuję się wyróżniony.

- Zobaczymy, jak się będziesz czuł potem, bo moje zdolności kulinarne pozostawiają wiele do życzenia.

- To może pójdziemy do restauracji?

- Tchórz. - Przyklęknąwszy na łóżku, zaczęła zapinać Mattowi koszulę. - Aha, w drodze powrotnej kup jakieś wino. I może tabletki na niestrawność - dodała ze śmiechem.

- Serio?

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Weź moje klucze na wypadek, gdybym była zajęta w kuchni. I wracaj szybko.

- Będę najdalej za godzinę. - Poklepał ją przyjaźnie po pupie.

Po chwili drzwi się za nim zamknęły. Laurel przeciągnęła się leniwie. Hm, za godzinę.

Czasu ma aż nadto. Szybko uporała się z bałaganem. Cwaniak z tego Matta, pomyślała; sprytnie wykręcił się od sprzątanania. Za karę będzie musiał zjeść kolację, którą ona przygotowuje.

Zajrzała do lodówki. Pół kartonu soku, szklanka mleka, cztery kostki masła. Cztery?

Jak to możliwe? Ogórki, pomidory... dobrze, wyjdzie z tego sałatka. Co jeszcze? Może by zrobić zapiekankę?

Kwadrans później mieszała w misce makaron z tuńczykiem. Według książki kucharskiej danie nie mogło się nie udać. Ha, pomyślała, to się jeszcze okaże! Umieściła składniki w żaroodpornym naczyniu, kiedy zadzwonił telefon.

Wytarła ręce, pewna, że to dzwoni Matt, by spytać, czy przypadkiem nie kupić czegoś u Chińczyka. Myślisz, że ci się upiecze, Bates? Nic z tego!

- Halo?

- Laurel? Dzięki Bogu, że cię zastałam! Poczwała, jak serce jej wali.

- Marion, co się stało?

- Nie wiem, co robić! Chodzi o Louisa. Ja... - W słuchawce rozległ się szloch.

- Marion, spokojnie. Powiedz, co się stało.

- Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie! Przedtem też się zdarzało, że całymi dniami się nie odzywał, ale od śmierci Anne... - Głos jej się załamał. - Potrzebuję twojej pomocy, Laurel.

- Dobrze, Marion. Ale powiedz, co się dzieje?

- Przed chwilą, dosłownie parę minut temu, wpadł w szal. Coś wykrzykiwał na temat Elise, potem Anne. Miałam wrażenie, jakby mu się zwały w głowie w jedną postać.

Laurel zacisnęła usta. Z całej siły starała się zachować spokój.

- Gdzie on teraz jest?

- Zamknął się w swoim pokoju. Dochodzą stamtąd straszne hałasy, jakby rozwaliał meble. Pukam, ale nie chce mi otworzyć.

- Marion, zadzwoń po lekarza.

- Próbowałam w przeszłości. To nic nie dawało, bo Louis nikogo do siebie nie dopuszczał. Laurel, proszę, przyjedź. Kiedyś byliście sobie bliscy... Może zdołasz na niego wpłynąć? A wtedy... wtedy postaram się namówić go na leczenie - dokończyła szeptem. -

Błagam, Laurel, nikomu poza tobą nie ufam. Nie chcę, żeby obcy ludzie widzieli go w takim stanie.

Laurel wyobraziła sobie Louisa szalejącego za zamkniętymi drzwiami.

- W porządku, Marion. Już jadę.

- Ale jako przyjaciółka domu, a nie jako dziennikarka?

- Jako przyjaciółka domu. - Odłożywszy słuchawkę, starła z policzków łzy.

Matt przerzucił torbę z zakupami do lewej ręki, a prawą przekręcił klucz w zamku.

- Kupiłem i czerwone, i białe! - zawołał. - Nie mówiłaś, jakie wolisz. - Zerknął do salonu, w którym panował idealny porządek. - I co, nic się nie przypała?

Wszedł do kuchni i uniósł zdziwiony brwi. Najwyraźniej Laurel potrzebny był do pichcenia każdy skrawek wolnej przestrzeni. Pokręciwszy z niedowierzaniem głową, wstawił

wino do zlewu - tylko tam było miejsce. Czy to na pewno jest kuchnia kobiety, która tak starannym charakterem pisma robi notatki? Która przed wyjściem z redakcji zostawia na biurku idealny

porządek?

W żaroodpornym naczyniu zobaczył zimne, rozgotowane kluski.

- Laurel, kochanie. Na Canal Street jest świetna knajpka, w której dają pyszne owoce morza. Co ty na to, żebyśmy... - Wsunął głowę do sypialni. Powoli zaczął ogarniać go niepokój. - Laurel?

Pchnął drzwi do łazienki. Pusto. Niepokój przerodził się w strach. Usiłował go w sobie zdławić. Na pewno wyszła na moment do sklepu, bo zabrakło jej jakiegoś składnika. Na pewno zostawiła karteczkę...

Wrócił pośpiesznie do salonu. Przy telefonie znalazł list, ale zanim go jeszcze przeczytał, poczuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki.

„Matt, dzwoniła Marion, jest strasznie zdenerwowana. Louis świruje, zamknął się w sypialni, cały czas mówi o Elise i Anne. Marion błagała mnie o pomoc, nie mogłam odmówić.

L.”

- Psiakrew! - Cisnął kartkę na ziemię i ile sił w nogach rzucił się do drzwi. Strach ścisnął go za gardło.

Cienie były coraz dłuższe, popołudniowe powietrze niemal nieruchome. Panującą wokół ciszę przerwał krótki ptasi świergot. Laurel zatrzymała samochód na końcu podjazdu.

Zanim jeszcze wyjęła kluczyk ze stacyjki, zobaczyła Marion, potarganą, bladą, z zaczerwienionymi oczami, która biegła w jej stronę.

- Boże, Laurel! Nie mogłam Louisa powstrzymać! Nie dałam rady go powstrzymać!

Laurel odruchowo wbiła wzrok w okno sypialni na piętrze. Wyobraziła sobie, jak Louis leży martwy na podłodze.

- Przed czym, Marion? Co Louis zrobił?

- Poszedł na bagna. - Zakrywszy rękami twarz, kobieta załkała. - On... całkiem postradał zmysły. Odepchnął mnie... To, co mówił... Boże...

Żyje, pomyślała Laurel. Spokojnie, Louis żyje.

- Co mówił?

- Że... - Marion opuściła ręce. - Że idzie poszukać Elise. Musimy mu pomóc, Laurel! -

Ponownie chwyciła ją za ramiona. - Znaleźć go! Biedak zwariował!

- Trzeba wezwać policję.

- Nie! Tu chodzi o Louisa. - Marion westchnęła ciężko. - Znajdę go. Znam te bagna jak własną kieszeń. Zostań tu, jeśli się boisz. Wiem, że za wiele od ciebie wymagam.

Patrząc na plecy oddalającej się kobiety, Laurel przeczesowała ręką włosy. Louis uczył ją jazdy konno; grał z nią w szachy; cierpliwie słuchał jej wesołego trajkotu. Bez względu na to, czego się dopuścił, czy może się od niego odwrócić? Odmówić mu pomocy?

- Marion! Poczekaj!

Z trudem zwalczyła w sobie strach i obrzydzenie. Tam nie ma żadnych duchów, powtarzała w myślach. To tylko bagna, mroczne, wilgotne, ohydne bagna.

Pocieszała się, że została jeszcze co najmniej godzina do zachodu słońca. W tym czasie na pewno znajdą Louisa.

- Przypuszczam, że poszedł nad rzekę. Tam, gdzie zginęła Anne. - Popatrzyła na Marion, która miała na sobie marszczoną w pasie, zwiewną spódnicę oraz eleganckie sandałki. - Dasz radę w takich butach przedzierać się przez gąszcz?

- Oczywiście! - zachnęła się Marion. - Louis to mój brat!

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Wiem.

Szły wolno, ramię przy ramieniu, a potem, gdy ścieżka się zwężyła, Laurel wysunęła się nieco na czoło. Wokół rozbrzmiewały różne dźwięki: śpiew ptaków, bzyczenie owadów.

W pewnej chwili czapla poderwała się do lotu.

- Może powinniśmy go wołać? Żeby wiedział, że tu jesteśmy?

- Nie usłysz nas - odparła Marion.

- Jeśli przyszedł nad rzekę, to usłysz, a jeśli... - Laurel obejrzała się za siebie i urwała w pół słowa.

Na widok wycelowanego w siebie lśniącego rewolweru wolno podniosła wzrok.

Mimo zaczerwienionych oczu, bladej twarzy i rozczochranych włosów Marion wydawała się spokojna i opanowana.

- Marion, na miłość boską, co robisz?

- To, co muszę.

Laurel stała bez ruchu; nie była w stanie zebrać myśli. Po co Marion broń? -

zastanawiała się nerwowo. Do obrony przed Louistem? Jeśli tak, to dlaczego celuje we mnie?

- Gdzie Louis, Marion? Czy wiesz, gdzie on jest?

- Oczywiście. Siedzi u siebie w gabinecie. Całe popołudnie ciężko pracuje.

- Całe... - zaczęła Laurel. - Więc dlaczego do mnie zadzwoniłaś? Dlaczego mnie wezwałaś?

- Musiałam. - Marion uśmiechnęła się łagodnie. - W trakcie naszej rozmowy telefonicznej o medalionie Elise zorientowałam się, że za dużo wiesz.

- W trakcie naszej rozmowy? Ale ja rozmawiałam z Binney... - Nagle Laurel zamilkła.

- To byłaś ty?

- Binney wszystkie niedziele spędza z siostrą. Zapomniałaś, prawda? Spodziewałaś się usłyszeć głos Binney, więc się pod nią podszyłam. - Uśmiech znikł z twarzy Marion.

Ściągnęła brwi, jak zwykle wtedy, gdy ogarniał ją gniew. - Zawiodłaś mnie, Laurel.

Ostrzegałam cię, żebyś nie wtrącała się do naszych spraw, a ty... Jak śmiałaś rozmawiać ze służbą na temat domowników? - Zirytowana potrząsnęła głową. - Sądziłam, że cię lepiej wychowano.

Że lepiej wychowano? Czy ona oszalała? Obezwładniający strach pochwycił Laurel za serce. Oczywiście, że Marion oszalała!

- Marion, co... zamierzasz?

- Ukarać cię. Tak jak ukarałam tamtych troje.

Matt z piskiem opon zahamował koło samochodu Laurel. Odkąd przeczytał jej list, ani na moment nie przestał kłąć. Przeklinanie pozwalało zapomnieć o strachu. Ruszył biegiem po schodach. Jeśli drań ją skrzywdził... jeśli ją tknął...

- Trulane! - krzyknął, waląc pięścią w drzwi. - Trulane!

Po chwili jego oczom ukazał się Louis.

- Gdzie Laurel? Coś ty z nią zrobił, draniu jeden?

- Z kim? Nie rozumiem...

- Co zrobiłeś z Laurel?

- Nic. Na oczy jej dziś nie widziałem. - Louis popatrzył gniewnie na ręce zaciśnięte na swojej koszuli. - Zabieraj łapy, Bates.

- Powiedz mi, co zrobiłeś z Laurel!

Coś w Louisie pękło. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie czuł smutku czy żalu, lecz zwyczajną w świecie wściekłość.

- Głuchy jesteś, Bates? Nie ma jej tu.

- Tak? A samochód? - Matt wskazał ręką za siebie.

Louis zmarszczył czoło. Wściekłość na jego twarzy zaczęła ustępować miejsca zdziwieniu.

- Najwyraźniej przyjechała do Marion.

- Owszem, Marion do niej zadzwoniła. - Matt pchnął mężczyznę na ścianę. - Prosiła, żeby Laurel przyjechała, bo nie może sobie z tobą poradzić. Że zamknąłeś się w sypialni i świrujesz.

- Zwariowałeś, Bates? - Stali naprzeciwko siebie, mierząc się gniewnie wzrokiem, obaj gotowi do walki. - Ja świruję? Od rana siedzę w gabinecie i pracuję.

Matt z całej siły próbował zapanować nad nerwami. Wiedział, że jeśli raz uderzy Trulane'a... Nie, najpierw musi znaleźć Laurel!

- Laurel zostawiła w domu list. Że jedzie do Marion, która jest przerażona twoim zachowaniem.

- Do diabła, Bates, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Na podjeździe stoi samochód Laurel - wycedził przez zęby Matt.

- Chcesz przeszukać dom? - spytał lodowatym tonem Louis.

- Owszem. - Matt sięgnął do kieszeni. - Tylko najpierw coś ci pokażę. - I pokazał znaleziony na bagnach medalion.

- Skąd to masz? To należało do Elise! Gdzieś ty to znalazł?

- Na bagnach - odparł Matt, zaciskając dłoń.

- Laurel to rozpoznała, więc dziś rano zadzwoniła do Binney, która potwierdziła, że Elise...

- Binney? - przerwał mu zdziwiony Louis.

- Binney zawsze wyjeżdża na niedzielę. - Przeniósł spojrzenie z zaciśniętej dłoni Matta na jego twarz. - Elise nigdy nie chodziła na bagna beze mnie. A tego medalionu nigdy nie zdejmowała. Na pewno miała go na sobie tego dnia, kiedy wyjechałem do Nowego Jorku... - Potrząsnął głową. - Tego dnia, kiedy... O co ci chodzi, Bates?

Matta powoli ogarniał coraz większy strach.

- Laurel mówiła mi, że rozmawiała z Binney koło południa.

- A ja ci mówię, że Binney nie ma. W niedzielę służba dostaje wolne, a Binney jeździ do siostry. Jesteśmy tu tylko we dwoje, ja i Marion.

- Marion... - szepnął Matt. Nagle go tknęło.

- Gdzie ona jest? Twoja siostra? - spytał, ruszając do ogrodu.

- Poczekaj! - Louis złapał go za łokieć. - Dokąd tak pędzisz?

- Na bagna! Chryste, nie rozumiesz, że Marion zwabiła Laurel na bagna? Tak jak i tamtych?

- Jakich tamtych? Do diabła, Bates, mów jaśniej!

- Twoja siostra jest zabójczynią! Zabiła już trzy osoby! Teraz chce zabić Laurel.

- Oszalałeś?

- Nie. - Matt ponownie otworzył dłoń, ukazując Louisowi medalion. - Przedwczoraj byliśmy z Laurel na bagnach. Nagle ktoś ją zaatakował. Ta sama osoba, która przysłała jej martwego węża. I która groziła jej przez telefon. Ta sama, która dziś ją tu ściągnęła. Laurel przyjechała, żeby ci pomóc. - Nie spuszczał oczu z twarzy Louisa. - Grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Przez chwilę Louis wpatrywał się w medalion.

- Poczekaj...

Wszedł do pokoju naprzeciwko salonu. Parę sekund później wyłonił się, blady jak ściana, trzymając w ręce mały pistolet. W milczeniu podał go Mattowi.

- Marion zabrała z gabloty rewolwer - rzekł cicho.

Nie panikuj, nie rzucaj się do ucieczki, powtarzała w duchu Laurel, nie spuszczać oczu z Marion. Dziwne, sprawia wrażenie spokojnej, normalnej, jakby zaraz miała się uśmiechnąć i zaprosić mnie na podwieczorek. Ciekawe, kiedy postradała zmysły?

Porozmawiaj z nią; ona chce rozmawiać.

- Mówisz, Marion, że ukarałaś tamtych?

- Musiałam.

- Dlaczego?

- Zawsze byłaś inteligentnym dzieckiem, Laurel, ale udało mi się wyprowadzić cię w pole...

- Uśmiechnęła się chytrze. - Mówiąc prawdę o Brewsterze, że Anne mu się podobała, skierowałam na niego twoje podejrzenia. Anne jednak nigdy nie odeszłaby od Louisa.

Kochała go.

- Więc dlaczego ją ukarałaś?

- Nie powinna była wracać. - Marion wzdrygnęła się. - Nie powinna była.

- Wracać? - spytała Laurel, zastanawiając się nerwowo, w jaki sposób najlepiej rozproszyć uwagę Marion. Gdyby się jej powiodło, mogłaby dać nura w zarośla i...

- Mnie nie nabrała. Co to, to nie! Wszyscy jej uwierzyli, zwłaszcza Louis, ale nie ja.

Oczywiście udawałam, że niczego się nie domyślam. Potrafię udawać. - Uśmiech ponownie wypełził na jej wargi. - Bała się mokradeł. Naturalnie wiedziałam dlaczego. Już raz tam zginęła...

Laurel z przerażeniem wpatrywała się w twarz swojej oprawczyni. Nie przerywaj, mów dalej, błagała ją w myślach.

- Dlaczego za pierwszym razem zabiłaś Elise?

- Bo nie miała prawa! - krzyknęła Marion rozdrażniona. - Nie miała prawa do Heritage Oak. To był mój dom, a Louis zamierzał zapisać go jej w testamencie. Przecież w jej żyłach nie płynęła krew Trulane'ów! Ja jestem najstarsza, dom powinien należeć do mnie. Ojciec popełnił błąd, zostawiając go Louisowi. - Powiodła wzrokiem dookoła, jej spojrzenie złagodniało. - Kocham tę posiadłość. To jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu kochałam.

- Ale dlaczego zabiłaś Elise? - spytała Laurel. Nie mieściło się jej w głowie, że można zabić kogoś dla domu i kawałka ziemi. - Dlaczego nie Louisa? Wtedy ty byś wszystko odziedziczyła.

- Louis jest moim bratem.

- No dobrze, a Charles?

- Nie chciałam krzywdzić Charlesa. - Łzy napłynęły Marion do oczu. - Kochałam go.

Ale zobaczył nas, chciał mnie powstrzymać. Nie miałam wyboru. - Westchnęła ciężko. - Elise czuła się samotna bez Louisa. Zaproponowałam jej spacer. Kiedy oddaliśmy się od domu, wyciągnęłam broń. Właśnie ten rewolwer. Poznajesz go, Laurel?

- Tak. - Owszem, poznawała; leżał w gablocie w bibliotece. Dawno temu tym samym rewolwerem inny Trulane wymierzył żonie karę.

- Wiedziałaś, że muszę się tym posłużyć - ciągnęła Marion. - To było tak, jakby na mnie czekał. Rozumiesz?

- Staram się.

- Biedna Laurel. Zawsze miałaś dobre serce. Dlatego wiedziałam, że przyjedziesz, jak cię poproszę.

- Opowiadałaś o Charlesie... - Laurel poczuła, jak kolana jej dygoczą.

- A tak. Więc Charles nas zauważył. Zobaczył, jak prowadzę Elise pod bronią na bagna. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo nawet nie miałam czasu go o to spytać. Wszystko stało się tak szybko. Byłyśmy mniej więcej w tym miejscu, kiedy nas znalazł...

Rozejrzała się, sprawdzając, czy dobrze pamięta. Korzystając z okazji, Laurel postąpiła krok w prawo. Marion uniosła broń wyżej.

- Ostrzegam cię, Laurel... Elise wpadła w szal. Pewnie wtedy zgubiła medalion. Co miałam zrobić? Musiałam ją zabić. I nagle rzucił się na mnie Charles. Nie mogłam uwierzyć!

Mój własny brat! Rewolwer sam wystrzelił. I Charles zwałił się na ziemię.

W pierwszej chwili nie wiedziałam, jak się zachować. A potem wpadł mi do głowy genialny pomysł. Byli kochankami, jak ta wcześniejsza para, która zginęła na bagnach.

Musiałam tylko napisać w imieniu Elise list do Louisa, że go nie kocha i wyjeżdża z Charlesem. Tak było lepiej dla wszystkich. - Na moment zamilkła. - Zwłoki zaciągnęłam na grzędzawisko.

- Boże...

- Spakowałam ich ubrania. Była niedziela, więc służba miała wolne. Na szczęście przypomniałam sobie, żeby spakować również farby Charlesa. On nigdzie się bez nich nie ruszał. Walizki też wrzuciłam do piachu. I po wszystkim. - Na jej twarzy odmalował się wyraz zadumy.

- Louis strasznie cierpiał. Miał wyrzuty sumienia. No cóż... Dom znów należał do mnie, Louis całymi dniami pracował, było tak jak dawniej. Tylko... tylko czasami słyszałam ich głosy - dodała szeptem. - W nocy.

- Czyje? Charlesa i Elise?

- Budziły mnie. Wstawałam z łóżka, wychodziłam na zewnątrz, ale nigdy nikogo nie widziałam. - Zerknęła za siebie, jakby spodziewała się, że zaraz ktoś się zjawi.

Postradała zmysły, pomyślała Laurel. Ale jak to możliwe, że nikt tego dotąd nie zauważył? Parę miesięcy temu spotkały się na imprezie dobroczynnej: Marion z bukietem fiołków przypiętym do żakietu wyglądała przepięknie. A teraz celowała z rewolweru...

- I nagle Elise wróciła. Powiedziała, że ma na imię Anne i Louis jej uwierzył. Ale mnie nie oszukała. Oczywiście nie mogłam się zdradzić, że znam prawdę.

- Więc znów ją zaciągnęłaś na bagna...

- Tym razem było trudniej. Louis prawie nie odstępował jej na krok, a ona sama nigdy się na bagna nie zapuszczała. Tego wieczora Louis pracował do późna. Elise siedziała z nim w gabinecie, potem poszła do sypialni. Wiedziałam, że lepszej okazji nie będzie. Zakradłam się do jej pokoju i

przyłożyłam jej poduszkę do twarzy. Tym razem chciałam upozorować nieszczęśliwy wypadek. Po chwili Elise straciła przytomność. Przytaczałam ją tu.

Marion uśmiechnęła się rzewnie.

- Miałam przy sobie broń. Nie zamierzałam jej użyć, ale Elise o tym nie wiedziała.

Kiedy odzyskała przytomność, owładnął nią paniczny strach. Domyśliła się, że zginie po raz drugi. Zaczęła błagać mnie o litość, ale pozostałam głucha na jej prośby. Kazałam jej wstać i iść przed siebie. Uznałam, że najlepiej będzie, jak utopi się w rzece. Rzuciła się do ucieczki.

Pomyślałam: świetnie, niech się najpierw zmęczy. I nagle usłyszałam krzyk. Ukąsił ją wąż.

Po prostu los tak chciał. Sama wdepnęła w gniazdo. Trzeba było jedynie poczekać, żeby jad podziałał. - Ponownie rozciągnęła wargi w uśmiechu, ale spojrzenie miała puste, bez wyrazu.

- Więcej Elise już nie wróci.

- Nie, więcej nie wróci - powiedziała cicho Laurel.

- Zawsze darzyłam cię sympatią. Gdybyś mnie posłuchała, nie doszłoby do tego...

Laurel zwilżyła usta. Modliła się, aby głos jej nie zdrzał.

- Marion, jeżeli mnie zastrzelisz, zostaniesz zabrana z Heritage Oak. Trafisz do więzienia.

- Och, nie! - Siostra Louisa zacisnęła rękę na rewolwerze. - Nie zastrzelę... chyba że będę zmuszona, a wtedy zrzuć winę na brata.

Laurel z trudem wciągnęła powietrze w płuca i z trudem je wypuściła. Nigdy nie przypuszczała, że oddychanie może sprawiać tyle kłopotu.

- Sama z własnej woli nie wejdę do rzeki ani na grząski piach - oznajmiła.

- Wiem. Niełatwo cię zastraszyć - przyznała Marion. - Ale jest jedna rzecz, której... -

Postąpiła krok w stronę wysokiej trzciny. - Przyszłaś na bagna szukać kolejnych dowodów. I podobnie jak Anne - Elise przydarzył ci się nieszczęśliwy wypadek. - Wyciągnęła schowany w trzcinie wiklinowy kosz. - Te akurat są żywe.

Długim kijem uniosła pokrywę. Laurel zamarła z przerażenia. Ze ściśniętym gardłem obserwowała, jak z kosza wysuwa się jeden podłużny kształt, potem drugi.

Odłożywszy broń, Marion ujęła kij oburącz.

- Zawsze się ich bałaś, prawda? Pamiętam, jak kiedyś zemdlałaś na widok małego zaskrońca, a zaskrońce to niegroźne stworzenia... - Wsadziła kij do kosza; rozległ się syk. - W

przeciwieństwie do mokasynów.

Laurel miała ochotę zerwać się do ucieczki, krzyknąć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu ani wykonać najmniejszego ruchu. Wolałaby zginąć od strzału!

- Możesz stać jak kołek, ale to i tak cię nie uchroni - rzekła Marion. - Wystarczy je podrażnić. - Przysunawszy kosz bliżej swej ofiary, ponownie wetknęła do środka kij.

Rozzłoszczony wąż zaatakował jego koniec. Marion roześmiała się wesoło.

Na dźwięk jej śmiechu Matta przebiegły ciarki. Po chwili jego oczom ukazała się sparalizowana strachem Laurel, a niecałe pół metra od niej syczące węże, które Marion wciąż drażniła kijem. Chwyciwszy z ziemi rewolwer, Matt zmówił krótką modlitwę i strzelił.

- Nie! - krzyknęła Marion na widok martwego węża.

Odwróciła się; nawet nie poczuła, jak drugi wąż wbija zęby w jej łydkę. Matt ponownie strzelił. Marion niczym zwierzę uciekające przed myśliwym rzuciła się pędem przez trzcinę.

- Laurel! - Matt przytulił ją mocno do siebie. - Już dobrze, już po wszystkim...

- Matt... - Szloch wstrząsał jej ciałem. - Ona jest obłąkana! Zabiła wszystkich! Boże, Matthew, tu są węże...

- Martwe. Nie bój się.

- Zabiła, bo nie chciała stracić domu... - ciągnęła Laurel, łkając. - Louis...

Matt obejrzał się. Dwa metry dalej stał Louis Trulane.

- Została ukąszona - oznajmił ledwo słyszalnym szeptem. - Poszukam jej.

- Louis... - zaczął Matt. - Przepraszam... Louis skinął głową.

- Wyprowadź stąd Laurel.

- Dasz radę iść? - Matt popatrzył na dziewczynę; łzy płynęły jej po twarzy.

- Tak. Nic mi nie jest. - Kiedy wyszli na trawnik, osunęła się na kolana. - To tylko nerwy...

- szepnęła. - Musimy zadzwonić na policję.

- Louis już zadzwonił. Zaraz tu będą. - Delikatnie pogładził ją po policzku. - Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Opowiedziała. Ledwo skończyła, w ciszę wdarło się wycie policyjnych syren.

Zapanowało istne pandemonium: mnóstwo świateł, mnóstwo ludzi, dziesiątki pytań. Laurel wtuliła

twarz w ramię Matta. Jeszcze chwila, powtarzała. Jeszcze chwila, a dojdę do siebie.

Pozwoliła, by Matt zaprowadził ją do domu, potem wypła kieliszek brandy, który wcisnął jej do ręki.

- Już mi lepiej. Błagam, Matt, nie patrz na mnie, jakbym miała się rozpaść.

Pochwycił ją w objęcia.

- Cholera jasna, Laurel. - Głos mu zadrżał. - Nigdy więcej mi tego nie rób. Gdybym zjawił się pięć minut później...

- Ciii, już nigdy, nigdy więcej tak nie postąpię - obiecała. - Kocham cię, Matt.

Kiedy ją pocałował, poczuła, jak odpływa z niej napięcie. Żyją. Kochają się. To jest najważniejsze. Nagłe usłyszała, jak drzwi się otwierają.

- To Louis - szepnęła.

Brudny, potargany, wszedł do salonu, powłócząc nogami. Laurel podbiegła do niego.

Przytulił ją do piersi.

- Znaleźliśmy Marion. Policja odwiozła ją do szpitala, ale nie wiem, czy... - Urwał i opuścił ręce. - Nie wyrządziła ci krzywdy?

- Nie.

Przeniósł spojrzenie na Matta.

- Jestem ci winien przeprosiny... - Podeszedł do barku i nalał sobie kieliszek koniaku. -

Laurel, czujesz się na siłach opowiedzieć mi o wszystkim?

Słuchał zwrócony do nich plecami. W pewnym momencie jego ciałem wstrząsnął niemy szloch. Kiedy Laurel zamilkła, dał jej znak, aby kontynuowała.

- Muszę porozmawiać z Susan - rzekł, gdy w końcu zapadła cisza.

- Mieszka u mojej babci. Ponownie napełnił kieliszek.

- Jeżeli zechce się ze mną widzieć, pojedę tam z samego rana.

- Na pewno zechce. Proszę cię, Louis. Nie obwiniaj się.

Odwrócił się.

- Zrobisz coś dla mnie, Laurel?

- Przecież wiesz, że tak.

- No tak, wiem. - Roześmiał się smutno. - Napisz swój artykuł. Opisz wszystko, niczego nie pomijaj. Może wtedy zdołam się podźwignąć.

- Oboje napiszemy, ja i Matthew. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. - Pogładziła Louisa po policzku. - Już ja tego dopilnuję. Pocałował ją lekko w czoło.

- Dobrana z was para - szepnął.

Parę minut później opuścili dom Trulane'ów. Laurel odetchnęła głęboko, rozkoszując się widokiem rozgwieżdżonego nieba.

- Musimy zadzwonić do ojca i powiedzieć, że wkrótce otrzyma materiał na pierwszą stronę.

- Dobrze mówisz. My. Żadnych więcej solowych wypraw.

- Żadnych - obiecała. - Jedźmy twoim samochodem, wrócę po swój jutro... Boże, Matthew! - Wsunęła się na siedzenie pasażera. - Nie chcę więcej takich przeżyć! Nawet gdybym za artykuł miała dostać nagrodę Pulitzera!

- Nagroda nagrodą, a co z moją kolacją? - spytał Matt, przekręcając kluczek w stacyjce. - W kuchni bałagan... Ciekawe, co z ciebie będzie za żona?

- Najlepsza z możliwych, Bates. - Pochyliwszy się, pocałowała go namiętnie w usta. -

Nie podziękowałam ci za uratowanie mi życia.

- A jak to zamierzasz uczynić?

- Nie katując cię moją opiekanką. - Uśmiechnęła się promiennie. - Zjemy w mieście, dobrze?

SZTUKA MISTYFIKACJI

(SZTUKA PODSTĘPU)

MOŻLIWE, ŻE ZNANY I CENIONY MALARZ ADAM HAINES

NAPRAWDĘ POTRZEBUJE CHWILI SPOKOJU I TYLKO TEGO

POSZUKUJE W RODZINNEJ POSIADŁOŚCI FAIRCHILDÓW. LECZ

KIRBY FAIRCHILD MA POWAŻNE WĄTPLIWOŚCI CO DO TEGO,

CZY TEN PRZYSTOJNY ARTYSTA JEST TYM, ZA KOGO SIĘ

PODAJE. SAMA MA WIELE DO UKRYCIA... PODOBNIEM JAK JEJ

OJCIEC, SŁAWNY MALARZ I RZEŹBIARZ ORAZ WŁAŚCICIEL

POKAŻNEJ KOLEKCJI OBRAZÓW, WŚRÓD KTÓRYCH TRUDNO

ODRÓŻNIĆ ORYGINAŁY OD ICH ZNAKOMITYCH KOPII. KTO

OKAŻE SIĘ SPRYTNIJSZY W TEJ GRZE NIEDOMÓWIEN?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Budynek ten trudno było nazwać po prostu domem, bardziej przypominał pałac, zbudowany z szarego, mieniącego się różnobarwnie kamienia. Z wielospadzistego dachu wyrastały okrągłe wieżyczki, które w dawniejszych czasach mogłyby służyć do celów obronnych. Szyby w wysokich, podłużnych oknach podzielone były szprosami na mniejsze części w kształcie rombów. Ekscentryczna budowla stała na wysokim brzegu rzeki Hudson i nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że przegląda się w lustrze wody jak próżna panna, świadoma swej urody. Jeśli opowieści o właścicielu tego domostwa były prawdziwe, pasowało ono do jego charakteru jak ulał.

Tylko tu brakuje fosy, zwodzonego mostu i smoka, pomyślał z przekąsem Adam, przemierzając brukowany dziedziniec.

Po obydwu stronach kamiennych schodów spoczywały ogromne gargulce, szczerzące zęby w szerokim, niepokojącym uśmiechu. Jako człowiek o praktycznym podejściu do życia Adam był zdania, że gargulce i wieżyczki obronne wyglądały dobrze tylko we właściwym sobie miejscu, które z pewnością nie znajdowało się w na obrzeżach Nowego Jorku, dwie godziny drogi samochodem od serca Manhattanu.

Postanowiwszy jeszcze się wstrzymać z wydawaniem kategoriycznych opinii, uniósł

ciężką kołatkę, która z głośnym stukiem opadła ponownie na solidne drzwi, wykonane z

honduraskiego mahoni. Dopiero trzecie stuknięcie sprawiło, że drzwi uchyliły się z niegłośnym skrzypnięciem. Powstrzymawszy się od okazania zniecierpliwienia, Adam spojrział w dół na niewysoką, szczupłą dziewczynę o ogromnych szarych oczach, czarnych warkoczach i usmarowanej sadzą twarzy. Ubrana była w wyświechtane dzinsy i pogniecioną bluzę. Wierzchem dłoni niespiesznie otarła nos, po czym odwzajemniła jego wyczekujące spojrzenie.

- Nazywam się Adam Haines - oznajmił powoli i wyraźnie, na wypadek gdyby miała kłopoty ze zrozumieniem. - Pan Fairchild oczekuje mnie.

- Oczekuje pana? - powtórzyła z mocnym północnym akcentem, przyglądając mu się uważnie spod zmrużonych powiek.

Po chwili wahania skrzywiła się, wzruszając jednocześnie ramionami, po czym odsunęła się, aby mógł wejść.

Szeroki, przestrzenny hol zdawał się nie mieć końca. W promieniach słońca, wpadających przez wysokie okno, pokryte ciemny drewnem ściany nadawały pomieszczeniu wytworny charakter, ale Adam w ogóle tego nie zauważył. Nie miał także oczu dla dziewczyny, z którą przed chwilą zamienił parę słów, interesowały go tylko obrazy.

Jakaż to była imponująca kolekcja! Van Gogh, Renoir, Monet - niejedno muzeum nie mogło się poszczycić takimi okazami. Adam stał w bezruchu, oczarowany bogactwem barw, odcieni, a także przemyślnych ruchów pędzla genialnych autorów. Być może Fairchild słusznie umieścił je w czymś, co przypominało fortecę...

Oderwawszy wreszcie wzrok od dzieł sztuki, Adam spostrzegł, że pokojówka wciąż stoi obok, przyglądając mu się badawczo.

- Pospiesz się, dobrze? - polecił, zirytowany. - Powiedz panu Fairchildowi, że już jestem.

- A kim pan jest? - odpowiedziała pytaniem, najwyraźniej nie zrażona jego zniecierpliwionym tonem.

- Nazywam się Adam Haines - przedstawił się ponownie.

Miał niejednokrotnie do czynienia ze służbą, ale jeszcze nigdy chyba nie spotkał

kogoś równie krnąbrnego.

- To już pan mówił - przypomniała. Przyjrzał się jej uważnie, gdyż w jej głosie pojawiła się niespodziewanie nutka ironii. W spojrzeniu jej szarych oczu wyczytał dojrzałość i inteligencję, które nijak nie pasowały mu do tych dziecinnych warkoczyków i umazanych sadzą policzków.

- Młoda damo - wycodził powoli. - Pan Fairchild oczekuje mnie. Po prostu powiedz mu, że już jestem. Poradzisz sobie z tym zadaniem, czy może cię przerasta?

- Jasne, że sobie poradzę - potwierdziła z oszałamiającym uśmiechem.

Po raz pierwszy Adam dostrzegł jej pełne, kuszące usta. Było w niej coś zagadkowego, niebanalnego, czego wcześniej nie zauważył pod warstewką sadzy. Niewiele myśląc, podniósł dłoń, aby wytrzeć jej policzek. W tej samej chwili dobiegł ich podniesiony męski głos.

- Nie dam rady! Mówię ci, że to niewykonalne! - wołał mężczyzna, zbiegając w niepokojącym tempie po schodach. - To wszystko twoja wina! - W oskarżycielskim geście wskazał palcem na dziewczynę. - Zapamiętaj to sobie!

Niewysoki, szczupły, poruszał się jak na siwowłosego starszego pana żwawym krokiem. Nieco przerzedzone falujące włosy sterczały mu naokoło głowy jak aureola. Z tym anielskim wyglądem kontrastowała marsowa mina, jaką teraz przybrał.

- Panie Fairchild, pańskie ciśnienie zwiększa się z każdą sekundą - ostrzegła dziewczyna, wyraźnie nic sobie nie robiąc z jego wybuchu złości. - Lepiej niech pan weźmie głęboki oddech, bo jak tak dalej pójdzie, będzie pan miał atak.

- Atak?! - wykrzyknął, podbiegając ku niej. - Jaki atak, dziewczyno? Przecież ja nigdy w życiu nie miałem żadnego ataku!

- Ale zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz - zauważyła z lekkim uśmiechem. -

Przyszedł pan Adam Haines, chciałby się z panem widzieć.

- Haines? A co Haines ma z tym wspólnego? Mówię ci, to koniec, słyszysz? Koniec! -

Dramatycznym gestem przysnął dłoń do piersi, tak iż przez moment zdawało się, że się rozpłacie. - Haines? - powtórzył, a na jego usta natychmiast wypłynął serdeczny uśmiech. -

Byliśmy umówieni, prawda?

- Tak - potwierdził Adam, podając mu dłoń.

- Cieszę się, że pan przyjechał. Od dawna czekałem na to spotkanie. - Fairchild entuzjastycznie potrząsnął jego ręką. - Zapraszam do salonu, napijemy się czegoś na dobry początek.

To powiedziawszy, ujął Adama pod ramię i energicznie poprowadził do sąsiedniego pomieszczenia, które w całości urządzone było antykami. Adam usiadł na wyjątkowo niewygodnej sofie, którą skinieniem dłoni wskazał mu gospodarz. Pokojówka przykucnęła przy ogromnym kamiennym kominku i zajęła się szorowaniem pokrytego sadzą paleniska, pogwizdując przy tym skoczną melodię.

- Mam ochotę na whisky - oznajmił Fairchild, sięgając po karafkę Chivas Regal. - A pan?

- Poproszę o to samo.

- Jestem wielbicielem pańskiego malarstwa, panie Haines - oznajmił gospodarz, podając mu szklankę, wypełnioną złocistobursztynowym płynem. Jego głos brzmiał pewnie, na twarzy malował się niczym nie zmacony spokój, tak że Adam zaczął się zastanawiać, czy burzliwa scena sprzed paru

minut nie była aby wytworem jego wyobraźni.

- Dziękuję - odparł, sącząc whisky.

Od kącików ust i oczu Philipa Fairchilda odchodziły wiązki delikatnych zmarszczek, mimo to sprawiał wrażenie osoby młodej i niesłychanie witalnej. Jego niebieskie oczy miały wciąż intensywny odcień, a ich przenikliwe spojrzenie zdawało się prześwieślać rozmówcę na wylot.

Fairchild był niewątpliwie jednym z największych żyjących artystów dwudziestego wieku. Jego twórczość prezentowała bogactwo stylów, od pełnego nonszalancji i eksperymentów do eleganckiego, klasycznego, dzięki czemu od ponad trzydziestu lat cieszył

się niezmienną sławą i szacunkiem, nie tylko w kręgach artystycznych, ale także wśród szerokiej publiczności. Część tej sławy zawdzięczał swemu nieposkromionemu temperamentowi, który sprawiał, że jednego dnia potrafił przejść cały wachlarz nastrojów.

Znany był z tego, że lubił zapraszać innych artystów do swego domu nad rzeką Hudson, aby przez kilka tygodni czy miesięcy mogli wspólnie pracować czy odpoczywać. Potrafił też zamknąć się w swym domu na cztery spusty, odmawiając kontaktu z kimkolwiek przez parę tygodni z rzędu.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za zaproszenie, panie Fairchild. Cieszę się, że będę mógł tu pracować przez kilka tygodni.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł wspaniałomyślnie gospodarz.

- Mam nadzieję, że będę miał okazję przyjrzeć się z bliska pańskim obrazom - ciągnął

Adam. - Pańska twórczość jest niesłychanie zróżnicowana.

- To pewnie dlatego, że nie jestem w stanie znieść monotonii. - Uśmiechnął się artysta.

Z okolic kominka dobiegło ich pogardliwe prychnięcie. - Niewdzięczne stworzenie - mruknął.

Pochwyciwszy jego pełne wyrzutu sumienie, pokojówka wzruszyła ramionami, po czym odrzuciła do tyłu warkocz i głośno cisnęła ścierkę do metalowego wiadra.

- Cards! - wykrzyknął Fairchild tak niespodziewanie, że Adam nieomal wypuścił z dłoni szklanekę. - Cards!

Chwilę później w drzwiach salonu stanął wyprostowany jak struna kamerdyner, ubrany w garnitur, którego czerń kontrastowała z jego siwymi włosami i jasną karnacją.

- Tak, panie Fairchild? - odezwał się z brytyjskim akcentem.

- Zajmij się samochodem pana Hainesa - polecił artysta. A bagaże zanieś do apartamentu Wedgewood.

Kamerdyner zawahał się przez chwilę.

- Oczywiście, proszę pana - odrzekł wreszcie, ułamek sekundy po tym, jak siedząca w palenisku dziewczyna nieznacznie skinęła głową.

- A jego sprzęt zanieś do pracowni Kirby - dorzucił gospodarz, uśmiechając się radośnie na widok pełnego oburzenia wyrazu twarzy pokojówki. - Bez obawy, na pewno się zmieścicie. - Ruchem głowy skazał Adamowi dziewczynę. - To moja córka. Jest rzeźbiarką, pasjonuje się babraniem po łokcie w glinie i odłupywaniem kawałków kamienia i drewna. Ja sobie kompletnie nie radzę z rzeźbą - wyznał ze smutkiem, zwieszając głowę. - Bóg jeden wie, jak się staram. Wkładam w to całą duszę. I nic... - Wyprostował się energicznie. - I nic!

- Niestety, obawiam się... - zaczął nieśmiało Adam.

- Jestem nieudacznikiem - Fairchild wpadł mu w słowo. - W moim wieku nie tak łatwo jest pogodzić się z porażką. To wszystko twoja wina! - zawołał do córki. - To ty ponosisz za to odpowiedzialność!

Odwróciwszy się od kominka, dziewczyna usiadła po turecku, po czym potarła nos brudną ręką.

- To absurd, nie możesz mnie obwiniać za to, że masz dwie lewe ręce - zauważyła, tym razem bez tego północnego akcentu, z jakim przywitała Adama. - Po prostu ustawiłeś się na z góry straconej pozycji, próbując udowodnić, że jesteś lepszy ode mnie.

- Na straconej pozycji! Na straconej pozycji, mówisz? - Jej ojciec zerwał się na równe nogi. - Jeszcze zobaczysz triumf Philipa Fairchilda, ty mała niewdzięcznico! - Zawołał, nieświadomie wymachując ręką, w której trzymał szklaneczkę z whisky. - Poczekaj, jeszcze będziesz musiała odwołać te słowa, niedowiarku!

- Nonsens. - Udała ziewnięcie. - Ty masz swoje medium, papo, a ja mam swoje.

Musisz się z tym pogodzić.

- Nigdy! - zawołał, bijąc się w pierś. - Porażka nie jest w moim stylu.

- To się jeszcze okaże - odparowała, po czym sięgnąwszy po jego szklaneczkę whisky, wychyliła jej zawartość jednym haustem.

Ojciec posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie, więc ucałowała go w policzek, przenosząc nań trochę sadzy.

- Jesteś brudna na twarzy - mruknął.

- Ty też - oznajmiła radośnie.

Obydwoje uśmiechnęli się jednocześnie. Adam dopiero teraz spostrzegł ich niesłychane podobieństwo. Było ono tak ogromne, że zastanawiał się ze zdumieniem, jak mogło wcześniej ująć jego uwagi. Kirby Fairchild, jedyne dziecko Philipa, powszechnie znana artystka młodego pokolenia,

dorównująca ekscentrycznością swemu ojcu. Adam nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, aby ulubienica wyższych sfer własnoręcznie szorowała palenisko w kominku.

- Chodź, Adamie - Kirby zwróciła się do niego z uprzejmym uśmiechem. -

Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Wyglądasz na zmęczonego podróżą. Ach, papo -

dorzuciła w drodze do drzwi. - Przyszło najnowsze wydanie „People”. Leży na tacy na stoliku. To go zajmie na trochę - dorzuciła, gdy szli z Adamem po schodach.

Idąc jej śladem, przypatrywał się jej pełnym gracji ruchom. Kirby poruszała się lekko, elegancko, a warkoczyki łagodnie kołysały się na jej ramionach. Zerknął na tylne kieszenie jej mocno wytartych dżinsów - nie nosiły metki żadnego producenta. Zwykle płócienne tenisówki miały poszarpane sznurówki.

Znaleźli się na drugim piętrze. Minąwszy kilkoro drzwi, zatrzymali się wreszcie.

Kirby zerknęła na swoje dłonie, po czym przeniosła spojrzenie na Adama.

- Lepiej ty otwórz - zaproponowała. - Bo ja wybrudzę całą klamkę.

Posłusznie otworzył drzwi. Zerknąwszy do środka, odniósł wrażenie, jak gdyby cofnął

się w czasie. Pomieszczenie utrzymane było w tonacji niebieskiej, odcieniu typowym dla porcelany słynnej firmy Wedgwood. Misternie rzeźbione fotele i stoliki niewątpliwie pochodziły z najlepszego okresu panowania króla Jerzego. Na ścianach wisiały przepiękne obrazy, ale tym razem to nie one przykuły uwagę Adama.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał, przypatrując się intensywnie towarzyszącej mu dziewczynie.

- Co takiego? - odparła z niewinną miną.

- Udawałaś kogoś zupełnie innego - wyjaśnił, zbliżając się do niej.

Z trudem zapanował nad przemożną chęcią otarcia sady z jej policzka.

- Zrobiłeś na mnie wrażenie straszliwie ugrzecznionego, a przy tym wszystkim wyraźnie wściekłego.

- Oparła się ramieniem o futrynę, przypatrując się mu uważnie. -

Wyraźnie spodziewałaś niezbyt inteligentnej pokojówki, więc postanowiłam wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom. O siódmej podawane są koktajle. Trafisz sam z powrotem, czy mam po ciebie przyjść?

- Trafię - zdecydował.

- To świetnie. Ciao.

Przyglądał się z fascynacją, jak oddalała się długim korytarzem. Nie miał wątpliwości, że Kirby Fairchild była równie fascynującym obiektem, co jej ojciec, ale postanowił, że nią zajmie się w drugiej kolejności.

Zamknawszy drzwi, przekręcił klucz w zamku. Jego bagaże stały już koło przepastnej szafy z ciemnego drewna. Sięgnawszy po jedną z walizek, ustawił w odpowiedniej pozycji zamek szyfrowy, po czym wyjął ze środka mały nadajnik.

- Melduję się - powiedział, włączwszy urządzenie.

- Hasło - padła lakoniczna odpowiedź.

- Mewa - mruknął poirytowany. - To chyba najgłupsze hasło, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Takie są wymagania, Adamie, musimy się ich trzymać.

- Jasne. Melduję się, McIntyre - powtórzył.

- Właściwie tylko po to, żeby ci podziękować za to, że mnie wysłałeś do tego domu wariatów.

To powiedziawszy, jednym ruchem kciuka wyłączył urządzenie, nie dając McIntyre'owi szansy na odpowiedź.

Kirby nie miała głowy do tego, aby brać natychmiast prysznic, tylko popędziła po schodach do pracowni ojca. Znalazłszy się tam, zatrzasnęła za sobą drzwi z takim impetem, że słoiczki i tubki z farbą aż zadzwięczały na półkach.

- Coś ty tym razem wymyślił? - zawołała, biorąc się pod boki.

- Zaczynam od początku. - Ojciec nawet nie podniósł na nią wzroku, pochylony w skupieniu nad wilgotną masą gliny. - Od samego początku. Moje dzieło rodzi się na nowo.

- Nie mówię o twoich żalonych próbach z gliną. Mówię o Adamie Hainesie. - Mimo swej niezbyt imponującej postury potrafiła wyrazić całą sobą niezadowolenie, gdy tylko odczuwała taką konieczność. Teraz zaś oparła dłonie na stole i pochyliwszy się, zbliżyła twarz do oblicza Fairchilda. - Jak mogłeś go zaprosić i nawet nie wspomnieć mi o tym ani słowem?!

- Ależ Kirby - zaczął łagodnie, wiedział bowiem, że czasami najlepszą strategią jest unikanie konfrontacji. - Po prostu wyleciało mi to z głowy.

- Akurat, wyleciało ci z głowy, oczywiście - powtórzyła zirytowana, bo przecież знаła swego ojca nie od dziś i wiedziała, że ważne rzeczy nigdy nie wylatują mu z głowy. - Co ty znowu kombinujesz, papo?

- Kombinuję, ja? Ależ skąd! - zaprzeczył z niewinną miną.

- Czemu zaprosiłeś go akurat teraz?

- Wiesz przecież, że od dawna podziwiam jego prace. Zresztą tobie też przypadły do gustu - przypomniał. - Niedawno dostałem od niego przemiły list na temat „Purpurowego księżycy”, który ostatnio widział w muzeum Metropolitan.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, marszcząc przy tym brwi.

- O ile się nie mylę, dotąd nie miałeś w zwyczaju zapraszać do domu każdego, kto wypowiedział się pochlebnie o twoim obrazie - zauważyła kąśliwym tonem.

- Oczywiście, kochanie - zgodził się. - To byłoby fizycznie niemożliwe, trzeba umieć dokonywać selekcji. A teraz pozwól, że wrócę do pracy, bo czuję, że mam natchnienie.

- Coś mi tu brzydko pachnie - nie dawała za wygraną. - Papo, jeśli to kolejny z twoich tajnych planów po tym, jak ostatnio obiecałeś...

- Ależ Kirby! - westchnął w wyrzucie. - Jak możesz nie ufać słowu ojca.

Skrzyżowała ramiona na piersi, przyglądając mu się z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Moje motywacje są jak najbardziej altruistyczne - jej ojciec oznajmił nie zrażony.

Prychnęła śmiechem.

- Adam Haines jest szalenie zdolnym młodym artystą. Sama przecież tak mówiłaś.

- Ależ nie zamierzam temu przeczyć. Co więcej, jestem przekonana, że jest doskonałym kompanem. Ale teraz jest nam tu potrzebny jak dziura w moście!

- Ujęła ojca pod brodę.

- Ach, Kirby! - jęknął, przewracając oczami.

- Twoja matka nieboszczka, Panie świeć nad jej duszą, byłaby bardzo rozczarowana, mogąc cię teraz słyszeć.

- Papo, Van Gogh! - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Już się robi - zapewnił. - Jeszcze tylko parę dni. Przeczuwając, że jeszcze moment, a zacznie rwać włosy z głowy, Kirby odeszła w kierunku okna, aby uspokoić się, spoglądając na zielony krajobraz.

To pierwsze objawy starości, myślała. Inaczej przecież nawet przez moment nie zastanawiałaby się nad zaproszeniem tego człowieka do domu. Może za tydzień, może za miesiąc, ale na pewno nie teraz! Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Adam Haines był

myślącym, inteligentnym mężczyzną. Był też niesłychanie atrakcyjny. Stanowił idealny model do rzeźby w brązie - prosty nos, ostre rysy, łagodne płaszczyzny. Jego włosy miały lekko miedziany kolor i choć długością przekraczały obecne trendy, prezentowały się nader korzystnie. Kirby czuła, że

potrafiłaby oddać tę delikatny wyraz pewności siebie, jaki malował się na jego twarzy. Kiedyś chętnie go wyrzeźbi, ale nie teraz...

Wzdychając głęboko, wzruszyła jednocześnie ramionami. Za jej plecami Philipa Fairchild uśmiechnął się ze zrozumieniem. Gdy ponownie odwróciła się ku niemu, wpatrywał się intensywnie w leżącą przed nim glinę.

- Wiesz przecież, że będzie chciał tu przyjść. - W zamyśleniu schowała zabrudzone sadzą dłonie do kieszeni. - Zresztą wydałoby się podejrzane, gdybyś nie oprowadził go po swojej pracowni.

- Zaproszę go tu jutro.

- Adam pod żadnym pozorem nie może zobaczyć Van Gogha! - Ujęła się pod boki. -

Proszę, nie komplikuj naszej sytuacji jeszcze bardziej.

- Zapewniam cię, że nie zobaczy tu Van Gogha.

- Ojciec zerknął na nią przelotnie. - Zresztą to nie jego sprawa.

Kirby zdawała sobie sprawę, że naiwnością jest liczyć, że wszystko jakoś samo się rozwiąże, ale nie wiedzieć czemu słowa ojca trochę ją uspokoiły. Choć Philip Fairchild znany był ze swych ekscentrycznych pomysłów, nie był przecież głupcem, a i ona sama nie uważała się za istotę bezmyślną.

- Dzięki Bogu, że obraz jest już prawie skończony - westchnęła.

- Jeszcze parę dni i będzie bezpiecznie wisiał sobie daleko w górach Ameryki Południowej. - Ojciec uśmiechnął się z zadowoleniem.

Kirby podeszła do stojących w rogu pomieszczenia sztalug i uniosła materiał, przykrywający niemal ukończony obraz. Jej oczom ukazał się pozornie spokojny krajobraz pasterski, który jednak dzięki odważnym kreskom aż pulsował życiem - opowiadał o cierpieniu i radości, o nieszczęściach i zwycięstwach, których doświadczali sportretowani na nim prości ludzie. Uśmiechnęła się mimowolnie, jako artystka i córka artysty jednocześnie.

- Papo, jesteś niezrównany! - pochwaliła, spoglądając mu prosto w oczy.

Nim minęła siódma wieczorem, Kirby nie tylko pogodziła się z myślą o tym, że ktoś będzie gościł w ich domu, ale postanowiła nawet, że będzie się doskonale bawić w jego towarzystwie. Napełniając kieliszek wermutem, zdała sobie sprawę, że nie może się doczekać ponownego spotkania z Adamem Hainesem, odniosła bowiem wrażenie, że pod nieskazitelną, uładzoną powierzchnią kryją się fascynujące cechy, które pragnęła w nim odkryć.

Opadłszy na fotel, skrzyżowała nogi, po czym ponownie wsłuchiwała się w utyskiwanie ojca.

- Nic mi się nie udaje, nic! - narzekał Philip Fairchild. - Czemu tak jest, Kirby?

Przecież jestem dobrym człowiekiem, dobrym artystą, kochającym ojcem...

- Wszystko opiera się na odpowiednim podejściu, papo - odparła, lekko wzruszając ramionami. - Twoje podejście do sprawy jest zbyt emocjonalne.

- Jak to, zbyt emocjonalne? - obruszył się. - Nie widzę nic złego w moim podejściu.

Problem leży w glinie, a nie we mnie.

- Jesteś zarozumiała, na tym polega twój problem - zawyrokowała.

Jej ojciec ze świstem wciągnął powietrze w płuca.

- Zarozumiała?! - powtórzył z oburzeniem.

- A cóż to za określenie?

- To przymiotnik - odparła spokojnie. - Rodzaju męskiego. Złożony z pięciu sylab.

Adam miał okazję usłyszeć tę wymianę zdań, gdy, idąc korytarzem, zbliżał się do salonu. Zdążył już trochę wypocząć po podróży, ale nie był pewnie, czy jest gotowy ponownie stawić czoła temu szaleństwu, które zdawało się być obecne w każdym zakamarku tego ogromnego domostwa. Nie miał innego wyjścia, jak zacisnąć zęby i odważnie wkroczyć sam środek kataklizmu, obiecując sobie jednocześnie, że McIntyre zapłaci za wszystkie trudy, na jakie go naraził.

Stanąwszy w drzwiach, powędrował wzrokiem w kierunku, który wskazywał

oskarżycielsko wzniesiony palec Philipa Fairchilda. Na moment Adamowi odebrało mowę.

Jego oczy spoczęły na kobiecie, której wygląd był tak odmienny od tego, jak prezentowała się jeszcze przed paroma godzinami, iż trudno było uwierzyć, że to jedna i ta sama osoba. Ubrana była w prostą, a przed to szalenie elegancką suknię z delikatnego czarnego jedwabiu, ozdobioną jedynie lekkim marszczeniem wzdłuż dekoltu oraz odważnym rozcięciem na lewym udzie. Przyjrzał się jej profilowi, podziwiając prosty, zgrabny nos oraz lekko zarysowane kości policzkowe. Pełne usta układały się w nieznaczny uśmiech, wywołany oburzeniem ojca. Pobawiona ciemnych smug skóra okazała się być złocistobrzoskwiniowa, już daleka sprawiając wrażenie miękkiej i gładkiej. Tylko oczy - duże, szare i rozbawione -

przypominały Adamowi, że ma do czynienia z tą samą kobietą. Uniósłszy dłoń, odrzuciła na ramię opadające na twarz kruczoczarne kosmyki.

Owszem, była piękna, lecz Adam widział w swym życiu piękniejsze kobiety.

Tymczasem było w niej coś, co sprawiało, iż inne gasły przy jej blasku, jednakże nie był w stanie określić tego słowami.

Jak gdyby czując na sobie jego spojrzenie, Kirby odwróciła się w jego kierunku, po czym utkwiała w nim zaciekawione spojrzenie, ignorując wciąż monologującego ojca. Powoli, bardzo powoli uśmiechnęła się. W jednej chwili Adam zrozumiał, że słowo, którego mu brakowało, to seksapil - Kirby roztaczało go wokół siebie tak, jak inne kobiety roztaczają wokół woń perfum. Była niesłychanie pociągająca, do tego stopnia, że Adam zapragnął jej, choć właściwie wcale jej nie znał - jeszcze nigdy nie przytrafiło mu się nic podobnego.

Wiedział, że będzie musiał postępować bardzo ostrożnie, aby zdobyć jej zaufanie. Miał przed sobą jeszcze trudniejsze zadanie niż mu się zdawało, gdy tego ranka wyruszał w podróż.

- Witaj, Adamie - powitała go miękkim głosem. - Cieszę się, że nas odnalazłeś.

Wejdz, papa już prawie skończył.

- Wcale nie skończyłem! - zaprotestował jej ojciec. - Nazwała mnie zarozumiałym.

Wyobrażasz to sobie, Adamie? Co to za czasy, w których córka może bezkarnie zwracać się w ten sposób do ojca.

- Może masz ochotę na aperitif? - zaproponowała Kirby, ignorując ojcowskie oburzenie.

- Tak, chętnie, dziękuję.

- Czy podoba ci się twój pokój? - zapytał Fairchild, uspokoiwszy się w jednej sekundzie.

- Bardzo mi się podoba - odrzekł Adam, dochodząc do wniosku, iż jedynym wyjściem z sytuacji jest udawanie, że wszystko jest w najlepszym porządku. - Pański dom jest...

wyjątkowy, panie Fairchild.

- To prawda. Bardzo go lubię - odparł z zadowoleniem gospodarz. - Zbudował go pod koniec dziewiętnastego wieku jakiś niesłuchanie bogaty, a przy tym szalony angielski arystokrata. Kirby, oprowadzisz jutro Adama, dobrze?

- Oczywiście - zgodziła się, podając Adamowi kieliszek wina i patrząc mu przy tym głęboko w oczy.

- Będę zaszczycony - odparł.

Zastanawiał się jednocześnie, jak to możliwe, aby tak młoda kobieta prezentowała w każdym ruchu i w każdym geście aż taką klasę. Doszedł szybko do wniosku, iż jest to zapewne cecha wrodzona.

- Lubimy sprawiać przyjemność naszym gościom. - Uśmiechnęła się, spoglądając na niego znad brzegu kieliszka.

- Pańska kolekcja zdaje się być bogatsza niż zbiory niejednego muzeum - pochwalił, zwracając się do gospodarza. - Ten Tycjan, który wisi w moim pokoju, jest wspaniały.

Kirby poczuła nagły przyptyw paniki. Jak mogła zapomnieć o Tycjanie?! I co teraz powinna zrobić? Wkradanie się do pokoju Adama, aby usunąć stamtąd obraz, nie miało najmniejszego sensu, skoro już go widział. Nie pozostawało więc nic innego jak przejść nad tym do porządku dziennego.

- Czy ten pejzaż z rzeką Hudson na zachodniej ścianie to twoje dzieło? - zwrócił się do niej Adam.

- Tak - przyznała z lekkim uśmiechem. - Właściwie już o nim zapomniałam. Obawiam się, że jest trochę zbyt sentymentalny. Namalowałam go pewnego lata, kiedy zakochałam się w synu szofera. Zwykle chodziliśmy nad rzekę, gdy chcieliśmy pobyć trochę sami.

- Miał strasznie krzywe zęby - przypomniał złośliwie jej ojciec.

- Cóż, miłość podobno zwycięża wszystko - odparła sentencjonalnie.

- Nie wydaje mi się, żeby brzeg rzeki Hudson był odpowiednim miejscem do utraty dziewictwa - zawyrokował jej ojciec, spoważniawszy nagle.

- Ależ ja nie straciłam dziewictwa nad rzeką Hudson - odparowała Kirby, zdając się bawić jego oburzeniem. - Straciłam je w renaulcie w Paryżu. - Uśmiechnęła się prowokująco.

- Podano kolację - oznajmił Cards, stając w drzwiach.

- Najwyższa pora. - Philip Fairchild zerwał się na równe nogi. - Do czego to podobne, żeby człowiek głodował we własnym domu.

Odprowadziwszy z uśmiechem oddalającą się sylwetkę ojca, Kirby wyciągnęła rękę w kierunku Adama.

- Pozwól, że zaprowadzę cię do jadalni - zaproponowała.

Najbardziej przykuwającym uwagę elementem wystroju jadalni były obrazy autorstwa gospodarza. Wprawdzie nad ogromnym mahoniowym stołem skrzył się piękny kryształowy żyrandol, a rozłożysty kamienny kominek buchał płomieniami, jednakże to właśnie malowidła Philipa Fairchild były tym, co zauważało się, wchodząc do jadalni.

Wyglądało na to, że Fairchild nie miał jednorodnego stylu, wszystko było w zasięgu jego możliwości artystycznych, bez względu na to, czy malował rozświetlony promieniami słonecznymi krajobraz, czy też subtelny portret, utrzymany w przyćmionych tonacjach.

Zdawał się próbować wszystkiego - grubych kresek pędzla i delikatnych, ledwie widocznych smug farby; ociekających farbą olejną płócien i zamglonych akwareli. Adam nie miał

wątpliwości, że Philip Fairchild jest prawdziwym mistrzem.

Tak jak zróżnicowana była jego twórczość, podobnie barwne były jego opinie na temat innych artystów.

Siedząc przy długim, suto zastawionym stole, Fairchild opowiadał o każdym malarzu tak, jak gdyby jakiś cudem cofnął się w czasie i miał okazję zaprzyjaźnić się z Rafaellem, Goya czy też Manetem. Prezentował fascynujące teorie, a jego wiedza była tak rozległa, że Adam, sam będąc malarzem, nie mógł nie podziwiać jego fascynującej osobowości.

Sprzeczne dążenia sprawiały jednak, że czuł się niezręcznie, bowiem jako człowiek sumienny nie był w stanie całkowicie zapomnieć o zadaniu, które go tu przywiodło. Sytuację pogarszał

fakt, że Kirby Fairchild była niesłychanie atrakcyjną kobietą... Adam w duchu po raz kolejny przeklął McIntyre'a.

Nie miał wątpliwości, że te tygodnie, jakie przyjdzie mu spędzić z Fairchildami, będą niesłychanie fascynujące. Wprawdzie nie chciał komplikacji, ale mimowolnie już poddał się urokowi tej dwójki ekscentryków. Postanowił, że na razie będzie ich bacznie obserwował, aby starannie wybrać stosowny moment do działania.

Informacje, jakich dostarczono mu na temat Fairchildów, były raczej oszczędne.

Wiedział, że Philip ma nieco ponad sześćdziesiąt lat, zaś od niemal dwudziestu jest wdowcem. Jako artysta był szeroko znany, natomiast szczegóły jego życia prywatnego nie były znane szerszej publiczności - zastanawiał się, czy to z powodu temperamentu malarza, czy może z konieczności. O Kirby nie wiedział właściwie nic - do zeszłego roku jej twórczość nie była znana prawie nikomu, aż do momentu wystawy, którą przebojem wkroczyła do świata artystycznego. Mimo to ani ona, ani ojciec nie zabiegali o powszechną popularność dla swych dzieł, zresztą nie było takiej potrzeby, gdyż klasa ich twórczości zapewniała im zasłużony podziw. Jeśli chodzi o życie prywatne Kirby, zarówno brukowce, jak i kolorowe magazyny rozpisywały się z lubością o jej wypadach do Saint Moritz w towarzystwie aktualnego tenisowego mistrza świata lub wyprawach na Martynikę u boku najmodniejszego hollywoodzkiego aktora. Powszechnie wiadomo było, że ma dwadzieścia siedem lat i jest nadal niezamężna, jak się Adam domyślał, nie z braku propozycji, ponieważ należała do kobiet, które nieustannie przyciągały uwagę mężczyzn. W dawnych czasach niewątpliwie byłaby sprawczynią wielu pojedynków, co - nie miał najmniejszych wątpliwości - na pewno niesamowicie by ją bawiło.

Podobnie Fairchildowie wiedzieli o nim niewiele, tylko tyle, co zasłyszeli od innych artystów, czy też przeczytali w prasie. Zdawali sobie sprawę, że urodził się w bogatej rodzinie, dzięki czemu mógł bez przeszkód rozwijać swój nieprzeciętny talent. W wieku dwudziestu lat zdobył pierwsze pochwały dla swej twórczości, zaś obecnie, przekroczywszy trzydziestkę, uznawany był powszechnie za jednego z najznakomitszych twórców swego pokolenia. Mieszkał w Paryżu, potem w Szwajcarii, aż wreszcie ponownie osiadł w Stanach.

Przez ostatnich kilka lat dużo podróżował, jednocześnie malując, sztuka bowiem zajmowała w jego życiu najważniejsze miejsce. Mimo że sprawiał wrażenie, chłodnego i opanowanego, w głębi duszy lubił przygody i nie zatrzymywał się przez przeszkodami, poszukując sprytnych sposobów ich obejścia. To właśnie najbardziej cenił w nim McIntyre. Adam obiecał sobie solennie, że gdy następnym razem Mac będzie próbował wciągnąć go w swój plan, odmówi mu stanowczo i bez chwili wahania.

Gdy powrócili do salonu, aby wypić tam kawę, doszedł do wniosku, że w ciągu kilku tygodni powinien rozwikłać zagadkę. Zadowolony z podjętego postanowienia, skoncentrował

się na obserwowaniu Kirby. W tym momencie była wcieleniem doskonałej gospodyni, czarującej i uważnej, a jednocześnie pełnej klasy i wyrafinowania. Kirby zdawała się mieć wszystkie cechy, których zawsze szukał w kobietach - była zadbana, dobrze wychowana, inteligentna i miła.

- Może byś nam zagrała, Kirby - przerwał mu rozmyślania Philip Fairchild. - Lubię, kiedy grasz, to pomaga mi się skupić.

- Oczywiście. - Dziewczyna uśmiechnęła się do Adama, po czym podeszła do instrumentu, który Adam początkowo wziął za nieduży fortepian. Wystarczyło jednak kilka dźwięków, by zorientował się ze zdumieniem, że jest to klawesyn. Niemal w tej samej chwili rozpoznał jedno z preludiów Bacha. Poczuł się, jak gdyby nagle wpadł w pętlę czasową, bo czyż to możliwe, aby jeszcze gdziekolwiek w świecie, w dwudziestym pierwszym wieku, ktoś całkiem na serio grał Bacha na klawesynie?

Philip Fairchild przymknął z lubością oczy, postukując lekko palcem w rytm granej przez córkę melodii. Na twarzy Kirby malowało się skupienie, tym bardziej więc Adam zdumiał się, gdy ni z tego, ni z owego puściła do niego oczko. Jak gdyby nigdy nic przeszła płynnie do Brahmsa, podczas gdy Adam przyglądał jej się z niedowierzaniem. Poczuł

przemienne pragnienie namalowania jej portretu. Znał siebie, wiedział, że nie spocznie, póki jej do tego nie przekona...

- Mam! - krzyknął nagle Fairchild, zrywając się na równe nogi. - Mam! Już wiem!

Czuję przyływ natchnienia.

- Akurat - mruknęła Kirby.

- Już ja ci pokażę, ty niedowiarku! - Jej ojciec pochylił się nad klawesynem z szerokim uśmiechem, który na moment upodobił go do stojących przez głównym wejściem gargulców. - Zobacysz, nie minie tydzień, a będziesz zmuszona ze wstydem przyznać, że cały twój dorobek w porównaniu z moją rzeźbą to zwykłe rękodzieło.

- Jasne - odparła, unosząc brwi, po czym uniósłszy się nieco, cmoknęła ojca w czoło.

- Jeszcze sobie przypomnisz moje słowa! - zawołał Fairchild, wychodząc spieszonym krokiem z salonu.

- Wątpię - skomentowała, wstając zza instrumentu.

- Papa podchodzi do wszystkiego niesłychanie ambicjonalnie - wyjaśniła, jednocześnie sięgając po kieliszek. - Może masz jeszcze ochotę na brandy?

- Twój ojciec ma... - zawahał się - ...nieprzeciętną osobowość.

- Jesteś urodzonym dyplomata, prawda, Adamie?

- Posłała mu ciepły uśmiech.

- Tak, w pewnych okolicznościach - przyznał ostrożnie.

- Tylko w pewnych okolicznościach? Mam wrażenie, że nawet częściej. A szkoda.

Ponieważ lubiła utrzymywać stały kontakt ze swymi rozmówcami, nie spuszczała z niego spojrzenia, sącząc powoli brandy.

- Uważam, że byłbyś bardzo interesującym mężczyzną, Adamie, gdybyś sam się tak nie ograniczał - ciągnęła. - Założę się, że z zasady musisz wszystko trzy razy przemyśleć zanim cokolwiek powiesz.

- Czy sądzisz, że to wada? - zapytał chłodno. - To bardzo ciekawa obserwacja, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że znamy się tak krótko.

Usatysfakcjonowana faktem, że udało jej się go sprowokować, uznała, iż zdecydowanie nie jest nudziarzem.

- Wydaje mi się, że wystarczyłaby godzina, aby dojść do takiego wniosku. Poza tym widziałam twoje obrazy i uznałam na ich podstawie, że jesteś osobą bardzo opanowaną, dumną i masz silne poczucie tego, co przystoi, a co nie - zawyrokowała.

- Nie wiem czemu, ale odnoszę wrażenie, że powinienem się za to obrazić.

- A do tego jesteś spostrzegawczy. - Uśmiechnęła się. Podjąwszy błyskawicznie decyzję, odstawiła brandy, nie spuszczając z niego spojrzenia. - Natomiast ja jestem impulsywna. I koniecznie muszę spróbować, jak to smakuje.

Zanim Adam zdążył się zorientować, jej ramiona oplotły jego szyję, a na ustach poczuł smak jej warg. Był tak zaskoczony, że nim się na dobre rozsmakował tym pocałunku, Kirby wymknęła mu się z objęć. Na jej twarzy gościł przekorny uśmiech.

- To było miłe - oceniła. - Śniadanie możesz zjeść od siódmej. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, po prostu zadzwoń po Cardsa. Dobranoc.

Odwróciwszy się, ruszyła ku wyjściu, gdy niespodziewanie pochwyciły ją silne ramiona.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedział cicho Adam. - Stać mnie na więcej niż to, co przed chwilą widziałas.

Przycisnąwszy ją mocno do siebie, pocałował ją namiętnie, wyzwalając w niej spontaniczną reakcję. Jej dłonie badały jego twarz, szyję, ramiona, jak gdyby już zaczynała rzeźbić jego popiersie. Ta gorączka udzieliła się również jemu, choć miał w zwyczaju nie poddawać się emocjom, kierować się rozsądkiem, a nie uczuciami czy też impulsem.

Tymczasem w tym momencie rządziło nim jedynie przemożne pragnienie, które nie słuchało argumentów rozumu.

Wreszcie niechętnie podniósł głowę, próbując uspokoić przyspieszone bicie serca.

Widział w jej oczach, że nie spodziewała się po nim czegoś takiego, że ona także stara się ukryć emocje.

- Lepiej? - zapytał, chcąc nacieszyć się tą niewątpliwie krótką chwilą przewagi.

- Znacznie lepiej - odparła drżącym nieco głosem. - Robisz postępy. - Wsunęła się z jego ramion. - Jak długo zamierzasz z nami pozostać?

- Cztery tygodnie - odrzekł, zaskoczony, że tego nie wie.

- Czy zamierzasz przespać się ze mną zanim wyjedziesz?

Spojrzał na nią z rozbawieniem, a jednocześnie z podziwem. Szanował osoby, które nie wahały się wyrażać szczerze swych opinii, zarazem jednak nie był przyzwyczajony do aż takiej otwartości.

- Owszem - przyznał, biorąc z niej przykład. Skinęła głową. Uwielbiała wszelkie gry, oparte na niedopowiedzeniach, wciągała ją rywalizacja. Oczywiście pod warunkiem, że przewaga była po jej stronie.

- Będę musiała się nad tym zastanowić. Dobranoc, Adamie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jasne promienie porannego słońca wpadały do jadalni przez wysokie okna, malując świetliste wzory na drewnianej podłodze. Na zewnątrz drzewa zdradzały nadchodzącą coraz szybszymi krokami jesień - setki liści w gorących odcieniach od złocistego, poprzez łososiowy, aż po purpurę pokrywały trawnik, nieliczne tylko uparcie zieleniły się na gałęziach. Niektóre krzewy zdawały się płonąć na tle nieco już wyblakłej zieleni trawy. Adam stał tyłem do tego pysznego widoku, skupiony na obrazach, które zdobiły ściany jadalni.

Ponownie nie mógł się nadziwić niesamowitej wręcz różnorodności stylów, jakie uprawiał Philip Fairchild. Była tam martwa natura, gra światła i cienia przypominająca dzieła Goi, pejzaż w typowych dla Van Gogha kontrastowych barwach, a także portret, którego subtelność rysunku przywołała na myśl Rafaela.

To właśnie ów portret w szczególności intrygował Adama. Z płótna spoglądała ku niemu delikatna ciemnowłosa kobieta, roztaczająca wokół siebie aurę spokoju oraz cierpliwości. Jej oczy miały tę samą szarą barwę, co oczy Kirby, ale jej rysy twarzy były łagodniejsze i bardziej regularne. Matka Kirby niewątpliwie była wyjątkowo piękna, a przy tym sprawiała wrażenie osoby jednocześnie silnej i wyrozumiałej, zatem mimo że sama zapewne nie szorowałaby paleniska w kominku, nie zabraniałaby tego córce, gdyby tylko wyraziła ona taką chęć. Fakt, iż Adam był w stanie wyczytać to wszystko z portretu, nie spotkawszy nigdy Rachel Fairchild, świadczył o geniuszu Philipa.

Następny obraz, tym razem utrzymany w stylu Thomasa Gainsborough, przedstawiał

ciemnowłosą dziewczynkę, ubraną w białą muślinową sukienkę o suto marszczony spódnicy. Na nogach miała nieskazitelnie białe podkolanówki oraz czarne pantofelki, zapinane na wąski pasek. Utrzymany w jasnych barwach portret ożywiały dwie kolorowe plamy - szeroka różowa szarfa wokół talii dziewczynki oraz purpurowe róże, które trzymała w koszyku. Mimo sielankowego nastroju obrazu, dziewczynka nie sprawiała wrażenia małego aniołka, wręcz przeciwnie - uniesiona wysoko głowa świadczyła o pewności siebie i arogancji, zaś goszczący na jej ustach lekki półuśmiech zdradzał krnąbrne usposobienie.

Adam ocenił, że miała nie więcej jak jedenaście lat. Nawet w tym wieku Kirby musiała być trudna do opanowania.

- Urocza dziewczynka, prawda? - dobiegł go znajomy głos.

Nie wiedział, że Kirby już od pięciu minut stała w progu, obserwując go i analizując jego zachowanie, podobnie jak on analizował jej portret. W ciągu tych paru minut doszła do wniosku, że ukończył dobrą szkołę z internatem, ponieważ stał wyprostowany jak struna.

Wyczuła w nim niejednoznaczność, gdyż mimo nienagannej postawy pozwalał sobie na trzymanie rąk w kieszeniach. Mimo że był ubrany w dżinsy i sweter, w jego wyglądzie było coś oficjalnego. Tym bardziej ją intrygował, ponieważ zarówno jako kobieta, jak i artystka lubiła kontrasty.

Odwróciwszy się, Adam przyjrzał się jej uważnie, tak jak przypatrywał się jej portretowi. Poprzedniego dnia przeszła metamorfozę od wybrudzonej sadzą prostej dziewczyny do wyrafinowanej kobiety z wyższych sfer. Dziś z kolei była uosobieniem niezależnej artystki - bosa, nieumalowana, z włosami nisko zebranymi w dwa kucyki, ubrana w obszerny czarny sweter oraz znoszone, pochłapane farbą dżinsy. Mimo to, ku ogromnej irytacji Adama, wciąż wydawała mu się szalenie pociągająca.

Nie wiadomo, czy to bezwiednie, czy specjalnie Kirby odwróciła głowę, tak że promienie słoneczne załyły jej twarz, a jej widok zaparł Adamowi dech w piersiach.

Westchnęła, przypatrując się swemu portretowi.

- Prawdziwy aniołek - westchnęła.

- Wydaje mi się, że jej ojciec miał nieco inne zdanie.

Roześmiała się dźwięcznie.

- To prawda, ale nie każdy to zauważa. - Była zadowolona, iż właśnie on to spostrzegł, ponieważ ceniła spostrzegawczych, inteligentnych ludzi. - Jadłeś już śniadanie?

Gdy odwróciła się ponownie, tak że promienie już nie rozświetlały jej twarzy, Adam odetchnął z ulgą. W jedne chwili stała się po prostu atrakcyjną, sympatyczną młodą kobietą.

- Jeszcze nie, byłem zajęty podziwianiem.

- Och, to fatalnie, nie powinno się podziwiać na pusty żołądek, to straszliwie niezdrowe. - Przycisnąwszy jakiś guzik, ujęła go pod ramię i poprowadziła do stołu. - A po śniadaniu oprowadzę cię po domu.

- Świetnie - ucieszył się.

Do jadalni weszła szczupła, siwiejąca kobieta o dziwnie skrzywionym nosie oraz wystających kościach policzkowych. Głębokie pionowe zmarszczki na czole sugerowały raczej pesymistyczne usposobienie. Odwracając się w jej kierunku, Kirby uśmiechnęła się mile.

- Dzień dobry, Tulip. Obawiam się, że będziesz musiała posłać papie tacę ze śniadaniem na górę, bo wątpię, żeby wychynął dziś ze swojej wieży. - Zdjęła metalowe kółko ze lnianej serwetki. - Poproszę o tosta i kawę. Tylko błagam, nie rób mi wykładu, bo przecież doskonale wiem, że już dawno przestałam rosnać.

Mruknąwszy coś pod nosem, Tulip przeniosła spojrzenie na Adama, który zamówił jajecznicę na bekonie. Tulip ponownie coś wymamrotała, po czym wyszła.

- Może nie jest to najbardziej towarzyska osoba na świecie, ale ma prawdziwy talent organizacyjny - wyjaśniła Kirby, gdy zostali sami. - Od piętnastu lat prowadzimy wojnę o jedzenie. Odkąd pamiętam Tulip utrzymuje, że urosnę, jeśli będę jadła, podczas gdy od kilku lat nie urosłam ani centymetra i marne są szanse, żeby się to zmieniło Zastanawiam się, czemu dorośli wmawiają dzieciom takie głupoty.

Energiczna młoda pokojówka, która poprzedniego wieczoru podawała do kolacji, przyniosła dzbanek z kawą oraz filiżanki, uśmiechając się przy tym promiennie do Adama.

- Dziękujemy, Polly. - W głosie Kirby słychać było ostrzeżenie. Uwagi Adama nie uszło jej karcące spojrzenie oraz rumieniec, który wypłynął na twarz służącej.

Polly bez słowa, nie oglądając się za siebie, wyszła pospiesznie z salonu, zaś Kirby osobiście naląła kawy.

- Nasz Polly jest bardzo słodka, ale ma w zwyczaju zbyt się spoufalać z każdym niemal mężczyzną - wyjaśniła Kirby, odstawiając dzbanek z powrotem na stół. - Jeśli nie przepadasz za dziewczynami, które lubią być podszczypywane i poklepywane, to radę ci jej zbyt nie zachęcać. Swego czasu musiałam jej zwrócić uwagę, żeby nie zadręczała papy.

Natychmiast przed oczami Adama stanęła wizja Polly, napastującej przypominającego nieco satyra Philipa Fairchilda. Obraz ten był tak wyraźny i tak zabawny, że nie mógł

opanować wybuchu śmiechu Kirby przypatrywała mu się z zaciekawieniem. Doszła do wniosku, iż mężczyzna, który potrafi tak serdecznie się śmiać ma prawdziwy potencjał, zastanawiała się więc, jakie niespodzianki ją jeszcze czekają. Miała nadzieję, że w ciągu najbliższych paru tygodni zdąży

odkryć parę fascynujących szczegółów jego osobowości.

- Daję słowo, że oprę się pokusie - zapewnił, sięgając po dzbanuszek z mlekiem.

- Polly jest fantastycznie zbudowana - zauważyła Kirby, przypatrując się mu znad krawędzi filiżanki.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się prowokacyjnie. - Nie zauważyłem.

- Nie doceniłam cię, Adamie - przyznała, starając się opanować to idiotyczne drżenie głosu, jakie wywołał jego uśmiech. - Nie jesteś taki, na jakiego wyglądasz.

- A czy znasz kogoś, kto jest dokładnie taki, jakim się zdaje na pierwszy rzut oka? -

zapytał, starając się nie myśleć o nadajniku, który znajdował się w jego walizce.

- Tak, znam całe mnóstwo takich ludzi. Czasem jest to pozytywna cecha, a czasem wręcz przeciwnie.

- A ty? Czy ty jesteś taka, jak się wydajesz? - pytał nie w imieniu McIntyre'a, nie z powodu zadania, z jakim tu przyjechał, ale ze względu na siebie samego, po prostu chciał to wiedzieć.

Przez chwilę milczała, a na jej ustach błędził lekki uśmiech.

- Jestem taka, na jaką wyglądam... danego dnia - podsumowała samą siebie. - A oto i nasze śniadanie.

Podczas posiłku rozmawiali o wszystkim i o niczym, jak dwójka dobrze wychowanych obcych sobie ludzi, którzy potrafią prowadzić uprzejmą konwersację, z której tak naprawdę nic wiążącego nie wynika. W tym samym czasie Kirby walczyła z drżeniem serca, wywołanym bliskością Adama. Była tym niesłychanie poirytowana, bo wcale nie chciała tak na niego reagować, nie lubiła sytuacji, w których nie miała nad sobą pełnej kontroli.

Przypatrywała się mu przy jedzeniu, zastanawiając się jednocześnie, jakim był

człowiekiem, doszła już bowiem do wniosku, że nie był tak ułożony i poprawny, na jakiego wyglądał. Z pewnością nie bał się wyzwania, ponieważ sama wizyta u nich była nieco ryzykowną przygodą. Żar, z jakim ją całował, dowodził, że był fascynującym, namiętnym kochankiem. Kirby obawiała się, iż nie będzie jej łatwo kierować nim tak, jak by sobie tego życzyła, a przecież w obecnej sytuacji zmuszona była znaleźć sposób, aby go sobie podporządkować. Dopijając kawę, pomodliła się szybko w duchu, by ojciec jak najprędzej ukrył Van Gogha.

- Pozwolisz, że wycieczkę rozpoczniemy od parteru - odezwała się pogodnym tonem, podnosząc się zza stołu. - Lochy wprawdzie są interesująco mroczne i wilgotne, ale wydaje mi się, że powinniśmy przełożyć wizytę w nich na inny termin, w trosce o twój piękny kaszmirowy sweter.

- Lochy? - powtórzył, przyjmując jej ramię.

- Wprawdzie już z nich nie korzystamy, ale wciąż słychać jęki i pobrząkiwanie łańcuchami -

wyjaśniła tak zwyczajnym tonem, że na chwilę udało jej się nabrać Adama. -

Lord Wickerton, pierwszy właściciel zamku, był dość antypatycznym typem.

- Czyżbyś popierała jego metody? - zainteresował się.

- Czy je popieram? - powtórzyła w zamyśleniu. - W praktyce raczej nie, ale nietrudno jest fascynować się wydarzeniami sprzed niemal stu lat. Zgodzisz się chyba, że po pewnym czasie nawet zło zdaje się być szalenie romantyczne.

- Nigdy na to nie patrzyłem w ten sposób...

- Być może dlatego, że potrafisz bez wahania odróżnić zło od dobra - zawyrokowała.

Adam zatrzymał się w pół kroku, a że szli pod rękę, Kirby także musiała przystanąć.

- A ty tego nie odróżniasz?

Otworzyła usta, ale od razu je zamknęła, by nie palnąć nic głupiego.

- Powiedzmy, że jestem skłonna do ustępstw - określiła samą siebie dyplomatycznie. -

Ten pokój powinien ci się spodobać - zapowiedziała, otwierając drzwi. - Jest taki solidny i poważny.

Postanowiwszy nie reagować na tę ewidentną zaczepkę, Adam bez słowa podążył

śladem Kirby. Przez kolejną godzinę przemierzali rozliczne pomieszczenia, tak że w końcu przekonał się, że na pierwszy rzut oka nie docenił rozmiaru zamku, było w nim tak wiele pokoi różnego metrażu, a także krętych, na przemian szerokich i wąskich korytarzy. Doszedł

do wniosku, że jeśli będzie miał szczęście, uda mu się wykonać zadanie w ciągu paru tygodni, ale jeśli szczęście mu nie dopisze, może tu utknąć nawet na parę miesięcy.

Popchnąwszy dwoje ciężkich rzeźbionych drzwi, Kirby wprowadziła go do biblioteki, która mieściła się na dwóch poziomach, zaś rozmiarem zbliżona była do przeciętnego trzypokojowego mieszkania. Na podłodze rozrzucone były przyblakłe perskie dywany, zaś duże okno na przeciwległej do wejścia ścianie jak wszystkie pozostałe podzielone były na liczne romby. Wzdłuż trzech pozostałych ścian stały wysokie aż do samego sufitu regały pełne książek. Już pierwszy rzut oka na ich grzbiety wystarczył, aby przekonać się, że były one ustawione na chybił trafił, gdyż Chaucer sąsiadował z D.H. Lawrencem, a Steven King z Miltonem. W pomieszczeniu unosiła się woń skóry, kurzu oraz olejku cytrynowego. Była to zapewne jedna z niewielu części domu, gdzie nie było miejsca na obrazy, znajdowało się tam natomiast dużo rzeźb.

Adam przemierzył bibliotekę, chcąc lepiej przyjrzeć się figurze rumaka, wyrzeźbionego w kasztanowcu. Uwieczniony w dynamicznej pozie koń zadawał się pulsować życiem, symbolizował ruch, wolność i niezależność. Nieopodal na wysokim okrągłym pos-tumencie stało popiersie Philipa

Fairchilda, przedstawionego z poczuciem humoru, a jednocześnie miłością oraz czułością, na jaką stać jedynie kochającą córkę.

W milczeniu przechadzał się po pomieszczeniu, zaś Kirby wodziła za nim spojrzeniem, poważnie zaniepokojona swoją reakcją na zainteresowanie, jakie wykazywał jej sztuką. Nie należała do osób, które denerwowały się z byle powodu, a już na pewno nie lubiła się do tego przyznawać. Starła się uspokoić, przekonując samą siebie w duchu, że przecież to nie pierwszy raz, gdy jej rzeźby poddawane są ocenie. Splótłszy palce, obserwowała go w milczeniu, wmawiając sobie jednocześnie, iż jej opinia nie miała dla niej najmniejszego znaczenia.

Tymczasem Adam podniósł bryłę marmuru, ukształtowany tak, że przedstawiał masę wijących się płomieni. Choć kamień miał białą barwę, przypominał ogień do tego stopnia, że zdawał się parzyć dłonie. Tak jak jej ojciec, Kirby miała niesamowity talent do przedstawiania martwych przedmiotów tak, jak gdyby tętniły życiem.

Przez dłuższy moment Adam zdawał się nie pamiętać, w jakim celu tu przybył, jego myśli skupione były na stojącej przed nim świetnej artystce i pięknej kobiecie w jednej osobie.

- Gdzie studiowałaś?

Kpiąca uwaga, którą właśnie miała w tym momencie wypowiedzieć, zupełnie wyleciała jej z głowy, gdy Adam posłał jej pełne zachwyty spojrzenie.

- W Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu - wyjaśniła. - Ale odkąd pamiętam, papa uczył mnie sztuki.

Obrócił w dłoniach marmurowe płomienie, pełny podziwu dla jej kunsztu. Jako artysta miał wyobraźnię wrażliwszą niż zwykły śmiertelnik, dlatego oprócz ciepła ognia czuł także jego zapach.

- A od jak dawna rzeźbisz? - dopytywał się.

- Tak na poważnie to od czterech lat.

- To dlaczego, do licha, miałaś tylko jedną wystawę?! - wybuchnął niespodziewanie. -

Czemu kisisz tu to wszystko?

Nie spodziewała się takiej reakcji. Domyślała się wprawdzie, że pod tą powłoczką dobrych manier kryje się człowiek z krwi i kości, ale nie podejrzewała, że okaże emocje podczas oglądania jej dorobku.

- Planuję kolejną wystawę wiosną - oznajmiła spokojnie. - Organizuje ją Charles Garson. Wzruszyła ramionami. - Właściwie nie chciałam następnej wystawy, nie czułam się na nią gotowa, ale zostałam w pewnym sensie zmuszona.

- To absurd - prychnął, unosząc marmurową rzeźbę, jak gdyby chciał jej coś zademonstrować. - Kompletny absurd.

- Nie czułam się gotowa - powtórzyła, wodząc palcem po krawędzi nosa popiersia Philipa Fairchilda.

- Chciałam mieć pewność, że mam swoją drogę, że nie odcinam tylko kuponów od sławy papy. Byli ludzie, którzy właśnie tak uważali. Dlatego musiałam sama dojść do wniosku, że tworzę dla siebie, a nie z rozpędu, jako córka swego ojca.

Gdyby nie miał okazji podziwiać jej dzieł, nie podejrzewałby jej o taką wrażliwość, natomiast przyjrząwszy się jej rzeźbom, był przekonany, że nie udawała przed nim skromności, nie grała.

- A teraz już wiesz - domyślił się.

- Tak, teraz już wiem - odparła, podchodząc ku niemu. - Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

- Wyjęła mu z dłoni marmur. - Nawet papie. - Spojrzała na niego z autentycznym zdumieniem. - Nie mam pojęcia, czemu powiedziałam o tym właśnie tobie.

- Ciekaw jestem, czemu się cieszę, że to właśnie ja. - Nie mogąc się powstrzymać, odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

Cofnęła się, zaskoczona swą gwałtowną reakcją na jego dotyk.

- W takim razie będziemy musieli się nad tym zastanowić - stwierdziła lekkim tonem.

- Na tym kończy się pierwsza część naszej wycieczki. - Odstawiła rzeźbę na stół. - Wszelkie komentarze i pytania są mile widziane.

- Twój dom jest... obezwładniający - dokończył, nie znalazłszy bardziej trafnej określenia. - Czuję się rozczarowany, że nie ma tu fosy ani smoka.

- Zapewniam cię, że jeśli zostawisz choć trochę warzyw na talerzu, Tulip przemieni się w najprawdziwszego smoka i połknie cię za karę. Jeśli natomiast chodzi o fosę... -

przerwała nagle, przypomniawszy sobie coś niesłychanie ważnego. - A niech to, jak mogłam zapomnieć!

Nie czekając na jego reakcję, złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem do salonu.

- Nie ma fosy - oznajmiła, podchodząc do kominka. - Ale jest cała masa sekretnych przejść.

- Mogłem się domyślić...

- Minęło już wprawdzie kilkanaście lat odkąd... - urwała. Mruczając coś pod nosem, przyciskała po kolei różne rzeźbione ornamenty na gzymsie kominka. - Jestem pewna, że to w którymś z tych kwiatów ukryty jest przycisk. Trzeba tylko odpowiednio nacisnąć. -

Zniecierpliwionym gestem odrzuciła warkoczyk na plecy. - To na pewno gdzieś tutaj, ale nie mogę...

Ot i proszę! - Z zadowolonym uśmiechem cofnęła się o krok, podczas gdy część ściany odsuwała się z głośnym skrzypieniem. - Zdecydowanie trzeba naoliwić zawiasy.

- Niesamowite! - Adam nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. - Czy to przejście prowadzi do lochów?

- Korytarze wiją się w całym domu - poinformowała, zaglądając ostrożnie w czarną dziurę.

- Niemal w każdym pokoju znajduje się wejście do labiryntu. Oczywiście od drugiej strony też jest przycisk do otwierania i zamykania wejścia. - Cofnęła się ponownie, drżąc z obrzydzenia. - W korytarzach jest ciemno i unosi się zapach pleśni. Być może właśnie dlatego w ogóle zapomniałam o ich istnieniu. Ciekawe, że jako dziecko bardzo lubiłam się tam bawić, doprowadzając tym do szaleństwa cała służbę.

- Już to sobie wyobrażam. - Adam uśmiechnął się, ale szybko spoważniał, wiedząc autentyczny przestach w jej oczach.

- W końcu się to na mnie zemściło. Pewnego dnia zgasła mi latarka i nie mogłam znaleźć w tej ciemności wyjścia. Warto wiedzieć, że mieszkają tam pająki wielkie jak spodki.

- Roześmiała się, cofając się jednocześnie o jeszcze jeden krok. - Nie mam pojęcia, jak długo tam przebywałam, ale kiedy papa wreszcie mnie odnalazł, byłam na skraju hysterii. Po tym musiałam opracować sobie nowy sposób gnębienia służby.

- Ale nadal się boisz, prawda? - zauważył, spoglądając jej prosto w oczy.

- Tak, rzeczywiście, boję się - przyznała uczciwie, choć nie zwykła ujawniać swych słabości. - Dobrze, skoro już znasz jedną z moich fobii, możemy iść dalej.

Gdy ponownie przycisnęła guzik, ruchomy kawałek ściany z nieznacznym zgrzytem wrócił na swoje miejsce. Adam miał wrażenie, że dobiegło go westchnienie ulgi Kirby. Ujął

jej dłoń, która okazała się być lodowata, przykrył ją więc drugą ręką, aby przekazać choć trochę swojego ciepła. Jednocześnie intensywnie rozważał, do czego mogłoby mu się przydać to nowe odkrycie. Doszedł do wniosku, że dzięki sekretnym korytarzom będzie mógł zbadać każde pomieszczenie, nie ryzykując przy tym natknięcia się na któregokolwiek z domowników. Byłby głupcem, gdyby nie skorzystał z tak wyśmienitej okazji, postanowił

więc, że jeszcze tego wieczoru rozpocznie poszukiwania.

- Przesyłka do pani, panno Fairchild - rozległ się głos kamerdynera.

Kirby przyjrzała się podłużnemu białemu pudełku, które trzymał Cards.

- O, nie, tylko nie to... - jęknęła Kirby.

- Niestety, obawiam się, że tak.

- A niech to! - mruknęła, krzywiąc się z niezadowoleniem. - Będę musiała być bardziej stanowcza. Wiem, że to trochę nieładnie, ale czy mógłbyś zanieść je Polly? Nie wiem, czy dam radę spojrzeć na kolejne czerwone róże.

- Jak sobie pani życzy. - Cards wyprostował się jak struna. - A co zrobić z bilecikami?

- Połóż go proszę na moim biurku, zajmę się nim później. Przepraszam cię, Adamie. -

Ruszyła po schodach w górę. - Od trzech tygodni dzień w dzień dostaję czerwone róże.

Mówiłam Jaredowi nie raz, że nie zostanę jego kochanką, ale on jest wyjątkowo uparty. Zdaje się, że będę musiała powiedzieć o wszystkim jego żonie.

- To faktycznie niezły pomysł - zgodził się Adam.

- Doprawdy, czy mężczyzna po sześćdziesiątce nie powinien mieć więcej rozumu? -

Przewróciwszy oczami, przyspieszyła kroku. - Nie mam pojęcia, co on sobie w ogóle myśli.

Choć była ubrana w luźne spodnie i sweter, idąc tuż za nią Adam był w stanie dokładnie sobie wyobrazić, o czym myślał ów Jared, obsypując ją czerwonymi różami...

Na pierwszym piętrze znajdowały się same sypialnie, każda urządzona inaczej, wszystkie bez wyjątku z klasą i fantazją jednocześnie. Obejrawszy sporą część domu, Adam był jeszcze bardziej oczarowany jego charakterem, jednocześnie uświadamiając sobie, jak skomplikowane będzie jego zadanie.

- Ostatni pokój na tym piętrze to mój buduar - oznajmiła Kirby, otwierając przed nim kolejne drzwi. - Obiecuję, że nie będę cię molestować, pod warunkiem, że nie będziesz mi miał za złe, jeśli w przyływie słabości złamię tę obietnicę. - Roześmiała się pogodnie. - A niech mnie kule biją!

- Co takiego? - zdumiał się.

- Widziałeś?! - Ręką wskazała na łóżko, gdzie na samym środku pięknej satynowej narzuty leżał szarobury pies.

Zmarszczywszy brwi, Adam podszedł nieco bliżej.

- Co to takiego?

- Oczywiście pies - wyjaśniła.

- Rzeczywiście, to bardzo możliwe - zdecydował, przypatrując się futrzanej kuli, która zdawała się nie mieć przodu ani tyłu.

Cienki ogon zaczął miarowo uderzać w materac.

- To wcale nie jest śmieszne, Montique - skarciła psa Kirby. - Później to ja obrywam, a nie ty.

Zwierzę poruszyło się, ukazując mały czarny nos oraz różowy język. Oczy wciąż były ukryte pod gęstą grzywą.

- Przyznam szczerze, że wyobrażałem sobie ciebie raczej z gromadą chartów afgańskich, a nie z czymś takim - wtrącił się Adam.

- Co takiego? Ach, rozumiem. - Uśmiechnęła się, klepiąc psa przyjaźnie po grzbiecie.

- To nie mój pies, należy do Isabelle. - Posłała zwierzęciu karcące spojrzenie. - Zobaczysz, będzie bardzo niezadowolona.

Słyszając nieznaną imię, Adam zmarszczył brwi. Czyżby McIntyre kogoś pominął?

- Isabelle? - powtórzył głośno. - Czy to ktoś ze służby?

- Och, nie! - Kirby roześmiała się serdecznie. - Skądże znowu! Isabelle nigdy nie zniżyłaby się do tego, aby komuś służyć. A oto i ona. Teraz się dopiero zacznij.

Adam odwrócił się w kierunku drzwi, już miał otworzyć usta, by powiedzieć, że nikogo w nich nie ma, gdy jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Opuściwszy nieco wzrok, spostrzegł kotkę syjamską, w której skośnych jasnoniebieskich oczach wyraźnie można było wyczytać pełną wyniosłości złość. Kotka usiadła przed Kirby, po czym utkwiała w niej oskarżycielskie spojrzenie.

- Nie patrz tak na mnie, nie mam z tym nic wspólnego - broniła się Kirby. - Wiesz dobrze, że wszedł tu bez mojego zaproszenia. - Isabelle potrząsnęła ogonem i wydała z siebie niskie, głębokie warczenie. - Nie zamierzam tolerować twoich pogroźek ani zamykać drzwi do swojego pokoju. Nie będę zmieniała starych przyzwyczajęń tylko dla twojego widzimisie.

Musisz go po prostu lepiej pilnować.

Adam w milczeniu przypatrywał się tej dziwacznej scenie. W oczach Kirby gościła autentyczna złość, jak gdyby ta wymiana zdań toczyła się między ludźmi, a nie człowiekiem i zwierzęciem. Położył dłoń na jej ramieniu, czekając, aż spojrzy na niego.

- Kirby, kłócisz się z kotem - zauważył łagodnym tonem.

- Nie martw się. - Poklepała jego dłoń. - Dam sobie radę. - Ponownie przeniosła spojrzenie na kotkę. - W takim razie zabierz go sobie i uwiąż na smyczy, jeśli nie chcesz, żeby sobie chodził. A kiedy następnym razem będziesz wchodzić do mojego pokoju, bądź

łaskawa zapukać.

Ponownie potrząsnawszy ogonem, Isabelle podeszła do łóżka i utkwiała spojrzenie w psie, który zaraz zeskoczył niezgrabnie na podłogę i powędrował razem z kotką w kierunku wyjścia.

- Poszedł z nią - zauważył Adam, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Nic dziwnego, Isabelle ma wyjątkowo trudny charakter.

Adam postanowił, że dłużej nie pozwoli robić z siebie głupca.

- Czy chcesz mi wmówić, że ten pies należy do kota?

- Isabelle twierdzi, że Montique sam za nią przyszedł do domu, ale ja uważam, że go porwała. To byłoby w jej stylu.

Znowu jakaś gra, pomyślał z irytacją. Dobrze, skoro tak chciała to rozegrać, postanowił się włączyć.

- A do kogo należy Isabelle?

- Do kogo należy Isabelle? - Kirby powtórzyła pełnym niedowierzania głosem. -

Isabelle należy tylko do siebie samej. Zresztą kto by chciał zostać właścicielem tak samowolnego i przebiegłego stworzenia?

- Jeśli tak jej nie lubisz, to czemu się jej nie pozbędziesz? - zapytał Adam, udając, że się niczemu nie dziwi.

- Póki płaci czynsz, nie mam podstaw, by ją wyrzucić - odparła rzeczowo, kierując się w stronę drzwi. - Teraz pójdziemy do pracowni papy. Pozwolisz, że pominiemy drugie piętro? Nie ma tam nic godnego uwagi, wszystkie sprzęty nakryte są płótnem, żeby nie osiadał na nich kurz.

Adam otworzył usta, ale szybko zamknął je ponownie, uznał bowiem, że na pewne tematy lepiej nie dyskutować. Starając się wymazać z pamięci wspomnienie dziwnego kota oraz pokracznego psa, podążył śladem Kirby. Zatrzymali się na moment na podeście, prowadzącym w głąb drugiego piętra.

- Układ pomieszczeń jest taki sam, jak na pierwszym piętrze - wyjaśniła. - Na końcu korytarza znajduje się jeszcze jedna klatka schodowa, która prowadzi do mojej pracowni.

Pozostałe pomieszczenia nie są używane. Oczywiście całe piętro jest nawiedzone. -

Uśmiechnęła się, wyciągając ku niemu rękę.

- Oczywiście - odparł, zupełnie tym nie poruszony.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wszędzie leżały tubki i pojemniczki z farbą, na stole stało kilkanaście słoików z przeróżnymi pędzlami. W powietrzu unosił się zapach oleju i terpentyny. Adam poczuł się jak u siebie w domu.

Pracownia Philipa Fairchilda mieściła się w okrągłym pomieszczeniu, oświetlonym ze wszystkich stron przez promienie słoneczne, wpadające przez łukowato zakończone okna.

Podłoga w czasach swojej świetności musiała być wyjątkowo piękna, teraz jednak pokrywały ją plamy z farby, rozpuszczalnika i innych substancji. Na podłodze stały, oparte o ściany, dziesiątki płócien, niektóre tylko zagruntowane, a niektóre gotowe, czekające na oprawienie.

Kirby obrzuciła pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Przekonawszy się, że wszystko jest w należytym porządku, uspokoiła się nieco. Podeszła do ojca, który nieruchomo wpatrywał się w leżącą przed nim na stole bryłę gliny. Pochyliwszy się, również ją się przypatrywać glinie, oglądając ją ze wszystkich stron. Po kilkudziesięciu sekundach wyprostowała się i potarłszy nos wierzchem dłoni, wydeła usta.

- Hmmm... - mruknęła wieloznacznie.

- To tylko twoja opinia - odparował Philip Fairchild.

- Ależ oczywiście - zgodziła się, przygryzając kciuk. - Masz prawo usłyszeć niezależną ocenę. Pozwól tu, Adamie, rzuć na to okiem.

Posławszy jej mordercze spojrzenie, chcąc nie chcąc Adam podszedł do stołu, by przyjrzeć się bliżej przedmiotowi sporu. Był to częściowo ukształtowany jastrząb o obnażonych szponach oraz rozchylonym nieco dziobie. Niby nie było się do czego przyczepić, rzeźba wykonana była poprawnie, ale brakło w niej tej pasji i ekspresji, którą cechowały się zarówno obrazy Fairchilda, jak i rzeźby jego córki. Rozdarty pomiędzy dobrymi manierami a wrodzonym zamiłowaniem do szczerości, Adam bezskutecznie szukał

wyjścia z tej krępującej sytuacji.

- Hmmm... - zaczął, a Kirby aż klasnęła z radości.

- Widzisz, Adam potwierdza moją opinię. - Z zadowoloną miną poklepała ojca po czubku głowy.

- A co on tam wie! - obruszył się Fairchild. - Przecież jest malarzem, a nie rzeźbiarzem.

- Właśnie! To tak jak ty, drogi papo, tak jak ty. Jesteś świetnym malarzem - odparła z naciskiem na ostatni wyraz.

Jej ojciec zmarszczył groźnie brwi, wyraźnie nie chcąc dać po sobie znać, jak wielką przyjemność sprawiła mu ta ocena.

- Już wkrótce się przekonasz, ty okropny niedowiarku, że jestem także świetnym rzeźbiarzem - zapowiedział, dłubiąc palcem w glinie.

- Przypomnij mi, żebym ci kupiła w prezencie urodzinowym paczkę plasteliny. A teraz pójdziemy z Adamem do mojej pracowni, żeby mógł się w niej rozgościć.

- Świetnie, świetnie. - Ojciec pogłaskał ją po dłoni. - Piekielnie ładna dziewczyna z tej mojej córki, prawda? - zwrócił się do Adama.

- Owszem, bardzo ładna - zgodził się tamten. Kirby westchnęła głęboko, przewracając jednocześnie oczami.
- Widzisz, moje złotko? - Ojciec posłał jej szeroki uśmiech. - Teraz chyba jesteś mi wdzięczna za to, że tyle lat zmuszałem cię do noszenia aparatu na zębach?
- Papo! - Córka pogroziła mu palcem. - Przecież ja nigdy nie nosiłam aparatu!
- Oczywiście, przecież masz zęby po mnie. - Fairchild mrugnął porozumiewawczo do Adama. - Zajrzyj tu do mnie, gdy się już rozpakujesz. Desperacko potrzebuję męskiego towarzystwa. - Delikatnie uszczypnął córkę w policzek. - Tylko nie myśl sobie, moja panno, że Adam będzie czcił ślady twoich stóp, tak jak Rick Potts.
- Adam w niczym nie przypomina Ricka - oceniła. - Rick jest bardzo słodkim chłopakiem.
- Ten maniery odziedziczyła po mleczarzu, nie po mnie - zapewnił jej ojciec.
- Ależ nie wątpię, że Adam także bywa słodki.
- Uśmiechnęła się prowokująco. - Rick specjalizuje się w akwarelach. Należy do tych mężczyzn, którzy wyzwalają w kobietach uczucia macierzyńskie.
- I jest po uszy zakochany w naszej Kirby - dorzucił jej ojciec, z radości zacierając ręce.
- Tak mu się tylko wydaje - sprostowała. - W każdym razie ja nigdy nie dałam mu ku temu najmniejszego powodu.
- Nie? A może wyjaśnisz nam, dlaczego Rick w przyszłym tygodniu przyjeżdża do nas na parę dni?
- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Ale wiem, co zrobię. Powiem mu, że Adam i ja jesteśmy kochankami, a w dodatku Adam jest o mnie wściekle zazdrosny, więc na wszelki wypadek nosi w lewej skarpetce sztylet. - To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i wyszła z pracowni.
- Dobry Boże! - westchnął Adam, ruszając za nią.
- Na pewno to zrobi.
- Ależ oczywiście! - zgodził się radośnie Philip.
- Masz to jak w banku.

Druga pracownia znajdowała się w identycznym pomieszczeniu, lecz różniła się znacząco zawartością, bo oprócz pędzli, płócien i farb znajdowały się w niej noże, dłuta oraz młotki. Na półkach, stole i blatach leżały bryły piaskowca i marmuru, a także kawałki drewna. Jedyнным uporządkowanym elementem pomieszczenia były sprzęty Adama, które Cards przyniósł tu i ułożył osobiście. Pełen sprzeczności charakter Kirby także i tutaj znalazł

swoje odzwierciedlenie - obok najnowszego sprzętu grającego wysokiej klasy stał stary jak świat grzejnik gazowy, zdobny w misterne okucia. Adam przyzwyczajony był do tego typu artystycznego nieporządku, toteż pracownia całkowicie przypadła mu do gustu.

- Jak widzisz, jest tu całe mnóstwo miejsca - odezwała się Kirby. - Ustaw się, gdzie ci pasuje, nie sędzę, żebyśmy sobie za bardzo wchodzili w drogę.

W głębi duszy wątpiła, czy rzeczywiście nie będą sobie przeszkadzać, ale wołała się poświęcić przez tych kilka tygodni niż pozwolić, by malował w pracowni ojca, gdzie mógłby się natknąć na Van Gogha.

- Czy jesteś porywczy? - zapytała ni z tego, ni z owego.

- Nie, nie uważam się za porywczego - odparł, rozpakowując swoje sprzęty. - Chociaż pewnie są tacy, którzy by się z tym nie zgodzili. A ty?

- Och, tak - przyznała z uśmiechem. - Jestem strasznie zmienna, w jednej chwili się złościę, a w następnej popadam w melancholię. Mam nadzieję, że nie będzie ci to za bardzo przeszkadzać.

- Sięgnęła po spory kawałek drewna i zaczęła powoli obracać go w dłoniach. -

Ostatnio zajęłam się rzeźbieniem swoich uczuć, więc siłą rzeczy muszę się im poddawać, żeby móc je później przedstawić.

Zaciekawiony jej słowami Adam przerwał rozpakowywanie i podszedł do półki, na której stało dziesięć nie dokończonych rzeźb.

- Uczucia - powtórzył, wodząc palcem po jednej z nich.

- Tak. To jest...

- Ból - wpadł jej w słowo. - Widzę.

- To radość, a to zwątpienie - ciągnęła, zaskoczona, że reprezentował podobny typ wrażliwości. - Postanowiłam pozostawić namiętność na sam koniec. A to będzie gniew. -

Uniosła surowy kawałek drewna na wysokość oczu. - Zawsze się dziwiłam, że gniew należy do siedmiu grzechów głównych. Nie zgadzam się z tym zupełnie, przecież potrzebujemy gniewu.

Adam dostrzegł zmianę, jaka nastąpiła w jej twarzy, gdy tak wpatrywała się w drewno, które wkrótce miało stać się przekaźnikiem jej emocji i poglądów na życie. Była zagadkowa, czaiło się w niej tyle sprzeczności, zastanawiał się, czy uda mu się dotrzeć do jej wnętrza, poznać prawdę o tym, kim jest.

- Jako że teraz pracuję nad gniewem, będziesz musiał znieść moje wybuchy -

roześmiała się. - A czy ty nad czymś pracujesz?

- Owszem, ale zmieniłem zdanie, chcę zacząć coś nowego. Chcę namalować ciebie.

Błyskawicznie przeniosła spojrzenie z kawałka drewna na jego twarz. W jej oczach wyczytał wrogość, co zaskoczyło go niepomieranie.

- Dlaczego? - zapytała krótko.

Podszedł o krok bliżej, po czym ujął jej twarz w dłoń. Nie reagowała, gdy przyglądał się uważnie każdemu szczegółowi, jej oczom, brwiom, policzkom, ustom. Przesunął palcem po jedwabistej skórze, wprawiając ją w lekkie drżenie.

- Dlatego, że twoja twarz wydaje mi się fascynująca. Chcę to oddać na obrazie, także tę przejrzystość skóry i tę twoją zmysłowość.

Zacisnęła dłonie na drewnie, gdy poczuła na wargach szorstki dotyk jego palca.

- A jeśli się nie zgodzę? - Jej głos nawet na sekundę nie zadrżał.

Ta wyższość, jaką czasem okazywała, także bardzo go intrygowała. Był pewien, że wielu mężczyzn padało jej do nóg, gdy obdarzała ich tym lekko pogardliwym spojrzeniem.

Pochylił się, by ją pocałować. Nie zareagowała. Chłonęła całą sobą to niezwykle doznanie, jakim ją obdarzał, ale za żadne skarby świata nie chciała mu tego okazać. Zdradzały ją jedynie zbielełe kłykcie dłoni silnie zaciśniętych na kawałku drewna.

- I tak cię namaluję - wyszeptał, podnosząc twarz. Odwróciwszy się, wyszedł, aby dać jej czas na przemyślenie tego, co się zdarzyło.

Faktycznie Kirby spędziła pół godziny, siedząc w bezruchu i rozmyślając o tym, że pocałunek Adama poruszył w niej coś, czego do tej pory nigdy nie odczuła. Był wyjątkowy, co do tego nie miała wątpliwości, ale był to najgorszy moment na jakiegokolwiek zauroczenie.

Powinna raczej myśleć o tym, że w świetle osobliwego hobby ojca obecność Adama jest im bardzo nie na rękę. Nie mogąc liczyć na rozwagę i ostrożność ojca, będzie musiała sama zatroszczyć się o to, by zarówno obraz Van Gogha, jak i Tycjana zniknęły stąd jak najszybciej.

Podjeżdżała, że w tej chwili Adam jest w pracowni ojca, więc nie mogła się natychmiast zająć tą palącą kwestią, ale obiecała sobie, że w ciągu kilku najbliższych dni rozwiąże problem. Wtedy nie będzie musiała się niczym martwić, wręcz przeciwnie, będzie mogła bez przeszkód cieszyć się obecnością Adama.

Z uśmiechem sięgnęła po narzędzia oraz drewno. W jednej chwili zapomniała o kłopotach, o Adamie, o Van Goghu, skoncentrowała się na materiale, który zdawał się żyć w jej rękach. Malarstwo nie przynosiło jej aż takiej satysfakcji jak rzeźba. Owszem, lubiła malować, bawiła się barwami, ale czuła, że nie jest w stanie wyrazić wszystkich emocji za pomocą pędzla.

Była tak pochłonięta pracą, że nie usłyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi. Na dźwięk swego imienia aż podskoczyła ze strachu.

- Jasny gwint! - zawołała, kładąc dłoń na piersi.

- Strasznie cię przepraszam, Kirby!

- Melanie! Nie słyszałam, jak wszedłeś. - Odłożyła narzędzia. - Chodź, obiecuję, że nie będę więcej na ciebie krzyczeć.

- Może powinnaś. - Uśmiechnęła się Melanie, wciąż stojąc w progu. - Przeszkodziłam ci.

- Owszem, ale wybaczam ci to wspaniałomyślnie. Wejdz proszę. - Gestem wskazała fotel. - Jak było w Nowym Jorku?

Jak zwykle płowe włosy Melanii były elegancko ułożone, kości policzkowe perfekcyjnie podkreślone delikatnym różem, zaś usta bezbłędnie pociągnięte różowym błyszczkiem. Po raz tysięczny Kirby doszła do wniosku, że jej przyjaciółka Melanie Burgess jest najpiękniejszą i najdoskonalszą istotą na świecie.

- Cudownie wyglądasz, Melly - pochwaliła. - Dobrze się bawiłaś?

Melanie zmarszczyła lekko nos, trzepiąc siedzenie fotela.

- Nie miałam czasu na zabawę - odparła. - Ale bardzo się cieszę, bo moja wiosenna kolekcja została świetnie przyjęta.

Kirby podciągnęła w górę kolana i oparła na nich brodę.

- Naprawdę, nigdy chyba nie zrozumiesz, jak możesz decydować, co będziemy nosić wiosną, gdy za oknem dopiero koniec lata. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Przyznaj się, znowu majstrowałaś przy długości spódniczek.

- Przecież ty i tak nigdy nie zwracasz na to uwagi, jaka jest obowiązująca długość w danym sezonie - przypomniała jej przyjaciółka, spoglądając znacząco na sweter Kirby.

- Jestem zdania, że garderoba prawdziwej kobiety powinna być raczej ponadczasowa niż supermodna.

- Uśmiechnęła się Kirby. - Na przykład ten sweter ma zaledwie dwanaście lat.

- Na tyle też wygląda - odparowała Melanie.

- Wyobraź sobie, że wpadłam na Ellen Parker w klubie Twenty - one.

- Naprawdę? Nie widziałam jej od kilku miesięcy. Czy nadal mówi po francusku, kiedy chce sprawić wrażenie tajemniczej i nieodgadnionej?

- Och, nie uwierzysz, czego się dowiedziałam!

- Melanie aż zadrżała z emocji. - Sama nie wierzyłam, póki nie przekonałam się na własne oczy. Powiedział mi o tym Jerry. Pamiętasz Jerry'ego Turnera, prawda?

- To ten, który projektuje damską bieliznę.

- Nie mówi się bieliznę, Kirby, tylko garderobę intymną - poprawiła ją przyjaciółka, westchnąwszy z rezygnacją. - Naprawdę, mogłabyś się wreszcie nauczyć.

- Jak zwał, tak zwał. - Kirby machnęła ręką. - No i co takiego powiedział ci Jerry?

- Wyobraź sobie, że Ellen ma romans! - wyrzuciła z siebie Melanie.

- Też mi nowość! - rozczarowała się Kirby. - Czy to pan numer dwieście trzy, czy może kogoś pominęłam?

- Ale to nie wszystko. - Jej przyjaciółka pochyliła się z przejęciem. - Tym razem ma romans z ortodontą swojego syna!

Wesoły, serdeczny śmiech Kirby sprawił, że Adam, wędrujący pod górę prowadzącymi do pracowni schodami, zatrzymał się w pół kroku. Dźwięk długo odbijał się echem od kamiennych ścian korytarza.

- Ale zastanów się tylko! Z ortodontą! - Melanie nie podzielała jej rozbawienia. - To takie drobnomieszczańskie.

- Och, Melly, jesteś taką cudowną snobką! - wykrztusiła z trudem Kirby, nie mogąc przestać się śmiać. - A więc Ellen może mieć tyle romansów, ile jej się żywnie podoba, pod warunkiem, że wybierać będzie tylko mężczyzn z odpowiedniego środowiska?

- Nie, oczywiście nie pochwalam żadnych skoków w bok, ale... - Melanie próbowała znaleźć jakiś przekonywujący argument. - Ale nawet jeśli dojdzie do zdrady, trzeba być dyskretnym i...

- I starannie wybierać kandydata na kochanka, tak? Czy nie uważasz, że to rażąca niesprawiedliwość? Ellen sobie romansuje z ortodontą, a Harold wydaje bająnskie sumy na korektę zgryzu syna.

Ponownie westchnąwszy z rezygnacją, Melanie spróbowała po raz kolejny zmienić temat.

- A jak się miewa Stuart?

Adam miał właśnie wejść do pracowni, ale w ostatniej chwili zatrzymał się tuż za progiem. Przez niedomknięte drzwi obserwował, jak uśmiech znika z twarzy Kirby. Jej oczy z roześmianych stały się zimne, nieprzyjemne.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - odparła chłodnym tonem.

- Ojej! - Melanie przygryzła wargę. - Czyżbyście się pokłócili?

- Czy się pokłóciliśmy? - powtórzyła z nieprzyjemnym uśmiechem. - Cóż, można to i tak nazwać. Od początku wiedziałam, że nie powinnam przyjmować jego oświadczeń. Trzeba było z tym skończyć od razu, niepotrzebnie się ociągałam.

- Rzeczywiście, wspominałaś, że masz wątpliwości. - Melanie ujęła dłonie przyjaciółki. - Myślałam, że to nerwy. W końcu żaden z twoich poprzednich związków nie doprowadził do zaręczyn.

- To nie nerwy, ale błąd w ocenie sytuacji. Na szczęście już go naprawiłam.

- Jak znam Stuarta, pewnie wpadł w furję?

- Nie, bo sam dał mi doskonały powód zerwania. - Na usta Kirby powrócił bolesny uśmiech. - Wiesz, że naciskał na mnie, żebyśmy ustalili datę.

- A ty go cały czas zbywałaś.

- I dzięki Bogu! Kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę, żeby się wycofać, poszłam bez zapowiedzi do niego do domu. Powinnam była się domyślić, że coś jest nie tak, gdy tylko otworzył drzwi, ale byłam tak skupiona na przemowie, którą sobie wcześniej przygotowałam, że dopiero po dłuższej chwili spostrzegłam kilka części... nazwijmy to intymnej garderoby, porzucanych po salonie.

- Och, Kirby! - wykrzyknęła jej przyjaciółka, wyraźnie poruszona opowieścią.

- Wina leży także po mojej stronie - przyznała Kirby, nabrawszy głęboko powietrza w płuca. - Nie chciałam pójść z nim do łóżka, w ogóle mnie nie pociągał. Brakowało... -

zawahała się w poszukiwaniu odpowiedniego określenia. - Brakowało namiętności. Chyba po tym właśnie zorientowałam się, że nie mogę za niego wyjść. Ale byłam mu wierna! -

Zacisnęła pięści. - Byłam wierna, Melly.

- Nie wiem, co ci teraz powiedzieć - przyznała Melanie, wyraźnie poruszona tym, co usłyszała. - Tak mi przykro.

- Nie byłabym taka zła, gdyby nie wmawiał mi, że mnie kocha, podczas gdy w tym samym czasie inna kobieta grzała mu łóżko. To było takie poniżające.

- To głupiec!

- Wcale nie jestem przekonana, kto z nas dwojga popisał się większą głupotą. W

końcu przestaliśmy rozmawiać o miłości i wtedy dopiero zrobiło się nieprzyjemnie. - Kirby zamilkła na moment, przeżywając na nowo nieprzyjemne zdarzenie. - Tamtego wieczoru dowiedziałam się dużo ciekawych rzeczy.

- Musiałaś być zdruzgotana, gdy dowiedziałaś się, że Stuart zdradził cię jeszcze przed ślubem - domyśliła się jej przyjaciółka.

- Tak, oczywiście, z tego powodu też.

- Jak to, też? Co jeszcze?

- Nic takiego. - Kirby pokręciła głową, chcąc otrząsnąć się ze złych wspomnień. - To było dawno i nieprawda.

- Czuję się okropnie. - Melanie zmarszczyła czoło. - Przecież to ja was ze sobą poznałam.

- Jeśli chcesz, możesz ogolić głowę na łyso na znak skruchy, ale jak dla mnie nie musisz niczego odpokutowywać - odparła wspaniałomyślnie Kirby.

Uznawszy, że najwyższa pora dać o sobie znać, Adam wszedł do środka. Kirby podniosła na niego spojrzenie, w którym nie było nawet śladu chłodu ani złości.

- Witaj, Adamie. - Uśmiechnęła się. - Pogawędziłeś sobie z papą?

- Tak, porozmawialiśmy sobie miło.

Zerkając w stronę Melanie, doszedł do wniosku, iż z bliska jest jeszcze piękniejsza niż się spodziewał. Klasyczne rysy twarzy, nienaganna sylwetka, odziana w elegancko skrojoną blad różową sukienkę, jednym słowem miała w sobie dużo klasy.

- Nie przeszkadzam? - upewnił się.

- Ależ skąd, tak sobie plotkujemy. Poznajcie się: Melanie Burgess, Adam Haines.

Adam będzie naszym gościem przez kilka najbliższych tygodni.

Adam uścisnął smukłą dłoń, zakończoną pomalowanymi na różowo paznokciami.

Była delikatna, miękka w dotyku, bez żadnych zgrubień, w przeciwieństwie do dłoni Kirby, na której widniały lekkie odciski od dłuta i młotka. Adam zastanawiał się, co też zmieniło się w jego życiu w ciągu ostatniej doby, że nieporządna, nonszalancka artystka wydawała mu się bardziej atrakcyjna niż czarująco uśmiechnięta, wypielegnowana piękność.

- Ten Adam Haines? - zapytała z naciskiem Melanie. - Ależ tak, oczywiście -

odpowiedziała sama sobie. - To miejsce przyciąga wielu znanych artystów. Mam jeden z pańskich obrazów.

- Naprawdę? A który, jeśli mogę wiedzieć?

- „Studium w błękicie„ - odparła, przechylając kokieteryjnie głowę. - Bardzo mi się podobał ze

względu na swoją wyrazistą wymowę. Niemal wymknął mi się z rąk, pamiętasz, Kirby?

- Tak, pamiętam. - Kirby roześmiała się wesoło i naturalnie. - Postraszyłam ją, że jeśli nie przestanie się mazać na jego widok, sama go kupię i nigdy więcej jej nie pokażę. Papa był

straszenie zły, że tego nie zrobiłam.

- Wuj Philip i tak ma tyle obrazów, że mógłby nimi zapełnić Luwr - zauważyła z przekąsem Melanie.

- Cóż, jedni zbierają znaczki, a inni obrazy. A wiesz Adamie, że ta martwa natura w moim pokoju to dzieło Melanii? - pochwaliła Kirby. - Studiowałyśmy razem we Francji.

- Ale ja nie śmiem nazywać siebie artystką - pospieszyła z zapewnieniem jej przyjaciółka. - Bawię się w projektowanie mody. A teraz wybaczcie, ale muszę już iść. Ucałuj wuja Philipa ode mnie, Kirby, nie chcę mu przeszkadzać.

- Zostań na obiad, Melly - poprosiła Kirby. - Nie widzieliśmy cię od dwóch miesięcy.

- Innym razem - obiecała Melanie, podnosząc się z gracją. Adam wstał razem z nią. -

Zobaczymy się już w ten weekend na przyjęciu. Pan też przyjdzie, prawda? - zwróciła się do Adama.

- Z chęcią.

- Świetnie - ucieszyła się Melanie. Sięgnęła do torebki po cieniutkie skórzane rękawiczki. - Nie zapomnij, Kirby, przyjęcie zaczyna się o dziewiątej wieczorem. - Ruszyła do wyjścia, ale po dwóch krokach później zatrzymała się gwałtownie. - Och! Ojej!

Zaproszenia zostały już wysłane... Kirby, obawiam się, że Stuart też tam będzie.

- Nie bój się, nie będzie skandalu. Obiecuję, że dubeltówkę zostawię w domu -

roześmiała się Kirby. - Do zobaczenia w sobotę.

- Piękna kobieta - zauważył Adam, gdy zostali sami.

- Tak, wyjątkowa - przyznała Kirby bez cienia zazdrości.

- Jak to możliwe, żeby dwie tak urocze kobiety, tak od siebie odmienne stylem, były przyjaciółkami?

- Możliwe, bo żadna z nas nie próbuje na siłę zmienić tej drugiej - wyjaśniła, biorąc w dłonie nie dokończoną drewnianą rzeźbę. - Staram się nie widzieć tego, co uważam za jej wady, a ona stara się nie dostrzegać moich. - Zauważyła w jego dłoni szkicownik i ołówek. -

A co ty robisz?

- Wstępne szkice. A jakie masz wady?

- Zbyt liczne, by je teraz wymieniać - odparła wymijająco.

- Masz jakieś zalety? - nie dał się zbić z pantałyku.

- Znajdzie się z tuzin - podjęła wyzwanie. - Jestem lojalna, uczciwa, czasem cierpliwa...

- Tylko czasem?

- Nie chciałabym być doskonała. - Uśmiechnęła się prowokująco. - Do tego jestem świetna w łóżku.

Przyjrzał jej się uważnie, zastanawiając się, jaką prowadzi grę.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Widzę, że nie dajesz się tak łatwo zbić z tropu - zauważyła. - Tym bardziej zachęca mnie to, żeby dalej próbować.

- Kim jest Stuart? - zapytał prosto z mostu.

- Były narzeczony - odpowiedziała, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo boli ją ten temat.

- Stuart Hiller, może obilo ci się o uszy to nazwisko.

- Ten sam Hiller, który prowadzi Merrick Gallery? - upewnił się, przystępując do szkicowania.

- Ten sam - przytaknęła.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że był to dla niej nadal bolesny temat, zastanawiał się więc, czy go nie porzucić, ale poczucie obowiązku przeważało.

- Znam go tylko ze słyszenia - odparł, nie podnosząc wzroku znad szkicownika. -

Miałem w planach wizytę w galerii. To jakieś trzydzieści kilometrów stąd, prawda?

Kirby zbladła nieco, ale zdołała opanować drżenie głosu.

- Tak, to niedaleko. Niestety, obawiam się, że w obecnej sytuacji nie będę ci mogła towarzyszyć.

- Kto wie, może się pogodzicie w ten weekend?

- podsunął.

- Raczej wątpię. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dotarło do mnie niedawno, że nazywałabym się Fairchild - Hiller, a to okropne zestawienie.

- Może jednak powinnaś to poważnie rozważyć - nie ustępował. - Merrick Gallery cieszy się ogromną sławą.

- Owszem, ale galeria należy do matki Melanie.

- Jak to? - zdumiał się. - Mówiłaś, że Melanie nazywa się Burgess.

- Burgess to nazwisko jej byłego męża - uściśliła.

- A więc Melanie jest córką Harriet Merrick... Czyli pani Merrick przekazała zarządzanie galerią Hillerowi?

- W większości spraw. O czasu do czasu angażuje się w niektóre przedsięwzięcia.

Adam przyjrzał się jej oczom, nie mogąc zdecydować, jaki mają kształt. Nie były całkowicie okrągłe, ale też nie do końca migdałowe. Trudne do opisanego, jak sama Kirby.

- Bez względu na moją prywatną opinię na jego temat, Stuart jest prawdziwym znawcą dzieł sztuki - oceniła. - Dzięki jego profesjonalizmowi Harriett może bez przeszkód podróżować po świecie. Kiedy parę dni temu dzwoniłam do niej, właśnie wróciła z safari w Afryce. Chwaliła się, że przywiozła naszyjnik z najprawdziwszych zębów krokodyla.

- Zatem wasze rodziny dobrze się znają - wywnioskował. - Domyślam się, że twój ojciec przeprowadził wiele transakcji za pośrednictwem Merrick Gallery?

- O, tak - przyznała. - Ponad trzydzieści lat temu papa miał tam swoją pierwszą wystawę, która przyniosła ogromny sukces i jemu, i Harriet. Pokaż, co naszkicowałeś. -

Wyciągnęła rękę w jego kierunku.

- Za moment - mruknął.

W tym momencie dobiegło ich przeraźliwe zawodzenie. Adam spojrzał na Kirby z niepokojem, ona jednak zdawała się w ogóle nie przejmować tym, co się dzieje. Wręcz przeciwnie, uśmiechała się lekko, jak gdyby nigdy nic.

- Co to takiego? - zapytał.

- Co?

- To zawodzenie - wyjaśnił.

- Ach, to! - Z szelmowskim uśmiechem sięgnęła przez stół i wyrwała mu z ręki szkicownik. - To papa. W ten sposób wyraża swoją frustrację związaną z tym, że nie wychodzi mu rzeźba. Czy faktycznie mam taki zadarty nos? - Na próbę przesunęła palcem po nosie. - Może rzeczywiście. Ciekawe, nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Odłożywszy szkicownik, wstała i zaczęła się przechadzać po pracowni, aż niź z tego, ni z owego opadła na kolana Adama.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, dobrze? - poprosiła, odchyliwszy do tyłu głowę. -

Naprawdę nie mogę się powstrzymać.

Jest niesamowita, nie ma drugiej takiej jak ona, myślał Adam, całując jej wargi, tak jak sobie zażyczyła. Wtuliła się w jego ramiona, posłuszna, oddana, jak jeszcze nigdy dotąd.

Jej pocałunki były miękkie i delikatne, ale paradoksalnie rozpalały w nim ogień, jakiego jeszcze nie doświadczył.

- Czy nie moglibyście się wstrzymać, aż zjemy obiad? - od drzwi dobiegł ich głos Philipa Fairchilda.

Z cichym westchnieniem Kirby wstała z kolan Adama. Nieznacznie oblizała dolną wargę, aby dłużej delektować się jego smakiem. Podświadomie czuła, że już wkrótce zapragnie znów go posmakować.

- Już idziemy - odparła, ujmując jego dłoń. - Adam mnie szkicuje - pochwaliła się.

- Tak, właśnie zauważyłem - prychnął kpiąco jej ojciec. - Może sobie szkicować, jak długo chce, ale po obiedzie. Jestem głodny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jedzenie zdawało się łagodzić temperament Philipa Fairchilda. Pochłaniając łososia gotowanego na parze, wdał się w długi wywód na temat surrealizmu. Jak się okazało, metoda oddziaływania na wyobraźnię poprzez łamanie wszelkich konwencji na tyle do niego przemówiła, że spędził ponad rok na jej studiowaniu oraz próbach zastosowania w praktyce.

Artysta przyznał także szczerze i z właściwą sobie dozą poczucia humoru, że jego własne próbki malarstwa surrealistycznego były raczej mało udane, podobnie zresztą jak obrazy o charakterze abstrakcyjnym.

- Zamknął tamte obrazy na strychu - poinformowała Kirby, dłubiąc widelcem w sałatce. - Mój ulubiony przedstawia dziesiątki topniejących i zwisających smętnie zegarów w odcieniach niebieskiego i żółci, a do tego dwa lewe buty. To wielkie dzieło nosi tytuł

„Nieobecność czasu”.

- To był eksperyment - wyjaśnił jej ojciec, gromiąc ją spojrzeniem.

- Jakiś maniak oferował mu za ten obraz absurdalną sumę pieniędzy, ale papa odmówił i zamknął swe dzieło na strychu, jak, nie przymierzając, szalonego krewnego. -

Kirby sprytnie przeniosła swą porcję ryby na talerz ojca. - Tylko patrzeć, a rzeźba też tam powędruje.

Fairchild przełknął kęs ryby, po czym uniósł dumnie głowę.

- Popamiętasz moje słowa, za rok nazwisko Philip Fairchild będzie utożsamiane z najlepszym współczesnym rzeźbiarstwem.

- Papo, muszę przyznać, że ten z tym odcieniem różu bardzo ci do twarzy. - Pochyliła się, by cmoknąć ojca w policzek. - Jesteś niemal purpurowy.

- Chyba jesteś jeszcze dostatecznie młoda, żeby pamiętać, że jako twój ojciec mogę sprawić, że ten sam kolor pojawi się na twojej pupie - zagroził.

- Brutal - mruknęła, po czym objęła ojca za szyję i przytuliła się. - Idę na spacer, żeby się przewietrzyć. Idziesz ze mną?

- Nie, nie, muszę coś dokończyć. - Fairchild poklepał ją po dłoni. - Zabierz ją na spacer - zwrócił się do Adama. - A potem możecie wrócić do tego... szkicowania. A tak w ogóle, to czy już zapytałeś Kirby, czy możesz ją malować? Nie wiem, czy wiesz, że nie jesteś pierwszy, który by miał na to ochotę, ale do tej pory żadnemu nie pozwoliła.

Adam spokojnie uniósł kieliszek z winem.

- Powiedziałem jej, że zamierzam namalować jej portret - odparł z naciskiem.

Fairchild zachichotał z satysfakcją, a jego bladoniebieskie oczy zaśniły radośnie.

- Świetnie! - pochwalił. - Kirby potrzebuje twardej ręki. Nie wiem, po kim odziedziczyła tę krnąbrność. Pewnie po rodzinie matki.

Adam spojrzał na łagodne oblicze kobiety na wiszącym w jadalni obrazie.

- Niewątpliwie - zgodził się z przekazem.

- Widzisz ten obraz? - Fairchild ruchem głowy wskazał portret Kirby z czasów dzieciństwa. - Jeden jedyne raz zgodziła się dla mnie pozować, ale musiałem ją przekupić.

Zaledwie dwanaście lat, a już taka materialistka.

- Jeżeli zamierzacie nadal rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu nie było, to ja idę po buty. - Nie obejrzawszy się za siebie, wyszła z jadalni.

- Niewiele się od tamtego czasu zmieniła, prawda? - zagadnął Adam.

- Ani trochę - przyznał dumny ojciec. - Uważaj, mój chłopcze, będzie się z tobą bawić w kotka i myszkę. Mam nadzieję, że masz wystarczającą kondycję i cierpliwość.

- Jako student uprawiałem bieg z przeszkodami. Philip Fairchild wybuchnął zaraźliwym śmiechem.

A niech to, pomyślał Adam, lubię go. To zdecydowanie komplikowało sprawę, a przecież zadanie, jakie miał wypełnić, było i bez tego dostatecznie trudne.

- Chodź, Adamie. - Kirby zajrzała do jadalni.

- Naprawdę, ileż można siedzieć przy stole!

Jak na wrzesień było wyjątkowo ciepło i pogodnie. Ogród mienił się jesiennymi barwami cynii i astrów, rosnących w nieuporządkowanych kępkach nie tylko na grządkach, ale i gdzieś w trawie. Obok płomiennie czerwonego klonu starszy mężczyzna, ubrany w połatany kombinezon roboczy, powolnymi ruchami grabił trawnik, zgarniając w jedno miejsce martwe liście. Gdy się do niego zbliżyli, powitał ich bezzębnym uśmiechem.

- Nie przejmuj się, Jamie, i tak nie uda ci się ich zebrać co do jednego - zawołała Kirby.

- Wcześniej czy później dam sobie z nimi radę, panienko - odparł. - Mam mnóstwo czasu.

- Jutro ci pomogę - obiecała.

- Tak, najpierw zagrabisz je na kupę, a potem będziesz po nich skakać jak zwykle. -

Uśmiechnął się ciepło. - Zajmij się lepiej tym swoim struganiem, a ja posprzątam i może przygotuję ci kupę kiści do poskakania.

Pomachawszy staruszkowi, Kirby pociągnęła Adama za rękę i ruszyli dalej.

- Czy to ten dziadziuś zajmuje się ogrodem?

- zainteresował się Adam.

Na jego oko grunty otaczające zamek zajmowały grubo ponad sto hektarów, toteż wydawało mu się niemożliwe, by tak ogromny obszar był pod opieką jednego, w dodatku mocno posuniętego wiekiem człowieka. Z drugiej jednak strony, w tym domu natknął się na wiele zjawisko pozornie niemożliwych...

- Tak, odkąd przeszedł na emeryturę - wyjaśniła. - To było jeszcze zanim się urodziłam. Miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat. Twierdzi, że ma teraz dziewięćdziesiąt dwa, ale oczywiście ma dziewięćdziesiąt pięć, tylko za żadne skarby świata nie chce się do tego przyznać. Zwykła próżność. - Pokręciła głową z dezaprobatą.

Podeszli do krawędzi urwiska. W dole wiła się srebrzysta wstążka rzeki Hudson, a położone na jej brzegu domy wyglądały z tej odległości jak małe białe punkciki.

- Czemu ciągle tu mieszkasz? - zapytał nagle Adam.

- Bo tu jest moja rodzina, dom i praca.

- I tutaj możesz żyć z dala od ludzi - dopowiedział.
 - Nie żyjemy w odosobnieniu, bardzo często podejmujemy gości - zaproponowała.
 - A nie masz ochoty podróżować? Zobaczyć Florencję, Rzym, Wenecję?
 - Zanim skończyłam dwanaście lat, odwiedziłam Europę pięć razy. Przez cztery lata studiów mieszkałam w Paryżu. Spałam z bretońskim hrabią w najprawdziwszym francuskim zamczysku, jeździłam na nartach w szwajcarskich Alpach i wędrowałam po wzgórzach Kornwalii - wymieniła, wpatrując się w przestrzeń. - Ale zawsze wracam do domu. Chyba głównie ze względu na papę.
 - Bardzo go kochasz - zauważył Adam.
 - Bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek na świecie - przyznała z niespodziewaną tkliwością.
 - Dał mi wszystko to, czego potrzebowałam: poczucie bezpieczeństwa, niezależność, lojalność, przyjaźń. Nauczył mnie też to wszystko odwzajemniać. Mam nadzieję, że przyjdzie kiedyś dzień, w którym spotkam kogoś, kogo będę mogła tym wszystkim obdarować. Wtedy moje miejsce będzie przy nim, to do niego będę wracać.
- Poruszony do głębi jej słowami, Adam pogłaskał ją czule po policzku. Wiedział, że nie powinien sobie pozwalać na takie gesty ani też na żadne odruchy sympatii wobec Fairchildów, bo to tylko komplikowało i tak trudne zadanie, które go tu przywiodło. Jego serce zadrżało niespodziewanie, gdy na dłoni poczuł delikatny dotyk jej ręki.
- Nie wiem, czemu ci to wszystko mówię.
 - Uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Generalnie nie mam w zwyczaju opowiadać innym o sobie. A może to ty masz jakiś szczególny dar wydobywania z ludzi zwierzeń?
 - Nie, niczego takiego u siebie nie zaobserwowałem.
 - Nie wyglądasz mi na kogoś, komu wszyscy powierzaliby największe sekrety -
- oceniła, przypatrując się mu krytycznie. - Trzymasz się na dystans, a do tego sprawiasz wrażenie odrobinę pompatycznego.
- Ja jestem pompatyczny? - zachnął się. - Na jakiej podstawie wyciągnęłaś taki wniosek?
 - Tylko odrobinę - powtórzyła, a jej oczy śmiały się wesoło. - Nie gniewaj się, uważam, że pompatyczni ludzie także są potrzebni na tym świecie. Bardzo mi się podoba, jak unosisz prawą brew, kiedy jesteś zdenerwowany.
 - Nie jestem pompatyczny - powtórzył z uporem, czym wywołał u niej wybuch śmiechu.
 - Może faktycznie użyłam nieodpowiedniego słowa - wycofała się.

- Całkowicie nieodpowiedniego - zgodził się.
- Jesteś odrobinę konwencjonalny - określiła, po czym poklepała go lekko po policzku.
- To właśnie chciałam od samego początku powiedzieć.
- Nie wątpię, że obydwa określenia znaczą dla ciebie to samo i za każde z nich powinienem się obrazić.

Przechyliwszy głowę, przyjrzała mu się uważnie.

- Może się mylę - odezwała się po chwili. - Przecież nikt nie jest nieomylny. Ponoś mnie na barana - poprosiła niespodziewanie.

- Co takiego?!

- Ponoś mnie na barana - powtórzyła.

- Jesteś stuknięta - zawyrokował.

Owszem, była inteligentna, bystra i utalentowana, ale Adam odnosił wrażenie, że jakaś część jej rozumu przebywała permanentnie na urlopie.

Wzruszywszy ramionami, odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę domu.

- Wiedziałaś, że się nie zgodzisz - oznajmiła pełnym wyższości tonem. - Pompatyczni ludzie nigdy nikogo nie biorą na barana. To wynika z samej definicji.

- A niech to! - mruknął pod nosem.

Nie miał zamiaru dać się wciągnąć w jej gierki, jeśli tak bardzo potrzebowała się z kimś zmierzyć, miała od tego ojca.

- Jesteś nie do wytrzymania - zawołał, doganiając ją. - Wskakuj. - Nastawił się plecami.

- Skoro nalegasz - zgodziła się łaskawie, po czym zgrabnie wskoczyła mu na plecy. -

Ojej, jakiś ty wysoki! - zauważyła, spoglądając w dół.

- To nie ja jestem wysoki, tylko ty niska - poprawił, podrzucając ją lekko, aby wygodniej mu się trzymało.

- W następnym wcieleniu będę miała metr siedemdziesiąt wzrostu.

Pomachała radośnie ogrodnikowi Jamiemu, który wciąż grabił liście.

- Mógłbyś od czasu do czasu zrobić coś spontanicznego - zaproponowała. - Na przykład pochodzić bez skarpetek.

- Mam lepszy pomysł. Co ty na to, żebym cię spontanicznie upuścił na tę twoją atrakcyjną pupę? - zasugerował złośliwie.

- Naprawdę jest atrakcyjna? - ucieszyła się. - Niestety, tak rzadko ją widuję... -

Pochyliwszy się, cmoknęła go w ucho. - Dziękuję za miłą przejażdżkę. Zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, zniknęła za drzwiami domu.

Późnym wieczorem Adam siedział po ciemku w swojej sypialni, ściskając w dłoni nadajnik, którym miał ochotę cisnąć z całej siły o ścianę. Był na siebie wściekły, ponieważ złamał żelazną zasadę, zabraniającą mu angażować się w sprawy, które prowadził. Nigdy nie miał z tym najmniejszego problemu, nigdy mu to nie przeszkadzało. Do niedawna...

Przełamując swą niechęć włączył urządzenie.

- McIntyre?

- Hasło? - odezwał się trzeszczący głos.

- Daj spokój! - zirytował się. - Na litość boską, nie jesteśmy bohaterami filmu o Jamesie Bondzie.

- Takie są procedury.

Na kilkanaście sekund zapadła cisza.

- Niech ci będzie - ustąpił wreszcie McIntyre.

- Czego się dowiedziałeś?

- Dowiedziałem się, że kiedy następnym razem do mnie zadzwonisz z jakąś nową sprawą, natychmiast odłożę słuchawkę - odparował Adam.

- Jakieś kłopoty? Miałeś informować o wszelkich trudnościach.

- Rzeczywiście, mam kłopot - zgodził się Adam.

- Polubiłem Fairchilda, a jego córka coraz bardziej mnie intryguje.

- Nie możesz się teraz wycofać - przypomniał McIntyre. - Podjęliśmy już zobowiązanie.

- Wiem - mruknął Adam, starając się zebrać myśli.

- Dowiedziałem się, że bliską przyjaciółką rodziny jest Melanie Merrick Burgess, córka Harriet Merrick. To szalenie elegancka projektantka mody, którą niespecjalnie obchodzi malarstwo. Wydaje mi się, że jest bardzo oddana Fairchildom. Ponadto Kirby niedawno zerwała zaręczyny ze Stuartem Hillerem.

- O, to ciekawe - zainteresował się McIntyre.

- A kiedy konkretnie?

- Tego nie wiem i nie jestem pewien, czy się dowiem, bo nie chcę wypytywać ją o tego typu bolesne sprawy. Podejrzewam, że stało się to w ciągu ostatniego miesiąca, czy dwóch, bo ciągle ją to boli. Zostałem zaproszony na przyjęcie w najbliższy weekend, powinienem wtedy poznać Harriet Merrick i Hillera. Aha i mam dla ciebie dobrą wiadomość.

W zamku są kilometry sekretnych przejść.

- Co takiego?

- To, co słyszałeś. Jeśli mi się poszczęści, będę mógł dzięki nim zwiedzić cały budynek. Zobaczymy, dokąd mnie doprowadzą.

To powiedziawszy, wyłączył nadajnik i szybko wrzucił go do walizki, żeby przypadkiem nie ulec pokusie ciśnięcia nim za okno. Podszedł do kominka, aby znaleźć przycisk uruchamiający wejście do labiryntu korytarzy. Spędził niemal dziesięć minut na przyciskaniu wszystkich możliwych ornamentów, aż wreszcie płyta odsunęła się powoli.

Przecisnąwszy się przez wąski otwór, oświetlił latarką ścianę, aby odnaleźć przycisk zamykający wejście. W korytarzu panowała nieprzyjemna wilgoć, a w powietrzu unosiła się woń stęchlizny. Adam ruszył powoli, starając się stąpać jak najciszej, aby nikt z domowników go nie usłyszał. Raz po raz dobiegały go charakterystyczne piski oraz cichy tupot szczurzych łapek. Na moment zatrzymał się przy drzwiach, prowadzących do sypialni Kirby. Miał

ogromną ochotę nacisnąć przycisk i wejść, nie zważając na McIntyre'go oraz zadanie, które miał wykonać. Kirby miała jednak co do niego rację - był realistą i w każdej chwili potrafił

odróżnić to, co złe od tego, co dobre. Ruszył ponownie wzdłuż korytarza, który nagle skręcił

w lewo. Wspiąwszy się na kilka schodków, doszedł do kolejnego korytarza. Na przeciwległej ścianie siedział ogromny pająk, którego rozmiary zbliżone były do tego, o czym wcześniej wspominała Kirby. Otrząsnąwszy się z obrzydzeniem, Adam nacisnął najbliższy guzik i wszedł do pomieszczenia, w którym wszystkie sprzęty nakryte były białym płótnem. Powoli rozejrzał się dookoła.

Tymczasem Kirby przewracała się w swym łóżku, bezskutecznie czekając na sen. W

tym samym momencie, gdy Adam stał za ścianą jej sypialni, ona rozważała udanie się do pracowni, w nadziei, że praca przyniosłaby jej ukojenie. Z drugiej strony wiedziała jednak, że cokolwiek by stworzyła w obecnym stanie umysłu, nie byłoby nawet godne uwagi.

Zirytowana, wstała z łóżka i usiadła na parapecie okiennym, by wpatrując się w noc, przeanalizować swe położenie. Była gotowa przyznać przed samą sobą, że jej niepokój spowodowany jest faktem, iż coraz bardziej zależy jej na Adamie. Nie było to tylko zwykłe zauroczenie, z czymś takim poradziłaby

sobie bez problemu. Sytuacja była znacznie bardziej poważna, ponieważ nie wiedzieć kiedy zaangażowała się emocjonalnie do tego stopnia, że stała się łatwym celem, tak że można było ją poważnie zranić byle słowem.

Cóż, przezorny zawsze ubezpieczony, pomyślała, rozważając, w jaki sposób może się zabezpieczyć przed zranieniem. Przede wszystkim musi zrobić wszystko, aby jej zaangażowanie pozostało minimalne. Tak, musi zachowywać obojętność, nie dać się wciągnąć w jakąkolwiek zażyłość. Odetchnęła z ulgą. Powoli odzyskiwała kontrolę nad swoim życiem.

Już miała się ponownie położyć, gdy spostrzegła zbliżające się światła samochodu.

Ojciec miał w zwyczaju zapraszać gości o przeróżnych godzinach, ale nie wspominał jej o żadnej wizycie, toteż zaniepokoiła się nieco. Jak się okazało chwilę później, jej niepokój był

jak najbardziej uzasadniony.

- Co za bezczelny typ! - wycodziła przez zęby. - To już szczyt wszystkiego!

Poderwawszy się na nogi, zaczęła chodzić szybko w tę i z powrotem po pokoju, aż wreszcie chwyciła szlafrok i wyszła na korytarz.

Dokładnie piętro wyżej Adam szykował się do ponownego wejścia do labiryntu, gdy także i jego uwagę przykuły światła na podjeździe. Szybko wyłączył latarkę, a następnie podszedł do okna, aby przyjrzeć się mężczyźnie, który wysiadł z luksusowego mercedesa i skierował się ku głównemu wejściu. Zaintrygowany, zamiast wrócić do labiryntu, wyszedł na korytarz i ukrył się za drzwiami. Najpierw dobiegły go głosy, potem odgłos kroków. Ze swej kryjówki obserwował, jak Cards prowadzi smukłego, ciemnowłosego mężczyznę w kierunku pracowni Fairchilda.

- Pan Hiller do pana - zaanonsował kamerdyner, jak gdyby była to typowa pora odwiedzin, a nie środek nocy.

- Stuart, jak miło, że do mnie zajrzałeś - dał się słyszeć głos gospodarza. - Wejdz, wejdz.

Policzywszy do dziesięciu, Adam powoli wychynął z ukrycia i już się kierował w stronę drzwi do pracowni, gdy nagle coś białego przebiegło koło niego z furkotem. W

ostatniej chwili zdołał się wycofać do pobliskiej wnęki. Oczekał aż Kirby - bo to ona pędziła po schodach w zwiewnym białym szlafrocuku - znalazła sobie dogodne miejsce przy drzwiach, po czym bezszelestnie zakradł się na górę, gdzie ukrył się w załomie muru.

- Chyba masz mnie za skończonego głupca!

- grzmiał Stuart po drugiej stronie ściany.

- Skoro tak mówisz... - zgodził się pogodnie Philip Fairchild. - Usiądź, mój drogi chłopcze.

- Posłuchaj mnie wreszcie! Mieliśmy układ, prawda? Czy naprawdę sądziłeś, że się nie zorientuję, że

mnie wykiwałeś?

- Przyznam, że nie podejrzewałem, że zajmie ci to aż tyle czasu. - W głosie Fairchilda słychać było rozbawienie. - Nie jesteś tak sprytny, za jakiego cię miałem, Stuarcie.

Powinieneś był to odkryć już parę tygodni temu. Przyznaję, kopia była doskonała, ale sprytny człowiek na wszelki wypadek zleciłby ekspertyzę, żeby mieć pewność, że obraz jest autentyczny.

Nie mogąc się zorientować, o co tak naprawdę chodzi, Kirby przysunęła się jeszcze bliżej ściany, aby nie uronić ani słowa. Poły jej szlafroka rozchyliły się, ukazując wybitnie skąpą koszulkę nocną. Adam, mający ją cały czas na oku, zaklął pod nosem.

- Ale umawialiśmy się... - zaczął znowu Hiller.

- Tylko nie mów mi, że wierzysz w bajki o honorowych złodziejach - wpadł mu w słowo gospodarz. - Jeśli chcesz nadal grać w tę grę, najwyższa pora dorosnąć.

- Oddaj mi Rembrandta, Fairchild - wycedził przez zęby Stuart.

Kirby zamarła w bezruchu.

A więc jednak go ma, pomyślał w tym samym momencie Adam.

- Podaj mnie do sądu - zaproponował z rozbawieniem Philip Fairchild.

- Albo mi go oddasz, albo skręcę ci kark!

Na kilkanaście sekund w pracowni zaległa głucha cisza.

- W ten sposób na pewno go nie dostaniesz. Pogrożki straszliwie mnie irytują. Poza tym muszę powiedzieć, że bardzo mi się nie spodobało to, jak potraktowałeś Kirby. - W jego głosie słychać było, że z nieszkodliwego ekscentryka przeistoczył się w groźnego mężczyznę, ojca broniącego swojej ukochanej jedynaczki. - Zawsze wiedziałem, że za ciebie nie wyjdzie, jest na to zbyt inteligentna. W dodatku te twoje groźby, próby szantażu naprawdę mnie denerwują, a kiedy jestem zdenerwowany, robię się mściwy. Mściwość to brzydka cecha, ale każdy musi mieć jakieś wady. Radzę ci, żebyś się uzbroił w cierpliwość, Stuarcie, dam ci znać, kiedy będę gotowy. A w międzyczasie trzymaj się z dala od Kirby.

- Tak łatwo się nie wywiniesz! - wycedził przez zęby tamten.

- Nie zapominaj, że to ja rozdaję karty. To ja mam Rembrandta i tylko ja wiem, gdzie jest. Jeśli będziesz mi się dalej naprzykrzał, być może zdecyduję się go zatrzymać na zawsze.

W przeciwieństwie do ciebie, nie potrzebuję desperacko pieniędzy. Dam ci dobrą radę: nigdy nie należy żyć ponad stan.

- Jeszcze mi za to zapłacisz! - odgrażał się Stuart. - Nie pozwolę z siebie robić głupca.

- Na to już trochę za późno. A teraz idź już. Sam trafisz do wyjścia, czy mam znowu obudzić Cardsa?

Zanim Kirby zdołała się zorientować, Stuart już był przy drzwiach. Nie miała dokąd uciec, od najbliższego uskoku w murze dzieliło ją co najmniej kilka kroków, więc wtuliła się we wnękę za drzwiami i zamknawszy oczy, modliła się, żeby jej nie zauważył. Na szczęście Stuart był tak rozsierdzony, iż nie dostrzegał nic dookoła. Nie obejrzawszy się nawet za siebie, zbiegł szybko po schodach. Adam, który zdążył dostrzec wyraz jego twarzy, zaniepokoił się nie na żarty. Hiller miał wypisaną na obliczu chęć zemsty, im bardziej krwawej, tym lepiej. Tym razem nie miał broni, ale nie było gwarancji, że nie posunie się do zbrodni, aby zadośćuczynić swojej urażonej dumie.

Kirby odczekała w kompletnym bezruchu, aż odgłosy kroków ucichły, po czym nabrawszy powietrza głęboko w płuca, weszła do pracowni.

- Papo - odezwała się pełnym wyrzutem głosem.

- O, witaj, kochanie. - Fairchild udawał pochłoniętego rzeźbieniem. - Mój jastrząb zaczyna już oddychać. Chodź, zerknij tylko.

Ponownie wykonała głęboki oddech, a następnie podeszła do stołu, nie przestając nawet na moment patrzeć ojcu prosto w oczy.

- Widzę, że nie informujesz mnie na bieżąco, papo - zaczęła oskarżycielskim tonem. -

Zadam ci zagadkę. Co mają wspólnego Stuart Hiller, Philip Fairchild i Rembrandt? Znasz odpowiedź.

- Zawsze byłaś świetna w rozwiązywaniu zagadek...

- Papo!

- No dobrze. Odpowiedź brzmi: wspólne interesy - odparł wymijająco.

- A może tak dokładniej? Tylko nie patrz na mnie z miną niewiniątka, nie dam się na to nabrać - ostrzegła, mocno już poirytowana. - Przypadkiem znalazłam się na korytarzu, więc coś niecoś usłyszałam, ale chętnie poznam szczegóły.

- Podśluchiwałaś? - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Nieładnie! No dobrze już, dobrze

- dodał pojednawczo, widząc jej groźną minę. - Jakiś czas temu Stuart przyszedł do mnie z pewną propozycją. Oczywiście jak wiesz, wbrew temu, co utrzymuje na swój temat, tak naprawdę nie ma grosza przy duszy. Na domiar złego, jest chorobliwie wręcz chciwy.

Potrzebował dużej sumy pieniędzy, ale nie przyszło mu do głowy, że może ją uczciwie zarobić, postanowił raczej przywłaszczyć sobie autoportret Rembrandta z galerii Harriet.

- Ukradł Rembrandta?! - zawołała, kompletnie zaskoczona. - Nie podejrzewałam, że ma aż taki tupet.

- Stuart sądził, że jest wyjątkowo sprytny - ciągnął Fairchild, podchodząc do umywalki, aby zmyć z rąk glinę. - Przyszedł do mnie z propozycją, raczej marną finansowo, żebym sporządził kopię tego obrazu.
- Ależ papo, przecież ten obraz należy do Harriet!
- Wiem, córeczko. - Objął ją ramieniem. - Znasz mnie przecież, wiesz, że nie zrobiłbym nic, co mogłoby jej zaszkodzić. W każdym razie, podczas gdy Harriet była na tym swoim safari, Stuart dostarczył mi obraz, żebym mógł go skopiować. Po jakimś czasie zadzwoniłem do niego, że może odebrać oryginał, bo nie jest mi potrzebny. Oczywiście oddałem mu kopię. Żałuję, że nie możesz jej zobaczyć, była naprawdę świetna. Ta gra światła i cienia, te barwy...
- Papo! - przerwała mu ostro, wiedząc, że zanosí się na wykład.
- Dobrze, dobrze, już mówię dalej. Powiedziałem mu więc, że potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby postarzyć obraz, tak by wyglądał wiarygodnie. Naiwny, dał się na to nabrać. - Fairchild pokręcił głową z dezaprobatą. - Minęły trzy tygodnie, a jemu dopiero teraz przyszło do głowy, żeby sprawdzić jego autentyczność. Oczywiście bardzo się starałem, żeby moja kopia przeszła negatywnie wszystkie podstawowe testy.
- Oczywiście - mruknęła bez entuzjazmu Kirby.
- Teraz Stuart nie ma wyjścia, jak pozostawić kopię w galerii, a ja zatrzymam oryginał.
- Ale czemu to zrobiłeś, papo? - dopytywała się.
- Przecież to nie jest byle jaki obraz, to obraz Harriet! To coś zupełnie innego! Co zrobiłeś z oryginałem?
- Co zrobiłem? - powtórzył, marszcząc brwi. - Jak to, co zrobiłem?
- Gdzie jest Rembrandt? - zapytała powoli i wyraźnie, jak gdyby mówiła do mało pojętnego dziecka.
- Przecież nie możesz tak po prostu trzymać go sobie w domu. Zwłaszcza, że zaprosiłeś sobie gościa.
- Gościa? Ach, masz na myśli Adama? - domyślił się. - To wartościowy chłopak, już zdążyłem go polubić. - Uniósł znacząco brwi. - Tobie chyba też przypadł do gustu.
- Nie mieszaj w to Adama - zażądała, spoglądając na ojca spod przymrużonych powiek.
- Ojej, a ja myślałem, że to ty wspomniałaś o nim jako pierwsza. Pewnie się przesłyszałem. - Uśmiechnął się szelmowsko.
- Gdzie... jest... Rembrandt? - wycedziła, kontrolując się z trudem.
- W bezpiecznym miejscu, moja słodka - odparł Fairchild z satysfakcją w głosie. - W

bezpiecznym miejscu. Włożyłem dużo serca w znalezienie odpowiedniej kryjówki.

- Tutaj? W domu?

- Ależ oczywiście. Chyba nie sądzisz, że przechowywałbym go gdzieś indziej. - Posłał jej zdumione spojrzenie.

- Gdzie? - nie dawała za wygraną.

- Nie musisz przecież wszystkiego wiedzieć. - Ojciec zdjął fartuch roboczy i swobodnym ruchem rzucił go na oparcie krzesła. - Bądź pewna, że jest w bezpiecznym miejscu. Kirby, dziecko powinno mieć zaufanie do rodzica - pouczył, widząc, że córka wciąż ma wątpliwości. - Chyba mi ufasz, prawda?

- Ufam, ufam - westchnęła z rezygnacją. - Choć podejrzewam, że pominąłeś całą masę ważnych szczegółów.

- Co tam szczegóły. - Fairchild machnął lekceważąco ręką. - Jak na mój gust świat przywiązuje zbyt wiele uwagi do szczegółów. Jako artystka wiesz dobrze, że nadmiar szczegółów zaciemnia obraz. Ale chodźmy już, pora spać. - Ujął córkę pod ramię.

- Odprowadź swego staruszka do sypialni.

Adam ze swej kryjówki obserwował, jak ramię w ramię schodzili powoli po schodach.

- Papo. - Kirby zatrzymała się na podeście.

- Oczywiście istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie tej historii?

- Ależ oczywiście, córeczko. - Philip Fairchild uśmiechnął się dobrodusznie. - Czy ja kiedykolwiek postąpiłem nielogicznie?

Kirby zachichotała, a jej śmiech zadźwięczał echem w wąskiej klatce schodowej.

Śmiała się coraz głośniejsze i serdeczniej, aż w jej oczach pojawiły się łzy.

- Och, mój kochany papo - wykrztusiła z trudem, opierając głowę na jego ramieniu. -

Jesteś bezkonkurencyjny.

Ruszyli ponownie w dół, gawędząc wesoło. Gdy zniknęli za zakrętem, Adam wyszedł ze swej kryjówki.

- Ciekawe, bardzo ciekawe - wyszeptał sam do siebie.

Doszedł do wniosku, iż zarówno ojciec, jak i córka są z lekka niepoczytalni.

Niewątpliwie czekały go fascynujące tygodnie w ich towarzystwie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Porannie niebo było zasnuwane ciężkimi szarymi chmurami, z których siąpił chłodny deszcz. Adama kusiło, by przekreślić się na drugi bok, zamknąć oczy i udawać, że jest w swoim wygodnym, uporządkowanym mieszkaniu, w którym nie straszyły gargulce ani pretensjonalne wieżyczki.

Z tego, co usłyszał poprzedniego wieczoru, nie miał co liczyć, że dowie się czegokolwiek od Kirby, najwyraźniej wiedziała o sprawie Rembrandta jeszcze mniej niż on.

Jednocześnie był święcie przekonany, że bez względu na to, jak dyskretnie będzie się starał

wybadać Philipa Fairchilda, ten nawet nie puści pary z ust. Może wyglądał dobrodusznie, a czasem nawet nieporadnie, ale tak naprawdę był kuty na cztery nogi. Ponadto sposób, w jaki ostatniego wieczoru poradził sobie z Hillerem, sugerował, że Fairchild potrafił być niebezpieczny, gdy sytuacja tego wymagała. Jedynym rozwiązaniem było kontynuowanie nocnych poszukiwań z wykorzystaniem sekretnych korytarzy, w dzień zaś planował zająć się malowaniem, które zwykle pomagało mu uspokoić się i zebrać myśli.

Stojąc pod gorącym prysznicem, Adam po raz setny w ciągu ostatnich kilku dni obiecywał sobie, że to ostatnia akcja, w jakiej bierze udział, że już nigdy więcej nie da się namówić McIntyre'owi na żadną tego typu eskapadę.

Już ubrany, zadowolony ze swej decyzji nieangażowania się w kolejne zadania, wędrował korytarzem, myśląc z przyjemnością o czekającej go przy śniadaniu filiżance kawy.

Przechodząc obok otwartych drzwi do sypialni Kirby, zajrzał do środka i zmarszczywszy brwi, zatrzymał się.

- Dzień dobry, Adamie - stojąca na głowie dziewczyna przywitała go uśmiechem. -

Jaki piękny dzień, prawda?

Zerknął za okno, aby się upewnić, czy nic się nie zmieniło od czasu, gdy wychodził ze swego pokoju.

- Pada deszcz - zauważył rzeczowo.

- Nie lubisz deszczu? Ja bardzo lubię. - Potarła nos wierzchem dłoni. - Jak widzisz, wszystko jest kwestią nastawienia. Wypałeś się?

- Tak, dziękuję.

Nawet w tej niecodziennej pozycji sprawiała wrażenie wypoczętej, nie widać było po niej nawet śladu stresujących wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Wejdz, proszę, i poczekaj chwilę - zaprosiła.

- Zaraz będę gotowa i pójdziemy razem na śniadanie.
- Czemu stoisz na głowie? - zapytał wprost, podchodząc do niej.
- Mam taką teorię: przez całą noc znajduję się w pozycji horyzontalnej, a przez cały dzień głową do góry, więc codziennie przed wstaniem i przed snem staję na głowie, żeby krew dobrze się przemieszała w organizmie. Rozumiesz?
- Chyba tak i to mnie poważnie martwi.
- Też powinieneś spróbować - zasugerowała.
- Wolę sobie krwi nie mieszać - odmówił.
- Jak sobie chcesz. A teraz lepiej się odsuń, wracam do standardowej pozycji.

Opuściła stopy i jednym zwinnym ruchem podniosła tułów.

- Jesteś strasznie czerwona na twarzy - zauważył.
- Niestety, to nieunikniony skutek uboczny.
- Uśmiechnęła się promiennie. - To jedyna okazja, gdy się rumienię, więc jeśli chcesz mnie zawstydzić lub powiedzieć mi komplement, to proszę bardzo...

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, objął ją w talii. Nie zareagowała, nie broniła się ani go nie zachęcała, po prostu czekała.

- Twój rumieniec powoli blednie, chyba trochę się spóźniłem.
- Możesz spróbować jeszcze raz jutro o tej samej porze. Głodny?
- Bardzo - odparł, spoglądając na jej usta. Był głodny jej pocałunków, ale na razie nie czuł się na siłach podjąć tego ryzyka. - Po śniadaniu chciałbym przejrzeć twoją garderobę.
- Naprawdę? A po co? - zainteresowała się.
- Pod kątem twojego portretu - wyjaśnił.
- A ja myślałam, że zechcesz namalować mój akt.
- Wydeła wargi, udając rozczarowaną.
- Nie rzucam słów na wiatr - oznajmił ostro. - Namalujecie, bo właśnie tego chcę. I będę się z tobą kochał, bo właśnie tego chcę.

Nie dała sobie po znać, że to wyznanie zrobiło na niej tak ogromne wrażenie, tylko jej serce biło jak oszalałe. Nie była na tyle naiwna, aby udawać przed samą sobą, że to ze złości.

- Jesteś wyjątkowo pewny siebie i arogancki - odparowała, wymykając mu się z objęć.

Podeszła do toaletki i sięgnąwszy po szczotkę, zaczęła się czesać.

- Jeszcze nie zgodziłam się, żebyś mnie malował, Adamie, ani też żebyś się ze mną kochał. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Tak naprawdę, wcale nie jestem przekonana, czy mam w ogóle na to ochotę. Idziemy?

Nie zdążyła dojść do drzwi, gdy ponownie pochwycił ją w ramiona. Tym razem nie marnował czasu na zbędne pytania, lecz nie czekając na jej reakcję, pocałował ją gorąco, tak jak tego pragnął. Nie opierała się, nie miała w zwyczaju opierać się temu, czego sama chciała.

Delektowała się rozkosznym ciepłem, które rozchodziło się po jej ciele. Zawsze wyobrażała sobie, że tak właśnie będzie się czuć w objęciach tego jedyne go mężczyzny.

Także i serce Adama biło znacznie szybciej niżby sobie tego życzył, a jego umysł nie funkcjonował tak jasno, jak powinien. Jak miał ją zdobyć, jeśli tracił grunt pod nogami ilekroć miał ją w ramionach?

- Będiesz mi pozować - wyszeptał wprost w jej usta. - I będziesz się ze mną kochać.

Nie masz wyboru.

Nabrała powietrza, aby zaprotestować, ale położył palec na jej wargach.

- Ja też nie mam wyboru - dokończył. - Po śniadaniu wybierzemy dla ciebie odpowiedni strój.

Aby nie dać jej czasu na odpowiedź, szybko wyprowadził ją z pokoju.

Godzinę później wprowadził ją tam ponownie. Przy śniadaniu zachowywała się spokojnie, ale Adam nie dał się oszukać, domyślał się, że tak naprawdę gotowała się ze złości, nie przywykła bowiem do tego, by ktoś nią manipulował. Oczywiście fakt, że udało mu się ją wymanewrować, dawał mu ogromną satysfakcję, zwłaszcza, że chciał oddać na portrecie tę jej hardość, która teraz czała się w jej spojrzeniu.

- Czerwony - zdecydował. - Najlepiej ci będzie w czerwonym.

Kirby niedbałym ruchem ręki wskazała mu drzwi do garderoby, sama zaś opadła na łóżko. Wpatrując się w sufit, rozważała swoją pozycję. Poza ojcem nikomu do tej pory nie pozwoliła się sportretować, a to dlatego, że nie chciała nikogo dopuścić do siebie dostatecznie blisko. Jako artystka doskonale zdawała sobie sprawę, jak intymna i bliska więź tworzy się między twórcą i jego modelem, a nie miała ochoty dzielić się z nikim swoim wewnętrznym światem. Tylko że przypadek Adama był inny niż wszystkie do tej pory. Przede wszystkim wyróżniał go niekwestionowany talent, a poza tym chęć namalowania jej była spowodowana autentyczną artystyczną potrzebą, a nie pragnieniem przypochlebiania się jej. Gdyby Kirby była wobec siebie całkowicie szczerą, przyznałaby się sama przed sobą, że przede wszystkim powoduje ją ciekawość, jak wygląda w jego oczach, z jego perspektywy.

Wodząc za nim spojrzeniem, obserwowała, jak przebierał między strojami. Adam tymczasem nie mógł się nadziwić różnorodności stylów ubrań, które wisiały gęsto jedno za drugim na metalowym drążku. Niektóre pasowały w sam raz do sierotki, inne do ekscentrycznej nastolatki. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek włożyła tę fioletową minispódniczkę i jak w niej wyglądała. Eleganckie kreacje z ekskluzywnych butików Paryża i Nowego Jorku sąsiadowały z elementami munduru z demobilu. Jeśli to prawda, że ubiór odzwierciedla osobowość, znaczyło to, iż Kirby Fairchild mogła się poszczycić całą kolekcją zupełnie odrębnych osobowości. Adam ciekaw był, ile z nich będzie miał okazję poznać.

Gdy jego spojrzenie wreszcie spoczęło na purpurowej jedwabnej sukni, wiedział, iż znalazł dokładnie to, czego szukał. Była elegancka, ale nie przesadnie szykowna, dopasowana u góry, z pełną, zwiewną spódniczką, a pod nią kilkoma warstwami czarnych, białych i ciemnopurpurowych halek. Krótkie, bufiaste rękawy wykonane były z materiału w pasy w tych samych odcieniach. Suknia przywodziła na myśl cygańskie stroje, była idealnie taka, jakiej potrzebował.

- Już wybrałem - oświadczył, podchodząc do leżącej na łóżku Kirby. - Ubierz się i przyjdź do pracowni, chcę zrobić pierwsze szkice.

Przez chwilę milczała, nie odrywając spojrzenia od sufitu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że ani razu nie poprosiłeś mnie, żebym ci pozowała? -

zapytała wreszcie, wciąż na niego nie patrząc. - Oznajmiłeś mi, że chcesz mnie namalować i że mnie namalujesz, ale dotąd w ogóle mnie nie poprosiłeś o zgodę. - Zaczęła postukiwać palcem wskazującym prawej dłoni w wierzch lewej. - Sprawiasz wrażenie dżentelmena, Adamie, może więc po prostu zapomniałeś powiedzieć „proszę„?

- Nie zapomniałem - odparł, rzucając suknię na łóżko. - Ale odnoszę wrażenie, że zbyt często słyszysz to słowo z męskich ust. Wystarczy, że skiniesz ręką, a mężczyźni padają na kolana. Niestety, ja akurat nie cierpię tej pozycji. - Usiadł obok niej. - I tak jak ty jestem przyzwyczajony do tego, że dostaję to, na co mam ochotę.

Przyjrzała mu się spod przymkniętych powiek.

- Możliwe - zgodziła się. - Ale, o ile pamiętam, jeszcze nie skinęłam na ciebie ręką.

Delikatny półuśmiech, który wypłynął na jej usta, rozpalił go niemal do czerwoności.

Pocałował ją, początkowo chcąc udowodnić, że jest górą, chcąc zademonstrować jej swoją dominację, ale szybko zatracił się w tym pocałunku na tyle, że myśl o jakichkolwiek komplikacjach kompletnie wywietrzała mu z głowy. Jej złożony charakter, pełen zagadek i niedopowiedzeń, był dla niego jeszcze bardziej pociągający niż piękne ciało. Nie byłaby bardziej kusząca, gdyby ubrała się skąpą koronkową bielizną. Miękkie, uległe wargi oraz silne, wrażliwe dłonie stanowiły mieszankę wybuchową, której nie był w stanie się oprzeć.

Adam musiał zebrać w sobie wszystkie pokłady silnej woli i determinacji, jakimi dysponował, aby

wreszcie oderwać usta od jej warg. Nie angażuj się, powtarzał głos rozsądku. Odnajdź Rembrandta i zmykaj, gdzie pieprz rośnie.

- Adam... - szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem. Jeszcze nigdy nie czuła się tak błogo, a jednocześnie nigdy nie buzowało w niej tyle ognia, jak właśnie w tym momencie.

Coś się w niej otworzyło, a ona nawet nie miała zamiaru się temu opierać.

- Przebierz się - zakomenderował, siadając się czym prędzej, zanim będzie za późno.

- Adam... - powtórzyła. Z trudem podniósłszy ramię, pogłaskała go lekko po policzku.

- Podkreśl oczy - polecił, po czym wstał i odsunął się o krok od łóżka. - I nie spinaj włosów, zostaw je rozpuszczone. - Podeszedł do drzwi. - Dwadzieścia minut powinno ci wystarczyć.

Nie chciała mu okazać, jak bardzo było jej przykro, że ją odrzucił.

- Jesteś taki zimny, tak? - zapytała miękko, bez złości. - Ale kto wie, może jeszcze będziesz musiał paść na kolana.

Miała rację, wiedział, że tak się może zdarzyć, ale nie był gotowy przyznać tego głośno.

- Podejmę to ryzyko - rzucił przez ramię, wychodząc na korytarz. - Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Kirby zacisnęła pięści.

- Jeszcze padniesz na kolana - wyszeptała sama do siebie. - Obiecuję ci to.

Adam, korzystając z okazji, że jest całkiem sam w pracowni Kirby, zajął się poszukiwaniem przycisku, uruchamiającego wejście do sekretnego korytarza. Szukał głównie z ciekawości, bo nie podejrzewał, aby zaistniała potrzeba przetrząśnięcia pomieszczenia, do którego cały czas miał wolny dostęp, ale nie zawadzało się upewnić. Chwilę później z ogromną satysfakcją przycisnął guzik, a ukryte w ścianie drzwi otworzyły się z takim samym skrzypieniem, jak w pozostałych pomieszczeniach, które zdążył odwiedzić. Zamknąwszy je, zajął się tym, po co tu przybył, a więc przygotowaniem do malowania.

Choć zajmował się głównie malarstwem, nie uważał tego za zawód, raczej sposób na życie. Czasem potrzeba malowania była lekka, nienachalna, a czasem tak nagła, że nie spoczął, póki nie wiał pędzla do ręki. Niektórzy uznawali takie zajęcia za rozrywkę, ale Adam wiedział, że czasem jest to praca cięższa niż kopanie rowów.

Przywiązywał dużą wagę do szczegółów, zarówno w sztuce, jak i w życiu, być może dlatego Kirby nazwała go konwencjonalnym. Nie znaczyło to jednak, że nie działał pod wpływem impulsu czy natchnienia, wręcz przeciwnie, jego proces twórczy przebiegał w podobny sposób, jak i u niej. Podobnie jak ona potrafiła się godzinami wpatrywać w kawałek drewna nim dostrzegła w nim inspirację, tak i on czasem czekał na przyływ weny twórczej, siedząc pozornie beczynnym przy

sztalugach. Czasem potrzebował jednej kreski, by go zainspirowała do namalowania całego obrazu, czasem koncepcja wyłaniała się dopiero po sporządzeniu kilku, bądź kilkunastu szkiców.

Rozpoczął przygotowania od rozstawienia sztalug, po czym wybrał trzy kawałki węgla. Już miał zacząć szkicowanie, gdy z korytarza dobiegł go odgłos kroków.

W drzwiach stanęła Kirby. Gęste, lśniące włosy opadały jej na ramiona, a na ich ciemnym tle połyskiwały złote kolczyki w kształcie dużych obręczy. Kilkanaście cienkich złotych bransoletek pobrzękiwało na przegubach jej dłoni, gdy nonszalanckim gestem odrzuciła do tyłu opadające na twarz pasmo włosów. W jej ciemnoszarych oczach wciąż płonął ogień. Świadoma wrażenia, jakie na nim zrobiła, położyła dłonie na biodrach i zmysłowo kołysząc się, weszła do pracowni. Zatrzymała się na środku, gdzie wykonała dwa pełne obroty, aż zafurkotały kolorowe halki.

- Chcesz namalować portret Katriny, tak? - zapytała ze śpiewnym słowiańskim akcentem, przeciągnąwszy palcem po jego policzku. - Ale najpierw musisz złożyć w jej dłoni trochę srebra.

Czy jakikolwiek mężczyzna zdołałby się jej oprzeć? Adam miał co do tego poważne wątpliwości, bo czuł, że jego zapasy silnej woli topnieją w zastraszającym tempie.

- Podejdz do wschodniego okna - zakomenderował, aby nie dać po sobie poznać jakiegokolwiek słabości. - Tam jest najlepsze światło.

- Ile zapłacisz? - nie ustępowała. - Katrina nie pozuje darmo.

- No, dalej! Pod okno! - wycedził. - Nie zapłacę ani centa, póki nie skończę.

Niespodziewanie zmieniając wyraz twarzy, wygładziła fałdy spódniczki.

- Czy coś jest nie tak? Może jednak nie podobam ci się w tej sukience? - upewniła się.

- Zaczynajmy już - mruknął.

- Myślałam, że już zaczęliśmy. - Uśmiechnęła się promiennie. - Przypominam, że to ty upierałeś się, że chcesz mnie malować.

- Nie doprowadzaj mnie do szału, Kirby!

- ostrzegł.

- Może właśnie tego ci trzeba? - odparowała, zadowolona z wyrównania rachunków. -

To gdzie mam stanąć?

- Przy wschodnim oknie.

Przez kolejne minuty prawie się do niej nie odzywał, czasami tylko nakazywał, by uniosła brodę, czy też odwróciła głowę. Był tak skoncentrowany na szkicowaniu, iż nie dostrzegał padającego za oknem

deszczu. Przypatrywał się, obserwował ją, chłonał ją wzrokiem, licząc na to, że przelewając jej portret na płótno, będzie mógł łatwiej ją zrozumieć, a także zrozumieć samego siebie.

W pewnym momencie zorientował się, że Kirby uśmiecha się do niego, słodko, rozbrajająco i szczerze. Na widok tego uśmiechu zaparło mu dech w piersiach.

- Czy Hiller także maluje? - zapytał ni z tego, ni z owego.

- Czasami - odparła, a uśmiech momentalnie zgasł na jej twarzy.

- I nie pozowałaś mu?

- Nie.

- Czemu nie? - drażył.

- Powiedzmy, że nie podobał mi się jego styl - odrzekła wymijająco.

- Czy mam to rozumieć jako komplement dla mojego stylu?

- Jak sobie życzysz. - Wzruszyła ramionami.

- Dziwię się, że nie miał o to do ciebie żalu - zauważył. - Skoro cię kochał...

- Nie kochał mnie - wycedziła lodowatym tonem.

- Przecież poprosił cię o rękę.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Jak to? - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Zgodziłam się wyjść za niego, choć tak naprawdę wcale go nie kochałam - wyjaśniła.

- Dlaczego? - Przerwał szkicowanie.

- Bo jego propozycja przyszła w odpowiednim czasie.

- Czyli w czasie, gdy uznałaś, że najwyższa pora wyjść za mąż? - domyślił się.

- Stuart jest atrakcyjnym, czarującym i układnym mężczyzną. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że wcale nie chcę takiego męża., ale nie zrywałam zaręczyn, bo sądziłam, że mnie kocha. Poza tym istnieją plusy posiadania męża. - Westchnąwszy, zamilkła na moment. - Na przykład takim plusem są dzieci.

- Chcesz mieć dzieci?

- Czy widzisz w tym coś złego? - wybuchła. - Czy dziwi cię to, że chciałabym założyć rodzinę? -

Bransoletki zadźwięczały gwałtownie. - Może cię to zdziwi, ale mam uczucia i potrzeby, jak każdy. I nie muszę ci się z nich tłumaczyć!

Była już z połowie drogi do wyjścia, gdy udało mu się ją pochwycić.

- Kirby, przepraszam! - zawołał, nie zwalniając uścisku. - Naprawdę jest mi przykro, wybacz.

- Co mam ci wybaczyć?

- Że cię zraniłem - odparł cicho. - Tymi głupimi pytaniami.

- Nie ma sprawy - westchnęła po chwili, łagodniejąc. - Po prostu trafiłeś w czuły punkt. - Zdjęła z ramion jego dłonie. - Przyjmując oświadczyzny Stuarta...

- Nie musisz mi nic tłumaczyć - przerwał jej.

- Mam w zwyczaju dokańczać to, co zaczęłam - wpadła mu w słowo. - Przyjmując oświadczyzny Stuarta, powiedziałam mu, że go nie kocham. Uważałam, że byłabym wobec niego nie w porządku, gdybym udawała, że jest inaczej. Zgodzisz się chyba ze mną, że podstawą każdego udanego związku jest szczerłość?

Adam pomyślał o nadajniku, ukrytym w jego walizce, a także o McIntyre, czekającym na kolejny meldunek.

- Masz rację - potwierdził.

- Powiedziałam mu uczciwie, że oczekuję od niego wierności oraz dzieci, a w zamian mogę ofiarować mu to samo oraz największe przywiązanie, na jakie będzie mnie tylko stać.

Gdy tylko zdałam sobie sprawę, że to się nie uda, poszłam się z nim zobaczyć. To wcale nie było takie proste, jak teraz brzmi, naprawdę kosztowało mnie wiele nerwów, rozumiesz?

Skinął w milczeniu głową.

Była zdumiona, jak wiele znaczył dla niej ten prosty gest. Więcej niż współczucie Melanie, więcej nawet niż wsparcie, jakiego udzielił jej ojciec.

- Rozmowa potoczyła się znacznie gorzej, niż się spodziewałam - ciągnęła, opadłszy na fotel. - Spodziewałam się kłótni, ale sytuacja całkowicie wymknęła mi się spod kontroli.

Stuart uczynił kilka uszczypliwych uwag na temat moich predyspozycji macierzyńskich oraz poprzednich związków. Wreszcie wyszło też, dlaczego tak naprawdę chciał się ze mną ożenić. Okazało się, że wcale mnie nie kochał i że cały czas mnie zdradzał. Zresztą, to chyba nawet nieistotne. - Zamilkła, z czego Adam wywnioskował, że wbrew temu, co powiedziała, jednak ją to obchodziło. - Rzecz w tym, że chciał się ze mną ożenić, bo byłam dla niego użyteczna. - Podniosła kawałek drewna, w którym chciała wyrzeźbić gniew. - Użyteczna... Co za okropne słowo! Chyba jeszcze się z tym nie pogodziłam.

Adam zapomniał o McIntyre'rze, o Rembrandcie, o zadaniu, jakie miał wypełnić.

Wiedziony impulsem, podszedł do niej i usiadłszy na brzegu fotela, ujął jej dłonie w swoje.

- Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł cię sklasyfikować jako użyteczną - wyznał szczerze.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się roztkliwiająco. - Jak miło, że to mówisz. Cieszę się, że idziesz ze mną na to przyjęcie w sobotę. Będziesz mógł posyłać mi powłóczyście spojrzenia, tak że wszyscy pomyślą, że rzuciłam Stuarta dla ciebie. Bywam czasem mściwa - wyjaśniła.

Roześmiał się serdecznie. Podniósłszy jej dłonie do ust, pocałował najpierw jedną, a potem drugą.

- Nie zmieniaj się - poprosił.

- Nie mam najmniejszego zamiaru! - odparła z udawaną arogancją. - To jak, malujesz mnie, czy nie?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Przejdźmy się - zaproponowała Kirby późnym popołudniem.

Ojciec jeszcze nie wychynał ze swej wieży, najwyraźniej był bardzo zajęty dopracowywaniem szczegółów Van Gogha. Czuli, że jeśli się nie wyrwie z domu, zwariuje, zastanawiając się, kiedy wreszcie pozbędą się tego obrazu.

- Pada deszcz - zauważył Adam, sącząc kawę.

- Już to mówiłeś. - Wstała od stołu. - Dobrze, jak sobie chcesz. Poproszę Cardsa, żeby przyniósł ci pled i filiżankę herbaty.

- Czy próbujesz mnie wziąć na ambicję?

- A co, podziałało? - zainteresowała się.

- Poczekaj, pójdę po kurtkę - odparł wymijająco, udając, że nie słyszy jej triumfalnego chichotu.

Na zewnątrz panowała lekka mgła, a deszcz mżył jednostajnie. Adam skulił się, przeklinając w duchu fatalną pogodę, zaś Kirby z zadowoleniem podniosła twarz ku niebu. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się szczęśliwa - wbrew chłodnej, szarej, nieprzyjemnej aurze. Była nawet zadowolona z niepogody, bo dzięki temu naturalnym uzupełnieniem takiego spaceru było siedzenie przy płonącym kominku ze szklaneczką brandy w ręku.

- Adamie, czy widzisz tamte klomby astrów? - zapytała ni z tego, ni z owego.

- Owszem - odparł nieco zdziwiony.

- Chciałabym trochę nazrywać. Postoisz na czatach?

- Jak to, na czatach? - nie rozumiał. - Po co?

- Jamie nie cierpi, gdy ktoś dotyka się do jego kwiatów - wyjaśniła.

- Przecież to twoje kwiaty.

- Nie, Jamie'go.

- Ale Jamie pracuje dla ciebie - nadal nie pojmował, o co w tym wszystkim chodzi.

- To nie ma nic do rzeczy. Jak mnie przyłapie, wścieknie się i nie zostawi mi liści.

Obiecuję, że się spręzę. Już nie raz to robiłam - zapewniła.

- Ale... - chciał zaprotestować.

- Nie ma czasu na spory - ucięła. - Obserwuj tamto okno - poleciła, wskazując kierunek ruchem głowy. - Jamie pewnie pije teraz kawę z Tulip. Daj mi znać, gdy tylko go zauważysz.

Sam nie był pewien, czy wypełnił jej polecenie dla świętego spokoju, czy też dlatego, że powoli zaczął się przyzwyczajać do postępowania wbrew sobie dla jej widzimisię, w każdym razie posłusznie podkraść się do okna i zajrzał. Istotnie Jamie siedział przy dużym okrągłym stole z kubkiem kawy w drżących dłoniach. Adam skinął głową w kierunku Kirby, która jak błyskawica dobiegła do klombu i przykucnęła, by zerwać kwiaty. Wyglądała pięknie, smagła, czarnowłosa z rosnącym naręczem soczyście kolorowych astrów. Żałował, że nie może jej teraz szkicować, ale starał się zapamiętać każdy szczegół, by móc je potem przywołać przy tworzeniu kolejnego portretu.

Zerknąwszy ponownie przez okno, spostrzegł, iż Jamie podniósł się i zmierza do wyjścia. Zapominając o wszelkiej logice, Adam puścił się pędem w kierunku Kirby.

- Idzie! Idzie! - wołał.

Kirby poderwała się natychmiast i ruszyła biegiem alejką, prowadzącą za róg domu.

Adamowi nie było łatwo ją dogonić, tak była zwinna i szybka. Gdy wreszcie znaleźli się za rogiem, zatrzymali się, chichocząc i dysząc z wysiłku.

- Udało się! - cieszyła się Kirby.

- Jakimś cudem - dorzucił.

Wspólna przygoda zbliżyła ich na tyle, że wzięcie jej w ramiona wydawało się Adamowi naturalnym gestem. Niewiele myśląc, przytulił ją mocno i zaczął scałowywać z jej policzków krople deszczu. Chciał mieć ją jak najbliżej, czuć zapach jej włosów, słodki smak jej ust, chciał mieć ją tylko dla siebie...

Kirby nie planowała tego. Owszem, pragnęła się zakochać, ale nie tak nagle, w jednej chwili. Miało

się to stać powoli, stopniowo, tak by w razie czego miała możliwość się wycofać. Nie była na to gotowa!

- Zdaje się, że zgnetliśmy je dokumentnie. - Potrząsnęła kwiatami, które jakimś cudem znalazły się między nimi. - Proszę, to dla ciebie.

- Jak to? - zdziwił się.

- Nie lubisz kwiatów? - Sprawiała wrażenie autentycznie zmartwionej.

- Bardzo lubię - odparł cicho, starając się ukryć wzruszenie. - Ale chyba nigdy jeszcze nie dostałem od nikogo kwiatów.

- Naprawdę? - zdziwiła się, bowiem ona na tyle przywykła do otrzymywania kwiatów, że nie przywiązywała już do nich większego znaczenia. - Gdybym wiedziała, zerwałabym jeszcze więcej.

Za ich plecami okno otwarło się z hukiem.

- Nie macie nic lepszego do roboty jak stać na deszczu i się migdalić? - rozległ się poirytowany głos Philipa Fairchilda. - Natychmiast wracajcie do domu! Nie cierpię, jak ktoś kicha i pociąga nosem. - Zatrzasnął okno.

- Jesteś cały mokry - stwierdziła Kirby, jak gdyby dopiero teraz zauważyła, że pada.

Ujawszy go pod ramię, pociągnęła do wejścia. Zanim zdążyła położyć dłoń na klamce, Cards otworzył przed nimi drzwi.

- Dziękujemy. Potrzebujemy wazonu na te kwiaty, Cards. Postaw je proszę w pokoju pana Hainesa, tylko tak, żeby Jamie niczego nie zauważył - zastrzegła.

- Naturalnie, panienko. - Kamerdyner odebrał od nich ociekające wodą kurtki oraz kwiaty i powędrował korytarzem.

- Skąd go wytrzasnęliście? - nie wytrzymał Adam.

- Jest niesamowity.

- Cards? Papa przywiózł go z Anglii - wyjaśniła, otrząsając się z wody jak psiak. -

Podejrzewam, że był tam albo szpiegiem, albo wykidajką. W każdym razie sprawia wrażenie kogoś, kto wiele widział w życiu.

- Jak tam, dzieci, dobrze się bawiliście? - zawołał Philip Fairchild, wychylając się z salonu. - Ukończyłem obraz i teraz mogę w pełni skoncentrować się na rzeźbie. - Uśmiechnął

się z satysfakcją. - Pora zadzwonić do Victora Alvareza - zwrócił się do córki.

- Już wystarczająco długo się naczekał.

- To poczeka jeszcze chwilę, a my tymczasem napijemy się kawy - zdecydowała, posyłając jednocześnie ojcu ostrzegawcze spojrzenie, które uszłoby uwagi Adama, gdyby jej nie obserwował uważnie.

Przez resztę dnia robiła wszystko, żeby go zająć, toteż Adam domyślił się, że dzieje się coś, o czym nie chcą, aby się dowiedział. Kirby obsługiwała go starannie podczas kolacji, a gdy siedzieli w salonie przy kawie i brandy, zabawiała go ożywioną rozmową na temat malarstwa baroku. Jednocześnie bez przerwy obserwowała uważnie ojca.

- Która godzina w Brazylii? - zapytał ni z tego, ni z owego Fairchild.

- Nie mam pojęcia - odparła Kirby, karcąc go wzrokiem. - Czy to takie ważne?

- Owszem - odrzekł, nic sobie nie robiąc z jej groźnych spojrzeń. - Idę do siebie.

Dobranoc, moi drodzy.

Córka odprowadziła go wzrokiem. Wyraźnie spięta, posiedziała jeszcze kilka minut w salonie, po czym szybko pożegnała się pod pretekstem nie najlepszego samopoczucia. Adam również udał się do siebie, aby złożyć meldunek z wydarzeń, których był świadkiem poprzedniego wieczoru.

- Wszystko zdaje się układać w logiczną całość - skomentował McIntyre. W jego głosie słyhać był ogromną satysfakcję. - Gratuluję, udało ci się zebrać wyjątkowo dużo wiadomości w tak krótkim czasie. Sprawdziliśmy Hillera i wyobraź sobie, że potwierdziło się, że żyje ponad stan, a jego zdolność kredytowa kurczy się z każdym dniem. Nie masz żadnych podejrzeń, gdzie Fairchild może trzymać obraz?

- Niestety nie - westchnął Adam. - Dziwię się, że nie powiesił go najbardziej wyeksponowanym miejscu domu, to byłoby w jego stylu. Wspomniał dziś kilka razy o jakimś Victorze Alvarezie z Brazylii, chyba szukaje jakiś kolejny interes.

- Zobaczę, co mi się uda dowiedzieć. Może chodzi właśnie o Rembrandta.

- Wątpię, przecież Fairchildowi pieniędzy raczej nie brakuje - zauważył Adam.

- Może i tak, ale są ludzie, którym nigdy dosyć.

- Może... - powtórzył z powątpiewaniem. - Odezwę się, gdy tylko będę miał jakieś nowe informacje.

Poznawszy już trochę Philipa Fairchilda, Adam nie mógł uwierzyć, że powodowała nim chęć zdobycia majątku, w ogóle to do niego nie pasowało. Chcąc jak najszybciej rozwikłać zagadkę, udał się na nocne poszukiwania.

Następnego dnia przed południem Kirby pozowała Adamowi przez ponad dwie godziny. Nie dość, że się nie opierała, to jeszcze była miła i czarująca. Adam nie miał

najmniejszych wątpliwości, że chciała go w ten sposób dezorientować. Nie wiedział, że oprócz tego jej drugim celem było odwrócenie jego uwagi od przygotowań, związanych z wysyłką Van Gogha.

Ostatniej nocy Adam zakończył przeszukiwanie drugiego piętra, ale nie natrafił nawet na ślad Rembrandta. Najwyższa pora rozejrzeć się gdzieś indziej, pomyślał z rezygnacją, kładąc się do łóżka grubo po północy.

Fairchild powiedział córce, że włożył dużo serca w znalezienie odpowiedniej kryjówki dla tego obrazu, co prawdopodobnie wykluczało lochy i tajemne korytarze. Nie pozostawało nic innego, jak przetrząsnąć pokoje samego gospodarza, choć na razie Adam nie miał

pomysłu, jak i kiedy ma to uczynić.

Po zakończeniu pozwania Kirby zajęła się swoją pracą, Adam zaś spacerował

głównym korytarzem na parterze, przez nikogo nie niepokojony. Był tu gościem, nikt nie poddawał w wątpliwość jego obecności. Oczywiście z tego właśnie powodu McIntyre powie-rzył mu to zadanie, ale Adama coraz częściej dręczyło sumienie. Nikt nie podejrzewał go o szpiegowanie, bo należał do tej samej grupy społecznej i zawodowej, co gospodarze tego domu. A jak on się odwdzięczał za ich serdeczność i gościnność?!

Mam dość, pomyślał, zerkając za okno na ciemniejące niebo. Był już zmęczony targającymi go wątpliwościami, a czekał go jeszcze długi wieczór. Najwyższa pora, by przebrać się na przyjęcie u Melanie Burgess. Westchnąwszy ciężko, ruszył po schodach na pierwsze piętro.

- Przepraszam najmocniej, panie Haines - zatrzymał go w pół kroku damski głos. -

Idzie pan na górę? - zapytała Tulip.

- Tak - odparł, odsuwając się, aby ją przepuścić.

- W takim razie proszę zanieść to pannie Fairchild i nakłonić, żeby to wypła. - Tulip wcisnęła mu szklankę białego płynu. - Do dna - dodała surowo, po czym szybko zawróciła do kuchni.

Zdumiony nietypowym zachowaniem służącej, wpatrywał się w zawartość szklanki.

Cóż to za pomysł, żeby służba wydawał polecenia gościom? Być może ekscentryczność była w tym domu zaraźliwa?

Wąchając biały płyn, Adam zapukał do drzwi Kirby.

- Możesz wejść - zawołała z oddali. - Ale nie łudź się, nie wypiję tego, możesz mnie straszyć, ile chcesz. Zaciekawiony, wszedł do pokoju, ale Kirby tam nie było. Dobiegł go natomiast ciepły, kwiatowy zapach płynu do kąpieli, wydobywający się wraz z parą wodną zza uchylonych drzwi do łazienki.

- Twoje opowieści o awitaminozie i niewydolności układu trawiennego w ogóle mnie nie przekonują

- ciągnęła. - Jak widzisz, nadal jestem zdrowa jak ryba.

Wszedł do łazienki. Kirby leżała w wannie pełnej wody i pachnącej piany. Wysoko nad jej głową wisiały egzotyczne rośliny, wilgotne od skraplającej się na nich pary wodnej.

- A więc przysłała ciebie? - skonstatowała z uśmiechem. Kątem oka sprawdziła, czy piana zasłania ją w wystarczającym stopniu. - Wejdz i przestań robić taką wystraszoną minę, nie bój się, nie poproszę cię, żebyś mi umył plecy. - Sięgnęła po mydło. - Wiesz w ogóle, co mi przyniosłeś? To mikstura autorstwa Tulip, złożona z surowych jajek i innych obrzydlistw.

- Wysunęła z piany nogę, aby ją namydlić. - Powiedz szczerze, czy z własnej woli wypiłbyś surowe jajko?

- Przyznam szczerze, że raczej nie - odparł, nie odrywając spojrzenia od jej zgrabnej łydki.

- No właśnie - ucieszyła się. - W takim razie wylej to do umywalki.

- Tulip powiedziała, że mam przypilnować, żebyś wypiała do dna - poinformował z rozbawieniem.

- Hmm, to niedobrze. - W zamyśleniu przygryzła dolną wargę. - Wiesz, co zrobimy?

Wypiję łyczek, a ty powiesz Tulip, że piłam.

- Nie jestem pewien, jak to się ma do prawdy - zawahał się, podając jej szklanekę.

- Chyba, że masz ochotę wypić resztę - zaproponowała, łyknąwszy odrobinę. - Nie mam nic przeciwko temu.

- Nie, nie, chyba podziękuję. - Wylał resztę do umywalki, po czym przysiadł na brzegu wanny.

Zaskoczona tym Kirby upuściła mydło do wanny.

- A niech to! - syknęła. - Że też nikt do tej pory nie wpadł na pomysł wyprodukowania mydła, które by się tak nie wyslizgiwało z rąk. - Wyłowiła mydełko.

- Dziękuję ci, Adamie, że przyniosłeś mi ten pyszny napój. Na pewno się spieszysz, żeby...

- Ależ skąd, mam mnóstwo czasu - zapewnił, sięgając po gąbkę. - Wspominałaś coś o myciu pleców...

- Złodzieje! - W pokoju rozległ się głos Fairchilda.

- Wezwijcie policję. Wezwijcie FBI. Adamie, będziesz świadkiem - zarządził artysta, nie zauważwszy nic nadzwyczajnego w tym, że jego córka kąpie się przy świadkach.

- Tak się cieszę, że mam dużą łazienkę - zauważyła z przekąsem Kirby. - Szkoda tylko, że nie pomyślałam o przygotowaniu poczęstunku. Co zginęło, papo? Portret Renoira czy uliczny krajobraz

Moneta? A może skarpetki?

- Mój smoking! - wyjaśnił dramatycznym głosem jej ojciec. - Będziemy musieli zdjąć odciski palców.

- Oczywiście złodziejem jest fetyszysta z zamiłowaniem do strojów wieczorowych -
podsumowała.

- Uwielbiam zagadki kryminalne. Zacznijmy od listy podejrzanych. Adamie, masz alibi?

- O, tak. - Uśmiechnął się promiennie. - Przez całe popołudnie uwodziłem Polly.

- Kiepskie alibi - zawyrokowała. - Każdy wie, że na uwiedzenie Polly wystarczy kwadrans. Zapewne masz w szafie smoking.

- To poszlaki - bronił się.

- Nakaz przeszukania! - doznał olśnienia Fairchild. - Zdobędziemy nakaz przeszukania i sprawdzimy cały dom.

- Szkoda czasu. Wiesz, papo, najlepiej od razu idźmy do Cardsa.

- A więc to sprawka kamerdynera! - zachichotał triumfalnie jej ojciec. - Nie, nie, niemożliwe, Cards nie zmieściłby się w mój smoking.

- To prawda - zgodziła się Kirby. - Nie chcę być kapusiem, papo, ale słyszałam przypadkiem, jak Cards mówił Tulip, że zamierza wziąć twój smoking.

- Że też nikomu na tym świecie nie można już ufać - Fairchild poskarżył się Adamowi.

- Znam też jego motyw - kontynuowała Kirby.

- Czyszczenie i prasowanie. - Jestem pewna, że od razu się przyzna, gdy tylko go o to oskarżysz.

- Świetnie! - Jej ojciec zatarł ręce z radości. - Sam się tym zajmę, żeby nie wzbudzać sensacji.

- Jesteś bardzo dzielny, papo - pochwaliła. - Chyba będziemy musieli kontynuować tę dyskusję w innym terminie, Adamie, piana zaczyna mi opadać.

Błyskawicznym ruchem chwycił za łańcuch i jednym szarpnięciem wyciągnął korek ze staromodnej wanny.

- Nadchodzi moment, gdy zajmiemy się czymś jeszcze poza dyskusjami -
zapowiedział.

Obserwując obniżający się drastycznie poziom wody, Kirby postanowiła się uciec do nonszalancji.

- Daj mi znać, gdy tylko będziesz gotowy - poprosiła.

- Z przyjemnością - odparł, po czym zostawił ją samą.

Gdy jakiś czas później schodził po schodach, dobiegł go oburzony głos Kirby.

- Ależ oczywiście, że wypitałam to obrzydlistwo, jak kazałaś, Tulip - tłumaczyła z przekonaniem. - Przecież nie chcę narobić ci wstydu, mdlejąc z niedożywienia na środku salonu Merricków.

Zamiast odpowiedzi rozległ się pełny niezadowolenia pomruk.

- Przecież od wieków noszę wysokie obcasy i nic mi się jeszcze nie stało -

zaprotestowała Kirby. - Nie są piętnastocentymetrowe, mają tylko siedem centymetrów wysokości! A i tak patrzę z dołu na każdego, kto przekroczył dwanaście lat. Może zajmiesz się pieczeniem jakiegoś ciasta? - zaproponowała.

Mrucząc coś pod nosem, Tulip wyszła z salonu.

- Dzięki Bogu, że już jesteś, Adamie - powitała go Kirby. - Chodźmy, zanim znajdzie jeszcze jakiś powód do narzekania.

Ubrana była w ascetyczną białą suknię z miękkiego, łagodnie układającego się materiału, zakrywającą ramiona i sięgającą wysoko, pod samą szyję. Strój tej był

jednocześnie skromny jak habit zakonnicy i zmysłowy jak gorąca letnia noc. Rozpuszczone czarne, proste włosy opadały jej na plecy. Sięgnąwszy po krótką czarną pelerynę, jednym ruchem zarzuciła ją na ramiona. Wyglądała jak żywcem wyjęta z portretów Maneta, elegancka, romantyczna, ponadczasowa.

- Jesteś przepiękną istotą, Kirby - zauważył Adam.

Przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając sobie prosto w oczy. Adam prawił już bardziej wyrafinowane komplementy, ale żaden dotąd nie był tak szczery, jak ten wypowiedziany przed chwilą. Kirby słyszała pochwały z ust książąt, w wielu językach i w finezyjnej formie, ale nigdy jeszcze nie czuła takiego mrowienia wzdłuż kręgosłupa.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się promiennie. - Nawzajem. - Podała mu dłoń. - Jesteś gotowy do wyjścia?

- Tak. A twój ojciec?

- Już pojechał - odparła, kierując się w stronę drzwi. - Nie jeździmy razem na przyjęcia, zwłaszcza do Harriet. Papa woli być tam wcześniej i zostaje zwykle dłużej, licząc na to, że uda mu się zaciągnąć Harriet do łóżka. Pojedziemy moim samochodem.

- Poprowadziła go w kierunku zaparkowanego przed wejście srebrzystego porsche. -

Nie masz nic przeciwko, żebym prowadziła?

Nie czekając na jego odpowiedź, zajęła miejsce za kierownicą.

- Piękna noc - zachwyciła się, przekręcając klucz w stacyjce. - Księżyc w pełni, rozgwieżdżone niebo.

- Przycisnęła pedał gazu. - Czegóż chcesz więcej?

- Ruszyła tak ostro, że siła bezwładności wcisnęła Adama w niski, sportowy fotel. -

Jestem pewna, że polubisz Harriet - kontynuowała, płynnie zmieniając biegi. - Jest dla mnie jak matka. - Zredukowała bieg, z piskiem opon wjechała na główną drogę.

- Będzie tam oczywiście także Melly. Mam nadzieję, że na jej widok nie porzucisz mnie na cały wieczór.

Adam zaparł się stopami o podłogę auta.

- Czy ktokolwiek zwraca na nią uwagę, gdy jesteś obok? - zdumiał się.

I czy w ogóle dojadą żywi do domu Merricków?!

- Ależ oczywiście! - zaskoczona jego pytaniem, odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Dobry Boże, patrz, gdzie jedziesz! - zawołał, odwracając jej głowę z powrotem.

- Melly jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam. - Ponownie redukując bieg, wjechała w zakręt, po czym gwałtownie przyspieszyła. - Do tego jest świetną projektantką. Podziwiam ją, jest taka honorowa, nie zgodziła się przyjąć ani grosza z pienię-

dzy swojego byłego męża, gdy się rozwodzili. Za moment na prawo będzie wspaniały widok na dolinę rzeki Hudson - poinformowała, przechylając się na jego stronę, a samochód szarpnął niebezpiecznie w kierunku pobocza.

- Dziękuję, wolę przyjrzeć mu się z daleka - odparł lodowato, wepchnąwszy ją z powrotem w jej fotel.

- Zawsze tak prowadzisz?

- Tak - przyznała spokojnie. - A to droga do galerii. - Machnęła ręką w kierunku mijanej skrzyżowania.

Adam zerknął na szybkościomierz.

- Jedziesz prawie sto czterdzieści na godzinę - zauważył z wyrzutem.

- Zawsze jeżdżę wolniej po zmroku.

- A to dopiero świetna wiadomość - mruknął.

- Tam, na szczycie skarpy widać dom Harriet - poinformowała. - Uwielbiam patrzeć na niego po zmroku, kiedy jest tak pięknie oświetlony.

Rzeczywiście, dom na skarpie robił ogromne wrażenie, elegancki, stateczny i zupełnie różny od domu Fairchildów.

Nie zwalniając nawet na moment, Kirby wjechała pod górę wijącą się jak serpentyną dróżką, aż wreszcie zahamowała z piskiem opon przed głównym wejściem. Sięgnąwszy do stacyjki, Adam wyjął kluczyki i schował jej do kieszeni.

- Z powrotem ja prowadzę - zapowiedział.

- Jak to miło z twojej strony - ucieszyła się Kirby, wysiadając z pomocą lokaja. - Będę mogła wypić więcej niż jednego drinka. W taką noc najodpowiedniejszy będzie szampan -

zdecydowała, idąc w górę po schodach. - Witaj, Harriet! - zawołała, wpadając w objęcia postawnej rudowłosej kobiety. - Wspaniale cię znów widzieć. Auu, twój krokodyl chyba mnie ugryzł.

- Przepraszam, kochanie. - Harriet przytrzymała dłonią ekstrawagancki naszyjnik. - A to zapewne wasz gość - domyśliła się, oglądając Adama od stóp do głów. Ująwszy obydwójce w pól, poprowadziła ich do holu.

- Jestem pewna, Adamie, że masz w zanadrzu wiele fascynujących opowieści, które chętnie usłyszę.

- Uśmiechnęła się czarująco.

- Na pewno coś wymyślę - zapewnił, czym zaskarbił sobie jej pełne aprobaty spojrzenie.

- Cudownie! Jest już sporo osób, niestety większość to snobistyczni przyjaciele Melanie - westchnęła gospodyni.

- Och, Harriet, musisz być trochę bardziej wyrozumiała - pouczyła ją Kirby.

- Wcale nie muszę - nie zgodziła się. - Już od ponad godziny jestem szalenie uprzejma, jak przystało na gospodynię. Teraz, kiedy się zjawiłaś, możesz mnie zastąpić.

- Witaj, Kirby! - zawołała Melanie, ubrana w srebrzystoblękitną suknię, wkraczając do holu. - Wyglądasz cudownie. - Uśmiechnęła się czarująco do Adama. - Cieszę się, że jesteś, zwłaszcza, że jest tu kilkoro twoich znajomych, na przykład Birminghamowie i Michael Towers z Nowego Jorku. Pamiętasz Michaela, Kirby?

- To ten szef agencji reklamowej, który zgrzyta zębami?

Harriet wybuchła serdecznym śmiechem, zaś Adam musiał się bardzo starać, by zachować powagę. Melanie westchnęła, przewracając oczami.

- Błagam, zachowuj się przyzwoicie - mruknęła, nie wiadomo, czy pod adresem przyjaciółki, czy może matki.

Adam znalazł się w towarzystwie, do jakiego przyzwyczajony był od urodzenia -

wśród eleganckich ludzi, prowadzących uprzejme, rozsądne rozmowy na czasem banalne tematy.

Po piętnastu minutach, odseparowany od Kirby, nudził się jak mops.

- Planuję wybrać się na wędrowkę po australijskim buszu - Harriet zwierzyła się Kirby. - Może pojedziesz ze mną? Pomyśl tylko, jaka to frajda gotować herbatę w kociołku nad ogniskiem?

- Może to i niezły pomysł? - zastanawiała się Kirby, która już od jakiegoś czasu czuła, że potrzebuje zmiany otoczenia.

- Zastanów się - kusila gospodyni. - Myślę, że wyruszę nie wcześniej jak za sześć tygodni. O, Adam! - Pochwyciła go pod rękę. - Czyżby Agnes Birmingham zanudziła cię na śmierć? Nie, nie odpowiadaj, masz to wypisane na czole. Chodź do nas.

- Powiedzmy, że szukałem okazji do bardziej inspirującej rozmowy - odparł wymijająco, chętnie przyjmując zaproszenie.

- Świetnie. Podziwiam twoją twórczość, Adamie. Zapowiadam, że będę zabiegać o twój następny obraz.

- Teraz pracuję nad portretem Kirby - oznajmił.

- Zgodziła się ci pozować? - Harriet niemal zakrzuszyła się szampanem. - Pewnie musiałeś ją przykuć łańcuchem do fotela?

- Jeszcze nie, ale być może nadejdzie taka konieczność - odparł, spoglądając znacząco na Kirby.

- W takim razie tym bardziej muszę pozyskać twój obraz do galerii. Jeśli odmówisz, obiecuję, że zrobię ci przykrą scenę.

- A Harriet potrafi to jak nikt - zdradziła Kirby.

- Musisz koniecznie zobaczyć jej portret, który Philip namalował na moje zamówienie. Oczywiście jak zwykle nie chciała pozować, ale końcu się zgodziła się -

opowiadała Harriet, bawiąc się nóżką kieliszka. - To było trzy lata temu, po jej powrocie z Paryża.

- Chętnie go zobaczę. Planowałem wizytę w twojej galerii.

- Ale on jest tutaj, w bibliotece - sprostowała.

- Może już tam pójdziecie? - zaproponowała Kirby, spoglądając na nich spod zmarszczonych brwi. - Już i tak rozmawiacie o mnie, jakby mnie tu nie było, więc równie dobrze możecie mnie faktycznie zostawić.

- Nie obrażaj się, ty też możesz z nami pójść, jeśli chcesz... No, no, niektórzy nie mają za grosz poczucia przyzwoitości - zauważyła zmienionym tonem Harriet.

Kirby powędrowała wzrokiem za jej spojrzeniem. Do salonu wszedł Stuart. Nie minęła chwila, a Melanie znalazła się u jej boku.

- Tak mi przykro, kochanie - wyszeptała. - Liczyłam na to, że mimo wszystko nie przyjdzie.

- Nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Gdyby przeszkadzała mi jego obecność, nie zjawiłabym się dziś tutaj - zapewniła nonszalancko Kirby.

- Muszę go przywitać, nie wypada inaczej - westchnęła jej przyjaciółka, wyraźnie rozdarta między lojalnością a dobrymi manierami.

- Oczywiście zamierzam go zwolnić - zapowiedziała Harriet, gdy jej córka poszła spełnić powinność gospodyni. - Ale chcę to zrobić dyskretnie.

- Zwolnij go, jeśli jesteś z niego niezadowolona, ale nie rób tego z mojego powodu -

poprosiła Kirby.

- Zdaje się, że będziemy świadkami przedstawienia, Adamie - zauważyła z niesmakiem Harriet, gdy Hiller ruszył w ich kierunku.

- Cudownie wyglądasz, szefowo. - Uprzejmy, wręcz służalczy ton głosu w niczym nie przypominał tego, który przed paroma dniami dobiegał z pracowni Fairchilda. - Afryka wyraźnie ci posłużyła.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie, Stuarcie - odparowała gospodyni.

- Faktycznie, jestem ostatnio szalenie zajęty. Świetnie wyglądasz - zwrócił się do Kirby.

- Ty także - odwzajemniła komplement. - Wy się chyba nie znacie. Adamie, to Stuart Hiller. Stuarcie, znasz chyba obrazy Adama Hainesa, prawda?

- Owszem. - Jego uścisk dłoni był uprzejmy i beznamiętny. - Na długo w naszych stronach?

- Póki nie ukończę portretu Kirby - odparł Adam, z satysfakcją odnotowując triumfalny uśmiech

Kirby oraz grymas na twarzy Stuarta. - Obiecałem Harriet, że jako pierwsza pokaże go w swojej galerii.

Tym prostym komentarzem podbił serce Harriet, której twarz rozpromienił uśmiech.

- Z pewnością będzie to cenny nabytek dla naszej galerii - zauważył Hiller. - Nie udało mi się skontaktować się z tobą w Afryce, a od czasu twego powrotu miałem straszliwe urwanie głowy. Sprzedałem portret kobiety Tycjana Ernestowi Myerlingowi.

Znad krawędzi kieliszka Adam obserwował, jak Kirby zbladła jak płótno.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy rozmawiali o sprzedaży Tycjana - odparła lodowatym tonem Harriet.

- Jako że ten obraz nie figuruje na liście twojej prywatnej kolekcji, uznałem, że jest do sprzedania - wyjaśnił spokojnie. - Myślę, że będziesz zadowolona z ceny, jaką wynegocjowałem. Myerling nalegał na test autentyczności. Obawiam się, że traktuje ten zakup w kategorii inwestycji. Pomyślałem, że może chciałabyś być jutro obecna podczas testu.

Kirby poczuła, jak z przerażenia zaczyna jej się kręcić w głowie.

- Test autentyczności?! - powtórzyła z oburzeniem Harriet. - Jak on śmie wątpić w autentyczność obrazu z mojej galerii! Zresztą to nieistotne, Tycjan nie jest na sprzedaż, a już na pewno nie dla takiego ignoranta jak Myerling.

- Ależ moja droga, nie ma się co obruszać, takie testy to dziś standardowa procedura -

starał się ją udobruchać, w obawie przed utratą niebagatelnej prowizji. - Myerling jest biznesmenem, a nie znawcą sztuki, więc trudno mu się dziwić. Zresztą wszystkie formalności zostały już dopełnione, więc sprzedaż Tycjana nie da się już uniknąć bez szkody dla reputacji galerii.

- Porozmawiamy o tym jutro rano - zdecydowała gospodyni. - To nie czas ani miejsce na takie dyskusje.

- Pójdę po jeszcze jednego drinka - wtrąciła się nagle Kirby, po czym obróciwszy się na pięcie, wmieszała się w tłum gości.

Po krótkich poszukiwaniach odnalazła ojca, który prowadził ożywioną dyskusję na temat różnorodności dorobku artystycznego Salvadora Dali.

- Papo, muszę z tobą porozmawiać - wyszeptała, ciągnąc go za rękaw. - Natychmiast.

Słyszac w jej głosie stanowcze żądanie, Fairchild pozwolił się wyprowadzić z salonu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zamknawszy starannie drzwi biblioteki, Kirby oparła się o nie plecami.

- Jutro rano Stuart będzie testować Tycjana - oznajmiła bez zbędnych wstępów. -

Sprzedął go.

- Sprzedał?! - powtórzył jej ojciec, czerwieniąc się intensywnie. - Niemożliwe, Harriet by nigdy się go nie pozbyła.

- Stuart sprzedał go, gdy Harriet była w Afryce - wyjaśniła, przeczesując włosy palcami. - Właśnie jej o tym powiedział.

- A nie mówiłem, że to skończony głupiec?! - zdenerwował się Fairchild. - Mówiłem tobie i mówiłem Harriet, ale żadna z was mnie nie słuchała. - Zaczął chodzić w tę i z powrotem. - Jak mogła wyjechać, zostawiając go bez żadnego nadzoru?!

- Papo, nie pora teraz na biadolenie, musimy jak najszybciej zacząć działać.

Philip Fairchild zamknął oczy i kilka razy wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- No to mamy problem - oznajmił już spokojniejszym tonem. - Czy jest jakaś szansa, żeby Stuart wycofał się z transakcji?

- Mówi, że od strony formalnej wszystko jest już załatwione - wyjaśniła. - Kupcem jest Myerling.

- Ten stary drań! - Ojciec ze złością kopnął w nogę biurka. - W takim razie nie ma możliwości anulowania. Następnym logicznym krokiem jest zamiana obrazów.

- Też o tym pomyślałam - zgodziła się. - Tylko że ktoś umieścił Adama w pokoju, w którym znajduje się obraz. Teraz musimy podmienić Tycjana tak, żeby Adam się nie zorientował. Ciekawa jestem, jak zamierzasz tego dokonać? Chyba zdążyłeś się już przekonać, że Adam nie jest głupcem?

- Potrzebujemy planu...

Westchnąwszy ciężko, Kirby opadła na pobliski fotel.

- Wiem! - oznajmiła triumfalnie po chwili milczenia. - Zadzwonimy do Cardsa i polecimy mu, żeby zanim wrócimy przeniósł obraz do mojego pokoju.

- Ty to masz głowę! - pochwalił ojciec.

- To dziedziczne. - Uśmiechnęła się. - Mój pomysł jest następujący... - zniżyła głos do szeptu.

- Powinno się udać - zawyrokował Fairchild parę minut później.

- Nie mamy stuprocentowej pewności, ale wygląda na to, że nie ma innego wyjścia.

Jeśli tabletki zadziałają poprawnie, Adam będzie spał na tyle twardo, że nie dowie się o zamianie. - Pokręciła głową z niezadowoleniem. - Czuję się podle, robiąc mu coś takiego.

- Przynajmniej dobrze się wyśpi - pocieszył ojciec. - Chodźmy już lepiej, bo zaczną nasz szukać.

- Idź pierwszy, ja zadzwonię do Cardsa, żeby już zaczął przygotowania.

Gdy została sama, podeszła do biurka, na którym stał telefon. Poza przykrą częścią, związaną z Adamem, cała akcja wydawała się szalenie ekscytująca, zdecydowanie ciekawsza niż przyjęcie. Przekazawszy Cardsowi polecenia, odłożyła słuchawkę na widełki i właśnie miała wrócić do towarzystwa, gdy w drzwiach biblioteki stanął Stuart.

- A, tu jesteś! - Uśmiechnął się fałszywie. - Musimy porozmawiać - oznajmił, zamykając są sobą drzwi.

Tylko nie teraz, pomyślała ze znużeniem. I bez tego dość miała zmartwień, naprawdę nie miała ochoty wracać myślami do tego, jak bardzo zranił ją swymi kłamstwami i obłudą.

- Wydawało mi się, że wyczerpaliśmy temat podczas naszego ostatniego spotkania - odparła niechętnie.

- Jeszcze nie.

- Nie lubię się powtarzać, ale skoro sam tego chcesz, proszę bardzo. - Wzruszyła ramionami. - Jesteś żalosnym oszustem, Stuarcie. Brzydzę się twoją chciwością i bardzo się cieszę, że nie dałam ci się dotknąć ani do siebie, ani do moich pieniędzy. Chciała go minąć i wyjść, ale chwycił ją za ramię.

- Zanim zaczniesz obrzucać kogokolwiek błotem, pomyśl o wątpliwych moralnie zwyczajach swego ojca - wycedził przez zęby.

Przyjrzała się jego dłoni, po czym przeniosła spojrzenie na jego twarz.

- I ty się chcesz się równać z moim ojcem?

- Zaśmiała się ironicznie. - Nigdy nie będziesz w stanie mu dorównać. Jesteś podrzędnym artystą i podrzędnym człowiekiem.

Stuart zamachnął się i uderzył ją z całej siły w policzek, tak że aż się zachwiała.

Nawet nie jęknęła, tylko jej oczy zwęziły się niebezpiecznie, gdy ponownie na niego spojrzała. Nie czuła fizycznego bólu, cierpiała tylko dlatego, że nie mogła mu się odpłacić pięknym za nadobne.

- Potwierdziłeś właśnie moją opinię - odparła, ocierając policzek wierzchem dłoni.

Chciał uderzyć ją ponownie, ale rozsądek zwyciężył, więc tylko zacisnął dłonie w pięści.

- Mam już dosyć zabawy w kotka i myszkę, Kirby - ostrzegł. - Chcę Rembrandta.

- Gdybym się dowiedziała, że papa chce ci go przekazać, własnoręcznie pocięłabym płótno na

kawałki - odparowała.

- Macie dwa dni. - Potrząsnął ją mocno za ramiona. - Daję wam dwa dni, a jeśli nie dostanę obrazu, zapłacisz mi za to!

- Widzę, że twoim jedynym orężem są groźby i przemoc fizyczna. Ja mam bardziej finezyjne sposoby radzenia sobie z takimi jak ty. Myślisz, że jesteś taki przebiegły? -

Zaśmiała mu się prosto w oczy.

- Twoja przewaga nade mną jest tylko przejściowa.

- Powiedziałbym, że nawet bardzo przejściowa - wtrącił się Adam, zamykając za sobą drzwi. - Zabierz ręce, Hiller.

Mocny uścisk na ramionach Kirby ustąpił. Stuart poprawił krawat, wyraźnie starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Zapamiętaj sobie to, co powiedziałem, Kirby - poradził. - Może ci się to przydać.

- Wiesz, jak Byron określił kiedyś zemstę kobiety?

- odparowała. - Porównał ją do skoku tygrysa, bo jest tak samo szybka, powalająca i zabójcza. Zapamiętaj to sobie, może ci się przydać.

- Dotknij ją jeszcze raz, a będziesz miał ze mną do czynienia - zapowiedział Adam, otwierając drzwi.

- To też powinieneś sobie zapamiętać.

Gdy zostali sami, Adam podszedł do Kirby, która stała przy oknie, wpatrując się w ciemność.

- Niezły z niego drań - skomentował. - A ty jesteś niesamowita. Niejedna kobieta płakałaby i prosiła o litość, będąc na twoim miejscu, a ty nie dałaś mu się zastraszyć.

- Nie mam w zwyczaju prosić o litość. - Uśmiechnęła się słabo, nie odwracając się. -

Płakać przez Stuarta także nie zamierzam.

- Drżysz - zauważył z troską, kładąc dłoń na jej ramionach.

- To ze złości - skłamała, nie chcąc okazać słabości, nawet przed nim. - Dziękuję, że byłeś taki rycerski.

- Nie ma sprawy. - Pocałował ją w czubek głowy.

- Może byśmy... - urwał gwałtownie, gdyż próbując obrócić ją ku sobie, spostrzegł

czerwony ślad na jej policzku.

Jego oczy załśniły złowrogo. W następnej sekundzie odwrócił się na pięcie i bez słowa ruszył do drzwi.

- Nie! - zawołała, biegnąc za nim. - Proszę, nie mieszaj się do tego!

Złapała do za ramię, ale nie zatrzymał się, więc jednym susem wyprzedziła go i zasłoniła sobą wyjście. Łzy, których nie zdołał wycisnąć z jej oczu Stuart, popłynęły po policzkach.

- Proszę, nie chcę, żebyś załatwiał za mnie moje sprawy. Proszę!

W pierwszej chwili chciał ją odsunąć od drzwi i wmieszać się w tłum gości, aby dostać w swe ręce Hillera, ale jej łzy sprawiły, że zmienił zdanie.

- Dobrze, skoro tego sobie życzysz - zgodził się.

- Ale wiedz, że tylko odwlekasz to, co nieuniknione.

Nagle poczucie ulgi sprawiło, że zakręciło jej się w głowie, więc zamknęła na moment oczy. Gdy ponownie podniosła powieki, Adam wciąż wpatrywał się w nią intensywnie, ale w jego spojrzeniu nie było już chłodu.

- Pewnie przyszedłeś tu zobaczyć mój portret? - zagadnęła. - Wisi nad biurkiem. -

Wskazała gestem dłoni.

- Zaraz się mu przyjrzę - odparł, nie odrywając od niej wzroku. - Ale najpierw zajmę się oryginałem.

To powiedziawszy, przytulił ją mocno i trzymał tak bez słowa przez parę minut.

Opierając głowę na jego piersi, czuła, jak wypełnia ją spokój, znika napięcie i ból.

- Przepraszam cię, Adamie - wyszeptała nagle, przypomniawszy sobie o planie, który już zaczęła wprowadzać w życie.

- Za co? - zdumiał się.

- Nie mogę tego powiedzieć. - Przytuliła się jeszcze mocniej, najmocniej jak umiała. -

Ale przepraszam cię.

Droga powrotna zajęła im więcej czasu niż przyjazd, a to z tej prostej przyczyny, że tym razem to Adam siedział za kółkiem, tak jak to obiecał. Kirby siedziała w milczeniu, co przypisałby zapewne przeżyciom, związanym z osobą Hillera, gdyby nie fakt, iż obserwował

jej dziwną reakcję na wiadomość o sprzedaży Tycjana.

- A ten obraz Tycjana, który Stuart sprzedał, od dawna należy do Harriet? - zagadnął

niby od niechcenia, udając, że nie widzi, jakie wrażenie zrobiło na niej to pytanie.

- O, tak, od lat. Ta twoja znajoma, pani Birmingham, wygląda jak wielka gruszka, nie sądzisz? - zmieniła temat.

- Możliwe, nie zwróciłem uwagi. Szkoda, że Tycjan został już sprzedany, jestem ogromnym miłośnikiem jego malarstwa. Ten obraz w moim pokoju jest wyśmienity - ocenił.

Kirby wydała z siebie dźwięk, który mógłby uchodzić za nerwowy chichot.

- Ten w galerii jest równie wyśmienity. Ach, nareszcie w domu! Zostaw samochód przed wejściem, Cards się nim zajmie. O, jest już papa - zawołała, wysiadając z auta. -

Pewnie znowu mi się nie powiodło z Harriet. Może masz ochotę na drinka przed snem?

Nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła po schodach. Adam domyślił się, że za chwilę zostanie zamieszany w jakąś pospiesznie zaplanowaną intrygę, dlatego nie opierał się wcale, chcąc się przekonać, co knują.

- Za dużo ludzi na tym przyjęciu - oznajmił Philip Fairchild, otwierając im drzwi. -

Wolę bardziej kameralne imprezy. Chodźmy do salonu, napijemy się, poplotkujemy.

Nie rób takiej zatroskanej miny, błagała go w myślach Kirby.

- Pójdę poprosić Cardsa, żeby zajął się samochodami - oświadczyła.

Gospodarz zachichotał, po czym klepnął Adama po przyjacielsku w plecy.

- Nie spiesz się - poradził. - Chwilowo mam dość babskiego towarzystwa.

- Jak to miło z twojej strony! - obruszyła się.

- W takim razie pójdę jeszcze do kuchni i wyjem całe ciasto cytrynowe, które Tulip miała upiec pod naszą nieobecność.

- A to łobuzica! - mruknął jej ojciec, z rozrzewnieniem myśląc o słodkiej przekąsce. -

Za to my się napijemy whisky.

Adam obserwował każdy jego ruch.

- Widziałem portret Kirby w bibliotece Harriet - zagadnął. - Świetny.

- Dziękuję. Rzeczywiście, wyjątkowo mi się udał.

- Fairchild sięgnął po karafkę Chivas Regal. - Harriet bardzo lubi moją Kirby. -

Zwinnym ruchem wydobyl z kieszeni dwie tabletki i wrzucil je do szklanki z alkoholem.

Gdyby Adam go nie obserwowal, nie mialby najmniejszej szansy spostrzec, ze cos takiego w ogole mialo miejsce. Najwyraźniej chcieli go na jakiś czas usunac z drogi. Z

uśmiechem przyjal szklaneczke z rak gospodarza, po czym odwrócił się, aby nacieszyć oczy pejzażem pędzla Corota.

- Podziwiam sposob, w jaki Corot oddaje gre swiatla i cienia - zauwazyl, pociagnawszy maleńki łyk whisky.

- Ja tez mam ogromna slabość do jego obrazów - przyznal entuzjastycznie Fairchild. -

Szczegolnie podziwiam go za to, ze potrafil oddac tak wiele szczegolów, jednoczesnie nie przeładowujac nimi kompozycji. Popatrz chociazby na te liście tutaj... - Odstawilwsky drinka, wyciagnal dlon, aby wskazać interesujaca go czesc obrazu.

Adam tylko na to czekal. Nie przestajac przysluchiwac sie wykladowi, podmienil

szklaneczki i z przyjemnoscia posmakowal znakomitego napoju.

Jak sie okazalo na gorze, Tycjan juz stal w rogu sypialni Kirby, zapakowany starannie w kilka warstw papieru.

- Dzieki ci, Cards - wyszeptala z wdziecznościa. Zerknawszy na zegarek, usiadla w fotelu, aby odczekać dziesiec minut, az proszki zaczną dzialac. Wreszcie podniosla sie i jak najciszej potrafila, zesla po schodach, dzwigajac cięzki obraz.

Tymczasem w salonie Adam stal w milczeniu, przypatrujac sie jej ojcu, który pochrapywal na sofie. Juz mial sie udac na poszukiwanie Kirby, gdy na podjeździe dal sie slyszec ryk silnika porsche.

- Hola, kochanie, samej cie nie puszcze - mruknal pod nosem, po czym wybiegl na zewnatrz i błyskawicznie zsiadl za kółkiem rolls - royce'a Fairchilda.

Kirby, podeksytowana niecodzienna misja, pędzila na złamanie karku kręta droga, prowadzaca do galerii. Zaparkowawszy w bezpiecznej odleglosci dwustu metrów od budynku, wyjela obraz z auta i ruszyla zwawym krokiem, postukujac obcasami. Przez galęzie drzew widać bylo ceglana siedzibe galerii, oświetlona jasnymi promieniami księzyca.

Zerknęla na zegarek. Za jakas godzinę powinna być z powrotem w domu. Moze w nagrode faktycznie zje kawalek tego pysznego cytrynowego ciasta?

Nagle poczula na ramieniu czyjäs dlon. Obróciła sie na pięcie. O, do licha, pomyslała, spoglądajac na Adama.

- Nocny spacerek? - zapytal.

- Witaj, Adamie. - Uśmiechnęła się uprzejmie, żalując, że nie może tak po prostu rozplątać się w powietrzu. - A co ty tu robisz?

- Postanowiłem dotrzymać ci towarzystwa.

- To miło z twojej strony. Myślałam, że gawędzisz sobie z papą przy szklaneczce whisky o sztuce i innych męskich sprawach.

- Niestety, zasnął - poinformował, patrząc jej prosto w oczy.

- Naprawdę? - Przyjrzała mu się badawczo. - Cóż, należało mu się, pewnie był zmęczony tym tłokiem na przyjęciu. Mam nadzieję, że ułożyłeś go wygodnie.

- A co tam masz w tej paczce? - zainteresował się Adam.

- W paczce? - powtórzyła, trzepocząc rzęsami. Postukał palcem w obraz.

- Ach, w tej paczce? Mam pewną sprawę do załatwienia - odparła wymijająco. - Nie powinieneś już wracać? Robi się późno.

- Nie ma mowy. - Pokręcił głową.

- Tak myślałam - mruknęła z rezygnacją.

- Co masz w paczce, Kirby i co zamierzasz z tym zrobić?

- Dobrze już, dobrze. - Podała mu pakunek, bo zaczynały już jej mdleć ręce. - W

sumie winna ci jestem wyjaśnienie, a poza tym i tak wiem, że nie pójdziesz sobie, póki się nie dowiesz. W środku jest portret kobiety Tycjana i zamierzam go powiesić go w galerii.

Zmarszczył brwi. Tyle domyślił się sam, bez jej podpowiedzi.

- Nie wiem czemu, ale odniosłem wrażenie, że portret kobiety Tycjana już tam wisi.

- Nie... - zawahała się. Gdyby tylko mogła skorzystać z jakiegoś kłamstewka, czy półprawdy! - To jest Tycjan - wyznała zgodnie z prawdą. - W galerii wisi obraz Philipa Fairchilda.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Czy dobrze rozumiem, że twój ojciec podrobił obraz Tycjana i przemycił go do galerii jako oryginał?

- Ależ skąd! - oburzyła się. - Jeśli będziesz obrażał mojego ojca, nie powiem ci nic więcej! - zagroziła.

- Przepraszam, nie mam pojęcia, skąd mi to w ogóle przyszło do głowy - zażartował.

- No dobrze - przyjęła to za dobrą monetę. - Może zacznę od początku.

- Dobry pomysł - pochwalił.

- Przed paroma laty Harriet i papa byli na wakacjach w Europie. Natknęli się na ten obraz Tycjana, wpadli w zachwyty i każde z nich twierdziło, że to ono pierwsze go spostrzegło. Jako że szkoda było przepuścić taką okazję, poszli na kompromis. - Ruchem ręki wskazała na pakunek. - Kupili obraz na spółkę, a po powrocie papa namalował jego kopię. Od tamtej pory zamieniają się co sześć miesięcy. Harriet powiesiła obraz w galerii, a papa na ścianie w pokoju gościnnym. Adam rozważał przez moment to, co powiedziała.

- To zbyt dziwaczna opowieść, żebyś mogła być wymyślona na poczekaniu - ocenił.

- Ależ oczywiście, bo to szczerą prawdą. - Wydeła usta. - Nie ufasz mi?

- Nie - odparł krótko. - Kiedy wrócimy, będziesz musiała się długo tłumaczyć. A teraz powiedz, jak zamierzasz dostać się do galerii?

- Za pomocą kluczy Harriet.

- Dała ci swoje klucze?

- Oczywiście! Harriet jest wściekła, że Stuart chce sprzedać ten obraz, ale póki nie zobaczy kontraktu, nie wie, czy zerwanie umowy grozi jakimiś konsekwencjami. Nie możemy ryzykować i poddać kopii testowi autentyczności, bo może wykazać, że obraz został

namalowany dużo później niż w szesnastym wieku.

- Czyli Harriet wie, że w jej galerii wisi podróbka? - upewnił się.

- Nie podróbka, ale kopia - poprawiła.

- A czy Merrick Gallery wiszą jeszcze jakieś inne kopie?

- Błagam, nie denerwuj mnie - jęknęła. - Wszystkie obrazy w galerii są autentyczne, podobnie jak należąca do Harriet połowa Tycjana.

- A czemu sama Harriet nie zajęła się podmianą?

- Po pierwsze dlatego, że nie udało by jej się wyrwać z przyjęcia - wyjaśniła, zerkając niecierpliwie na zegarek. - Po drugie, gdyby oficjalnie pojawiła się w galerii w środku nocy, strażnik mógłby poinformować o tym Stuarda, który mógłby połączyć fakty i wszystkiego się domyślić.

- A co powie strażnik, gdy w środku nocy w galerii zjawi się Kirby Fairchild? - drążył.

- Nic nie powie, bo nawet nas nie zauważy - oznajmiła z satysfakcją.

- Nas?! - powtórzył z oburzeniem.

- Skoro już tu jesteś i wiesz o wszystkim, na pewno jako dżentelmen pomożesz mi dokonać zamiany - podpuściła go. - Tylko musimy się pospieszyć. Gdyby się jednak zdarzyło, że nas przyłapie, zdaj się na mnie, jakoś nas wytłumaczę.

- Jasne, zdać się na ciebie - mruknął. - Zgoda, ale pod dwoma warunkami. Jeśli nam się uda i nie wylądujemy w więzieniu ani w szpitalu, chcę wiedzieć wszystko ze szczegółami.

A jeśli wsadzą nas do więzienia, zamorduję cię.

- To dwa warunki - zauważyła przytomnie. - Ale zgoda.

Stali naprzeciwko siebie, w milczeniu mierząc się wzrokiem. Ona zastanawiała się, ile może wyjawić, on zaś - ile może się dowiedzieć.

- Zabierajmy się do roboty - zarządził, wskazując, aby ruszyła przodem.

Kirby przeszła na skos przez trawnik wprost do głównych drzwi. Z głębokiej kieszeni peleryny wyjęła pęk kluczy.

- Te dwa odłączają alarm - wyjaśniła, przekręcając kolejno klucze w zamkach. - A tym otwiera się drzwi. - Uśmiechnęła się, słysząc szcęk odblokowujących się zapadek.

Odwróciwszy się, przyjrzała się uważnie Adamowi. - Cieszę się, że obydwójce jesteśmy stosownie ubrani.

- Cóż, miejsce włamania zobowiązuje. Nie wypada wkradać się do tak szacownego gmachu w niedbałym stroju.

- Święte słowa. - Wsunęła klucze z powrotem do kieszeni peleryny. - Tycjan wisi w zachodnim skrzydle na pierwszym piętrze. Strażnik siedzi tu na parterze, w pomieszczeniu na tyłach budynku. Co godzinę powinien robić obchód, ale nie mam pewności, czy jest na tyle sumienny, by rzeczywiście stosować się do tej zasady.

- A o której godzinie rozpoczyna obchód, oczywiście zakładając, że go w ogóle rozpoczyna? - zainteresował się.

- O równej godzinie, co oznacza, że mamy dwadzieścia minut - poinformowała, zerknąwszy na zegarek. - Powinno wystarczyć, choć mielibyśmy więcej czasu, gdybyś nie był

taki dociekliwy.

Wyjąwszy latarkę z przepastnej kieszeni peleryny, oświetliła drogę po schodach.

Najwyraźniej doskonale orientowała się w układzie pomieszczeń w budynku galerii, gdyż bez wahania skręciła w korytarz na pierwszym piętrze, a z niego do przestronnego pomieszczenia.

Oświetliwszy po kolei kilka obrazów, zatrzymała się przez kopią portretu Tycjana.

- A oto i on - wyszeptała.

W tym świetle trudno było zorientować się, czy to faktycznie kopia, ale Adam obiecał sobie, że gdy tylko znajdą się w bezpiecznym miejscu, przyjrzy się obrazowi uważnie.

- Trudno je odróżnić, nawet ekspertowi - poinformowała Kirby, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Harriet zna się na tym jak mało kto, ale ona sama nie zauważyła różnicy. Nie jestem pewna, czy test wykazałby, że to nie jest oryginał. Papa ma swój tajemny sposób postarzania obrazów. Żeby można było odróżnić kopię od oryginału, namalował czerwone kółko z tyłu obrazu. Rozpakuję paczkę, a ty zdejmij obraz ze ściany - zarządziła, przyklękając, by zdjąć papier.

- Wiesz, nawet się cieszę, że się zjawiłeś - wyznała.

- Twój wzrost może okazać się bardzo przydatny.

W milczeniu wymienili się obrazami, po czym Kirby zabrała się do pakowania kopii, podczas gdy Adam wieszał oryginał. Oświetliwszy obraz latarką, przyjrzała mu się krytycznie.

- Trochę krzywo - zauważyła. - Przesuń odrobinę w lewo.

- Słuchaj... - zaczął, ale urwał, gdy dobiegło ich ciche pogwizdywanie.

- Pospiesz się! - wyszeptała, chwytając pakunek.

- Kto by się spodziewał, że taki sumienny.

Szybkim ruchem Adam przycisnął ją do ściany w załomie muru. Rozbawiona tą sytuacją, miała ochotę zachichotać, ale powstrzymała się, wiedząc, że by go to rozwścieczyło.

Gwizdanie nasiliło się.

Kirby oczyma wyobraźni widziała strażnika, przechadzającego się niespiesznie pogrążonymi w ciemności korytarzami, oświetlającego wybiórczo niektóre obrazy. Miała nadzieję, że Tycjan nie wzbudzi w nim większego zainteresowania.

Cienki snop światła przekroczył próg pomieszczenia, w którym się znajdowali. Kirby trzęsła się jak osika, Adam zaś zamarł w bezruchu, świadomy, że jeszcze paręnaście centymetrów, a zostaną zdemaskowani. Światło zatrzymało się w miejscu, chwilę później wycofało się i ponownie zapadła ciemność. Przez jakiś czas trwali jeszcze w bezruchu, czekając, aż pogwizdywanie ucichnie.

- Wszystko w porządku - zapewnił szeptem Adam. - Poszedł sobie.

- Byłeś cudowny - pochwaliła, zasłaniając usta, by się nie roześmiać na głos. - Nigdy nie myślałeś o

zmianie zawodu? Byłbyś świetnym włamywaczem.

Włożywszy sobie pod pachę pakunek, wolną ręką stanowczym gestem ujął ją za ramię.

- Chodźmy! - zarządził, obiecując sobie w duchu, że jeszcze kiedyś odegra się na niej za te wszystkie tarapaty, w które go wpędziła.

- Może faktycznie nie jest to najlepsza pora na zwiedzanie galerii, a szkoda. W następnej sali jest parę ładnych grafik i świetna martwa natura, którą namalował papa.

- Pod swoim własnym nazwiskiem? - zapytał z przekąsem.

- Ej, nie bądź złośliwy!

Zamilkli, aby bez przeszkód wydostać się z budynku. Gdy wreszcie znaleźli się w bezpiecznej odległości, ukryci za drzewami, Adam zatrzymał się.

- Wezmę obraz i pojedę za tobą - zarządził Adam. - Ostrzegam, jeśli przekroczysz osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, własnoręcznie cię uduszę.

Skinęła głową, po czym ruszyli w kierunku zaparkowanych aut.

- Bardzo ci dziękuję za pomoc, Adamie - odezwała się poważnym tonem Kirby. -

Mam nadzieję, że nie masz o nas złego zdania. Naprawdę zależy mi na twojej opinii.

- Jeszcze nie wiem, co o was myśleć - odparł, przesunąwszy palcem po jej policzku.

- To świetnie - ucieszyła się. - Nie spiesz się z decyzją.

- Wsiadaj i jedź - polecił, bo jej promienny uśmiech sprawił, że zmiękły mu kolana.

Ku jego zaskoczeniu Kirby rzeczywiście trzymała się znacznie poniżej limitu prędkości, toteż droga powrotna zajęła im dużo więcej czasu. Auta zaparkowali na podjeździe, aby Cards mógł się nimi zająć.

Kirby natychmiast udała się do salonu.

- Chyba mu całkiem wygodnie - uznała, spoglądając na pogrążonego w głębokim śnie ojca. - Na wszelki wypadek wyprostuję mu jeszcze nogi.

Adam oparł się o futrynę i przyglądał się, jak z troską układała ojca, zdjawszy mu buty i rozluźniwszy krawat.

- Wymanewrowano cię, papo - wyszeptała, po czym pocałowała go w łysiejące czoło.

- Musimy natychmiast porozmawiać - zdecydował Adam. - Chodźmy na górę.

Wyprostowawszy się, posłała mu łagodne spojrzenie.

- Skoro tak ładnie prosisz... - Sięgnęła po karafkę brandy i dwie szklanki. - Myślę, że możemy odbyć przesłuchanie w kulturalnych warunkach - wyjaśniła, widząc pytanie w jego oczach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zanim naląła brandy do szklaneczek, włączyła ozdobioną różowym abażurem lampkę, stojącą przy łóżku. Podawszy Adamowi drinka, zrzuciła szpilki i usiadła po turecku na łóżku.

Przypatrywała się, jak Adam rozpakowywał pakunek. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się uważnie śladom pędzla, kolorom, technice nakładania farby.

- To jest kopia? - zapytał z niedowierzaniem. Uśmiechnęła się.

- Z tyłu masz czerwone kółko, które papa namalował dla rozróżnienia - przypomniała.

Adam zauważył znak, ale wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Dałbym sobie rękę uciąć, że to oryginał - przyznał z podziwem.

- Nie ty jeden.

Oparłszy obraz o ścianę, odwrócił się i popatrzył na nią. Wyglądała egzotycznie -

czarnowłosa, w kontrastowo białej sukni, uśmiechnięta zagadkowo. Postanowił szybko przejść do rzeczy, bo jeśli nie zada jej teraz nurtujących go pytań, a skupi się na podziwianiu jej urody, zaprzepaści tak doskonałą szansę zdobycia cennych informacji.

- Ile obrazów w kolekcji twego ojca to kopie?

- zapytał.

Powoli podniosła do ust kieliszek, chcąc zyskać na czasie. Czowała się urażona tym pytaniem, ale tłumaczyła sobie, że przecież miał prawo je zadać.

- Wszystkie są autentyczne, poza tym Tycjanem - odparła spokojnie.

- Kiedy wspomniałaś o jego tajemnej technice postarzania obrazów, odniosłem wrażenie, że nie dotyczy to tylko jednego obrazu - nie ustępował.

Jak mogła przypuszczać, że nie zwróci uwagi na to zdanie? Była na siebie zła, iż nie pilnowała się lepiej i pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi.

- Ufam ci - wyznała niespodziewanie. - Ale nie chcę cię mieszać w coś, czego nie powinienes wiedzieć, jeśli chcesz spać spokojnie. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć.

Przez chwilę ogarnęły go wyrzuty sumienia. Przecież on także nie był wobec niej szczery, a wymagał, by zwierzała się z czegoś, co z różnych przyczyn wolała zachować dla siebie.

- Pozwól, że to ja się będę martwił o swój spokojny sen - odrzekł, starając się zagłuszyć sumienie. - Ile kopii wyprodukował twój ojciec?

- Dziesięć... nie, jedenaście - wyznała szczerze. - Jedenaście, nie licząc Tycjana, który należy do zupełnie innej kategorii.

- Do innej kategorii... - powtórzył, jednym haustem opróżniwszy szklankę. - A czym się różni od pozostałych?

Podszedł do stolika, by nalać sobie kolejnego drinka.

- Kopia Tycjan powstała w wyniku prywatnej umowy papy i Harriet - wyjaśniła. -

Głównie po to, aby uniknąć niesnasek, związanych z tym, do kogo powinien należeć obraz.

- A co z pozostałymi? W wyniku jakich umów powstały?

- Każdy przypadek jest indywidualny - zaczęła, spoglądając na niego z niepewnością.

- Ale generalnie papa malował kopie i sprzedawał je osobom zainteresowanym.

- Sprzedawał? - powtórzył z niedowierzaniem. Przeklinając w duchu samego siebie, że w ogóle zaczął ten temat, wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. - Dobry Boże, Kirby, czy dociera do ciebie powaga sytuacji? Przecież to zwykłe oszustwo!

- Nie określiłabym tego w ten sposób - nie zgodziła się. - A już na pewno nie takie zwykłe.

- A jak byś to nazwała?

- Raczej naciąganiem. - Uśmiechnęła się lekko.

- Naciąganiem... Sprzedaż podrabianych obrazów za kolosalne sumy pieniędzy uważasz za naciąganie.

- Pokręcił głową z dezaprobatą. - Naciąganiem jest niepłacenie za parking. - Zrobił

kilka nerwowych kroków. - Nie rozumiem, przecież jego obrazy warte są fortunę, dlaczego to robi?

- Może dlatego, że umie? - podsunęła. - Papa to geniusz, Adamie. Nie mówię tego jako jego córka, ale jako artystka. Geniusze często bywają ekscentrykami...

- Rozumiem, ale to jeszcze nie wyjaśnia... - wpadł jej w słowo, ale zaraz przerwała mu stanowczo.

- Pozwól mi dokończyć - poprosiła. - Papa nie toleruje jednego: chciwości pod jakąkolwiek

postacią. Dla niego kolekcjonowanie dzieł sztuki jako inwestycja kapitału to właśnie przejaw chciwości.

- Bardzo to szlachetne z jego strony, ale przy tym wszystkim zarabia pieniądze na sprzedaży fałszywych dzieł sztuki - przypomniał.
- Nie zarobił na tym ani centa - sprostowała.
- Papa dokładnie sprawdza za pośrednictwem Harriet każdego potencjalnego kupca.
- Harriet Merrick jest w to także zamieszana? - Aż przysiadł z wrażenia.
- Od piętnastu lat jest to ich wspólne hobby.
- Hobby - powtórzył zdruzgotany.
- Harriet ma doskonałe koneksje. Przede wszystkim wyszukuje wyjątkowo bogatych kupców, mieszkających w odległym zakątku świata - wyjaśniła. - Na przykład dwa lata temu sprzedała wyjątkowo piękny obraz Renoira pewnemu arabskiemu szejkowi.
- Wstała, by dolać sobie i Adamowi brandy. - Dodatkowo kolejnym warunkiem jest chciwość i kompletny brak zaangażowania w sprawy wspólnoty lokalnej. Przez Harriet właśnie potencjalni kupcy dowiadują się, że papa jest w posiadaniu wyjątkowo cennego, rzadkiego i nieznanego obrazu słynnego artysty. Na początku papa udaje niechętnego sprzedawcę, następnie powoli ulega argumentom kupca, aż wreszcie zgadza się na sfinalizowanie transakcji. Oczywiście cena jest niebotyczna, bo inaczej kolekcjonerzy mogliby coś podejrzewać. - Łyknęła odrobinę brandy.
- Wszystkie transakcje bez wyjątku regulowane są za pomocą gotówki, żeby nie było żadnych oficjalnych śladów, a zarobione w ten sposób pieniądze przekazywane są instytucjom charytatywnym.
- Chcesz, żebym uwierzył, że twój ojciec zadaje sobie tyle trudu za darmo? - Posłał jej podejrzliwe spojrzenie.
- Absolutnie nie za darmo. - Potrząsnęła przecząco głową. - Papa czerpie z tego dużo satysfakcji.
- Kirby, ale przecież to jest kradzież!
- Zastanów się, po czyjej stronie zawsze się opowiadałeś: po stronie szeryfa Nottingham czy Robin Hooda?
- Na litość boską, przecież to nie to samo! - zachnął się. - To nie to samo...
- W pewnym małym szpitalu niedawno zmodernizowano oddział pediatryczny, a małe miasteczko w Andach ma nowy wóz strażacki i nowoczesny sprzęt gaśniczy. Z kolei w innym niedużym miasteczku na drugim końcu świata mieszkańcy od niedawna mogą korzystać z nowoczesnej biblioteki - wymieniła.

- Wystarczy. - Machnął ręką, aby jej przerwać. - Jestem pewien, że przez piętnaście lat uzbierało się tego trochę. Może w pewnym sensie ten proceder ma szczytny cel, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że jest niezgodny z prawem. Przecież to przestępstwo! Kirby, to się musi skończyć.

- Wiem. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Jakiś czas temu doszłam do wniosku, że trzeba to przerwać, póki jeszcze nie stało się nic złego. Papa od jakiegoś czasu rozmyśla nad cyklem obrazów i namówiłam go, żeby już niedługo zaczął. Powinno mu to zająć z pięć lat, więc będzie chwila spokoju. Ale w międzyczasie zrobił coś, z czym nie wiem, jak sobie poradzić.

Opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o Rembrandcie. Słuchając znanej mu już historii, starał się zdusić w sobie wszelkie wyrzuty sumienia związane z tym, że wymagał od niej szczerości, podczas gdy sam ukrywał przed nią coś równie ważnego.

- Domyślam się, że po części kierowała nim chęć zemsty na Stuarcie - ciągnęła, w zamyśleniu mieszając alkohol w kieliszku. - Stuart jakimś cudem dowiedział się o hobby papy i tego wieczoru, w którym zerwałam zaręczyny, szantażował mnie, że go wyda. Papa pocieszał mnie, że Stuart nie może mu nic zrobić. Nie miałam wtedy pojęcia o tej historii z Rembrandtem.

- Nie masz pomysłu, gdzie mógł schować ten obraz?

- Nie, ale też nie szukałam. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem, Adamie - zapewniła z troską w głosie. - Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Wiem, że miał jakiś powód, nie mam pojęcia, jaki, ale na razie muszę to po prostu zaakceptować. Nie oczekuję, że podzielasz moją lojalność, ale byłabym wdzięczna, gdybyś tak jak ja mu zaufał. - Nic się nie odezwał, więc wzięła jego milczenie za zgodę. - Najbardziej się martwię, że papa nie zdaje sobie do końca sprawy z tego, jak bezwzględny człowiekiem jest Stuart.

- Zmienisz to, gdy opowiesz mu o tej scenie w bibliotece Harriet.

- Nie mogę mu tego powiedzieć. - Pokręciła energicznie głową. - Nie jestem w stanie przewidzieć jego reakcji, zauważyłeś chyba, że jest wyjątkowo nieprzewidywalnym człowiekiem. Proszę cię, nie martw się o nas. Jeśli chcesz, porozmawiaj z papą czy z Harriet.

Masz ochotę na jeszcze trochę brandy? - zapytała, podnosząc się.

- Czy to wszystko, czy jeszcze o czymś mi nie powiedziałaś? - Zatrzymał ją, łapiąc ją za nadgarstek.

- A czy wspominałam już o Van Goghu?

- No nie... - mruknął. Naprawdę liczył na to, że to już koniec opowieści. - Jakim znowu Van Goghu?

- Hmm, tak dokładnie to nie jest obraz Van Gogha...

- Tylko twojego ojca? - domyślił się.

- Najnowszy. Sprzedał go Victorowi Alvarezowi, plantatorowi kawy z Ameryki Południowej. Warunki pracy na jego plantacji są fatalne i choć papa nic nie może zrobić, żeby to poprawić, wybrał

już lokalną szkołę, którą odremontuje i wyposaży. To jego ostatni taki obraz w ciągu najbliższych paru lat - dodała, widząc, że siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach. -

Jestem przekonana, że się ucieszy, że ci o wszystkim opowiedziałam. Na pewno zechce Ci pokazać tę kopię Van Gogha, jest z niej szczególnie zadowolony.

Adam roześmiał się nerwowo.

- Powinienem się cieszyć, że nie postanowił namalować na nowo fresków w Kaplicy Sykstyńskiej.

- A, to dopiero na emeryturze - zawtórowała mu.

- Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie - przyznał, poważniejąc.

- Oczywiście.

Postanowił, że nie złoży od razu meldunku. Nie był w stanie zrobić tego tak od razu po tym, jak zwierzyła mu się z pełnym zaufaniem. Nie był w stanie nawet myśleć o zadaniu, z którym tu przyjechał, najpierw musiał znaleźć argumenty, aby samego siebie przekonać, że złożenie raportu jest jego powinnością, mimo że w ten sposób zawiedzie pokładane w nim zaufanie.

Chciał jej coś z siebie dać, ofiarować coś w zamian za tę ufność, jaką mu okazała.

Wzięcie jej w ramiona wydawało mu się naturalnym odruchem, bo choć może nie zasługiwał na nią, to przy tym wszystkim potrzebował jej bardziej niż kogokolwiek czy czegokolwiek na świecie. Bez wahania przytulił ją z całej siły, po czym obsypał jej twarz pocałunkami, które z lekkich, przelotnych z każdą chwilą stawały się coraz bardziej zaangażowane i namiętne.

Zanim zdążył się zorientować, co robi, rozsunął zamek jej sukienki.

- Zaskakujesz mnie - wyznała z lekkim uśmiechem, odsunąwszy się na krok.

- To dobrze - odparł, przyciągając ją z powrotem.

- Wiesz, większość kobiet lubi być uwodzona - podpowiedziała.

Widział rozbawienie w jej spojrzeniu, ale jednocześnie czuł przez cienki materiał koszuli mocne bicie jej serca.

- Ale Kirby Fairchild jest inna niż większość kobiet - zauważył. Jeśli chciała zwolnić tempo, był gotów to dla niej zrobić, bez względu na to, ile go to będzie kosztowało. - Uznaj to za jeden z niewielu u mnie przejawów spontanicznego zachowania - zaproponował, zsuwając sukienkę z jej ramion. - Nie chciałbym cię zanudzać standardowymi chwytami.

Nie była w stanie mu się oprzeć, oczarował ją tym uśmiechem i niewymuszonym poczuciem humoru.

Powoli odwzajemniła jego uśmiech, a następnie zsunęła sukienkę jeszcze bardziej, tak że w końcu opadła lekko na podłogę. Gdy już zdecydowała się porzucić wszelkie opory, nie знаła ograniczeń, dawała i brała rozkosz, słodko i ochoczo odpowiadając na jego pieszczoty.

Poza namiętnością, poza pasją w ich pocałunkach była niespodziewana tkliwość, która narodziła się w wyniku zwierzeń, w jakie obfitował ten wieczór. Adam chciał obdarować Kirby czułością, aby zadośćuczynić jej brak szczerości ze swej strony, ona zaś odwzajemniała, choć nie znała jego prawdziwych intencji.

Powietrze niemalże iskrzyło od napięcia, jakie rosło między nimi z każdą chwilą, pragnienie wypełniało ich, wołając o spełnienie. Ich serca biły głośno i rytmicznie, wystukując wspólny coraz bardziej energiczny, oszalały rytm. Widzieli tylko siebie, czuli tylko zapach swych ciał, słyszeli tylko swe oddechy, świat przestał dla nich istnieć.

Gdy w końcu zapadła cisza, gdy leżeli wtuleni w siebie, wciąż rozpaleni ogniem, który ich pochłonał, Adam zastanawiał się, jak miał po tym wszystkim kontynuować zadanie, z którym przyjechał. Czy mógł jednocześnie ochraniać ją, troszczyć się o nią i składać codzienne meldunki, do których był zobowiązany? Powinien był zachować dystans, ale nie był w stanie zapanować nad uczuciem, jakie zrodziło się w jego sercu. Czy mógł teraz od nowa ten dystans zbudować? Czy nie ryzykował w ten sposób, że zrani ją nieodwracalnie?

Gdy zaczął się podnosić, przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Zostań, proszę - wyszeptała, spoglądając mu prosto w oczy. - Zostań ze mną do rana.

Nie chcę, żeby się to skończyło.

Obudziły ją promienie słońca, padające na łóżko przez znajdujące się nad nim okno.

Zakryła twarz poduszką, ale długo tak nie wytrzymała, więc zrezygnowana otworzyła oczy.

Postanowiła poleżeć jeszcze trochę w łóżku, aby dać sobie czas na przemyślenie tego, co się stało poprzedniego wieczoru.

Nie słyszała jak wychodził. Nie spodziewała się, że faktycznie zostanie z nią do rana i była mu nawet wdzięczna, że mogła obudzić się samotnie.

Nie mogła uwierzyć, że tak się otworzyła przed człowiekiem, którego w gruncie rzeczy znała dość słabo. Co sprawiło, że z taką szczerością odpowiadała na jego pytania, nie starając się nawet szukać żadnych wykrętów?

Dała mu więcej niż kiedykolwiek jakimkolwiek mężczyźnie. Było to coś więcej niż fizyczna bliskość, kilka godzin rozkoszy, które można szybko wymazać z pamięci. Podzieliła się z nim tym, co dla niej najcenniejsze, nie mogła teraz się z tego wycofać, bez względu na to, jak bardzo by obydwójce tego chcieli. Zresztą sama nie była przekonana, czy tak naprawdę pragnęłaby cofnąć czas, nie było dla niej bowiem powrotu, oddała mu część siebie, z nadzieją, że dar ten zostanie przyjęty z należyty szacunkiem. Teraz zaś pozostawało czekać na rozwój sytuacji. Z westchnieniem podniosła

się, aby rozpocząć trudny dzień.

Tymczasem w pracowni Fairchilda Adam z ogromnym zainteresowaniem przyglądał

się pełnemu życia pejzażowi. Obok niego stał autor, nie Vincent Van Gogh, ale Philip Fairchild, choć Adam gotów byłby przysiąc, że obraz jest oryginalny.

- Wspaniały - wyrwała mu się pochwała.

- Dziękuję ci, Adamie. - Fairchild uśmiechnął się z zadowoleniem. - Jestem z niego bardzo zadowolony.

- Panie Fairchild...

- Philip - poprawił go. - Mów mi, proszę, po imieniu.

- Philipie - zaczął ponownie. - To jest oszustwo. Nie przeczę, że twoje motywy są bardzo szlachetne, ale to nie zmienia postaci rzeczy.

- Jak najbardziej - zgodził się Fairchild, energicznie kiwając głową. - Oszustwo, przekręt i kłamstwo w żywe oczy. - Rozłożył ręce. - Nie mam nic na swoją obronę.

Akurat, pomyślał z przekąsem Adam, przeczuwając, że zaraz usłyszy najbardziej nieprzekonujące wytłumaczenie, z jakim się kiedykolwiek zetknął.

- Adamie, sprawiasz wrażenie uczciwego i rozsądnego człowieka. - Fairchild usiadł

powoli w fotelu, jak gdyby chciał wyglądać na słabego i starego. - Jednocześnie twoje prace sugerują, że jesteś twórczy i otwarty.

- Tak? I? - wtrącił Adam, sięgając po kawę, przyniesioną przez Cardsa.

- Pomoc, jakiej udzieliłeś nam wczoraj w tej delikatnej sytuacji i spryt, z jakim mnie wymanewrowałeś świadczą o tym, że potrafisz znaleźć wyjście z różnych niestandardowych sytuacji. Zaskoczyłeś mnie wiadomością, że Kirby we wszystko cię wtajemniczyła. -

Fairchild już wyciągnął z tego odpowiednie wnioski, ale na razie nie chciał się rozpraszać. -

Czy jesteś w stanie znaleźć w moich przedsięwzięciach choć ślad egoizmu? Czy moje motywy możesz nazwać inaczej jak humanitarnymi? Moje hobby przyniosło pożytek małym, chorym dzieciom i ludziom, którym nie poszczęściło się w życiu tak jak mnie czy tobie. Nie zatrzymałem dla siebie ani dolara, nigdy nie zabiegałem o jakiegokolwiek przejawy wdzięczności.

- Nie zabiegałeś także o karę więzienia, która ci się za coś takiego należy - uzupełnił

Adam.

- Traktuję to jako spłatę mojego długu wobec społeczeństwa. Tymi rękoma... -

Wyciągnął przed siebie dłonie. - Tymi rękoma realizuję talent, który dostałem od Stwórcy.

Korzystam z mego talentu, aby pomóc innym. Oczywiście zrozumieć, jeśli uznasz, że zasługuję na potępienie. - Spuścił potulnie głowę.

- Pewnego dnia ta aureola spadnie ci znad głowy i narobi dużo huku - ostrzegł Adam.

- Bardzo możliwe. - Uśmiechnął się Philip. - Ale nie zamierzam się tym zamartwiać na zapas. Poczęstuj się ciastkiem, mój chłopcze, - Podał mu tacę z pysznymi owocowymi mini tartami.

- Czy zastanawiałaś się, co się stanie z Kirby, jeśli twoje hobby wyjdzie na jaw?

- Ach, trafiłeś prosto w mój słaby punkt. Z jej powodu postanowiłem wkrótce zrezygnować z tego zajęcia.

- A jaka jest jej rola w kwestii Rembrandta z Merrick Gallery?

- To już zupełnie inna sprawa. - Fairchild wytarł usta serwetką. - Chciałbym wtajemniczyć cię w szczegóły tej akcji, Adamie, ale na razie muszę je zachować dla siebie.

Można powiedzieć, że Kirby jest wmieszana tylko symbolicznie.

- A siebie obsadziłeś w roli reżysera i gwiazdy? - wtrąciła się jego córka, wchodząc do pracowni. - Jak ci się spało, papo? - zapytała, sięgając po ciastko, w której jej ojciec wpatrywał się od paru chwil.

- Spałem jak kamień - przyznał, przypomniawszy sobie, z jak był zdezorientowany, gdy obudził się na sofie, przykryty jej peleryną. - Dowiedziałem się, że wszystko poszło gładko.

- Sprawa załatwiona - odparła, spoglądając znad ojcowskiego ramienia na Adama. -

Może powinnam zostawić was samych? Adam ma dar wyciągania informacji, może uda mu się wydobyć z ciebie to, czego nie chciałeś mi powiedzieć.

- Wszystko w swoim czasie. - Ojciec poklepał ją po dłoni. - Postanowiłem spędzić przedpołudnie w towarzystwie mojego jastrzębia. - Podniósłszy się, przeszedł do stołu i zdjął

przykrycie z rzeźby. - A ty, zanim oddacie się zabawom, możesz zadzwonić do Harriet i uspokoić ją, że wszystko załatwione.

- Planujesz jakieś rozrywki, Adamie? - Kirby wyciągnęła ku niemu rękę.

- Szczerze mówiąc... - Wiedziony impulsem, podszedł do niej i pocałował namiętnie na oczach jej ojca.

- Miałem w planach sesję, która wymaga, żebyś się przebrała.
- Jeśli tylko na tyle cię stać... - udała rozczarowaną. - Zgoda, ale masz dwie godziny i ani minuty więcej, w przeciwnym razie będę zmuszona podnieść stawkę. Mam swoje zajęcia - wyjaśniła, gdy już znaleźli się na schodach.
- Trzy godziny - targował się.
- Dwie i pół. - Zatrzymała się na drugim piętrze.
- Spałaś jak dziecko, nie mogłem się zmusić, żeby cię obudzić - wyszeptał, gładząc ją po policzku.
- Spotkamy się na górze w pracowni.

Kirby poszła do swego pokoju, wyjęła z garderoby suknie i rozbierając się jedną ręką, drugą wystukała numer telefonu.

- Witaj, Harriet - powiedziała do słuchawki. - Tu Kirby, dzwonię, żeby cię uspokoić.
- Świetnie! Obyło się bez kłopotów?
- Daliśmy sobie radę - odparła, wychodząc z dzinsów.
- Daliście radę? - powtórzyła z naciskiem Harriet.
- Czyli pojechałaś z ojcem?
- Nie, papa smacznie spał na kanapie, bo Adam podmienił drinki.
- Ojej! Bardzo był zły?
- Kto, papa czy Adam? - Roześmiała się Kirby.
- Obydwaj wykazali dużo zrozumienia i zdrowego rozsądku. Adam był bardzo pomocny.
- Mam jeszcze pół godziny, zanim zacznie się test, więc możesz opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami.

Przebierając się, Kirby przedstawiła jej wypadki poprzedniego wieczoru.

- Cudnie - ucieszyła się Harriet, usłyszawszy całą historię. - Żałuję, że mnie tam nie było. Muszę bliżej poznać tego twojego Adama i wyrazić mu wdzięczność za jego pomoc.

Myślisz, że zechce w zamian za to przyjąć naszyjnik z krokodylich zębów?

- Jestem pewna, że będzie zachwycony.

- Kirby, bardzo ci dziękuję za pomoc - spoważniała nagle. - Sama rozumiesz, że sytuacja jest co najmniej niezręczna.

- A co z kontraktem, nie da się z niego wycofać?

- Niestety nie - Harriet westchnęła ze smutkiem.

- To moja wina, powinnam była jasno powiedzieć Stuartowi, że Tycjan nie jest na sprzedaż. Philip musi być na mnie wściekły.

- Na pewno uda ci się go udobruchać - pocieszyła.

- Masz swoje sposoby.

- Pewnie, ale co ja bym zrobiła bez ciebie? Moja kochana Melly nie rozumie mnie aż tak dobrze, jak ty.

- Jest po prostu z innej gliny. Przyjdźcie dziś do nas na kolację - zaprosiła Kirby, nie mogąc się pozbyć wyrzutów sumienia, związanych z Rembrandtem.

- Bardzo chętnie, słonko, ale niestety mam spotkanie. Jutro może być?

- Jak najbardziej, zapraszamy. Mam zadzwonić do Melly?

- Zobaczę się z nią dziś po południu, więc przekażę jej zaproszenie. Podziękuj Adamowi ode mnie, dobrze? Co za pech, że jestem za stara, żeby okazać mu swoją wdzięczność tylko za pomocą naszyjnika z krokodylich zębów...

Śmiejąc się serdecznie, Kirby odłożyła słuchawkę.

Słońce oświecało jej sukienkę, wydobywając głębię barwy, rozświetlając złoto kolczyków i brzęczących bransoletek. Wiedząc, że nie będzie mieć lepszego światła, Adam pracował bez wytchnienia, w ogóle nie zwracając uwagi na upływ czasu.

- Adamie, jeśli zerkniesz na zegarek, przekonasz się, że minęło już dużo więcej czasu niż te ustalone dwie i pół godziny - odezwała się wreszcie jego modelka.

Ignorując ją, nie przerwał na moment malowania.

- Nie wytrzymam tu nawet sekundy dłużej - narzekała. - Bolą mnie ramiona -

oznajmiła, wyciągając ręce wysoko ku górze.

- Mogę teraz popracować nad tłem - zgodził się niechętnie. - Ale potrzebuję jeszcze ze trzy godziny w porannym świetle - zapowiedział.

Podniósłszy się, przeciągnęła się jak kotka, po czym podeszła do sztalug, by ocenić postęp prac.

- Fantastycznie oddajesz grę światła - pochwaliła. - Podoba mi się też dobór kolorów, suknia zdaje się płonąć w promieniach słonecznych. - Przyjrzała się dokładnie rysom twarzy, jakie nadał jej portretowi.

- Nie rozumiem tylko, czemu wyglądam na taką kruchą i delikatną.

- Być może zauważyłem w tobie coś, czego sama nie jesteś świadoma - zasugerował, nie przerywając pracy.

Jako że nie podniósł spojrzenia, nie mógł zauważyć ogromnego zdumienia, jakie odmalowało się na jej twarzy.

Splótłszy dłonie, odeszła na kilka kroków. Muszę to zrobić jak najszybciej, myślała gorączkowo. Muszę, nie mam innego wyjścia.

- Adamie... - zaczęła.

Mruknął coś w odpowiedzi, nie odwróciwszy się w jej kierunku.

- Kocham cię - wyrzuciła z siebie.

- Hmm... - mruknął ponownie.

Niektóre kobiety byłyby zdruzgotane taką reakcją, inne z kolei wpadłyby wściekłość, Kirby natomiast roześmiała się serdecznie.

- Adamie, czy mógłbyś na moment poświęcić mi całą swoją uwagę? - poprosiła cierpliwie. - Właśnie powiedziałam, że cię kocham.

Za drugim podejściem wreszcie dotarło do niego znaczenie jej słów, bo umoczony w czerwonej farbie pędzel zawisł w powietrzu. Powoli odłożywszy go, Adam odwrócił się ku niej, uśmiechając się niepewnie.

- Nie mówię tego, żeby wywierać na tobie jakąkolwiek presję - pospieszyła z zapewnieniem. - Pomyślałam tylko, że masz prawo to wiedzieć. Wiem, że znamy się krótko, ale czasem tak się zdarza, nie jestem w stanie nic na to poradzić. Oczywiście niczego od ciebie nie oczekuję, ani teraz, ani w dłuższej perspektywie. - Gdy nadal się nie odzywał, wpadła w panikę. - Muszę się przebrać - zapowiedziała, wycofując się. - Już dawno minęła pora obiadowa.

Była już prawie przy drzwiach, gdy zdążył ją zatrzymać. Położywszy dłonie na jej ramionach, wyczuł w nich ogromne napięcie, co dało mu do zrozumienia, iż szczerze wyznała mu swoje uczucia. Czuł instynktownie, że dotąd żadnemu mężczyźnie nie uczyniła takiego wyznania.

- Kirby, jesteś najbardziej wyjątkową kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Ciekawe, ciągle to słyszę od różnych osób.

- Roześmiała się nieszczercze. - Idziesz na dół, czy mam ci przysłać obiad tutaj?

- Nie znam nikogo, kto byłby zdolny złożyć tak proste wyznanie miłości, po czym od razu wyjść, nie oczekując nic w zamian. Od samego początku czymś mnie zaskakiwałaś. -

Pocałował ją lekko w czubek głowy. - Czy dasz mi szansę wypowiedzieć się w tej sprawie?

- Nie ma takiej konieczności.

- Właśnie że jest. - Odwróciwszy ją przodem do siebie, ujął jej twarz w dłonie. - Ja też cię kocham.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałeś tego z litości - odparła, spoglądając mu w oczy. -

Nie zniosłabym tego.

Jego pierwszym odruchem było powiedzenie tych wszystkich czułych, słodkich słów, których kobiety oczekują w wyznaniach miłości, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Kirby była przecież inna niż wszystkie kobiety, z którymi miał do tej pory do czynienia.

- Jeśli nie brałaś pod uwagę wzajemności, to radzę, żebyś to jeszcze raz przemyślała.

Rozważywszy w milczeniu jego słowa, powoli uśmiechnęła się, a jej ramiona rozluźniły się.

- Sam tego chciałeś - ostrzegła, spoglądając na niego ciało.

- Owszem i będę musiał jakoś z tym żyć.

- Och, Adamie, żebyś ty wiedział, jak bardzo cię potrzebuję - wyznała niespodziewanie, tuląc się do niego mocno.

- Wiem - szepnął. - Wiem...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jej ojciec mawiał nie raz, że największym błogosławieństwem w życiu jest kochać i być kochanym. Teraz Kirby miała okazję przekonać się co do prawdziwości jego słów. Było to dla niej nieznanе doświadczenie, potrzebowała czasu, aby się do niego przyzwyczaić, aby w pełni to poczuć i zrozumieć, teraz czuła jednocześnie przestrasz i niezmierną radość. Była do tej pory szczęśliwa, ale teraz los zaoferował jej coś dodatkowego. Owszem, będzie musiała zapłacić za to pewną cenę, utraci niezależność, część bezgranicznej lojalności, jaką miała wobec ojca, będzie musiała oddać swemu mężczyźnie, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że zyska nieporównywalnie więcej. Śmiech o północy, czułe słowa nad ranem, wspierająca ją silna dłoń, możliwość dzielenia radości i smutków z kimś wyjątkowym - oto, co będzie jej dodane.

Miłość oznaczała dzielenie się wszystkim bez wyjątku z ukochaną osobą, cokolwiek posiadała czy czuła, Adam miał do tego takie samo prawo, jak i ona. Nie mogąc skupić się na pracy, postanowiła go odszukać i porozmawiać z nim.

Zawsze lubiła wczesne wieczory, kiedy po skończonej pracy mogła się oddać rozmyśleniom, siedzieć przy kominku czy też spacerować. Teraz wreszcie miała z kim dzielić ten magiczny czas. Stanąwszy przed drzwiami do pokoju Adama, podniosła rękę, aby zapukać, ale dochodzące stamtąd głosy sprawiły, że zmieniła zdanie. Może Adamowi udało się wciągnąć jej ojca w rozmowę i wydobydzie z niego jakieś cenne szczegóły, dotyczące obrazu Rembrandta? Podczas gdy wahała się, co powinna zrobić, rozległo się głośnie stukanie do głównych drzwi wejściowych, więc wzruszyła ramionami i zeszła na dół.

Tymczasem Adam przełożył nadajnik z jednej ręki do drugiej.

- Nie miałem okazji się skontaktować z tobą - wyjaśnił. - Poza tym nie mam żadnych nowych informacji.

- Zgodnie z umową, masz się meldować codziennie - warknął McIntyre. - Już myślałem, że coś ci się stało.

- Gdybyś poznał tych ludzi, zrozumiałbyś, że to, co przed chwilą powiedziałeś, jest kompletnie pozbawione sensu.

- Niczego nie podejrzewają?

- Nie.

- Opowiedz mi o pani Merrick i o Hillerze - polecił.

- Harriet jest szalenie czarującą i nietuzinkową kobietą - zaczął.

Nie zamierzał opowiadać o tym, co on i Kirby robili poprzedniego wieczoru w galerii.

Już to sobie przemyślał i uznał, że nie ma to bezpośredniego związku z zadaniem.

- Natomiast Hiller to padalec. Gdybym się wczoraj w porę nie zjawił w bibliotece, kto wie, czy nie pobiłby Kirby.

- Za co? - zainteresował się McIntyre.

- Poszło o Rembrandta. Hiller nie wierzy, że ojciec jej nie wtajemniczył w tę sprawę.

To typ człowieka, który uważa, że ma prawo uciekać się do przemocy, jeśli chce coś uzyskać.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że to podły drań - skomentował McIntyre, zauważywszy zmianę w tonie głosu Adama. Miał nadzieję, że ten nie zaangażował się emocjonalnie. - Dowiedziałem się czegoś o Victorze Alvarezie.

- Daj sobie z nim spokój - poradził Adam. - Ten ślad do niczego nie prowadzi, już to zdążyłem ustalić.

- Skoro tak mówisz...
- Wierz mi. Chciałbym postawić pewien warunek.
- Jaki warunek? - zaniepokoił się McIntyre.
- Kiedy znajdę Rembrandta, resztą zajmę się sam według własnego uznania.
- Jak to, według własnego uznania?! Słuchaj, Adam...
- Albo zrobię po swojemu - przerwał mu stanowczo. - Albo znajdź sobie kogoś innego to wykonania tego zadania. Dostarczę ci obraz, Mac, ale nie chcę, żebyś w to mieszał

Fairchildów.

- Mam ich w to nie mieszać? - powtórzył tamten z niedowierzaniem. - Jak mam niby to zrobić, skoro sami się w to zamieszali?
- To już twój problem.
- Zdaje się, że to dom wariatów, a ich szaleństwo jest zaraźliwe - skomentował

McIntyre.

- Trafiłeś w samo sedno. - Roześmiał się Adam.
- Odezwę się do ciebie. - Wyłączył nadajnik.

Gdy Kirby otworzyła drzwi wejściowe, ujrzała w nich Ricka Potts.

- Witaj, Rick. - Wyciągnęła ku niemu dłoń, choć wiedziała, że jego ręka będzie cała spocona z nerwów.
- Papa wspominał, że się ciebie spodziewa.
- Dobry wieczór, Kirby - wykrztusił z trudem.
- Pięknie wyglądasz. - Podał jej bukiet podwiędłych goździków.
- Dziękuję. - Uśmiechnęła się na widok kwiatów.

- Chodź, zdobie ci drinka. Pewnie jesteś zmęczony po podróży. Cardsa, czy mógłbyś zająć się bagażem pana Potts? Papa zaraz zejdzie. - Nie dała mu dojść do słowa. - Od jakiegoś czasu poświęca całe dni swemu nowemu hobby. Jestem pewna, że z przyjemnością ci o nim opowie. - Podawszy mu szklankę whisky z wodą i lodem, gestem zaprosiła, by usiadł. - Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze - wykrztusił z trudem, łyknąwszy drinka. - To znaczy, w zeszłym tygodniu byłem trochę przeziębiony, ale już czuję się dużo lepiej. Gdybym zarażał, na pewno bym nie przyjechał,

żeby cię nie narazić na niebezpieczeństwo.

- To bardzo miło z twojej strony - zauważyła, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Jak ci idzie praca?

- A, dziękuję, nieźle, powinno wystarczyć na wiosenną wystawę.

- To świetnie - ucieszył się, choć do końca nie rozumiał jej rzeźb, niektóre nawet napawały go przerażeniem. - Wybierasz się może do Nowego Jorku?

- Tak, nawet niedługo - odparła, siadając obok. - Pewnie zostanę tam z tydzień.

- W takim razie bardzo chciałbym... to jest, jeśli będziesz miała czas, oczywiście... -

Jednym haustem dopił drinka. - Jeśli oczywiście zechcesz... chciałbym zaprosić cię na kolację.

- To bardzo miło z twojej strony. - Powtórzyła.

Stojąc w drzwiach, Adam z rozbawieniem przyglądał się tej scenie. Był gotów założyć się, że jeszcze chwila, a ten zapatrzony w nią dziwny facet bez ostrzeżenia rzuci się jej do stóp.

Kirby podniosła wzrok.

- Adam! - ucieszyła się. - Miałam nadzieję, że zejdiesz. Rick, to jest Adam Haines.

Adamie, zdaje się, że papa niedawno wspominał ci o Ricku Pottsie?

Powiedziała to tak wyraźnie, że od razu domyślił się, iż powinien łagodnie potraktować przybysza.

- Oczywiście, Philip wspominał, że przyjeżdżasz na parę dni. - Uścisnął spoconą dłoń.

- Kirby mówiła, że jesteś świetnym akwarelistą.

- Tak powiedziała? - Rick wyglądał na zaskoczonego.

- Porozmawiacie sobie po kolacji - wtrąciła się. - Dajmy Rickowi odpocząć po podróży. Rick, umieściliśmy cię w tym pokoju, co zwykle.

- Dziękuję, Kirby.

Poczekwała, aż zniknął za zakrętem korytarza, po czym podeszła do Adama i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie cierpię się powtarzać, ale kocham cię - wyznała.

Ująwszy jej twarz w dłonie, pocałował ją lekko.

- Powtarzaj, ile masz ochotę, bardzo mi to pochlebia. Twój widok zapiera mi dech w piersi. Nie dziwię się, że przy tobie Rick Potts zamienia się w trzęsącą się galarete.

- Wolalabym, żebyś to ty trzął się na mój widok jak galareta.

Roześmiał się.

- To kiedy zamierzasz mu powiedzieć, że jestem zazdrosnym kochankiem ze sztyletem w skarpetce?

- Jeszcze nie wiem, ale naprawdę robię to dla jego dobra. - Sięgnęła po szklankę wody. - Czy udało ci się dowiedzieć czegoś jeszcze od papy?

- Nie. A czemu pytasz? - zdziwił się.

- Zanim zjawił się Rick, szłam, żeby się z tobą zobaczyć. Stojąc pod twoimi drzwiami, usłyszałam twój głos i domyśliłam się, że rozmawiacie.

- Nie naciskałem go, nie chciałem, żeby czuł się pod presją - odparł wymijająco, starając się nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

- Pewnie masz rację, zwłaszcza, że papa potrafi się zaciąć, kiedy go się za bardzo naciska. Posiedźmy chwilę przed kominkiem - zaproponowała, prowadząc go na sofę.

Siadając obok niej, marzył, żeby wszystko było takie proste, jak się na pozór wydawało.

Minęło parę godzin zanim znów siedzieli w salonie, tym razem jednak w towarzystwie Fairchilda i Ricka, którzy od czasu kolacji zapamiętale dyskutowali o sztuce i technikach malarskich. Ośmielony dwoma kieliszkami wina oraz szklanką brandy Rick obsypał prace Kirby zaskakująco wyszukanymi komplementami. Uszy Philipa Fairchilda poczerwieniały.

- Dziękuję ci, Rick. - Uśmiechnęła się czarująco. - Na pewno chciałbyś zobaczyć najnowszą pracę papy. To jakiś ptak, rzeźbiony w glinie, prawda, papo?

- Jakiś ptak? Jakiś ptak? - Jej ojciec poderwał się na równe nogi. - To jastrząb, ty niewdzięczna córko! Jastrząb, najprawdziwszy ptak drapieżny.

Rick, przyzwyczajony do ich rozlicznych sporów, próbował załagodzić sytuację.

- Bardzo chętnie zobaczę pańską rzeźbę, Panie Fairchild - zapewnił solennie.

- Z przyjemnością ci ją pokażę. - Gospodarz dopił drinka. - Zamierzam podarować ją galerii Metropolitan.

Kirby prychnęła.

- Naśmiewasz się z rodzzonego ojca? - oburzył się.

- Nie masz zaufania do tych rąk? - Podniósł dłonie.

- Do tych samych rąk, które trzymały cię tuż po twym narodzeniu?

- Ależ nigdy nie przeczyłam, że twoje dłonie to ósmy cud świata - zapewniła. - Ale zauważyłam, że masz problem z konstrukcją rzeźby. Nie martw się - pocieszyła. - Parę lat praktyki i nabierzesz doświadczenia.

- Ja mam problem z konstrukcją rzeźby, tak?

- powtórzył, mrużąc oczy. - Ja? Zaraz ci pokażę.

Sięgnąwszy do szuflady komody, wyjął kilka nieużywanych talii kart, a następnie bezceremonialnie przełożył porcelanę i cenne szkło ze stolika na podłogę.

- Patrz i podziwiaj - nakazał, wysypując pierwszą talię, po czym zaczął stawiać karty, oparte jedna o drugą w formie łuków. - Proszę, pewna ręka i czujne oko - pochwalił samego siebie, formując parter zamku z kart.

- No to mamy z nim spokój przynajmniej na godzinę - zauważyła pogodnie Kirby, po czym zajęła Ricka rozmową na temat wspólnych znajomych.

Pogawędka toczyła się przez ponad godzinę, a Fairchild wciąż budował zamek, nie odzywając się do nikogo, poza sobą samym.

- Kirby, pójdę już chyba się położyć - oznajmił wreszcie Rick. - Chciałbym jutro zacząć pracę z samego rana.

Kirby wyszła razem z nim, aby sprawdzić, czy wszystko w jego pokoju przygotowane.

- Fascynująca istota z tej mojej córki - zauważył niespodziewanie Fairchild, gdy zostali sami.

- To prawda, fascynująca - przyznał Adam, podchodząc do stolika, aby przyjrzeć się konstrukcji.

- Oczywiście domyślasz się, że jest taka miła dla Ricka, bo nie chce go zranić -

wyjaśnił, nie odrywając spojrzenia od karty, którą za pomocą dwóch palców kładł na kolejnym piętrze budowli. - Jest silną i niezależną kobietą, ale gdy w grę wchodzi uczucia, jest niesłuchanie wrażliwa.

Adam odniósł wrażenie, że karty na stoliku układają się w kształt domu, w którym się znajdowali.

- Jest kilka osób, dla których Kirby poświęciłaby wszystko - ciągnął Fairchild. - Do tej grupy należy Rick, a także Melanie i Harriet. No i ja. Tak, ja - powtórzył miękko. - W

związku z tym historia z Rembrandtem jest dla niej taka trudna. Kirby jest rozdarta pomiędzy miłością i lojalnością wobec mnie oraz wobec kobiety, która przez tyle lat zastępowała jej matkę.

- Cóż, wcale jej tego nie ułatwiasz - zarzucił mu Adam, zwalczywszy chęć zdemolowania karcianej konstrukcji. - Dlaczego nie wyjaśnisz jej tej sytuacji? Może zrozumie?

- Czasem lepiej żyć w nieświadomości. W tym przypadku, im mniej wie, tym lepiej dla niej.

- Nie wiem, czy to najlepsze podejście - wyraził wątpliwość Adam.

- W obecnej sytuacji chyba najlepsze - ocenił Fairchild. - Domyślam się, że zgodziła się wyjść za Stuarta, bo uważała, że nigdy nie spotka mężczyzny, którego mogłaby pokochać całą sobą. Oczywiście, to kompletna bzdura. - Sięgnął po swego drinka, przypatrując się z zadowoleniem karcianej konstrukcji. - Kirby potrafi kochać z wyjątkowym poświęceniem i oddaniem, a kiedy kocha, jest szczególnie wrażliwa. - Po raz pierwszy od jakiegoś czasu spojrzął Adamowi prosto w oczy. - Po śmierci matki była kompletnie zdruzgotana. Nie chciałbym drugi raz zobaczyć jej w takim stanie.

Adam długo się zastanawiał, co w tej sytuacji powiedzieć.

- Nie chcę jej skrzywdzić - wyznał wreszcie. - Zrobię wszystko, żeby oszczędzić jej wszelkich rozczarowań i cierpienia.

Fairchild przyjrzał mu się uważnie.

- Wierzę ci - oznajmił wreszcie. - Mam nadzieję, że uda ci się uchronić ją przed cierpieniem, Ale niewiele możesz zrobić, prawda? Teraz jest już za późno, by zmieniać reguły gry.

- Wiesz, po co tu jestem, prawda? - domyślił się, spoglądając na zarumienioną twarz Philip.

Fairchild z cichym śmiechem powrócił do budowania konstrukcji z kart.

- Załóżmy na razie, że przyjechałeś tu malować i obserwować. - Położył kolejną kartę.

- Idź do niej. Masz moje błogosławieństwo, jeśli go potrzebujesz. Zadanie niemal skończone, wkrótce będziemy musieli zająć się jego konsekwencjami. Mam dla ciebie jedną radę, mój chłopcze: jeśli chcesz ją zatrzymać przy sobie, bądź równie uparty, jak i ona.

Kirby powoli przeciągała szczotką po włosach, przysłuchując się cichej muzyki jazzowej.

Słyszając stukanie do drzwi, westchnęła głęboko.

- Rick, proszę, idź do łóżka - zasugerowała. - Jutro nie będziesz mógł mi spojrzeć w oczy.

Adam otworzył drzwi. Na chwilę zatrzymał się, przypatrując się siedzącej przy toalecie kobiecie, odzianej w beżowy jedwab i kremową koronkę. Bez słowa zamknął za sobą drzwi i zablokował zamek.

- Ojej - westchnęła, odłożywszy szczotkę.

- W dzisiejszych czasach kobieta nie może być nigdzie bezpieczna.

Podszedłszy bliżej, Adam przykucnął i otoczył ją ramionami.

- Przechodziłem tędy, więc pomyślałem, że zajrzę. - Gdy uśmiechnęła się, pocałował ją lekko.

- Kocham cię, Kirby. Kocham cię bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek na świecie.

Proszę cię, pamiętaj o tym.

- Postaram się zapamiętać, ale nic nie zaszkodzi, jak mi od czasu do czasu przypomnisz - wyszeptała prosto w jego usta. - A może... - Odsunęła się o krok, po czym powoli zaczęła rozluźniać jego krawat. - Może to ja ci powinnam przypomnieć, że cię kocham?

Przyglądał się, jak krawat spada na podłogę.

- To całkiem niezły pomysł - ocenił, gdy zsuwała mu z ramion marynarkę.

- Masz dziś za sobą pracowity dzień. - Rzuciła marynarkę w kierunku fotela. - Może powinnam cię trochę porozpieszczać?

- Czemu nie...

Poprowadziła go do łóżka, po czym lekko pchnęła, dając tym samym sygnał by się położył, a następnie zdjęła mu buty i skarpetki.

- Rozpieszczanie w małych dawkach bywa bardzo pożyteczne - zauważyła, masując mu stopy.

Na zmianę delikatny oraz silny dotyk jej dłoni sprawiał mu ogromną przyjemność, był

jednocześnie relaksujący i podniecający, tak że Adam nie mógł się zdecydować, czy leżeć i rozkoszować się, czy może raczej przejąć inicjatywę. Zanim jednak zdążył rozważyć obydwie opcje, Kirby pochyliła się i zaczęła rozpinać jego koszulę.

- Czy już zdążyłam powiedzieć, że wszystko mi się w tobie podoba? - zapytała, wyciągając poły koszuli zza paska spodni.

- Nie przypominam sobie.

Leniwym ruchem przesunęła dłonie wzdłuż jego nagiej klatki piersiowej.

- Podoba mi się to, jak wyglądasz. - Zsunęła mu koszulę z ramion. - Podoba mi się twój zapach. - Pochyliła się, by pocałować go w policzek. - Podoba mi się twój sposób myślenia. - Pocałowała go w brodę. - I podoba mi się, jak smakujesz. - Powoli zsunęła mu spodnie z bioder. - Nic bym w tobie nie zmieniła. Kiedyś myślałam, że nigdy nie spotkam mężczyzny, który odpowiadałby mi w stu

procentach. Na szczęście myliłam się.

Gdy jej usta dotknęły jego warg, Adam otoczył ją ramionami i przytulił tak mocno, jak tylko się dało. Była jego, bezwarunkowo, bez udawania, chciała do niego należeć i wcale tego nie ukrywała. Czuł się rozpieszczony, doceniony, był jej niezmiernie wdzięczny za tę miłość, jaką mu okazywała. Za wszelką cenę pragnął ją uszczęśliwić, tak by nie miała wątpliwości co do jego uczuć.

Kirby nie wątpiła nawet przez moment, że ją kochał, czytała to w jego dotyku i w jego pieszczotach. Czuła się przy nim bezpieczna, wiedziała, że nie tylko obroni ją w niebezpieczeństwie, ale zaakceptuje jej życiowe wybory, nie będzie oczekiwał, aby się dla niego zmieniła.

Jeszcze nigdy Adam nie był z kobietą, która by obdarzyła go taką czułością, która pieściłaby go tak delikatnie i z tak ogromnym oddaniem. Tak bardzo pragnął jej się odwzajemnić, dać jej rozkosz, jakiej jeszcze nigdy nie doznała. Marzył o tym, aby ta chwila nigdy się nie skończyła, by tak mógł trzymać ją w ramionach w nieskończoność. Z

westchnieniem wtulił twarz w jej miękkie, puszyste włosy...

Chwila trwać nie chciała. Tuląc Kirby do siebie, Adam ze smutkiem rozmyślał o tym, co powiedział Fairchild, a także o tym wszystkim, co musiał oraz czego nie mógł zrobić. Nie wiedział nawet, ile czasu mu pozostało.

- Adamie... - wyszeptała Kirby, ale położył palec na jej ustach.

- Proszę, nic nie mów. - Poglądził ją po policzku. - Chcę cię zapamiętać taką, jak w tej chwili, odprężoną, jeszcze rozpaloną miłością, z promieniami księżycy we włosach.

Tak bardzo się obawiał, że już nigdy nie zobaczy jej w takiej sytuacji, że nigdy nie poczuje ciepła jej ciała, że nie ujrzy jej uśmiechniętych oczu tuż, tuż przy jego twarzy.

Przerażony, przycisnął ją mocno do siebie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed upływem trzydziestu minut Kirby miała już dosyć pozowania, ale nakazała sobie cierpliwość, ponieważ zobowiązała się, iż poświęci Adamowi dodatkowe dwie godziny, chciała dotrzymać słowa. Aby nie rozmyślać o tym, jak długo jeszcze ma stać beczynnie, skupiła się na obmyśleniu konstrukcji rzeźb, które chciała w najbliższym czasie wykonać.

Ciepłe promienie słoneczne, padające przez wysokie okna pracowni, rozleniwiły ją na tyle, że parę razy jej świadomość odpłynęła.

- Kirby! - Adam zawołał po raz trzeci, zanim spojrzała na niego, mrugając powiekami.

- Czy mogłabyś zaczekać z drzemką do zakończenia sesji?

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem. - Zamyśliłam się.

- Skoro myślenie tak cię nuży, to może na jakiś czas daj sobie z tym spokój - mruknął.

- Przechylił głowę na prawo, tak jak prosiłem. Ciągłe zmieniasz pozycję.

- Dręczyciel - odparowała, ale posłusznie przechyliła głowę.

Adam malował z entuzjazmem, bez wytchnienia, gdyż za wszelką cenę chciał zdążyć z dokończeniem obrazu zanim podejmie jakiegokolwiek kroki, zmierzające do wypełnienia zadania, z jakim przysłał go McIntyre.

- Lepiej się przyzwyczaj do pozowania - poradził.

- Mam już parę nowych pomysłów, które chcę zrealizować po ślubie.

Zakręciło jej się w głowie. Poczula się do tego stopnia słabo, że nie była w stanie utrzymać dłoni na biodrach, więc opuściła ramiona.

- Na litość boską, Kirby! - zachnął się. - Co ci jest?

- Podniósłszy spojrzenie, zaniepokoił się jej wyglądem.

- Nie sądziłam... Nie wiedziałam, że... - wyjąkała, dotykając dłonią do skroni. -

Potrzebuję chwili przerwy.

Czuła się dziwnie, jak gdyby nagle zabrakło jej powietrza. Miała wrażenie, że coś jej odebrało siłę do trzymania się prosto.

Adam przypatrywał jej się spod zmarszczonych brwi. Nie wyglądała najlepiej, na jej policzki wypłynęły nienaturalne rumieńce, a poza tym wyglądała, jak gdyby za chwilę miała stracić równowagę.

- Źle się czujesz? - zapytał, podchodząc i obejmując ją w talii.

- Nie. - Pokręciła głową. - Jestem tylko trochę zmęczona. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Nie wiedziałam, że chcesz się ze mną ożenić.

- Kocham cię, Kirby - powiedział łagodnie.

- Uznałaś mnie kiedyś za konwencjonalnego - przypomniał, gładząc ją po włosach. -

Tak, jestem tradycjonalistą, uważam, że jeśli dwoje ludzi się kocha naturalną konsekwencją jest małżeństwo.

Ledwie skończył to mówić, wpadł w przestach, że być może nie czuje się gotowa do ślubu z nim i że swą przedwczesną propozycją popsuł wszystko.

- Chcę być z tobą do końca życia - wyznał, gdy podniosła na niego zdziwione spojrzenie. - Ale nie będę na ciebie naciskał. Być może powinienem wybrać lepszy czas i miejsce na takie propozycje...

- Nie o to chodzi. - Dotknęła drżącą dłonią jego policzka. - Otrzymałam już do tej pory kilka propozycji małżeństwa, ale... - W jej oczach zalśniły łzy. - Ale żadnej z nich nie oczekiwałam jak twojej. Nie wiem, czemu tak reaguję.

Odetchnąwszy z ulgą, przytulił ją do siebie.

- Wezmę to za dobrą monetę. - Uśmiechnął się.

- Choć nie pogniewałbym się, usłyszawszy proste „tak,,.

- Wiesz przecież, że nie mam w zwyczaju robić prostych rzeczy.

Nagle pracownia zawirowała przed jej oczami.

- Kirby! - zawołał Adam, w ostatniej chwili ratując ją przed upadkiem. - Dobry Boże, przecież tu śmierdzi gazem! - zorientował się nagle. - Musisz natychmiast wyjść na świeże powietrze. Idź! - Popchnął ją w kierunku drzwi, a sam pochylił się nad gazowym grzejnikiem.

Chwiejnym krokiem ruszyła ku drzwiom, które wydawały jej się odległe o kilometr, a nie zaledwie kilka metrów. Pokonawszy tę odległość, miała jedynie tyle siły, aby się oprzeć plecami o drzwi, dysząc ciężko. Powietrze w tej części pomieszczenia wydawało jej się znacznie czystsze, więc napełniwszy nim płuca, nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

- Na Boga, czemu nie wychodzisz? - zdenerwował się Adam, który sam zaczynał czuć się dziwnie. - Uciekaj, gaz ulatnia się coraz bardziej.

- Nie mogę otworzyć drzwi - poskarżyła się, szarpiąc za klamkę.

Podbiegł do niej i odsunawszy ją, sam próbował otworzyć, niestety bezskutecznie.

Niewiele myśląc, sięgnął po krzesło i uderzył nim w okno. Na szkle pokazała się rysa, ale nie pękło,, więc uderzy jeszcze raz i jeszcze raz, aż w końcu szyba roztrzaskała się na drobne kawałki. Szybko wrócił pod drzwi i podtrzymując Kirby w talii, poprowadził ją w kierunku okna.

- Oddychaj - nakazał, przytrzymując jej głowę tuż nad wystającym, niebezpiecznie ostrym kawałkiem szkła.

- Ktoś nas tu zamknął, prawda? - zapytała wreszcie, zaczerpnąwszy kilka głębokich oddechów.

Była inteligentną kobietą, wiedział więc, że nie uwierzy, gdy będzie zaprzeczał.

- Na to wygląda - przyznał.

- Możemy krzyczeć, ale i tak nikt nas nie usłyszy, jesteśmy za bardzo odizolowani od reszty domu.

Chyba nie mamy innego wyjścia, jak czekać, aż ktoś zacznie nas szukać.

- Gdzie jest zawór doprowadzający gaz do grzejnika? - spytał niecierpliwie Adam.

- Zawór? - powtórzyła, przyciskając palce do zamkniętych powiek. - Nie mam pojęcia, zawsze po prostu włączam grzejnik, gdy się zrobi zimno. Czekaj... Na tyłach kuchni są zbiorniki gazu, po jednym na każdą wieżę.

- Musimy stąd jak najszybciej wyjść - zarządził Adam, zerkając z niepokojem na grzejnik.

- Ale jak? Drzwi zamknięte, a skoku w cynie Jamiego chyba nie przeżyjemy - odparła, spoglądając na leżące wśród kwiatów roztrzaskane krzesło.

Odnalazłszy przycisk, Adam uruchomił mechanizm, otwierający wejście do labiryntu korytarzy.

- Tędy. - Wskazał ruchem dłoni.

- O, nie, nie idę! - zaparła się. - Za żadne skarby świata! - Potrząsnęła głową, gdy pociągnął ją za łokieć.

- Nie wygłupiaj się!

Już udało mu się ją przyciągnąć w pobliże otworu w ścianie, gdy ostatkiem sił

wyszarpnęła się.

- Idź sam, ja tu poczekam, aż wrócisz i otworzysz drzwi - oświadczyła stanowczo.

- Posłuchaj mnie! - Potrząsnął jej ramionami.

- Nie wiem, ile czasu zajmie mi odnalezienie drogi w tej ciemności. Zanim zdążę wrócić po ciebie, możesz już nie żyć, nałykałaś się dużo gazu! Poza tym to stary grzejnik, jeśli dojdzie do zwarcia, wieża wyleci w powietrze.

- Nie wejdę! - zawołała, drżąc z przerażenia.

- Boję się, nie rozumiesz?

- Mam nadzieję, że w takim razie zrozumiesz mnie - mruknął, po czym wymierzył jej cios w szczękę, tak że bezgłośnie osunęła mu się w objęcia.

Przerzuciwszy ją sobie przez ramię, wszedł do labiryntu. Zamykające się drzwi odcięły zarówno gaz, jak i światło, więc musiał poruszać się po omacku. Najważniejsze, by przebył bezpiecznie schody, nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby się potknął i spadł razem z Kirby ze stromych kamiennych stopni.

Słyszając szmer przebiegających szcurów, był nawet zadowolony, że Kirby była nieprzytomna, bo w

przeciwnym razie byłoby mu trudno nad nią zapanować. Nie miał

wątpliwości, że zwisające gęsto z sufitu pajęczyny także wpędziłyby ją w histerię.

Gdy już pokonał wszystkie schody, okazało się, że odnalezienie działającego mechanizmu także było nie lada wyczynem, gdyż pierwszy przycisk nie funkcjonował.

Zakławszy pod nosem, ruszył w poszukiwaniu kolejnego. Po kilkudziesięciu krokach natrafił na następny przycisk i mechanizm uruchomił się z charakterystycznym skrzypieniem.

Przedostawszy się przez wąski otwór, przez moment stał w miejscu, oślepiiony promieniami słonecznymi, zaraz jednak ruszył szybkim krokiem między pokrytymi białym płótnem sprzętami.

Na pierwszym piętrze natknął się na Cardsa, który szedł z naręczem czystej bielizny pościelowej.

- Zakręć dopływ gazu do pracowni Kirby - polecił, nie zwalniając kroku. - I nie pozwól się nikomu tam zbliżyć.

- Dobrze, panie Haines - odparł kamerdyner bez zbędnych pytań.

Złazłszy się w pokoju Kirby, położył ją na łóżku, a następnie podszedł do okna, aby wpuścić świeże powietrze. Ogarnęły go mdłości, toteż wziął kilka głębokich oddechów. Gdy poczuł się lepiej, powrócił do Kirby. Wciąż leżała w bezruchu, tylko jej policzki z rumianych stały się blade. Przestraszony, przyłożył kciuk do jej szyi, chcąc sprawdzić puls. Na szczęście serce biło rytmicznie, więc poszedł do łazienki i zmoczył ręcznik zimną wodą, a następnie przetarł nim twarz Kirby.

Najpierw zakaszłała mocno, po czym otworzyła oczy i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Uderzyłeś mnie!

Słyszac oburzenie w jej głosie, roześmiał się z ulgą.

- Uderzyłem? Ależ skądże znowu, ledwie cię dotknąłem.

- Akurat - mruknęła, siadając. Zakręciło jej się w głowie, ale zamknawszy oczy, przeczekała najgorsze objawy. - Należało mi się - przyznała z bladym uśmiechem. -

Przepraszam, że tak histeryzowałam.

- Wystraszyłaś mnie - westchnął, opierając czoło o jej policzek. - Jesteś chyba jedyną kobietą, która w przeciągu pięciu minut otrzymała propozycję małżeństwa i cios w szczękę.

- Komplikacje to moja specjalność. - Położyła głowę na poduszkach. - Odciałeś dopływ gazu?

- Cards się tym zajął.

- Świetnie. - Zaczęła nerwowo skubać narzutę. - To chyba pierwszy raz ktoś próbował mnie zabić.

Fakt, że zdawała sobie z tego jasno sprawę, bardzo ułatwiał sprawę, przynajmniej Adam nie musiał jej tego uświadamiać.

- Najpierw zadzwonimy po lekarza. - Pogłodził ją po policzku. - A potem na policję.

- Nie potrzebuję lekarza. Trochę mi się kręci w głowie, ale to przejdzie. - Ujęła jego dłoń obydwoma rękami. - I wiesz, że nie możemy zadzwonić na policję.

- Kirby, to standardowe postępowanie w przypadku próby zabójstwa - wyjaśnił, widząc upór w jej oczach.

- Będą zadawać irytujące pytania i szperać po całym domu. - Skrzywiła się. -

Widziałam to w filmach.

- To nie film, to życie! - zachnął się. - Kirby, przecież mogłaś zginąć. Gdybyś była tam sama, już byłoby po Tobie! Nie pozwolę, żeby następna próba mu się powiodła.

- A więc myślisz, że to Stuart? Może masz rację, choć nie sądziłam, że jest wystarczająco przebiegły. Z drugiej strony, to tylko domysły, nie możemy mu nic udowodnić.

- To się jeszcze okaże - mruknął.

Z tęsknotą myślał o chwili, gdy uda wreszcie dostanie Hillera w swoje ręce i odpłaci mu za wszystko, co jej uczynił.

- Nie wiedziałam, jakie to przyjemne, gdy się ma żadnego krwi obrońcę. - Pogłaskała go po policzku. - Po co mi policja, skoro mam ciebie?

- Nie próbuj mnie wymanewrować.

- Wcale nie próbuję - spoważniała. - Przecież wiesz, że nie możemy wezwać policji.

Nie byłabym w stanie odpowiedzieć na większość ich pytań. Papa musi najpierw zakończyć sprawę Rembrandta, inaczej naraziłabym go na poważne kłopoty. Za nic nie podejmę tego ryzyka.

- Twój ojciec nie pójdzie do więzienia - zapewnił. Był gotów uczynić wszystko, co w jego mocy, aby Philip Fairchild nie znalazł się w więzieniu, nie mógł jednak tego teraz powiedzieć. - Czy sądzisz, że ojciec kontynuowałby swoją... działalność, gdyby wiedział o tym, co się stało?

- Nie jestem w stanie przewidzieć jego reakcji. Nie wiem, czy ze złości nie zniszczy Rembrandta albo nie zaatakuje Stuarta. Proszę, nie mów mu na razie nic. - Spojrzała na niego błagalnie. - Pozwól, że sama mu to powiem, na swój sposób. Poza dziś wieczorem na kolację przychodzą Harriet i

Melanie.

- Jak on może siedzieć z Harriet przy jednym stole, skoro ukradł jej obraz - obruszył

się Adam. - Jak w ogóle mógł zrobić coś takiego przyjaciółce?

- Nie wiem - odparła krótko, spuściwszy powieki, aby nie zobaczył bólu w jej oczach.

- Przepraszam - zreflektował się.

- Nie przepraszaj, masz prawo zadawać takie pytania. Uważam, że i tak do tej pory zachowujesz się cudownie - pochwaliła.

- Wcale nie - zaprotestował, przyciskając opuszki palców do zamkniętych powiek.

- Pozwól, że ja to ocenię. I daj mi jeszcze jeden dzień. - Ujęła go za nadgarstki, czekając, aż opuści dłonie. - Daj mi dzień. Obiecuję, że porozmawiam z papą. Może uda mi się wszystko wyprostować.

- Dobrze, masz jeden dzień - zgodził się niechętnie. - Jeden dzień i ani chwili dłużej.

Jutro opowiesz ojcu o tym, co się stało, z najdrobniejszymi szczegółami. Jeśli nie zgodzi się załatwić sprawy Rembrandta, spróbuję go przekonać.

- Zgoda.

- A ja zajmę się Hillerem.

- Chyba nie będziesz się z nim bił?!

- A czemu nie? - Uniósł brwi.

- Nie chce, żeby cię posiniaczył - wyjaśniła.

- Dziękuję, że masz we mnie taką wiarę - roześmiał się.

- Mój ty bohaterze! - zawołała, zarzucając mu ramiona na szyję. - Jestem pewna, że będzie bał się ciebie tknąć.

- Przepraszam, panno Fairchild.

- Tak, Cards? - Uśmiechnęła się do stojącego w drzwiach kamerdynera.

- Zdaje się, że krzesło wyleciało przez okno pani pracowni. Niestety, wylądowało na klombie cynii - poinformował.

- Tak, wiem, Podejrzewam, że Jamie jest bardzo niezadowolony.

- Bardzo.

- Strasznie mi przykro, Cards - westchnęła. - Może nowa kosiarka go udobrucha. Czy mógłbyś zatroszczyć się o nowe okno?

- Oczywiście. - Kamerdyner skinął głową.

- I wymień ten przestarzały grzejnik na coś nowoczesnego - dorzucił Adam.

Kątem oka spostrzegł, jak Cards szuka wzrokiem potwierdzenia u Kirby.

- Jak najszybciej, proszę - poparła go. Skinąwszy głową, kamerdyner wycofał się z pokoju.

- Odpocznij trochę - polecił, opuszczając ją z powrotem na poduszki.

- Ależ ja się już dobrze czuję! - zaprotestowała.

- Chcesz, żebym ci znowu przyłożył? - zagroził ze śmiechem. - Odpocznij, bo inaczej będę musiał wezwać lekarza.

- Szantażysta - mruknęła. - A może chciałbyś podpoczywać razem ze mną? -

zapropozowała, podnosząc się, aby pocałować go w usta.

- Już ja widzę ten odpoczynek.

- No dobrze, zdrzemnę się pół godziny - ustąpiła.

- Świetnie. - Wstał. - Wrócę po ciebie.

- Będę czekać. - Uśmiechnęła się.

Adam obserwował z okna w salonie zachód słońca. Czuł się zmęczony utrzymywaniem pozorów, a także półprawdami i kłamstwami. To się musi jak najszybciej skończyć, pomyślał. Jutro. Wymusi na Fairchildzie rozwiązanie sprawy oraz opowie Kirby o wszystkim, o McIntyre, o zadaniu i wszystkim innym. Jeśli jej tego nie powie, może zapomnieć o jakichkolwiek szansach u niej, gdyby przypadkiem dowiedziała się o wszystkim.

Zgodnie z obietnicą udał się do jej pokoju. Stanąwszy pod drzwiami, usłyszał szum wody, a także wesołe nucenie. Odetchnął z ulgą. Przez moment rozważał dołączenie do niej, ale przypomniał sobie, jaka była blada i zmęczona, toteż postanowił odłożyć to na bardziej sprzyjającą porę.

- Gdzie jest to okropne dziewczynisko? - zapytał Fairchild, stając za jego plecami. -

Cały dzień się gdzieś chowa.

- Kąpie się - poinformował Adam.

- Mam nadzieję, że ma przekonujące wytłumaczenie. - Z naburmuszoną miną Philip położył dłoń

na kłamce.

- Wy tłumaczenie czego? - zainteresował się Adam.

- Zaginięcia moich butów.

- Wątpię, żeby je miała.

- Skandal! - zagrział Fairchild. - Człowiek wbija się w garnitur, dusi krawatem, a tu nagle się okazuje, że nie ma butów.

- A pytałeś może Cardsa? - podsunął Adam.

- Cards nie dałby rady wcisnąć swych wielkich angielskich stóp w moje buty. -

Zmarszczył czoło. - Z drugiej strony, to przecież on miał mój smoking.

- Otóż to.

- Ten człowiek to prawdziwy kleptomaniak - skarżył się Fairchild. - Na twoim miejscu, Adamie, sprawdziłbym, czy nie zginęły mi slipki. Za pół godziny podajemy w salonie koktajle, nie spóźnij się.

Adam poszedł się przebrać. Wiązał właśnie krawat, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Zanim zdążył się odezwać, w drzwiach stanęła Kirby. Ubrana w obcisły kombinezon z połyskliwego, miękko układającego się czarnego materiału, wyglądała wyjątkowo ponętnie.

Pięć złotych łańcuszków, otaczających jej talię, dodawało jej egzotycznej elegancji.

Świadoma wrażenia, jakie na nim zrobiła, uśmiechnęła się lekko, po czym przybrała kuszącą pozę.

- Witaj, sąsiedzie.

Kołysząc biodrami, podeszła do niego. Ująwszy ją pod brodę, Adam uniósł jej twarz.

Makijaż zdradzał rękę artystki, doświadczonej w optymalnym doborze kolorów. Róż, podkreślający owal twarzy, nałożony był perfekcyjnie, zaś szminka idealnie dobrana do odcienia jej karnacji.

- Wyglądasz już lepiej - ocenił.

- Stać się na lepsze komplementy.

- Jak się czujesz?

- Czułabym się dużo lepiej, gdybyś przestał się tak ciągle dopytywać o moje zdrowie, jak gdybym cierpiała na jakąś śmiertelną chorobę. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - I gdybyś mnie pocałował, jak należy.

Pochyliwszy się najpierw musnął wargami jej powieki, następnie skronie, a dopiero potem dotknął jej ust.

- Kocham cię - wyszeptała, nie otwierając oczu. - Nie wiem, czy wystarczy mi życia, żeby ci to dostatecznie okazać.

- Mamy przed sobą jeszcze wiele lat. - Odsunął ją lekko, aby móc podnieść do ust jej dłonie. - Całe życie razem.

- Niestety będziemy musieli chyba zaraz zejść do salonu, bo Harriet i Melly powinny się zjawić lada chwila - westchnęła.

- Szczerze mówiąc, wolałbym tu z tobą zostać i kochać się do samego świtu.

- Nie kuś mnie, jeśli nie chcesz, żebym rzuciła ci wyzwanie - ostrzegła ze śmiechem. -

Poza tym odkąd powiedziałam Harriet, że pomogłeś mi z Tycjanem, uważa cię za ósmy cud świata i nie chciałabym, żebyś stracił w jej oczach, spóźniając się na kolację.

- W takim razie chodźmy czym prędzej - zdecydował, podając jej ramię.

Z pozoru Kirby wydawała się kipieć energią, jak zwykle żartowała, droczyła się z ojcem, żywo uczestniczyła w dyskusji na temat współczesnej sztuki, jednakże Adam z niepokojem obserwował ślady silnych przeżyć, jakie dostrzegał na jej twarzy mimo starannego makijażu. Mimo najlepszych starań, nie była w stanie ukryć przed nim bladości policzków ani lekkich cieni pod oczami.

- Adamie. - Harriet ujęła go pod rękę, gdy przechodzili z jadalni do salonu. - Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę portret Kirby.

- Już wkrótce - zapewnił. - Gdy tylko gotowy, będziesz pierwszą osobą, której go pokażę.

- Domyślam się, że nie uda mi się więcej wytargować, prawda? - westchnęła. - Usiądź

przy mnie - poleciała, rozkładając suto marszczoną spódnicę na sofie. - Kirby pozwoliła mi z tobą poflirtować.

Uwagi Adama nie uszedł delikatny rumieniec, który wypłynął na policzki Melanie, zawstydzonej bezpośredniością matki.

- Chyba nie potrzebujemy jej zezwolenia? - roześmiał się, całując dłoń Harriet.

- Czy zechcesz przyjąć naszyjnik z krokodylich zębów jako dowód mojej wdzięczności?

- Na litość boską, mamo! - wtrąciła się Melanie.

- Czemu niby Adam miałby przyjąć takie okropieństwo?

- Bo jest dobrze wychowany - odparowała.

- Adam zgodził się, żebym jako pierwsza pokazała portret Kirby w naszej galerii.

Chcę mu się jakoś odwdziaczyć.

Adam spojrział na nią z podziwem. Harriet wykazała się imponującym refleksem.

Domyślił się, że Melanie nie ma pojęcia o niezwykłym hobby matki i Philip Fairchilda. Nie miał wątpliwości, że nawet gdyby ją wtajemniczono, nie wykazałaby tyle zrozumienia, co Kirby.

- Panie Fairchild, pański jastrząb wygląda bardzo obiecująco - odezwał się wreszcie Rick, który od początku kolacji nie wypowiedział ani słowa.

- Ach, dziękuję! - uradował się Fairchild i zaczął długi, szczegółowy wykład na temat zastosowania suwmiarki w procesie rzeźbienia.

- No to Rick wpadł po uszy - zawyrokowała Kirby.

- Papa nie ma litości dla osób, które wykażą zainteresowanie jego pracą.

- Nie wiedziałam, że wuj Philip zajął się rzeźbą - wtrąciła się Melanie.

- Tylko nie wdawaj się z nim w rozmowę na ten temat, bo nigdy się nie wyrwiesz z jego szponów - poradziła Kirby, przypatrując się jej eleganckiej wrzosowej sukni. - Melly, zastanawiałam się ostatnio, czy nie zgodziłabyś się zaprojektować dla mnie sukni. Melanie podniosła na nią wyraźnie zaskoczone spojrzenie.

- Bardzo chętnie, przecież namawiam cię od lat, tylko zawsze odmawiałaś, bo nie cierpisz przymiarek.

Rzeczywiście, Kirby nie cierpiała stać bezczynnie, podczas gdy upinano na niej materiał, ale suknia ślubna to zupełnie inna historia. Postanowiła jednak na razie nic nie wspominać na ten temat, chciała, aby ojciec jako pierwszy dowiedział się o jej planach.

- To prawda, zwykle kupuję gotowe rzeczy, które wpadną mi w oko.

- Zauważyłam - westchnęła Melanie, przewracając oczami. - A więc to jakaś specjalna okazja?

- Postanowiłam zacząć cię naśladować - odparła wymijająco. - Wiesz przecież, że zawsze cię podziwiałam. Czy sądzisz, że udałoby ci się zaprojektować suknię, w której wyglądałabym grzecznie i skromnie?

- Grzecznie i skromnie? - Harriet powtórzyła z rozbawieniem. - Moja droga, Melanie jest bardzo utalentowana, ale nie jest cudotwórczynią. Nawet jako mała dziewczynka w tej muślinowej sukience na portrecie wyglądałaś tak, jakbyś potrafiła przechytryć najbardziej szczwanego lisa. Philipie, musisz mi koniecznie pożyczyć ten portret Kirby, żebym go mogła wywiesić w galerii.

- Zobaczymy. - Oczy Fairchilda załśniły. - Musisz mnie trochę ponamawiać, jestem do niego bardzo przywiązany. Poza tym jest cenniejszy niż by się wydawało - dodał, nalewając sobie drinka.

- Chyba do końca życia będzie mi wypominał, że kazałam sobie zapłacić za pozowanie. - Kirby uśmiechnęła się pogodnie. - Zapomina, że tylko raz zmusiłam go do wypłacenia honorarium.

- Bo tylko raz udało mi się namówić cię do pozowania - przypomniał jej ojciec. - A Melly pozowała mi za darmo, z dobroci serca.

- To dlatego, że Melly ogólnie jest miłsza ode mnie - podsumowała Kirby. - A ja lubię być samolubna.

Gdy wieczór dobiegał końcowi, a Harriet i Melanie zbierały się do wyjścia, ból głowy sprawiał, że Kirby ledwie widziała na oczy. Miała nadzieję, że sen pozwoli jej pozbyć się tej przykrej dolegliwości. Jak się okazało, Adam podzielał jej zdanie, gdyż ledwie za gośćmi zamknęły się drzwi, pociągnął ją za ramię w kierunku schodów, nic sobie nie robiąc z towarzystwa jej ojca i Ricka.

- Marsz do łóżka - zarządził.

- Nie powinieneś raczej ciągnąć mnie za włosy, a nie za ramię?

- Może następnym razem, gdy moje zamiary będą mniej niewinne niż dziś - odparł. -

Masz się wyspać - nakazał, zatrzymując się przy jej drzwiach.

- Już ci się znudziłam? - udawała urażoną.

W następnej chwili pocałował ją mocno i namiętnie, tak że zmiękły jej kolana.

- Widzisz, jaki jestem tobą znudzony? Naprawdę, strasznie mam cię już dość.

- Może jest coś, co mogłabym zrobić, żeby to zmienić? - Wsunęła dłonie pod jego marynarkę.

- Tak, możesz odpocząć. - Ujął jej ramiona. - To twoja ostatnia szansa, od jutra nie pozwolę ci spać samej.

- To mam dziś spać sama? - Wydeła usta. Wcale nie było mu łatwo wrócić do siebie, z całej siły pragnął pochwycić ją na ręce, wnieść do sypialni i kochać się z nią do utraty tchu, musiał jednak być rozsądny za nich obydwójce. Poza tym chciał wykorzystać ten czas do rozwiązania zagadki, bo marzył, aby wreszcie móc wszystko jej wyznać.

- Może cię to zdziwi, ale nie jesteś Superkobietą - zauważył pogodnie.

- Naprawdę? A to niespodzianka.

- Dlatego potrzebujesz porządnie się wyspać, żeby nabrać sił. - Ucisnął mocno jej dłonie. - A jutro porozmawiamy.

- O czym? - zdumiała się, bo pomimo zmęczenia dostrzegła w nim napięcie, którego przyczyn nie pojmowała.

- Jutro się dowiesz. A teraz idź spać. - Pchnął ją lekko do środka. - Bo jeśli jutro rano nadal będziesz się źle czuła, będę musiał zatrzymać cię w łóżku i rozpieszczać przez cały dzień.

- Obiecujesz? - Uśmiechnęła się zawadiacko.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mimo najszczerzej chęci Kirby nie była w stanie zasnąć. Nie pomogło uklepywanie poduszki, recytowanie w myślach nudnych wierszy ani też liczenie owiec. W odruchu rozpaczy włączyła stojące obok łóżka radio i odszukała program, w którym nadawano muzykę kameralną. Mimo tych wysiłków sen jakoś nie chciał nadejść.

Zrezygnowana, zaczęła się zastanawiać, co też może stanowić przyczynę jej bezsenności. Nie był to strach - jeśli nawet Stuart chciał ją zabić, nie powiodło mu się. Poza tym miała Adama, więc nie musiała się lękać. Nie, stanowczo nie był to strach.

Chodzi o Rembrandta, pomyślała olśniona. Od chwili gdy zobaczyła tego wieczoru Harriet, nie była w stanie myśleć o niczym innym. Przecież Harriet była dla niej jak matka!

Gdy jako jedenastolatka zachorowała na grypę, to właśnie Harriet ją pielęgnowała i znosiła jej humory. Jak więc mogła spać, wiedząc, że gdzieś w domu leży obraz, który należy do Harriet, o czym sama właścicielka nie ma zielonego pojęcia.

Przekręciwszy się na drugi bok, Kirby zdecydowała, że skoro już nie może zasnąć, może równie dobrze spożytkować ten czas na próbę rozwiązania problemu. Była przekonana, że ojciec nie zrobiłby nic, co mogłoby skrzywdzić Harriet. Może chodziło o zemstę na Stuarcie? Nie, niemożliwe - zerwała zaręczyny podczas podróży Harriet do Afryki, a zamiany obrazów musieli dokonać dużo wcześniej. Na pewno nie chodziło o pieniądze ani o chęć posiadania tego obrazu we własnej kolekcji, Kirby doskonale wiedziała, jaki pogląd ma ojciec w kwestii chciwości. Z drugiej strony, kradzież obrazu z kolekcji przyjaciółki również nie było w jego stylu.

Skoro nie potrafiła znaleźć powodu, może udałoby jej się odnaleźć sam obraz?

Zaczęła gorączkowo przypominać sobie wszystko, co ojciec powiedział jej na ten temat.

Obraz był ukryty w domu, w bezpiecznym miejscu, a ojciec stwierdził, że włożył dużo serca w znalezienie odpowiedniej kryjówki... Gdzie to mogło być?!

Zirytowana, ponownie przekręciła się na drugi bok. Była naprawdę zmęczona, powinna starać się zasnąć, a nie roztrząsać setki prawdopodobnych rozwiązań. Zamknąwszy oczy, ziewnęła szeroko. Pomyślę o tym jutro, obiecała sobie, przykładając głowę do poduszki.

Niestety, jakieś bliżej niezidentyfikowane wspomnienie cały czas ją męczyło. Ułożyła się na wznak. Co też ojciec mówił Adamowi następnego wieczoru po zamianie obrazów Tycjana? Wchodząc do

pracowni, usłyszała coś, co wydało jej się teraz istotne. Coś o tym, że jej udział jest symboliczny... Co też to mogło znaczyć?! Już miała się poddać, gdy coś jej zaświtało w głowie.

- To przecież bardzo do niego podobne! - zawołała, zrywając się na równe nogi.

Chwyciwszy szlafrok, wybiegła na korytarz. Może powinna obudzić Adama i opowiedzieć mu o swych podejrzeniach? Z drugiej strony, były to tylko domysły, być może niesłuszne, a przecież Adam także miał za sobą ciężki dzień. Lepiej będzie, jeśli obudzi go dopiero wtedy, gdy dowie się czegoś konkretnego. Miała nadzieję, że się nie myli, bo w przeciwnym razie ojciec rozszarpie ją na kawałki!

Zanim zeszła do jadalni, pobiegła szybko do ojcowskiej pracowni, skąd zabrała terpentynę, szmatkę oraz kilka gazet. Całą drogę odbyła po ciemku, bo nie chciała, aby ktoś zainteresował się, dlaczego biegnie o tej porze po domu zamiast spać. Dopiero gdy dotarła do jadalni, włączyła światło, bo tam mógł dotrzeć jedynie Cards, a on by nie kwestionował jej obecności.

Szybko rozłożyła gazety na stole.

- Jesteś piekielnie sprytny, papo - wyszeptwała, patrząc na swój portret. - W życiu bym nie wpadła na to, że to kopia.

Zdjąwszy portret ze ściany, ułożyła go na gazetach.

- Jest cenniejszy niż by się wydawało - powtórzyła słowa ojca. - Sprytnie, bardzo sprytnie. - Potarła płótno szmatką, nasączoną terpentyną. - Wybacz mi, papo.

Wprawnym ruchem zdejmowała z prawego dolnego rogu płótna warstwę farby.

Zniknął podpis ojca, następnie jasnozielone tło trawy, a na końcu grunt. Pod nim zaś, tam, gdzie powinno być już tylko płótno, ukazało się ciemnobrązowe tło, a na nim litera, obok druga. Wystarczyło.

- A niech to lichy! - mruknęła do siebie. - Jednak miałam rację.

Poniżej stopy dziewczynki znajdował się autograf Rembrandta.

- No, papo, przeszedłeś samego siebie - zauważyła z podziwem, zakręcając butelkę z terpentyną.

- Nikt by na to nie wpadł, że mógłbyś skopiować samego siebie.

- Nikt poza tobą - odezwał się znajomy głos. Odwróciła się na pięcie. Dobrze jej znana postać poruszyła się w ciemnym korytarzu. Kirby nie bała się, ale zastanawiała się gorączkowo, jak ma to wszystko wyjaśnić.

- U was spryt jest rodzinny, prawda?

- Podobno. - Uśmiechnęła się blado. - Pozwól, że wyjaśnię. Lepiej wyjdź z cienia i usiądź - poradziła.

- To długa... - Zamarła na widok wycelowanej w nią lśniącej lufy niedużego pistoletu.

- Melly, o co chodzi?

- Zdziwiłaś się? To dobrze. - Z pełnym zadowolenia uśmiechem Melanie wycelowwała pistolet w jej głowę. - Może jednak nie jesteś aż taka sprytna.

- Proszę, odłóż pistolet.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. - Opuściła lufę na tyle, że teraz wycelowana była w klatkę piersiową Kirby. - A jeśli się ruszysz, naciśnę spust.

- Melly, odłóż to proszę i usiądź. - Nie bała się ani trochę, bo niby czemu miała się obawiać dziewczyny, z którą się wychowywała. - Co ty tu robisz o tej porze?

- Po pierwsze, przyszedłam, żeby odnaleźć obraz, w czym mnie łaskawie wyręczyłaś. Po drugie, żeby dokończyć to, co mi się nie udało dziś rano.

- Dziś rano? - powtórzyła, robiąc krok w jej kierunku. Mechanizm pistoletu szczęknął złowieszczo. - Melly...

- Rozumiem, że pomyliłam się w obliczeniach, inaczej byłabyś już martwa.

Zapomniałaś już, że się świetnie orientuję w tych sekretnych korytarzach, prawda? Kiedy byliśmy małe, zmuszałaś mnie do wchodzenia do nich, pamiętasz. Aż wreszcie zepsuła ci się latarka i przestałaś. Nie wiem, czy wiesz, ale to ja ci podmieniłam wtedy baterie. -

Roześmiała się złowieszczo. - Dziś rano odnowiłam znajomość z korytarzami. Kiedy już upewniłam się, że zabraliście się z Adamem do pracy, zeszałam na dół i odkręciłam zawór gazu. Włącznik popsułam już wcześniej.

- Chyba żartujesz! - Kirby przeczesła palcami włosy.

- Mówię jak najbardziej poważnie.

- Ale dlaczego? - nie rozumiała.

- Głównie dla pieniędzy, oczywiście.

- Dla pieniędzy? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Przecież nie brakuje ci pieniędzy.

- Tak ci się tylko wydaje - syknęła. - Właśnie że mi brakuje.

- Przecież nie chciałaś przyjąć pieniędzy od męża.

- To on nie chciał mi dać ani grosza - poprawiła.

- Miał prawo, udowodnił mi zdradę. Zaproponował cichy, dyskretny rozwód, dzięki któremu nasza reputacja nie ucierpiała. Zgodziłam się, zawsze ceniłam sobie dyskrecję. Stuart i ja byliśmy bardzo uważni.

- Stuart? - powtórzyła Kirby, masując skronie.

- Ty i Stuart?

- Tak, nie domyśliłaś się, prawda? Jesteśmy kochankami od trzech lat. - Melanie przybliżyła się o krok. - Opłacało nam się udawać, że jesteśmy tylko znajomymi.

Przekonałam Stuarta, żeby ci się oświadczył. Twoje pieniądze bardzo by się nam obojgu przydały. Poza tym dzięki temu miałbyś lepszy dostęp do twojego ojca.

- Czego chcecie od niego?

- Parę lat temu odkryłam to małe hobby jego i mojej matki, pomyślałam więc, że mogłabym jakoś spożytkować jego talent.

- Czyli kraść to, co należy do twojej matki!

- Ech, nie bądź taka zasadnicza - zachnęła się Melanie. - Twój ojciec przecież też ją wyrolował, a potem do tego jeszcze i nas. Na szczęście bardzo mi ułatwiłaś sprawę. - Ruchem dłoni wskazała na obraz.

- Powinnam się właściwie cieszyć, że nie udało mi się dziś rano. Gdyby nie ty, pewnie bym nadal szukała.

- Melly, jak mogłaś zrobić coś takiego? - nie rozumiała Kirby. - Przecież całe życie byliśmy przyjaciółkami.

- Przyjaciółkami? - wycodziła tamta. - Odkąd pamiętam zawsze serdecznie cię nienawidziłam.

- Ależ Melly...

- Nienawidziłam cię - powtórzyła. - To zawsze wokół ciebie tłoczyli się mężczyźni.

Nawet moja matka zawsze cię wołała.

- To nieprawda - sprzeciwiła się Kirby. - Melly...

- Zrobiła krok w jej kierunku, ale gdy pistolet ponownie szczęknął, zamarła w bezruchu.

- Melanie, nie bądź taka sztywna i oficjalna... Melanie, gdzie twoje poczucie humoru?

- Zmrużyła oczy. Nigdy wprawdzie nie powiedziała wprost, że powinnam być podobna do ciebie, ale i tak na jedno wychodziło.

- Przecież Harriet cię kocha...

- Kocha mnie? - Melanie roześmiała się cynicznie.

- A co mi z tego przyjdzie? Jej miłość nie kupi mi tego, czego potrzebuję. Zresztą zupełnie mi to nie przeszkadza, że odebrałaś mi matkę, bardziej mnie bolało, gdy zabierałaś mi tych wszystkich facetów sprzed nosa.

- Przecież nigdy ci żadnego nie odebrałam - zaprotestowała Kirby. - Nigdy nie okazałam najmniejszego zainteresowania żadnemu, który ci się naprawdę podobał.

- Nie musiałaś nic okazywać, wystarczyło, że się uśmiechnęłaś i od razu o mnie zapominali. Niestety, jak na złość nie zakochałaś się w Stuarcie. Tak bardzo chciałam, żebyś oszalała na jego punkcie, bo wiedziałam, że on jeden jedyny wolał mnie. Kiedy przysłaś do niego tamtego wieczoru, ledwie się powstrzymałam od wyskoczenia z łóżka, tak bardzo chciałam zobaczyć twój wyraz twarzy.

- Wykorzystałaś mnie - zauważyła cicho Kirby. - Namówiłaś Stuarta, żeby mnie wykorzystał. Dlaczego? Czemu udawałaś przez te wszystkie lata?

- Byłaś bardzo użyteczna. Nawet jako dziecko zdawałam sobie z tego sprawę. Gdy wyjechałam do Paryża, twoje nazwisko otwierało mi każde drzwi. Zresztą podobnie było w Nowym Jorku.

- I to tyle? Jedyny powód?

- Owszem. Teraz nie jesteś mi już do niczego potrzebna. Co więcej, stałaś się bardzo niewygodna. Początkowo planowałam twoją śmierć jako ostrzeżenie dla wuja Philip, ale teraz to już zwykła konieczność. Weź obraz, Kirby - poleciła, wciąż trzymając ją na muszce. -

Tylko ostrożnie, bo jest bardzo cenny, zaoferowano nam za niego całkiem znaczną sumę pieniędzy. Jeśli teraz krzykniesz, zastrzelę cię i zanim się ktoś pojawi, już dawno mnie tu nie będzie.

- Co chcesz zrobić?

- Wejdziemy do labiryntu. Poślizniesz się i złamiesz kark, a ja zabiorę obraz i pojedę do domu, gdzie będę czekać na wiadomość o twoim nieszczęśliwym wypadku.

Kirby nie mogła sobie darować, że jednak nie obudziła Adama. Na pewno nie znalazłaby się w takich tarapatach.

- Widzę, że świetnie to sobie obmyśliłaś, Melly - skomentowała, chcąc zyskać na czasie. - Ale czy naprawdę potrafiłabyś mnie zabić? - Oparła dłonie na stole. - Mam na myśli prawdziwe morderstwo, twarzą w twarz. - Dotknęła butelki z terpentyną. - Takie morderstwo na odległość, jak ta próba dziś rano, to coś zupełnie innego.

- Ależ oczywiście, że bym potrafiła - Uśmiechnęła się. - Nawet wolę taki bezpośredni sposób. No, dalej, bierz obraz, nie mamy czasu.

Kirby szybkim ruchem chlusnęła terpentyną na szyję i sukienkę Melanie. Gdy tamta uniosła dłonie w obronnym geście, rzuciła się na nią, po czym zaczęły się szarpać na podłodze. Pomiędzy nimi tkwił naładowany pistolet.

- To niemożliwe, żeby Hiller był od wczoraj w Nowym Jorku - orzekł Adam. - To, co się stało dziś rano, to nie był wypadek. Jestem pewien, że Hiller maczał w tym palce.

- Wierz mi, Hiller jest w Nowym Jorku - powtórzył z naciskiem McIntyre. - Pilnuje go jeden z moich najlepszych ludzi. Mogę ci podać nazwę jego hotelu i nazwę restauracji, w której jadł lunch, podczas gdy ty rzucałeś krzesłem w okno. Ma świetne alibi, Adamie, ale to nie znaczy, że tym nie kierował.

- Nie podoba mi się to, Mac. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Jeśli Hiller ma partnera, to Kirby znajduje się w większym niebezpieczeństwie, niż mi się to do tej pory wydawało.

Powinna dostać ochronę.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jeśli chodzi o Rembrandta...

- Nie kłopotz się o Rembrandta - wpadł mu w słowo Adam. - Zdobędę go jutro, nawet jeśli będę musiał powiesić Fairchilda za uszy.

- Od razu lepiej - McIntyre odetchnął z ulgą. - Już się martwiłem, że ta Fairchildówna zawróciła ci w głowie.

- Bo mi zawróciła w głowie - wyjaśnił spokojnie.

- Dlatego postaraj się jak najszybciej załatwić...

- Urwał, usłyszawszy strzał. - Kirby! - zawołał, rzucając nadajnik na łóżko.

Biegnać w dół po schodach, raz po raz powtarzał jej imię, ale odpowiadała mu tylko cisza. Wołał, a Kirby się nie odzywała. Biegnął korytarzem, przyciskał każdy napotkany włącznik światła, rozświetlając cały dom. Wpadłszy jak burza do jadalni, niemalże potknął się o coś, co leżało na podłodze.

- O mój Boże - jęknął.

- Zabiłam ją, Adamie, zabiłam ją! - wyjęczała Kirby. - Pomóż mi! Zabiłam ją!

Po jej policzkach płynęły ogromne łzy. Przyciskała zakrwawioną chusteczkę do boku Melanie. Czerwona plama na wrzosowym jedwabiu rozrastała się w błyskawicznym tempie.

- Przyciskaj mocno - polecił, po czym szybko przetrząsnął szuflady komody, w których znalazł lniane serwetki. Podał je Kirby, a następnie przykucnął przy Melanie, aby sprawdzić jej puls. - Żyje -

ocenił.

W jadalni zapanował chaos, gdyż w jednej chwili zjawili się tam wszyscy domownicy, zaalarmowani odgłosem wystrzału. Polly zaczęła piszczeć histerycznie.

- Wezwij karetkę - Adam polecił Cardsowi.

- Ucisz ją albo wyprowadź - zwrócił się do Ricka, wskazując ruchem głowy na pokojówkę.

- Kirby, co się tu stało? - dopytywał się Fairchild, klękając obok córki.

- Chciałam jej zabrać pistolet - wyjaśniła, przyglądając się z przerażeniem krwi, która barwiła jej palce. - Przewróciłyśmy się. Nie wiem, papo, która z nas pociągnęła za spust.

- Melanie miała broń? - Fairchild, nagle spokojny i opanowany, ujął ją za ramiona. -

Dlaczego? - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Bo mnie nienawidzi - odparła drżącym głosem.

- Zawsze mnie nienawidziła, a ja nie miałam o tym pojęcia. - Przyszła po Rembrandta.

Wszystko zaplanowała.

- Melanie? - powtórzył z niedowierzaniem, zerkając na krwawiącą postać, leżącą tuż obok na podłodze. - A więc to ona za tym stała. W jakim ona jest stanie? - zwrócił się do Adama.

- Nie mam pojęcia, jestem artystą, a nie lekarzem.

- Jego oczy ciskały gromy. - Przecież to mogła być Kirby!

- Masz rację - wyszeptał, ściskając ramiona córki.

- Masz rację.

- Znalazłam Rembrandta - oznajmiła ni z tego, ni z owego Kirby.

Jej ojciec spojrzał najpierw na pustą ścianę, a następnie na stół.

- Rzeczywiście, znalazłaś.

Do jadalni wpadła Tulip. Odsunawszy Fairchilda, ujęła Kirby za ramię i pomogła jej wstać.

- Chodź ze mną, kochanie - poprosiła miękko głosem. - Chodź. Dobra dziewczynka.

Adam przyglądał się bezradnie, jak Tulip wyprowadza Kirby z jadalni. Fairchild podniósł się natychmiast.

- Idę zadzwonić do Harriet - poinformował. Dopiero godzinę później, gdy karetka odjechała, Adam mógł zmyć krew z dłoni. Jego myśli były przy Kirby, chciał ją jak najszybciej odnaleźć i dowiedzieć się, jak się czuje. Gdy znalazł się na parterze, dobiegły go odgłosy kłótni, niosące się echem wzdłuż korytarza.

- Chcę się natychmiast zobaczyć z Adamem Hainesem!

- Ładnie to tak zjawiać się bez zaproszenia, Mac?

- zapytał Adam, stając u boku Cardsa.

- Adam, dzięki Bogu, że jesteś - westchnął z ulgą McIntyre. - Nie wiedziałem, co się z tobą stało. Czy mógłbyś usunąć tę zaporę? - Zerknął w kierunku kamerdynera.

- W porządku, Cards, to mój znajomy.

- W takim razie proszę bardzo. - Cards odsunął się na bok.

- Co się dzieje? Kto to odjechał tą karetką?

- McIntyre zasypał Adama pytaniami. - Na litość boską, myślałem, że to może ty!

- Mieliśmy ciężki wieczór - westchnął Adam, prowadząc przyjaciela do salonu. -

Muszę się czegoś napić. - Podeszedł do barku i nalał sobie pełną szklanekę whisky, po czym wychylił ją jednym haustem. - Może też masz ochotę? - Nalał sobie kolejnego drinka. -

Wyborna whisky, na pewno dużo lepsza od tego, co piłeś tym zapyziałym motelu nieopodal.

A, Philip. - Uśmiechnął się blado. - Podejrzewam, że tobie też drink zrobiłby dobrze.

- Rzeczywiście, poproszę. - Fairchild przyjął podaną mu szklaneczkę.

- Lepiej usiądźmy. Philipie, to Henry McIntyre, oficer śledczy w Commonwealth Insurance - dokonał prezentacji.

- Witam, panie McIntyre. Zanim porozmawiamy, chciałbym jednak, żebyś zaspokoił moją ciekawość, Adamie - poprosił. - Jak to się stało, że włączyłeś się w to śledztwo?

- Już wiele razy współpracowałem z Henrym, ten jest jednak ostatni - wyjaśnił. -

Jesteśmy kuzynami.

- Ach, łączą was więzy krwi, rozumiem. - Fairchild uśmiechnął się promiennie.

- Pozwól, że ja również zadam ci pytanie. Wiedziałeś, po co tu jestem, Philipie. Jakim cudem?

- Cóż, spodziewałem się, że ktoś się w końcu pojawi. Domyśliłem się, że to ty.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, kto odjechał tą karetką? - domagał się McIntyre.

- Melanie Burgess - wyjaśnił Fairchild, zaglądając do pustej szklaneczki. - Melly.

Została postrzelona, gdy Kirby próbowała odebrać jej broń. Broń, z której Melly mierzyła do mojej córki - uzupełnił smutnym głosem.

- Melanie Burgess - powtórzył Mac. - To by pasowało do informacji, które uzyskałem dziś po południu. Informacji, które bym ci przekazał, gdybyś się tak nagle nie rozłączył. -

Posłał twarde spojrzenie Adamowi. - Może zaczniemy od samego początku? Zakładam, że policja jest już w drodze?

- Tak, nie da się tego uniknąć, niestety. - Fairchild powoli sączył whisky, której dolał mu przed chwilą Adam.

W tym momencie w drzwiach stanęła Kirby, ubrana w białą bluzkę i dżinsy. Jej policzki były blade, ale oczy płonęły. Cóż za piękna kobieta, pomyślał McIntyre. Nie dziwił

się, że Adam stracił dla niej głowę.

- Kirby! - Adam zerwał się z miejsca i podszedł ku niej. - Jak się czujesz? - zapytał z troską, ujmując jej dłoń.

- W porządku. A co z Melanie?

- Z tego, co mówił lekarz, rana nie była taka groźna, jak się zdawało - uspokoił ją. -

Idź się położyć, odpocznij.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się lekko. - Zostałam umyta, uczesana i napojona. Chociaż nie odmówiłabym kolejnego drinka. Policja zapewne zechce mnie przesłuchać. - Spostrzegłszy McIntyre, założyła, że to on jest policjantem. - Chce pan ze mną porozmawiać?

- Najpierw chciałbym wysłuchać opowieści pani ojca, panno Fairchild.

- Nie jest pan jedyny - zauważyła. - To jak papo, dowiemy się wreszcie czegoś?

- Chyba przyszedł już czas na zwierzenia - westchnął jej ojciec. - Wszystko zaczęło się parę dni przed wyjazdem Harriet do Afryki. Jest nieco roztrzępana, więc któregoś wieczoru musiała wrócić do galerii po jakieś dokumenty, które zostawiła tam przez niedopatrzenie.

Dostrzegła światło w gabinecie Stuarta, więc postanowiła wejść i upomnieć go, że nie powinien pracować tak długo. Instynkt zatrzymał ją jednak przy drzwiach. Podśluchiwała rozmowę telefoniczną, z

której dowiedziała się o jego planach kradzieży Rembrandta.

Roztrzępana, ale przebiegła, wyszła po cichu, nie dając Stuartowi do zrozumienia, że poznała jego plany. Od razu skontaktowała się ze mną. Opracowaliśmy wspólnie plan. Być może powinniśmy byli wtajemniczyć w niego także i Kirby, ale wstrzymaliśmy się, ze względu na jej związek ze Stuartem. - Fairchild podniósł się i splótłszy dłonie na plecach, zaczął

przechadzać się po salonie. - Obydwoje z Harriet byliśmy przekonani, że Stuart nie jest zdolny do przeprowadzenia takiego szwindlu samemu, ale nie mieliśmy pojęcia, kto jest jego współnikiem. W rozmowie telefonicznej wymienił moje nazwisko, wspomniał, że wybada mnie, czy byłbym skłonny zrobić kopię. Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie uważał, że mógłbym zrobić coś tak nieuczciwego.

- Niesamowite - mruknął Adam, na co ojciec i córka obdarzyli go olśniewającymi uśmiechami.

- Harriet i ja zdecydowaliśmy, że najpierw potarguję się o cenę, a następnie przechwyć oryginał, oddając Stuartowi kopię - kontynuował Fairchild. - Uznaliśmy, że wcześniej czy później jego współnik będzie musiał się ujawnić, żeby odzyskać oryginał.

Harriet zgłosiła kradzież obrazu, ale nie chciała wnosić oskarżenia, poleciła jedynie, żeby firma ubezpieczeniowa działała ostrożnie i dyskretnie. Powiedziała, że podejrzewa mnie o współudział, dlatego zasugerowała, żeby śledztwo toczyło się wokół mnie, jednocześnie liczyliśmy, że przy okazji Stuart i jego współnik zostaną zdemaskowani. Oryginał

Rembrandta ukryłem pod kopią portretu mojej córki.

- Czemu pani Merrick nie powiedziała od razu prawdy policji ani firmie ubezpieczeniowej? - nie rozumiał McIntyre.

- Obawialiśmy się, że wtedy zostałby złapany Stuart, a jego współnik nie poniósłby żadnej odpowiedzialności - wyjaśnił Philip. - Poza tym przyznam szczerze, że ta intryga bardzo nas ekscytowała. Oczywiście może pan poprosić Harriet Merrick o potwierdzenie mojej wersji.

- Oczywiście. - McIntyre odniósł wrażenie, że zaczyna rozumieć, co Adam miał na myśli, mówiąc o domu wariatów.

- Gdybyśmy wiedzieli, że chodzi o Melanie, zupełnie inaczej byśmy to rozegrali -

zasmucił się Fairchild. - Najbliższe tygodnie będą bardzo trudne dla Harriet, proszę łagodnie z nią postępować. Musi jakoś poradzić sobie zarówno ze zdradą córki, jak i moż-

liwością utraty jedyne dziecko.

- No właśnie, pewnie zechce pan, żebym teraz złożyła zeznania - wtrąciła się Kirby, zwracając się do McIntyre.

- Nie, nie zajmuję się sprawami kryminalnymi. - Pokręcił przecząco głową. - Mnie tylko interesuje

Rembrandt. - Dopiwszy whisky, podniósł się. - Niestety, jestem zmuszony zabrać obraz, panie Fairchild.

- Naturalnie - zgodził się Philip, rozkładając szeroko ramiona.

- Bardzo dziękuję za pomoc. - Mac przeniósł spojrzenie na Adama. - Nie martw się, nie zapomniałem o naszej umowie. Jeśli uda mi się potwierdzić tę wersję, myślę, że uda mi się nie mieszać ich do tej sprawy. Twoje zadanie skończone, Adamie. Świetnie sobie poradziłeś. Przykro mi, że nie chcesz już więcej ze mną pracować, ale szanuję twoją decyzję.

- Zadanie? - powtórzyła lodowatym głosem Kirby. - Zadanie? - Spojrzała pytająco na Adama.

- Kirby... - zaczął.

- Drań! - syknęła i zamachnąwszy się, wymierzyła mu policzek, a następnie wybiegła z salonu.

- A niech cię, Mac! - jęknął Adam, po czym puścił się za nią pędem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Adam dopadł jej w chwili, gdy miała właśnie zatrzasnąć za sobą drzwi sypialni.

Błyskawicznie zatrzymał je nogą, po czym wszedł do pokoju. Przez moment stali w milczeniu, przypatrując się sobie nawzajem.

- Kirby, proszę, pozwól sobie wyjaśnić.

- Nie! - Zmiażdżyła go spojrzeniem. - A teraz wyjdź. Daj mi spokój, raz na zawsze.

- Nie mogę. - Położył jej dłonie na ramionach, ale gdy spojrzała mu prosto w oczy, opuścił je ponownie, tak zmroził go jej wzrok. - Kirby, wiem, co myślisz. Chcę...

- Naprawdę wiesz? - zachnęła się. - I tak ci powiem, żebyśmy mieli jasną sytuację.

Oto co myślę: jeszcze nigdy w życiu nie gardziłam nikim bardziej, niż gardzę tobą. Melanie i Stuart powinni się od ciebie uczyć, jak się wykorzystuje ludzi. Myślę sobie, że wykazałam się straszliwą naiwnością, uważając, że jesteś godny zaufania i uczciwy. Zastanawiam się, jak to możliwe, żebym tego nie zauważyła. Z drugiej strony, nie zauważyłam tego także w Melanie.

Kochałam ją i miałam do niej pełne zaufanie. - Łzy wypełniały jej oczy, ale walczyła ze sobą, aby nie wybuchnąć płaczem. - Ciebie też kochałam i ufałam ci.

- Ale Kirby... - zaczął.

- Nie dotykaj mnie! - Cofnęła się gwałtownie.

- Nie chcę, żebyś jeszcze kiedykolwiek mnie dotykał.

- Zaśmiała się gorzko. - Jesteś świetnym oszustem, Adamie. Ilekroć mnie dotykałeś, kłamałeś. - Gestem wskazała na łóżko. - Leżałeś tu przy mnie i gładko mówiłeś rzeczy, które chciałam usłyszeć. Czy dostaniesz za to jakąś premię? Z pewnością nie należało to do twoich podstawowych obowiązków.

- Proszę cię, przestań - powiedział cicho. - Wiesz dobrze, że nie oszukiwałem, że to, co zaszło między nami, nie ma nic wspólnego z tamtą historią.

- Jak to nie ma nic wspólnego?! - oburzyła się.

- Przecież to jedno wielkie oszustwo.

- Nieprawda! - zaprotestował. Gotów był znieść wiele oskarżeń, tylko nie to. - Wiem, nie powinienem był się tak do ciebie zbliżyć, ale nie mogłem się powstrzymać. Musisz mi uwierzyć.

- Pozwól, że sama zdecyduję, w co mam wierzyć, a w co nie. Przyjechałeś tutaj po Rembrandta, chciałeś go odnaleźć bez względu na wszystko, a mój ojciec i ja byliśmy dla ciebie tylko środkiem do celu.

- Owszem, przyjechałem po Rembrandta - przyznał. - Kiedy po raz pierwszy przestąpiłem próg waszego domu, odnalezienie obrazu było moim priorytetem. Wtedy cię nie znałem, nie kochałem cię jeszcze.

- Jesteś mało przekonujący, Adamie. Musisz się trochę bardziej postarać. -

Odwróciła się, bo łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Nie mogę się już bardziej postarać, bo mówię prawdę.

- A co ty wiesz o prawdzie? - prychnęła. - W tym właśnie pokoju opowiedziałam ci wszystko, co wiedziałam na temat hobby mojego ojca. Zaufałam ci, narażając jego bezpieczeństwo i reputację. A czy ty wtedy powiedziałeś mi prawdę?

- Miałem swoje zobowiązania - tłumaczył. - Myślisz, że było mi łatwo siedzieć i słuchać tego wszystkiego, kiedy wiedziałem, że nie mogę jeszcze ci się odwzajemnić pełną szczerością?

- Tak, myślę, że było ci łatwo, zapewne dla ciebie to nie pierwszozna - odparła ze śmiertelnym spokojem w głosie. - Ale tym razem rutyna cię zgubiła. Gdybyś opowiedział mi o wszystkim tamtego wieczoru albo następnego dnia, zapewne bym ci uwierzyła.

Uwierzyłabym, gdybym usłyszała to od ciebie.

- Planowałem powiedzieć ci o wszystkim jutro - bronił się.

- Jutro - powtórzyła sarkastycznym tonem. - Jutro to świetna wymówka.

Ten wyraz jej twarzy widział do tej pory zaledwie raz - gdy Stuart przyparł ją do ściany i nie miała

możliwości ucieczki. Stuart użył wobec niej siły fizycznej, Adam zaś zdawał sobie sprawę, iż on grał na jej uczuciach, choć nie było to jego celem.

- Przykro mi, Kirby. - Rozłożył ręce. - Gdybym zaryzykował i powiedział ci o tym dziś rano, wszystko by się zapewne inaczej potoczyło.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin. - Po jej policzkach spłynęły łzy, ale już nie dbała o to, czy wyjdzie z tego wszystkiego z twarzą, czy bez. - Wydawało mi się, że znalazłam mężczyznę, z którym będę mogła spędzić resztę życia. Zakochałam się w tobie, nie miałam żadnych wątpliwości, wierzyłam we wszystko, co mówiłeś. Nikomu jeszcze nie powiedziałam o sobie aż tyle, co tobie. Zaufałam ci, a ty mnie wykorzystałeś.

Miała rację, nie mógł w żaden sposób polemizować z tą opinią. Wykorzystał ją równie niecznie, co Stuart czy Melanie.

- Niestety, nie mogę cofnąć czasu, choć bardzo bym chciał.

- I to ma mnie przekonać.?! - prychnęła. - Mam teraz paść ci w ramiona i powiedzieć, że liczy się tylko miłość? Twoje zadanie dobiegło końca, zdobyłeś Rembrandta, na co jeszcze czekasz?

- Nie pozwolę, żebyś wyrzuciła mnie ze swojego życia - zdenerwował się. - Nie pozwolę na to! - Chwylił ją za ramię. - Przyzwyczaj się do myśli, że jeszcze tu wrócę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i wybiegł na korytarz.

W salonie czekał na niego Fairchild.

- Pomyślałem, że może ci się przydać. - Podał mu whisky. - Przykro mi, Adamie -

stwierdził, obserwując, jak ten jednym haustem opróżnia szklaneczkę. - Teraz jest bardzo zboleła, ale może z czasem, gdy rany się trochę zablżnią, będzie skłonna wysłuchać twoich racji.

- Mam taką nadzieję, ale nie jestem całkowicie przekonany, że tak się stanie.

Zdradziłem ją. - Spojrzał na Philipa. - Ją i ciebie.

- Zrobiłeś to, co do ciebie należało, taka była twoja rola - pocieszał go Fairchild. -

Gdyby nie ta historia z Melanie, Kirby jakoś by się z tym pogodziła, ale teraz jest zdruzgotana i nie słucha głosu rozsądku. Daj jej trochę czasu.

- Najgorsze, że nie pozwala mi się pocieszyć - żalił się. - Chciałbym jej pomóc, ale moja obecność tylko pogarsza sprawę, dlatego szybko się spakuję i wyjeżdżam. -

Sfrustrowany, przeciągnął drżącą dłonią po włosach. - Kocham ją, Philipie.

Fairchild w milczeniu odprowadził go wzrokiem. Po raz pierwszy w ciągu sześćdziesięciu lat życia

poczuł się stary i zmęczony. Westchnąwszy głęboko, podniósł się i poszedł na górę do pokoju córki.

Znalazł ją zwiniętą w kłębek na łóżku. Wyglądała tak nieszczęśliwie, że na jej widok aż go zakłuło w sercu.

- Czy kiedyś przestanę robić z siebie idiotkę, papo? - westchnęła, gdy usiadł obok.
- Nie zrobiłaś z siebie idiotki - zaprzeczył łagodnie.
- Ależ tak! - jęknęła. - Straszna idiotkę. Nie jedziesz do szpitala, żeby się zobaczyć z Harriet?
- Oczywiście, zaraz pojedę.
- W takim razie jedź, ona cię potrzebuje.
- A ty nie? - Poglaskał ją po włosach.
- Och, papo! - wykrztusiła, po czym zalała się łzami.

Cards zniósł na parter walizki Kirby. Minął tydzień od momentu znalezienia Tycjana, ale wciąż nie zdołała odnaleźć pociechy ani w sztuce, ani w towarzystwie bliskich. Jadła coraz mniej, cierpiała na bezsenność, straciła ochotę do życia. Dlatego też ostatkiem silnej woli postanowiła coś zrobić, aby wziąć się w garść.

Otworzyła drzwi Cardsowi. Na widok pogodnego, rześkiego poranka zachciało jej się płakać.

- Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby rozsądna osoba zrywała się o tej barbarzyńskiej porze, aby wyjechać na pustkowie - narzekał jej ojciec, schodząc w szlafroku po schodach.
- Kto rano wstaje... Chcę jak najwcześniej dojechać do chaty, żeby zdążyć się rozpakować i wybrać na długi spacer. Może masz ochotę na kawę?
- Nie przez sen - odparł, całując ją w czoło. - Nie rozumiem, czemu perspektywa spędzenia kilku samotnych tygodni w szopie na końcu świata wydaje ci się taka atrakcyjna.
- Papo, to żaden koniec świata, tylko komfortowa dacha Harriet w górach Anirondacks, trzydzieści kilometrów od Lake Placid.
- Co nie zmienia postaci rzeczy, że będziesz tam sama.
- Papo, przecież już jeździłam tam sama - przypomniała cierpliwie. - Przyznaj od razu, że jesteś zły, bo przez kilka tygodni nie będziesz miał poza Cardsem nikogo, na kogo mógłbyś krzyczeć.
- Kłócenie się z Cardsem to żadna frajda - poskarżył się. - Bo on nigdy nie pyskuje.

Tulip powinna pojechać z tobą, ktoś musi wmuszać w ciebie jedzenie - oznajmił, spoglądając na jej sińce pod oczami.

- Nie martw się, papo. - Poglaskała go po policzku. - Na pewno nie będę się głodzić, a świeże górskie powietrze doda mi apetytu.
- Martwię się. - Położył dłonie na jej ramionach.
- Po raz pierwszy w życiu naprawdę się o ciebie martwię.
- Straciłam tylko dwa, trzy kilogramy.
- Nie o to chodzi. Powinnaś porozmawiać z Adamem.
- Nie ma mowy! - zaprotestowała. - Powiedziałam mu już wszystko, co miałam mu do powiedzenia. Po prostu potrzebuję czasu i odrobiny samotności.
- Uciekasz? - zdziwił się. - To do ciebie niepodobne.
- Owszem, uciekam. Rick oświadczył mi się przed wyjazdem.
- I co w tym takiego dziwnego? - zainteresował się. - Przecież zawsze ci się oświadcza przed wyjazdem.
- Tylko że teraz niemal się zgodziłam, bo wydawało mi się to najprostszym wyjściem z sytuacji. Zrujnowałabym mu życie.
- Tylko jemu? A sobie nie?
- Jestem silna, papo, jakoś bym sobie poradziła - uspokoiła go. - Ale Harriet bardzo cię potrzebuje.
- Melanie, gdy tylko wyzdrowieje, zamierza wyjechać do Europy - poinformował.
- Wiem, Harriet mi wspominała. Będzie potrzebowała nas obojga, kiedy zostanie sama. Jeśli nie mogę poradzić sobie ze swoimi problemami, jak mam jej pomóc? - Uściskała go. - Pracuj sobie w spokoju, a ja będę wypoczywać i rzeźbić. Mam nadzieję, że jeśli zaczniesz coś malować, obraz będzie nosił twoje nazwisko? - Nie odpowiedział, więc popatrzyła na niego groźnie. - Papo?!
- Wszystkie moje obrazy będą podpisane moim nazwiskiem - odparł z godnością. -

Przecież dałem ci słowo!

- A czy ta twoja obsesja z rzeźbieniem nie oznacza, że chcesz skopiować Rodina czy Celliniego? - Przyjrzała mu się podejrzliwie.
- Zadajesz stanowczo za dużo pytań. Jedź już, bo zaraz robi się późno. Nie zapomnij napisać raz na jakiś czas.
- Zajmie ci to całe lata - zawyrokowała. - Jeśli oczywiście w ogóle ci się to uda. Lepiej zostań przy tym swoim jastrzębiu. - Pocałowała go w czoło.

- Kocham cię, papo.

Odprowadził ją wzrokiem do auta. Gdy włączyła silnik, pomachał jej i zawrócił do domu.

- Pod żadnym pozorem nie powinno się mieszać w życie swojego dziecka - zauważył, sięgając z szerokim uśmiechem po słuchawkę.

Uwielbiała las jesienią, był taki pełen barw, dynamiczny, choć zaraz miał pogрузić się w kilkumiesięcznym śnie. Mimo to, nawet po upływie trzech dni w samotności, wciąż nie mogła znaleźć spokoju. Niemal udało jej się pogodzić z tym, co zrobiła Melanie.

Wytłumaczyła sobie jej zachowanie tym, że jej przyjaciółka była ciężko chora, nie potrafiła sobie jednak w żaden sposób wyjaśnić postępowania Adama - przecież nie chował do niej urazy, która swą genezą sięgałaby wczesnego dzieciństwa. Miał po prostu zadanie do wykonania, a dla niej nie było to dostatecznym usprawiedliwieniem.

Z ciężkim westchnieniem usiadła na pniu, leżącym wzdłuż brzegu górskiego potoku.

W jej życie wkradł się chaos i miała tego serdecznie dosyć. Nie była w stanie dłużej oszukiwać samej siebie, że wyrzuciła Adama ze swego serca. Owszem, nie chciała go słuchać, nie próbowała się z nim skontaktować, ale to nie wystarczyło. Raz po raz przyłapywała się na rozważaniu, czy w ogóle kiedykolwiek kochał ją tak mocno, jak twierdził, czy choć przez chwilę naprawdę do niej należał. Zdawała sobie sprawę, że jej odmowa jakichkolwiek kontaktów oznaczała, iż nigdy się nie pozna prawdy. Może tak było lepiej?

Podniósłszy się, ruszyła z powrotem w kierunku chaty z mocnym postanowieniem, że poświęci całe popołudnie na pracę. Weszła tylnymi drzwiami i rzuciwszy niedbale kurtkę na pobliskie krzesło, szybko podeszła do stołu, na którym ułożyła swoje narzędzia. Od wielu dni nie dotykała się do nich i zaczęła najzwyczajniej w świecie za nimi tęsknić. Usiadła przy stole i sięgnęła po surowy kawałek drewna, który miał przekształcić się w „Namiętność”. Być może praca właśnie nad tą rzeźbą pozwoli jej ponownie poukładać życie.

Obracając drewno w dłoniach, rozmyślała o Adamie, o nocach, jakie spędzili razem o smaku jego ust... „Namiętność”, powoli przybierała kształty.

Dopiero gdy zaczęły ją boleć palce, spostrzegła, że upłynęło już półtorej godziny. Z

westchnieniem odłożyła drewno, by zrelaksować dłonie.

- Zawsze to jakiś początek - powiedziała, spoglądając na efekty swej pracy.

- To „Namiętność”, prawda?

Usłyszawszy dobrze znajomy głos, wypuściła z dłoni dłuto. Podniosła głowę.

Naprzeciwko niej w miękkim pluszowym fotelu siedział Adam. Już miała się poderwać z krzesła, podbiec do niego i zarzucić mu ramiona na szyję, gdy w ostatniej chwili zreflektowała się.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała lodowatym tonem. Choć ten chłód niejednego by zniechęcił, w sercu Adama rozpałała się iskierka nadziei - widział wyraz twarzy Kirby w chwili, gdy go spostrzegła i to mu wystarczyło. Wiedział jednak, że największym błędem, jaki mógł uczynić, byłoby popędzanie jej, więc postanowił cierpliwie poczekać.

- Główne drzwi były otwarte - wyjaśnił. - Wszedłem i postanowiłem poczekać na twój powrót. Miałem od razu się przywitać, ale gdy zobaczyłem, w jakim skupieniu pracujesz, zdecydowałem, że nie będę ci przeszkadzać.

Wstał i włożywszy ręce w kieszenie, zaczął spacerować po salonie.

- Bardzo ładny domek - pochwalił. - Tak sobie go właśnie wyobrażałem. - Oddalony od innych zabudowań, nieduży, przytulny i uroczy. Dokładnie taki, jak go opisywała Harriet.

- Rozmawiałeś z Harriet? - zdziwiła się.

- Tak, kiedy zawiozłem twój portret do galerii.

- Mój portret? - powtórzyła, spuszczać wzrok, bo jej oczy nagle zasły mgłą.

- Obiecałem jej przecież, że będzie mogła go wystawić jako pierwsza - przypomniał, obserwując, jak zaplata drzące palce. - Nie było mi trudno go dokończyć, bo gdzie się nie obejrzałem, widziałem ciebie.

Wstała i podeszła do okna tarasowego, które wychodziło na las.

- Jak się miewa Harriet? - zapytała, chcąc zmienić temat.

- Cóż, widać, że wciąż cierpi. - I ty też, dodał w myślach. - Na szczęście ma bardzo dużo pracy w galerii, więc nie ma czasu na rozmyślanie. Ale martwi się o ciebie.

- Niepotrzebnie. - Wzruszyła ramionami. - Możesz jej to przekazać, gdy ją zobaczysz.

- Sama jej to powiesz, kiedy wrócimy.

- My? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Ja tu zamierzam pozostać jeszcze przez jakiś czas.

- Nie ma problemu, nie spieszy mi się nigdzie - ucieszył się.

- Nie możesz tu zostać! - Wzięła się pod boki.

- Poza tym, nie masz klucza.

- Właśnie że mam, dostałem go od Harriet - oznajmił triumfalnie. - A dom jest na tyle duży, że powinniśmy się zmieścić we dwójkę.

- Tu się mylisz, ale nie będę ci psuć planów. Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła w kierunku

schodów, ale gdy go mijała, złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci odejść?

- Uśmiechnął się. - Kirby, rozczarowujesz mnie.

- Nie muszę cię prosić o pozwolenie i nie możesz mi niczego zabronić - przypomniała groźnym tonem.

- Mogę, jeśli tego wymaga sytuacja. - Położył dłonie na jej ramionach. - Wysłuchaj mnie wreszcie.

Jednak zamiast mówić, pocałował ją delikatnie. Nie odpowiedziała. Nawet nie drgnęła, choć czuł, że toczyła wewnętrzną walkę. Widział, że gdyby chciał, mógłby sprawić, że odpowiedziałaby na jego pieszczotę, ale nie chciał wywierać na nią nacisku.

- Kirby, zapłaciłem drogo za każdą chwilę, kiedy nie było cię przy mnie - wyznał. -

Kiedy wreszcie przestaniesz mnie karać?

- Wcale nie chcę cię karać - odparła, zgodnie zresztą z prawdą, ponieważ już dawno mu wybaczyła. - Wiem, że rozstaliśmy się w niewłaściwy sposób. Zdaję sobie też sprawę, że uczyniłeś to, co do ciebie należało. Pewnie na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Najwyższa pora, żebyśmy obydwójce o tym zapomnieli i powrócili do tego, czym żyliśmy, zanim się spotkaliśmy.

Jej chłodne opanowanie zaniepokoiło go, spodziewał się bowiem emocjonalnej reakcji i był na nią przygotowany.

- Czy bylibyśmy szczęśliwi, żyjąc nadal tak, jak gdybyśmy się nigdy nie spotkali?

- Popełnił błąd...

- Czy zamierzasz mi teraz powiedzieć, że mnie nie kochasz? - przerwał jej.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, nie kocham cię. - Spuściła wzrok. - Przykro mi.

Adam poczuł, jak miękną mu nogi w kolanach. Gdyby nie to, że w kluczowym momencie odwróciła spojrzenie, pozbawiłaby go całkowicie nadziei.

- Myślałem, że umiesz kłamać, ale widzę, że ci coś nie idzie. - Przytulił ją do siebie. -

Dałem ci dwa tygodnie. Może powinienem dać ci jeszcze więcej czasu, ale nie potrafię. -

Ukrył twarz w jej włosach.

- Adamie, proszę...

- Kocham cię - wpadł jej w słowo. Odsunął ją na długość ramion. - Musisz się do tego przyzwyczaić, bo nie zamierzam zmienić zdania.

- Chyba znów robisz się pompatyczny. - Uśmiechnęła się lekko.

- I do tego też musisz się przyzwyczaić. - Ujął jej twarz w dłonie. - Nie wiem, ile razy chcesz, żebym cię przeproszał, ale zrobię to tyle razy, ile trzeba.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin. - Cofnęła się.

- Tak myślałem - mruknął. - Rozmawiałem dziś długo z twoim ojcem, zanim tu przyjechałem.

- Tak? - Wbiła wzrok w podłogę. - Jak to miło.

- Obiecał mi, że nie będzie więcej kopiował obrazów.

Uśmiechnęła się. Domyśliła się, iż odbył tę rozmowę z ojcem z troski o nią.

- Cieszę się, że go przekonałeś - odparła z przekąsem.

- Postanowił pójść na to ustępstwo, jako że

wkrótce będę członkiem rodziny - dodał.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, że papa chce cię adoptować.

- Nie do końca to miałem na myśli. - Roześmiał się, biorąc ją ponownie w ramiona. -

Czy mogłabyś jeszcze raz powiedzieć, że mnie nie kochasz?

- Nie kocham cię - wyszeptała, wspinając się na palce, aby go pocałować. - I nie chcę, żebyś mnie trzymał w ramionach. - Oplotła rękoma jego szyję. - I nie chcę, żebyś mnie całował - dodała, przyciągając jego twarz ponownie ku sobie.

- Tak, teraz mnie przekonałaś - przyznał, po czym pocałował ją tak gorąco, jak nigdy dotąd.